



Claire Calman

„KOCHAM”

TO PRZEKLEŃTE SŁOWO

Prolog

W zwolnionym tempie widzi siebie jak upada — czubkiem buta zaczepia o krawędź płyty chodnikowej, jej ręka wyciągnięta przed siebie, jej dłoń jak blady kształt przypominający liść na tle ciemnego nieba. Chodnik podpływa do niej, jego pęknięcia jak ulice miasta widziane z wieżowca, powierzchnia betonowych płyt niespodziewanie nabiera ostrości.

To nie był zły upadek — opuchlizna na jej lewym kolanie ma szansę stać się ogromnym, przypominającym plamę z jeżyn siniakiem, piekące otarcie na dłoni, para podartych porządnych rajstop. Po powrocie do domu, popijając wino Shiraz, Bella przykłada torebkę zamrożonego bobu do kolana. Powtarza sobie, że to nie był zły upadek, ale gdy budzi się następnego ranka, ma wrażenie, że ktoś naciśnął przełącznik i wyssał całą jej energię w ciągu nocy. Opiera się o kuchenny blat, aby wypić kawę; nie ma odwagi usiąść, ponieważ wie, że nigdy już by nie wstała.

W ciągu nocy Londyn staje się groteskową parodią metropolii, już nie gwarny i inspirujący, ale hałaśliwy i irytujący. Śmieci wylatują z rynsztoka. Pył gryzie ją w oczy. Czuje się krucha jak królik złapany w światła reflektorów. Autobusy wynurzają się znikąd, pędzą na nią. Rowerzyści, rzucając obelgami, skręcają gwałtownie, aby ją ominąć. Gdy przechodzi przez ulicę, napina każdy swój mięsień; ma wrażenie, że słyszy głuchy odgłos bicia swojego serca. Kiedy ktoś wpada na nią na ulicy, wydaje się jej, że pęknie na małe kawałeczki. W myślach widzi, jak jej ciało roztrzaskuje się, a jego fragmenty opadają jak na pokazie sztucznych ogni, brzęcząc jak szkło, gdy uderzają o chodnik. Wyobraża sobie, że przychodzą ją pozamiatać, aby móc ponownie starannie poskładać, lecz jej skorupy niezauważone pozostają w rynsztoku, zasłonięte przez kosz na śmieci lub latarnię.

Lekarz nie okazuje jej współczucia; wzdycha, gdy ona odpowiada na jego pytania. Miesiące przepracowania, mówi lekarz. Długotrwały stres. Czego się spodziewała? Zamierza doprowadzić do poważnej zapaści? Jeśli tak, to obrała właściwą drogę.

— Żadnych tabletek — mówi lekarz. — Żadnych recept. Urlop. Odpoczynek. Przemyśl swoje życie.

— To wszystko? — pyta.

— To wszystko.

Jej szef nie jest zaskoczony.

— Półżywa do niczego mi się nie przydasz — mówi. — Spadaj na Karaiby, na miesiąc. Upij się mai-tai, przeleć kilku kelnerów.

Na Karaiby? Jest tak wyczerpana, że będzie miała szczęście, jeśli dotrze do biura podróży. Może udałoby się podać jej mai-tai przez kroplówkę.

Podczas wizyty u dobrych przyjaciół Viv i Nicka w jednym z miasteczek w hrabstwie Kent, gdzie teraz mieszkają, w tempie rekonwalescentki przechadza się pajęczyną wąskich uliczek, mijając

przechylone domy i zabytkowe kamienne mury. Skupia się na jednej rzeczy naraz, jak gdyby po wylewie uczyła się od nowa czynności, które wcześniej uważała za coś naturalnego. Po jakimś czasie, błąkając się cichą boczną uliczką w pobliżu rzeki, spostrzega tabliczkę „Na sprzedaż”.

W porównaniu z londyńskim mieszkaniem wynajmowanym razem z Patrickiem dom pod numerem 31 jest zachwycający. Słoneczny. Przestronny. Z prawdziwym ogrodem zamiast przynębiającego, ocienionego paska betonu.

— Tak — mówi Viv — to, czego Bella potrzebuje, to zacząć wszystko od początku. Mnóstwo firm skorzystałoby z okazji, aby mieć kogoś z jej doświadczeniem.

Zachowywała się jakby wpadła w trans, załatwiając sprawy z doradcą prawnym, spółdzielnią mieszkaniową, pisząc podania o pracę. Formularze, robota papierkowa stały się mile widzianą odmianą; namacalne rzeczy, na których można się skoncentrować — sprawy, które potrafi rozwiązać. Bierzesz długopis, starannym, drukowanym pismem wypełniasz pola. Pytania są jasne: nazwisko, adres, dane dotyczące rachunku bankowego, dochód. Wykonujesz wszystko poprawnie i osiągasz zamierzone rezultaty. To cudowne.

Porusza się gładko przez następne tygodnie, jakby na automatycznym pilocie, sunąc przez swój okres wypowiedzenia. Jej uśmiech wydatnie na miejscu, projekty według planu. Teraz, kiedy już wie, że odchodzi, skraca godziny pracy, wieczory wypełnia papierkową robotą i planowaniem, rozkoszując się każdym problemem i komplikacją — pedanterią sprzedawcy domu dotyczącą szopy w ogrodzie, wilgocią odkrytą przez rzeczoznawcę budowlanego.

W swoim starannie prowadzonym segregatorze, podzielonym kolorowymi zakładkami, może znaleźć każdą stronę w mgnieniu oka. Kółka segregatora zamknęły się z przyjemnym kliknięciem, zawierając ją w sobie, utrzymując jej życie w porządku. Przenosi swoje rachunki, zmienia lekarza, dentystę, wysyła wyśmienicie zaprojektowane zawiadomienia o zmianie adresu. To jest proste: wykonywanie telefonów, składanie listów na kartkach formatu A4 na trzy i wkładanie ich do kopert, obmierzanie zasłon. To zaprzęta jej myśli. To ją spaja, jak gdyby każdy etap kupowania domu był ostrą kłamrą łączącą części popękanej zabytkowej misy.

Kiedy znalazła się na miejscu, pomysł nie wydawał się już tak dobry. Wokół niej ze wszystkich stron rozciągał się kubistyczny krajobraz kartonowych pudeł. Pracownicy firmy organizującej przeprowadzki ustawili je w taki sposób, aby przejście pokoju przypominało wyprawę pełną przygód, wymagającą użycia lin, raków i stada psów husky. Ogrzewanie zdecydowało, że nie będzie działać. Oczywiście. Z pewnością sprzedawca domu wyrwał z bojlera jakiś ważny element w chwili, gdy wymienili się umowami. Sztukę drobiazgowości wzniosł na wyżyny — a może stoczył na samo dno? — sprzecząc się o każdy element instalacji i wyposażenia. Nieustannie dzwonił do Belli, a jego zachowanie wahało się między przymilnością a ukrytą agresją. Był przekonany, że Bella będzie chciała kupić jego kinkiety z kutego żelaza, które były prawie nowe. Nie, powiedziała, nie chce. A co powie na wbudowane półki? No cóż, myślała, że są wbudowane. A co z karniszami na zasłony? Dywanem na schody? Jest bardzo trwały, nalegał, trzymając się tego kurczowo jak pies, który odmawia puszczenia kości.

— Yhmm — przytaknęła wymijająco. Uważała, że trwałość dywanu była właściwie wadą, chyba że chciało się oprzeć wystrój wnętrza na motywie fal koloru khaki. Stwierdziła, że jest do niego przywiązany, więc lepiej będzie, jeśli go weźmie ze sobą.

Siedząc na schodach i próbując nie zaczepić dżinsów o wystającą listwę progową, wyciągnęła stopę, aby odsunąć pokrywę najbliższego pudła. Szczotka do toalety, lustro opakowane w folię, piszczący gumowy krokodyl. Ach, ach. Sprawdziła etykietkę na boku pudła: ŁZN. Cudownie. To miało znaleźć się na górze. W łzn. Jak jaśniej można to jeszcze wyrazić? Najwidoczniej powinna była napisać: „Pudło do łazienki (to znaczy na górze — pomieszczenie z wanną)”. Kolejna rzecz, którą trzeba dodać do listy: taszczenie pudeł z dołu na górę i z góry na dół.

Jej wzrok padł na pomarszczoną i łuszczącą się farbę nad listwą przypodłogową. Jedyne dom na tej ulicy z łuszczycą. Wilgoć. To powinno znaleźć się na samej górze listy — z pewnością przed oknem wymagającym naprawy, łazienką, która musi być przemalowana, pęknięciem w pracowni, które trzeba zaszpachlować, koniecznością wykonania malowidła na murze przy końcu ogrodu lub... W myślach rozciągała się przed nią lista, falująca papierowa ścieżka, rozwijająca się w nieskończoność.

Ktoś walił w drzwi.

— Dlaczego nie użyłaś dzwonka, babsztylu?

— Dzwoniłam, ale widocznie nie działa, zdziro. — Viv uściskała Bellę i wepchnęła złoty karton w jej rękę.

— Tego właśnie potrzebowałam. Kartonowe pudło. Pomalu zaczynało mi ich brakować. Skąd wiedziałaś?

— To są ciastka. Racje żywieniowe. Dobry Boże, wszystkie pokoje są tak zawałone?

Viv z niedowierzaniem pokiwała głową, przechylając swoje luźno spięte marchewkowe włosy z boku na bok.

— Okazuje się, że mam więcej rzeczy, niż myślałam.

— Co jest w tych wszystkich pudłach?

— Nie wiem. Książki. Farby. Sprzęt kuchenny. Rodziny uchodźców. No wiesz, takie tam.

Viv otworzyła najbliższe pudło.

— Stare katalogi wystawowe?

— Zamierzałam je przejrzeć i wyrzucić te, których nie potrzebuję, ale jeszcze się do tego nie zabrałam.

— Czyż to nie jest motto rodziny Kreuzer: *Dulce et decorum est procrastinati...*?

— Dziękuję za kilka przemiłych słów. Mogłabyś się do czegoś przydać. Pomóż mi znaleźć czajnik. Jest w kartonie oznaczonym KCH, skrót od „kuchni”, a nie „kichy”, żeby uprzedzić twoje przemądrzałe komentarze — prawdopodobnie znajdziesz go na górze w ŁZN.

Pierwszej nocy w swoim nowym domu Bella zostawiła włączone światło, tak jak to zwykle czyniła — musiała pobiec do nocnego sklepu na rogu, żeby kupić żarówki, ponieważ sprzedawca domu wszystkie powykręcał. Leżała, patrząc na szparę światła pod drzwiami sypialni. Powinnam czuć podekscytowanie, powiedziała do siebie. Nowy dom. Nowa praca. Nowe miasto. Nie mogę być tak negatywnie nastawiona. A co jeśli mam tylko tydzień na przygotowanie domu przed rozpoczęciem pracy w Scotton Design? A więc jest kilka spraw dotyczących domu, którymi należy się zająć? To przecież właśnie dlatego przeprowadzka była uzasadniona. Wtrącił się głos sprzeciwu: czyś ty zgłupiała? Jakbyś nie miała wystarczająco dużo problemów bez wywracania swojego życia do góry nogami. Od teraz po wsze czasy będziesz żyła w stęchłym chaosie; nawet nikogo tu nie znasz oprócz Viv i Nicka, a przecież nie możesz oczekiwać, że będziesz cały czas spędzać z nimi. Oni mają siebie. Nie potrzebują cię.

Kiedy jej powieki zaczęły opadać, pomyślała o Patricku. Ciekawe, co by teraz robił, gdyby był tutaj z nią. Prawdopodobnie by chrapał, przypomniała sobie. Spodobałby mu się dom, pomyślała, ziewając i kuląc się pod kołdrą. To był minus braku faceta w domu. Zająłby się wilgocią, pudłami. Nie, pomyślała, nie zająłby się; obszedłby pudła, mówiąc: „Naprawdę musimy się tym zająć”. Ale przynajmniej rozmasowałby jej zimne stopy.

Bella zagryzła wargę. Dostyc uzalania się nad sobą, OK. Należy wziąć pod uwagę zalety tej sytuacji: cudowny dom będący jej własnością, z ogromnym potencjałem, szczególnie po tym, jak Pan Drobiazgowy ogołocił go ze swoich ulubionych kinkietów i przyprawiających o mdłości dywanów; blisko Viv, więc rachunek telefoniczny będzie mniejszy, ponieważ nie będą już musiały prowadzić długich rozmów międzymiastowych; nigdy więcej nie będzie musiała wstrzymywać oddechu za każdym razem, gdy jej kolega z pracy Val (zwany również Ziejącym Valem) będzie w zasięgu wydechu;

nowa, mniej stresująca praca. Tak, pocieszyła się, mniej stresu, to była główna zaleta. Koniec z podróżowaniem metrem z twarzą wciśniętą w czyjaś pachę. Koniec z wydawaniem fortuny na taksówki, aby późną nocą bezpiecznie wrócić do domu. Koniec z obskurnym mieszkaniem, w którym nawet w dzień musiała zapalać światła. Koniec z myślami o Patricku konfrontującymi się z nią za każdym razem, gdy otwierała drzwi mieszkania pełnego ciszy. Zmusiła się do sposobu myślenia Pollyanny — Ojej, czyż nie była najszcześniejszą dziewczyną na całym świecie? Zaczynać wszystko od nowa. To dopiero było ekscytujące! Już nie mogła się doczekać.

2

Dobra. Długopisy, aktówka. Buty wypastowane. Szminka. Włosy. O, kurczę. Nie miały tak wyglądać. Sprawiały, że przypominała psa pasterskiego, który skakał przez zarośla. Wystawiła język i zaczęła dyszeć, żeby dopełnić obrazu. Może lepiej wyglądałyby spięte? Zebrała włosy znad karku i zrobiła — jak jej się wydawało — elegancką minę. Wspaniale, teraz wyglądała jak ufryzowany pudel. Gdzieś miała kapelusz. Tam, w Strefie Pudeł, z pewnością znajdowało się małe, twarzowe nakrycie głowy. Pytanie: tylko, w którym pudle? Kopnęła to najbliższe stojące, jak gdyby mogło wydać odgłos typowy dla pudła zawierającego kapelusz. Rzut oka na zegarek. To nie był odpowiedni czas na polowanie na kapelusze. I tak, cóż by z nim zrobiła? Przecież nie mogła go nosić na głowie przez cały dzień. Chyba że udawałaby muzułmankę albo pacjentkę w trakcie chemioterapii. Stanęła nad zlewem kuchennym i wypila szklankę wody, żeby uspokoić żołądek. Boże drogi, to gorsze niż randka albo pierwszy dzień w szkole. Na miłość boską, masz trzydzieści trzy lata, powiedziała do siebie. Nie będą się ciebie czepiać ani próbować zwędzić piórnika.

Mama rozmawia z panem Bowndesem, dyrektorem. Kładzie dłoń na jego ramieniu i śmiejąc się, odchyła głowę. Bella przygląda się swoim stopom, swoim nowym butom. Granatowe, z lśniącymi srebrnymi sprzączkami i paskami — tak jeszcze sztywnymi, że nie może ich sama zapiąć. Jest wrzesień, ale ma na sobie sięgające do kostki nieskazitelnie białe skarpetki z małymi niebieskimi kotwicami na ściągaczu. Widzi, że inne dziewczynki mają szare podkolanówki. Jesienne skarpetki.

Przez swój nowy niebieski kapelusz z filcu czuje głaskanie po głowie. Spogląda w górę.

— Jak miło widzieć prawidłowo ubranego ucznia w odpowiednim szkolnym kapeluszu — mówi pan Bowndes, skłaniając się w kierunku mamy. — Tak niewielu rodziców zwraca na to uwagę. — Śmieje się, jakby opowiadał dowcip, ale Bella bierze to za kawał dla dorosłych, ponieważ nie widzi w nim nic śmiesznego.

— Ale ja uważam, że są czarujące! Czyż nie? — mama robi coś takiego z głosem, że wydaje się, iż zaraz zacznie śpiewać, stukając jednocześnie długim palcem w rondo kapelusza.

Stojąc nieruchomo w swoim kapeluszu, Bella wyobraża sobie, że jest granatowym grzybem. Chciałaby być teraz w lesie, jej stopy zanurzone w aksamitnym mchu, jej paznokcie u nóg rosną, wra-
stają w ziemię jak korzenie. Króliki zatrzymywałyby się, by z nią porozmawiać i połaskotać swoimi
noskami. Ona słuchałaby szelestu liści na wietrze.

Pan Bowndes macha mamie na pożegnanie, po czym oddaje Bellę pod opiekę starszej dziew-
czyńce, która prowadzi ją do właściwej klasy.

Jest jedynym dzieckiem, które ma kapelusz.



Znalezienie Scotton Design zajęło jej więcej czasu, niż przypuszczała. Doszła do wniosku, że
stało się tak prawdopodobnie dlatego, iż szła z przeciwnej strony. Miejsce, w którym była, przypomi-
nało jej miasteczko z musicalu *Brigadoon*. To z pewnością był ten skręt tuż za sklepem obuwniczym.
Chwileczkę — poprzednim razem szła od strony stacji, a to oznacza, że tam powinna była skręcić w
lewo, a nie w prawo. Ale czy na pewno?

Na chwilę przystanąła, starała się ignorować przyływ paniki zalewający jej żołądek. Przecho-
dzień wymijając ją, westchnął głośno; nie miał cierpliwości do kolejnego zagapionego turysty blokują-
cego chodnik. Na lewo od niej ukazała się wieża katedry — aha, katedra na lewo, więc — tak, przejść
obok ohydnej frytkami i księgarni Waterstone.

Zbliżając się do biura, automatycznie skierowała kroki do kawiarenki po cappuccino i ciastko z
kruszonką i owocami, odnawiając w ten sposób stare nawyki z Londynu. Nadmiar piany wylał się
przez otwór w wieczku, niczym lawa podchodził do jej palców.

Nadal je oblizywała, kiedy po wkroczeniu do recepcji powitał ją nowy szef.

— Bella! Już jesteś! Świetnie! — Seline spojrzała na zegarek. — Mam nowego klienta o czter-
nastej! Ale przez większość ranka mnie nie będzie, więc mam dwie minutki, żeby cię wprowadzić!
OK!

— Dobrze! — Bella podniosła głos, próbując wtrącić kilka wykrzykników, żeby dopasować się
do tonu Seline. Czy ona naprawdę zachowywała się tak podczas tych dwóch rozmów o pracę?

— Oczywiście! — Rozejrzała się, szukając miejsca, gdzie mogłaby położyć spływającą kaskadą
kawę. Jutro musi wziąć poczwórne espresso w celu zwiększenia pokładów energii i wzmocnienia gło-
su, aby nie brzmiał jak popiskiwanie myszy z *Alicji w Krainie Czarów*.

— Gail! Czyń, proszę, honory domu!

— Pozwól, że to wezmę. — Gail wyswobodził Bellę z jej kubka, płaszcza i aktówki. — Nie
zwracaj uwagi na Seline. Próbuje tylko tobie zaimponować, ponieważ jesteś szpanerskim dyrektorem
artystycznym z dużego miasta. A tak poza tym, tam jest toaleta, kuchnia, ekspres do kawy, herbata jest
tutaj. Chodź, poznasz innych pracowników...

— Idziemy znowu do baru serwującego tapas? — zapytała Viv przez telefon następnego dnia.

— Ale ja zawsze tam chodzę. To takie żałosne.

— Ale po co tracić czas, włóczęc się po mieście, polując na jakieś nowe miejsce, aby udowodnić sobie, że jesteś rozrywkową, nie bojącą się ryzyka osobą, która nigdy nie chodzi do tych samych dwóch restauracji, skoro już wiesz, że nie jesteś ryzykantką, a w mieście to są dwa najlepsze miejsca, do których warto pójść? Nie masz dużego wyboru, więc powinnaś uważać się za szczęściarę.

— Ty też nie. Pamiętasz? Mieszkasz tu razem ze mną.

— Tak, ale zachowałam jakieś pozory miejskiego wyrafinowania, podczas gdy ty zapewne myślisz, że *focaccia* to rumuński taniec ludowy.

Przynajmniej na razie Bella szczerze wolała ten prowincjonalny niedostatek wyboru. W Londynie czuła się jak bohater mitu greckiego, który stoi przed niemożliwym do rozwiązania dylematem; Patrick zwykle zawężał wybór etapami — najpierw kontynent, później kraj.

— Dobra, Europa. Kuchnia włoska, francuska czy grecka?

Później poszukiwali nieuchwytej świętej trójcy: przyzwoitego jedzenia, miłej obsługi i dobrej atmosfery, żonglując kombinacjami do czasu, aż było za późno, żeby gdzieś wyjść.

— W Conca d'Oro jest ta miła kelnerka, ale poprzednim razem warzywa były rozgotowane.

— Le Beaujolais? Dobre frytki, ale czy wytrzymasz wzrok protekcyjnej wyższości, kiedy prosisz o keczup?



— Przepraszam, przepraszam, przepraszam. — Viv wśliznęła się do baru serwującego tapas spóźniona o dwadzieścia minut. — Mieliśmy poważny kryzys w pracy. Cała sieć padła, ponieważ jakiś kompletny dupek podłączył suszarkę do włosów i przeciążył instalację elektryczną.

Viv uwielbiała poważne kryzysy. Zamówiły parę piw i debatowały nad tym, czy lepiej zamówić *pinchos morunos* czy *pollo al ajillo*.

— Co ty na to? — Viv ruchem brwi wskazała kelnera. — Apetyczny, nie?

Bella zmarszczyła nos.

— Jesteś taka zrzędliva. Myślałam, że lubisz Latynosów?

— Prawdopodobnie pochodzi z Bromley — powiedziała Bella. — Wiem, wiem. W ten sposób nikogo nie poznam. Mówisz jak moja matka.

— Czy ja coś powiedziałam? Z pewnością znajdziesz kogoś innego. Nie ma powodów do paniki, jeszcze masz czas.

— Co to? — Bella przechyliła głowę, jak gdyby nasłuchiwała czegoś.

— Co?

— Tik-tak. Mój zegar biologiczny. Na pewno go słyszysz. Moja mama słyszy go w zasięgu pięćdziesięciu kilometrów. Nie zależy mi. Zdecydowałam, że nie będę martwić się brakiem bachorków. Zamierzam kilka wynająć raz w roku na dwa tygodnie.

— A co tam u twoich rodziców? — zapytała Viv, cedząc słowa przez kawałek limonki, który wyciągnęła ze swojej butelki z piwem i wcisnęła między wargi, przez co jej usta wyglądały jak z komiksu. — Widzieli już posiadłość Kreuzerów?

— Bronię się przed tym, jak mogę. Podczas ostatniej naszej rozmowy Alessandra, jak zwykle, pytała się o ciebie. — Wypowiadając imię swojej matki, Bella przybrała teatralną barwę głosu. — Już widzę, jak przygląda się plamie wilgoci — „Bella, kochanie, czy to celowy zabieg dekoratorski?”.

— Potrzebujesz planu działania — powiedziała Viv. — Jak poznać faceta.

— Nigdy nie odrzucam zaproszeń bez względu na to, jak nudne się wydają.

— Wielkie dzięki. Ostatni raz cię zaprosiłam.

— Nie chodzi o ciebie, głupia. — Bella pociągnęła łyk piwa prosto z butelki. — Mówiłam ci, nie martwię się. Lubię być sama.

— Kłamczucha.

— Świnia. Naprawdę. Dlaczego nie? Tylko dlatego, że znalazłaś Pana Doskonałego, myślisz, że każdy samotny jest jakimś żalonym półczłowiekiem.

Viv potrząsnęła głową.

— Nawet mama Nicka nie nazwałaby go doskonałym. A jak w nowej pracy? Jakie są oficjalne notowania?

Oto pozostałość po czasach, gdy polowały w stadzie. Pozostałe dwie, Kath i Sinead, przeszły na stronę wroga, ponieważ popełniły grzech główny: wyszły za męża. A od kiedy Viv zamieszkała z Nickiem, Bella była jedynym singlem.

— 0,5. Dwóch żonatych, jeden gej, a jeden zbyt niedojrzały, więc gdyby zaryzykować przebywanie w tym samym pokoju, pewnie ktoś mógłby uznać ich za paczkę wariatów.

— Nawet żadnej namiastki mężczyzny?

— Już nawet nie pamiętam, jak on wygląda. To taki z zarostem i ogromnym ego, tak? Kilka razy umówiłam się z głównym księgowym agencji reklamowej, z Timem, pamiętasz? Ale on był straszny. Cały czas głądził o swoim portfelu akcji i o tym, co powinnam sprzedać, a co kupić. Blee. Lepiej mi bez tego. A poza tym i tak nienawidzę tych spraw związanych z byciem razem.

— Jakich spraw?

— No wiesz. Wspólne zdanie na każdy temat: „My myślimy to, my robimy tamto. Uważamy, że *Obywatel Kane* jest przeceniany i wolimy kuchnię seczuańską od kantońskiej...”. Ich osobowości niczym ameby łączą się w jedno, jak zestaw długopisu i pióra.

— To bzdury. My nie jesteśmy tacy.

— Widzisz? My...? A co się stało z ja?

— Tak czy owak — Viv westchnęła i skinęła na kelnera, aby podał następne dwa piwa — jest dużo miłych rzeczy: miłość, partnerstwo, seks przede wszystkim.

— Seks? A cóż to jest? Czy to coś między pierwszym pocałunkiem a trzaśnięciem drzwiami?
O, tak, kiedyś tego próbowałam...

— Więc, ty nie... — Viv eufemistycznie skinęła głową — od...?

— Nie. Nikt od czasu Patricka. Zostałam desygnowana do strefy wolnej od seksu. To oficjalne.
Nikt od czasu Patricka. Pamięta ten ostatni raz. To był drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Po długiej podróży w deszczu wrócili właśnie do domu od jego rodziców mieszkających w Norfolk.



W mieszkaniu jest zimno i nieprzytulnie, lodówka żałośnie nie-bożonarodzeniowa, pusta, nie licząc pół tubki pomidorowego puree, zepsutej cytryny i dwóch butelek wina.

— Chyba walnę się do łóżka — mówi Bella, z na wpół stłumionym ziewnięciem. — Jestem tak zmęczona!

— Dobry pomysł. Też się położę.

Powoli rozbiera się, z roztargnieniem ściąga pończochy, przeciąga nadal zapięte mankiety przez dłonie, ponieważ nie chce się męczyć z ich rozpinaniem. Sięga pod poduszkę po swoją dużą, czarną koszulkę i wełniane skarpetki. Wychodzi do łazienki, żeby umyć zęby.

— Będiesz czytać dzisiaj wieczorem? — pyta Patrick.

Jej bożonarodzeniowe książki znajdują się nadal w reklamówce w przedpokoju. Potrząsa głową. Słychać pstryknięcie wyłącznika światła.

Czuje jego rękę, jak sunie po jej boku, pod jej koszulką, obejmuje jej brzuch.

— Jesteś ciepła i przyjemna w dotyku. Odwraca się, żeby pocałować go na dobranoc.

— Dobranoc — mówi.

Czuje, jak jego język niepewnie wsuwa się między jej wargi; zaczyna mruzczyć, że jest naprawdę bardzo śpiąca, to był długi dzień. On głaszcze jej włosy, mówiąc łagodnie, że ją kocha, jak miękka jest jej skóra i jaka jest seksowna.

Jej ciało reaguje automatycznie na jego dotyk, jego ręka zsuwa się między jej uda; czuje, jak staje się wilgotna; słyszy jego głębokie westchnięcie, kiedy jego palce odnajdują ją.



Drugi dzień świąt, dwa lata temu, przypomina sobie. To było wtedy.

— O, ten jest nawet niezły. Tam. Nie patrz — głos Viv zmienił się w sceniczny szept.

— Dobra. Nie patrzę.

— Nie. Teraz, szybko.

Bella przekręciła głowę, żeby zobaczyć nieświadomą zwierzyńkę. Udawała, że patrzy na hiszpański plakat reklamujący walki byków, wiszący na ścianie powyżej. Jej głos uniżył się do szeptu.

— On jest z kimś. Widzisz tę drugą osobę przy stole, z kolczykami i bluzce w grochy? To nie jest przystawka do głównego dania, wiesz? Proszę, oto chleb i kobieta na wieczór.

Viv lekceważąco machnęła ręką.

— To może być jego kuzynka, która przyjechała z wizytą.

— To może być dalajlama w przebraniu, ale może weźmy pod uwagę najbardziej prawdopodobną opcję, dobrze? Dwoje ludzi: mężczyzna i kobieta, w restauracji, wieczorem. Dla mnie to brzmi jak para będąca na randce. Powinnas wiedzieć. Tak zachowują się normalni ludzie. Przeczytałam o tym w jednym z dodatków do niedzielnej gazety.



Doszły razem do katedry, po czym każda udała się w inną stronę. Jak niesamowicie oświetlone było miasto nocą i żadnego turysty w zasięgu wzroku, żeby to docenić. Za dnia miasto przyciągało niczym magnes grupy japońskich turystów podążających za przewodnikiem wycieczki, który jak mażoretka trzyma parasol w górze, oraz trupy francuskich dzieci paradujących w identycznych niebieskich czapczkach i plastikowych sakiewkach zawieszonych na szyi nawołujących: Oto mój paszport i wszystkie moje pieniądze. Okradnij mnie!

Bella przeszła przez most. Poniżej iskrzyła się rzeka. Kilka łódek podskakiwało delikatnie na falach, obijając się o siebie z drewnianym odgłosem. Wszystko wyglądało tajemniczo i ekscytująco; to był ten rodzaj nocy, kiedy twój partner mógłby spojrzeć na ciebie i zaproponować:

— Wybierzmy się do Rzymu w ten weekend — teraz!

Czy ktoś był kiedyś w takim związku? Viv często skarżyła się, że jej i Nickowi nigdy nie udało się wyjechać. Kiedy Bella była z kimś w związku, nigdy nie robili spontanicznych rzeczy, takich jak lot odrzutowcem na kontynent pod wpływem chwilowego impulsu lub seks na podłodze w kuchni lub w wannie. Pewnego razu z Seanem, chłopakiem, z którym była przed Patrickiem, w przyływie namiętności ściągnęli z siebie dzinsy i próbowali zrobić to na schodach. Niestety, spodnie zaczęły przeskadzać i zdawało się, że zbyt wiele kolan bierze udział w tych poczynaniach, a po dwóch minutach schody wbijające się w krzyż były jedyną rzeczą, o jakiej była w stanie myśleć. Musieli przerwać, żeby doczłapać się na górę do sypialni z nogami skrępowanymi na wpeł opuszczonymi spodniami, a do tego czasu znaczna część ich płomiennej żądzły zdażyła się wypalić.

To był jeden z tych bezsensownych pomysłów, które zapełniają strony babskich czasopism: „Życie intymne straciło swoją magię? Dodaj mu trochę pikanterii: inicjuj zbliżenia w niespodziewanych momentach i zaskakujących miejscach”. Zawsze istniały utarte frazesy dotyczące romansu i seksu typowe dla magazynów, jak „Wsuwaj małe miłosne liściki do kieszeni twojego partnera, aby odkrył je w czasie dnia” albo „Zaskocz swojego mężczyznę, gdy jesteście gdzieś razem, szepcząc mu do ucha, że nie masz na sobie bielizny”. Pomyśli pewnie, że stajesz się przedwcześnie zniedołężniała. Wyobraź sobie, że mówisz mu to podczas zakupów w Tesco, szukając dobrych oliwek. To dopiero byłaby niespodzianka! Czy na pewno byłby tak ogarnięty podnieceniem, że przechyliłby cię do tyłu nad pasteryzowanym mlekiem? Albo wzięłby cię nad chłodziarkami pełnymi kawy viennetta i mrozo-

nymi klopsikami? Czy nie byłoby ci strasznie zimno w tyłek? Czy inni kupujący ignorowaliby was — typowe dla Anglików — a może próbowaliby po coś sięgnąć nad twoimi udami, mówiąc:

— Przepraszam, kochanie, czy mogłabym dostać się do mandarynkowego sernika? Widzisz, moja szwagierka przyjeżdża na weekend...

Kilka par przemknęło koło niej; zatrzymywali się co kilka kroków, żeby się pocałować, zbacząc przy tym z drogi jak pijane kraby; starsza para, prawdopodobnie pięćdziesięciolatek, minęła ją, trzymając się za ręce. Gdy była z Patrickiem, zwykle cieszyła się na widok innych roześmianych, całujących i migdalących się par. Była jakaś tajemnicza więź między nimi. Czasami cztery pary oczu spotykały się i uśmiechały: „Wiemy jak piękne jest życie, prawda?”.

Teraz wprawiało ją to w przygnębienie. Boże, jacy oni są zadowoleni z siebie! Jeśli kiedykolwiek będzie na tyle głupia, żeby znowu być w związku — to brzmiało strasznie: w związku, jak w więzieniu, w areszcie, w nieładzie — to będzie unikać zadowolenia z siebie. Jak możesz tak skąpić innym szczęścia? — zarzuciła sobie. Wydłużyła krok i postanowiła być bardziej optymistyczna. Wszystko było w porządku. Miała czas dla siebie, więc może skoncentrować się na domu. Może cały weekend przełazić w niechlujnym ubraniu. Umawiać się z mnóstwem różnych mężczyzn. Nie musi już ciągle układać ręczników, ponieważ on nie mógł pojąć idei ich składania. Nie trzeba kupować tej śmiesznej, drogiej, trzysmakowej marmolady tylko dlatego, że on ją lubił.

Ale ja też zaczęłam lubić tę marmoladę, przypomniała sobie. No i jakoś nie wychodzę z mnóstwem mężczyzn, prawda? To wszystko prawda, przyznała. Ale mogłaby, gdyby tylko chciała; liczyła się zasada.

Leżąc tej nocy w łóżku, Bella myślała o Viv i Nicku. Dziwne, jak łatwo Viv przestała być Viv i stała się Viv i Nickiem, jak gdyby zawsze tak było. On był niewątpliwie jak instalacja, element wbudowany na stałe w życie Viv, a Viv w jego. Bella z pewnością nie wybrałaby go. Najwidoczniej kiedy dotarł na czoło kolejki, ograniczono przydział włosów. Jego twarz była łagodna i plastyczna; miało się wrażenie, że można ją zgnieść, a ona — niczym plastelina — pozostanie w takim kształcie. No i to jego oddanie dla samochodu — bładoniebieski karmann ghia, w lekko opłakanym stanie, zbytnio rozmiłowany w poboczach, ponieważ miał tendencję do psucia się podczas każdej podróży przekraczającej dwadzieścia kilometrów. Mimo wszystko Nick i Viv kochali się nad życie. Z pewnością były gorsze pary. Na początek jej rodzice — ojciec taki łagodny, tak bardzo się starał, a matka... cóż, przynajmniej nie jest do niej podobna.

Może w tym samym momencie Viv myślała o Belli. Może leżąc w łóżku, przytulona do Nicka, mówiła:

— Biedna Bella, poddała się. Żadnego seksu od ponad roku.

Pewnie nie znajdzie faceta w połowie tak miłego jak Patrick. Mimo wszystko powinna już o nim zapomnieć.

Bella słyszała, jak to kołocze się jej po głowie. „Powinna już o nim zapomnieć, powinna już o nim zapomnieć”.

3

Poniżej dwóch słów „jogurt — pomysły??”, które znajdowały się w jej notatniku, szkic nowej szefowej Belli gładko nabierał kształtów. Odległość między jej szyją a kołnierzykiem koszuli, okulary osadzone na czubku głowy, jakby patrzyły na sufit. Bella obserwowała z dystansem, jak kreska ołówka odtwarzała kąt, pod jakim podbródek Seline wyciągnięty był do przodu, niczym u kurczaka sięgającego po ziarno.

— Bella? — Seline spojrzała w jej kierunku, podnosząc brwi.

Bella położyła szybko kubek z kawą na swoim szkicu i starała się wyglądać na zamyśloną, jak gdyby rozważała różne opcje przed przedstawieniem swojej opinii. Czy to możliwe, aby nadal rozmawiali o kampanii reklamowej jogurtu, czy może przeszli już do sprawy zbiorowego projektu dotyczącego hotelu w wiejskiej rezydencji? Poczowała się jak uczeń, który za chwilę ma zostać upomniany za to, że nie uważał. „Bella Kreuzer! Czy ty znowu bujasz w obłokach?”.

— Eem... — pośpieszyła z odpowiedzią, starając się zerknąć w bok na notatnik Anthony'ego, żeby odczytać notatkę, którą właśnie dla niej pisał.

— Luksusowy Jogurt? — odpowiedziała Seline. — Jakież inne pomysły dotyczące nowego projektu? Badania grup kontrolnych wskazują, że wygląda zbyt zdrowo. Klient chce nowego opakowania.

— Tak sobie myślałam... — Bella pokiwała głową z mądrym wyrazem twarzy, dyrektor kreatywny w każdym calu, który oddaje się z zapałem poważnym rozważaniom nad projektem nowego opakowania jogurtu. — Jestem przekonana, że moglibyśmy wzmocnić wrażenie, iż te jogurty są także zabawne i zmysłowe. Klientka... klientka... chce czuć, że może być zdrowa, a jednocześnie nie stronić od przyjemności i odrobiny grzechu. Jutro zrobię kilka szkiców z bardziej seksownym krojem pisma.

— Wspaniale! — Seline, zadowolona, stuknęła długopisem o zęby. — Ktoś jeszcze?

Wewnętrzna strona dolnej wargi bolała ją od zagryzania. Zaczęła pracę dopiero dwa tygodnie temu, a już miała problemy z zachowaniem powagi. Tak samo było, gdy pracowała w reklamie czy dla kobiecych czasopism. No bo jak miała utrzymać rozsądny i dojrzały wyraz twarzy, kiedy ludzie zaczęli rozmawiać o jogurcie, proszku do prania czy nowej palecie farb, jakby to było lekarstwo na raka lub sposób na przywrócenie pokoju na świecie?

Seline, która prowadziła Scotton Design (lub, jak Anthony lubił go nazywać, Scrotum Design*), pod wieloma względami była całkowicie zdrowym psychicznie człowiekiem i — jak często twierdziła — „lubiącym dowcipy nie bardziej niż inni” — co zgadzałyby się z prawdą, gdyby tym „innym” obce było pojęcie ironii.

* Scrotum (ang.) — moszna. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Często jednak zachowywała się, jakby niebo miało się zwalić na głowę, jeśli czcionka na pudełku wkładek higienicznych nie będzie wyrażała suchości, świeżości, zdrowego pożycia seksualnego, beztroskiego nastawienia oraz aktywnego i dostatniego stylu życia. A to był tylko napis. Poza tym komu potrzebne są wkładki higieniczne? Przecież po to są majtki. Niedługo będą sprzedawać wkładki, aby utrzymać w suchości i świeżości wkładki higieniczne.

Bella powiedziała sobie, że nie powinna tego krytykować. Kiedy miała dobry dzień, szczyciła się tym, że wiedziała, który krój pisma wygląda bardziej beztrosko. Ponadto dzięki tej pracy nie znalazła się na ulicy, no i ktoś przecież musiał zapłacić za usunięcie wilgoci, naprawę dwóch okien, wymianę denerwującego dzwonka do drzwi, a poza tym przydałaby się zamrażarka... Jak na zawołanie, Lista Rzeczy Do Zrobienia pojawiła się w jej głowie, owijając się wokół niej, oplatając ją jak egipską mumię. Na samą myśl o tym zamknęła oczy i pocieszyła się świadomością, że już wkrótce zobaczy Viv, jeśli uda jej się uciec, zanim Seline przetnie jej drogę do wyjścia.

— Bella! Co za niespodzianka. — Nick wszedł do kuchni i zaczął napełniać czajnik. — Wydaje się, jakbyśmy się wczoraj widzieli. Aaa, to było wczoraj. Co się u ciebie działo przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny?

— Już idę, już idę. To jej wina. Zmusiła mnie, żebym przyszła. — Bella wskazała na Viv.

— Tak. To moja wina. — Viv objęła Nicka w pól. — Ale ona robi to dla ciebie. Uczy mnie, jak przygotować tę jej wykwinną potrawkę rybną, żebym mogła zrobić ją w weekend dla twoich rodziców.

— Poprawka. Tak naprawdę robię tę rybną potrawkę do zamrażarki, podczas gdy Viv stoi tu i potakuje, mówiąc: „Och, myślę, że rozumiem. Pokaż mi tylko jeszcze raz, jak obrać ziemniaka, a później ja spróbuję”.

— Komuś herbaty? Nie? A więc znalazłyście wino?

Nick napełnił ich kieliszki.

— Później bierzesz oliwki...

Ręka Nicka wystrzeliła do przodu i złapała jedną.

— I dajesz je Nickowi, ponieważ tato ich nie lubi.

— ... I kładziesz je na jedną stronę, aby podać je Nickowi.

Nick wyszedł i rozciągnął się na kanapie.

— Jestem już za daleko, żeby was słyszeć, więc jeśli chcecie, możecie porozmawiać o mężczyznach, seksie i babskich sprawach.

— Buty, Nick! — Viv zawołała z kuchni.

Usłyszały cichutki szelest, jakby odgłos gazety wsuwanej pod stopy.

— Nick, choć na chwilę wyobraź sobie, że jesteś porządnym facetem.

— Dzięki, Bella!

— Och, cicho bądź. Wiesz, co mam na myśli. Viv uważa, że powinnam zapytać ciebie, jak zwrócić uwagę faceta.

— Od kiedy to słuchasz rad Viv? Nie wiedziałem, że szukasz mężczyzny.

— Właśnie to samo jej powiedziałam. Viv mi nie wierzy. Choć nie wzgardziłabym odrobiną seksu, zanim zapomnę, jak to się robi.

Włączyła się Viv.

— No dalej! Ona jest cudowna. Kolejka facetów powinna stać i pukać do jej drzwi.

— Nie. Ludzie zawsze mówią, że chcą twojej szczerzej rady, a później wkurzają się na ciebie.

— Nick, obiecuję, że tak nie będzie. Słowo harcerza. — Bella podniosła rękę ze złożonymi trzema palcami.

— A kiedy ty byłaś harcerką? — syknęła Viv. Bella machnęła lekceważąco ręką.

Nick pokręcił głową i wrócił do czytania magazynu, skubiąc przy tym miętusy jak myszosczek.

Viv zaczęła cmokać w jego kierunku. Po drugiej stronie dołączyła się Bella. Nick westchnął.

— Na własną odpowiedzialność. Oczywiście to tylko moje zdanie — a zdaję sobie sprawę, że nie jestem porządnym facetem — ale jeśli rzeczywiście chcesz zaszaleć, to pokaż trochę nóg, kobieto. Noś krótkie spódniczki i śmieję się z naszych żartów. To powinno pomóc.

— To wszystko na co cię stać? — Viv trzepnęła magazyn.

— No co, co? Już dwunasty raz czytam to cholerne zdanie. Uprzejmie proszę, spadajcie. — Położył gazetę na twarzy.

— Nick, obiecujemy, że za chwilę się odczepimy. — Bella powoli uniosła róg namiotu z gazety i zaglądnęła pod nią.

— Zrobimy ci kawy i obiecujemy śmiać się z twoich kawałów... kiedy jakiś opowiesz... ale czy ja, wiesz, wyglądam w porządku?

— Jezu! Co z tobą? Jak już powiedziałem, spódnice są ładne. Poza tym — Nick zaczął odliczać na palcach — po pierwsze, nosisz za dużo ciemnych rzeczy. To przygnębiające. Po drugie, zrób coś z włosami. Są świetne, ale przez większość czasu nie można zobaczyć twojej twarzy, a to wydaje się dużą stratą. Nie mogłabyś spać ich z tyłu, u góry czy jakoś tak? Po trzecie, musisz spalić tę okropną

marynarkę. Nie masz nic innego? Jest o wiele za duża na ciebie. Wyglądasz tak, jakbyś miała nadzieję, że nikt nie zwróci na ciebie uwagi.

— Nick! — upomniała go Viv.

— Co? Co? Co teraz zrobiłem?

— Nic, w porządku. — Bella sięgnęła przez niego po miętusa. — Należała do Patricka.

— Och, przepraszam.

— Nie ma sprawy. Kontynuuj.

— Do tego od czasu do czasu powinnaś spróbować się uśmiechnąć. Mężczyźni to lubią. To sprawia, że czujemy się potrzebni.

— O tak? — Bella wyszczerzyła zęby w ogromnym uśmiechu i zaczęła energicznie skakać po pokoju. — Pollyanna w porównaniu ze mną cierpiała na chroniczną depresję!

— Więc przypuszczam, że przykrycie mojej twarzy włosami nie byłoby stratą? — zapytała Viv.

— Wiedziałem, że tak będzie. Nienawidzę was. — Nick podniósł się z kanapy. — Jeśli ktoś będzie mnie szukał, to będę udawał porządnego mężczyznę, czytając mój magazyn samochodowy w kiblu.

Kiedy wróciła do domu, na jej automatycznej sekretarce nagrane były dwie wiadomości: jedna od faceta, który miał usunąć wilgoć; tłumaczył, że nie może zacząć pracy, dopóki nie poprawi się pogoda — może miał nadzieję, że każdy kolejny deszczowy dzień pogorszy jeszcze sprawę, a on będzie mógł zbić kolejny metr tynku i podnieść jeszcze rachunek; druga od jej ojca, Geralda: „Dzwonię tylko, żeby się przywitać. Sprawdź, jak tam leci. Zapewne radzisz sobie dobrze. Zadzwoń do nas kiedyś. Całusy, Tato”. Kiedy nagrywał się na automatyczną sekretarkę, zawsze kończył w ten sposób, jak gdyby pisał list.

Nie miała nastroju do rozmowy z kimkolwiek; w telewizji nic nie było, swoją teczkę i szkice pozostawiła w tylnej części domu i nie czuła się natchniona perspektywą pracy nad seksownym wyglądem jogurtu. Więc zamiast tego przygotowała sobie kąpiel z dodatkiem olejku lawendowego. Ze świec pozostały tylko żaloszne ogarki; ściekający wosk zmienił świeczniki zdobione imitacją patyny w gotycką inkrustację, a na kafelkach przy jednym końcu wanny znajdowały się plamy z parafiny. Podczas gdy wanna napełniała się wodą, Bella usiadła na jej brzegu i leniwie podnosiła kawałki wosku, strzepując je do toalety. Potem spędziła piętnaście minut na przeglądaniu pudeł w poszukiwaniu świec. Przeczesała włosy palcami, jakby pozowała do reklamy szamponu, ale się zaplątały. Zaczęła więc snuć się po pokoju, szukając spinki.

— Jestem zbyt delikatna, aby wystawiać się na działanie sztucznego światła — powiedziała na głos. — Gdzie są płatki róż do mojej kąpieli? Gdzie moi wytresowani eunuchowie, żeby pomalować mi paznokcie u stóp i wycisnąć pryszcze?

Kąpiele przy świecach zaczęły się z Patrickiem, ale wtedy to była jedna z tych rzeczy, które wydają się słuszne, kiedy jest się parą — wraz z namydleniem swoich pleców, tworzeniem ogromnych części ciała z piany oraz zgłaszaniem się na ochotnika do siedzenia po stronie z kurkami. W tym momencie postać Patricka, takiego jakim widziała go po raz ostatni, pojawiła się w jej myślach.

Złapała za rękawicę do kąpieli i zaczęła, zbyt energicznie, trzeć skórę. Czy to rzeczywiście miało działać na cellulit? Czy może sprawiało, że skóra robiła się tak czerwona i bolesna, że cellulit był mniej widoczny? Popatrzyła na swoje uda w migotliwym świetle. Świece oprócz tego, że utrudniały zobaczenie cellulitu, co z pewnością było wystarczającą zaletą, były rzeczywiście bardzo funkcjonalne. Wentylator, raz aktywowany zapaleniem światła, kontynuowałby swoje doprowadzające do obłądu komarze buczenie przez prawie godzinę od wyłączenia lampy. Bella planowała, że kiedyś odda go do naprawy, z pewnością już lada dzień, jak tylko wilgoć zostanie usunięta, ale lista sięgnęła tak imponujących rozmiarów, że stawienie czoła choć jednej zapisanej na niej rzeczy przerastało ją. Na razie więc, kiedy szła do toalety, zostawiała otwarte drzwi i zapalone światło na podeście schodów, a kąpiele brała przy świecach.

Leżała w wannie otoczona wyraźnym zapachem lawendy i migotaniem świec. Wydarzenia dnia przelatywały jej przez głowę prozaiczne ale natarczywe. Czy Seline zdenerwowała się na nią? Powinna była zapytać Anthony'ego o przyszłotygodniową prezentację. Jak długo trwa usuwanie wilgoci? Czy narobię przy tym dużo bałaganu? Może nawet będzie musiała wyprowadzić się na kilka dni. Gdyby tylko ktoś zjawił się i zajął się wszystkim. Bella zanurzyła się głębiej pod wodę, namoczyła myjkę i przykryła nią twarz. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że widzi siebie z góry; zastanawiała się, jakby to było wypłynąć ze swojego ciała, poczuć swój umysł, odłączające się myśli, zaciągające jej skórę jak plaster opatrunkowy przy odrywaniu. Deszcz bębnił głośno o okno, niczym palce wystukujące rytm na szybie.

Silą woli zmusiła się, żeby usłyszeć jego kroki oraz naciśnięcie klamki.

Za zamkniętymi powiekami widziała blask świec w swoich myślach; ich płomienie rzucały migotliwe cienie na ściany, tańczące wzory światła na jej błyszczących udach, piersiach. Drzwi otwierają się i on patrzy na nią pytająco. Bella uśmiecha się z przyzwoleniem, on podchodzi i klęka obok wanny. Kosmyk włosów opada na jego twarz, więc przejeżdża po nich dłonią, aby je odsunąć. Cisza. Nie musi nic mówić, jego oczy błyszczą z pożądania. Początkowo tylko patrzy na nią, wodzi wzrokiem po jej kształtach, następnie podciąga rękawy i sięga w dół, do niej...

Na dole zadzwonił telefon i włączyła się automatyczna sekretarka.

— Cześć! Tu znowu tata. Może przyjechałabyś do nas w odwiedziny na weekend? Cudownie byłoby cię zobaczyć. Mama powiedziała, że możesz kogoś przywieźć, no wiesz. Jeśli chcesz. Jeśli jest ktoś taki. No. Albo przyjedź sama, oczywiście. To nam w zupełności wystarczy. Uściski. Ach, no i nadal mamy prezent do twojego nowego mieszkania.

Bella przewróciła oczami do niewidzialnej publiczności. W końcu już od jakiegoś czasu nie odwiedziła Domu Uciech. Nie mogła przekładać tego w nieskończoność. Woda robiła się zbyt zimna, zbliżała się do temperatury jej ciała i już prawie nie odczuwała jej wokół siebie. Jeszcze minuta, dwie i zacznie być chłodna; musiała więc albo dolać ciepłej, albo wyjść. Trzeba wyjść, zdecydowała Bella, bo będzie wyglądać tak urzekająco, jak marynowany orzech. Nie było jeszcze za późno, żeby odzwonić do taty. Może pojedzie; powinno być miło. Przydałaby się jej zmiana otoczenia na jakiś czas, spacer z tatą i psem, przerwa od wpatrywania się w nadal nierozpakowane pudła. Zadrżała i otrząsnęła się, automatycznie otrzepując stopy o bok wanny, aby pozbyć się nadmiaru wody — pozostałość po kąpielach w dzieciństwie i chronieniu dywanu. „Bella, kochanie, postaraj się nie chlapać wszędzie. Jeśli się zamoczy, zacznie się kurczyć”.

4

— *Every time we say goodbye, I die a little...* — Bella śpiewała wraz z Ellą Fitzgerald, jednocześnie popijając cytrynowy sorbet i przeklinając kierowcę, który gwałtownie ruszył przed nią na rondzie — *...why a little, why the gods above me...* — Powinna była wyruszyć w porze lunchu, żeby uniknąć piątkowego exodusu. Od jej nowego miejsca zamieszkania do pokrytego glicynią domu rodziców w wymuskanym miasteczku w hrabstwie Sussex było niewiele ponad osiemdziesiąt kilometrów. Wyglądało jednak na to, że jazda będzie wolna, głównie przez tereny wiejskie po drugorzędnych drogach. Gdyby tylko nie musiała wysłuchiwać jednego z tych niekończących się monologów Seline na temat dolegliwości jej kotów. W końcu wycofała się przez drzwi, potakując głową ze współczuciem: „Jakie to okropne. Wypadają garściami? Ogromne strupy? Biedactwo”. One zawsze cierpiały na jakieś obrzydliwe choroby, które były relacjonowane w biurze wszystkim po kolei, tak że przez cały dzień dochodziły do niej te same fragmenty rozmów — „Och, czopki? Naprawdę?” — jakby były odtwarzane na niekończącej się taśmie magnetofonowej. Dlaczego, do licha, Seline po prostu ich nie zastrzeli i nie kupi sobie jakiś kotów bez strupów? Spojrzała na drogowskazy. Drugi, trzeci zjazd; to ten. — *...think so little of me, they allow you to go...*

Było już dość ciemno i czerwone tylne światła samochodów przed nią przeszywały hipnotycznie jej oczy na tle głębokiej czerni jezdni i nieba. Podróżowanie nocą wydawało się pełne obietnic; droga rozciągała się przed Bellą, jakby mogła zaprowadzić ją gdziekolwiek tylko chciała, jej ścieżka kreślona smugą światła jak nienazwana konstelacja przecinająca niebo. Nagle znak, który właśnie minęła, dotarł do jej świadomości. Zbliżał się jej zjazd — A259 Rye, Hastings. Zrezygnowała z wyprzedzenia fiata, który był jeszcze starszy od jej peugeota, wróciła szybko na miejsce, żeby przygotować się do skrętu. Samochód z tyłu mignął światłami z dezaprobatą. Kobieto, skoncentruj się! Gdyby tylko nie czuła się przez cały czas tak zmęczona.

Przypomniała sobie, że kilka kilometrów dalej znajdował się zajazd dla kierowców ciężarówek; pozostałość po czasach motocyklistów w czarnych skórkach, którzy włączali silniki na wysokie obroty, żeby zaimponować dziewczynom w butach na suwak i minispódniczkach. Jakimś cudem nie został jeszcze zamknięty ani przerobiony na Nieszczęśliwego Żarłoka lub Wstrętnego Kucharza z gładkimi plastikowymi siedzeniami, gładką plastikową jajecznicą pozbawioną smaku oraz szorstką, prawdziwie złą obsługą, opatrzoną etykietkami głoszącymi: „Cześć! Jestem Nikki. Z wielką przyjemnością Cię obsłużę”. Ich entuzjazm jest tak przekonujący jak ciotka, która siedzi na przyjęciu ze skwaszoną miną w fioletowym papierowym kapeluszu. Dlaczego po prostu nie powiedzą, jak jest — „Co? Jestem Charmain. Przyniosę, jak będzie mi się chciało”.

Jaskrawe światło, odgłos jajek skwierczących na gorącym tłuszczu, zapach śniadań z całego dnia. Kiedy Bella weszła, kilku mężczyzn siedzących przy stolikach spojrzało na nią znad swoich gazet lub kubków z herbatą. Żałowała, że nie zatrzymała się w domu na dłużej, aby zmienić ubranie, w którym była w pracy. Kiedy podchodziła do bufetu, żeby złożyć zamówienie, stukot jej butów wydawał się groteskowo wzmocniony przez linoleum, obcasy wybijały wiadomość alfabetem Morse'a: „Popatrz na mnie. Popatrz na mnie”. Zapięła dopasowany żakiet, aby zrekompensować sobie dyskomfort spowodowany nową spódnicą. Jej świeżo wyprasowany brzeg otaczał odsłonięte kolana. Powstrzymała się od obciągnięcia spódnicy.

— Zapłacisz, jak zjesz, kochanie — powiedziała kelnerka stojąca za ladą. — Poczekaj chwilę na herbatę. Właśnie parzę świeżą. — Opróżniła dzbanek i wsypała łyżkę herbaty. Kiedy woda wylewała się z bufetowego termosu, para kłębiąc się wokół jej rąk, zamgliła połysk metalowego dzbanka i jej złotej obrączki.

— Wszystko w porządku, Jim? — odwróciła się do atrakcyjnego, krępego mężczyzny, który podszedł zapłacić. — Gdzie jedziesz tym razem, przystojniaczku?

— Tylko do Southampton. Ale i tak lepiej daj mi bułkę na drogę.

— Dam ci bułeczkę, kiedy tylko zechcesz, Jim,

— No, no, nie przy damie. Nie zwracaj uwagi — powiedział, odwracając się do Belli. Pod miękką, bawełnianą koszulą w kratę miał białą koszulkę; tak jak noszą Amerykanie. Widziała napięte ścięgna na jego opalonej szyi. Podciągnął rękaw do łokcia, w zamyśleniu drapiąc się po przedramieniu pokrytym ciemnymi włosami.

— Wszystko w porządku? — Skinął głową i uśmiechnął się.

Bella spuściła wzrok, zdając sobie nagle sprawę z tego, że zbyt długo mu się przyglądała. Popatrzyła w dół na jego dłonie. Paznokcie krótko obcięte, palce pełne łagodnej siły.

— W porządku, dzięki.

— Na pewno? Podwieźć cię gdzieś? Wyglądasz na troszeczkę zagubioną.

— Nie. Na pewno — Bella posłała mu pewny siebie, ale chłodny uśmiech. — Przyjechałam samochodem. — Skrzyżowała przed sobą ręce, ale poczuła się głupio, że tak ostentacyjnie przybrała postawę obronną. — Dziękuję.

— Żaden kłopot — zrobił krok w tył, uśmiechnął się i uniósł rękę w geście „Przepraszam. Będę trzymał się z daleka”, po czym odwrócił się do kelnerki przy kasie.

Bekon między grubymi kromkami tostów z masłem był tłusty i słony. Bella rzuciła się na swoją kanapkę i siorbała herbatę w sposób świadczący o zadowoleniu z siebie i niezależności. Prawdziwa dama, rzeczywiście.

Kiedy czekała przy ladzie, żeby zapłacić, zauważyła, że mają w sprzedaży duże kawałki ciężkostrawnego puddingu chlebowego, który jej tato tak bardzo lubił, jakże inne od nienaganych, doprawionych wanilią i cynamonem deserów przyrządzanych przez jej matkę. Zamówiła dwa kawałki.

— W takim razie policzę ci tylko za to, kochanie. Jim zapłacił już za twoją herbatę i kanapkę.

Bella spojrzała na kobietę w osłupieniu.

— Powiedział, że nie znosi, kiedy dama znajduje się w opałach. Myślę, że wpadłaś mu w oko — westchnęła. — Szczęściara. Ja nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby wziął mnie na przejażdżkę. — Roześmiała się. Bella uśmiechnęła się do niej. Sprośni konspiratorzy.

Przez resztę podróży myśli o rycerzu w kraciastej koszuli powracały do niej uporczywie. Wyobraziła sobie, że zgadza się na podwiezienie, a później wdrapuje się do kabiny ciężarówki.

On stoi poniżej, patrzy, jak podczas wchodzenia jej spódnica podjeżdża do góry, odsłaniając tyły ud. Siedzi obok niego, wysoko, wysoko nad drogą, otacza ich noc. Ona odwraca się, by chłonąć jego profil rysujący się na tle gwieździstego nieba, zaciąga się zapachem męskiej skóry, świeżego potu, bawełny.

W ciepłej komorze kabiny, gdzie wibracje silnika dudnią pod jej stopami, czuje się bezpiecznie. Nie ma potrzeby nic mówić, aby nie popsuć tego ciężkiego buczenia cienkim brzękiem słów. Jest tylko on, ona i droga przed nimi. Masa jego ciała, które znajduje się obok niej, sprawia wrażenie skały lub kamienia, twarda i nieustępliwa. Chce poczuć jego ręce, ciepło palców na swoim karku, szok wywołany jego szorstkim podbródkiem na swoim policzku. Pragnie, aby objął ją w milczeniu.

Wyciąga rękę, jej palce przesuwają się po wytartej ścieżce na jego spodniach, czuje napięty materiał rozciągnięty na nogach. Odwraca się do niej, aby popatrzeć jej w oczy, zobaczyć w nich zgodę. Włącza światła awaryjne i zjeżdża na pobocze.

Prowadzi ją na tył ciężarówki, w pomarańczowym migotaniu światła sięga po jej dłoń. Podnosi ją bez wysiłku na naczepę, jego ręce mocne i pewne owijają wokół jej pasa. Bella robi krok do tyłu i opiera się na sterze pudeł, czeka. W ciemności jego postać podchodzi do niej. Dłoń na jej włosach. Jego usta. Ręce. Podciągają jej spódnice. Zapach oczekiwania. Gwałtowny wdech — reakcja na jego

dotyk, ciepły w porównaniu z chłodną skórą jej uda. Jego głos, mruży cicho w jej włosy, w szyję. Jego ręce. Jego...

Samochód nadjeżdżający z naprzeciwka dał sygnał światłami. Na chwilę zastygła w tym blasku, po czym doszła do siebie i przełączyła z długich na mijania. Ty biedna stara panno, powiedziała do siebie, fantazjujesz o kierowcach ciężarówek. Co dalej? Marzenia o pracownikach budowy mówiących: „Słyszałem, że ma pani nadmiar wilgoci, którym należy się zająć?”; elektrykach oferujących swoje usługi: „Tylko panią podłączę, dobrze?”; posłańcach pytających: „Gdzie mam to wsunąć, skarbie?”. O, rany. „Na miłość boską, kobieto, idź i zaszalej”. Przerwa po Patricku dobrze jej zrobiła, ale to już przestawało być śmieszne. Formalnie rzecz biorąc, do tej pory prawdopodobnie stała się ponownie dziewczicą; wszystko zrosnięte jak uszy, gdy nie nosi się w nich kolczyków.

Zawsze dziwnie było wracać do domu rodzinnego, zanurzyć się w tę osobliwą mieszankę przyjemności i frustracji. Radość emanowała z samego domu — błysk dobrze wypolerowanych mebli, ich spokojna kolorystyka, schludność i porządek — tak inne od mieszkania, które dzieliła z Patrickiem, a także od jej nowego domu z jaskrawymi poduszkami i egzotycznymi dywanikami, z obrazami nadal zapakowanymi w pudłach, które tworzyły szpaler wzdłuż ścian, z płożącymi roślinami, wylewającymi się już z półek; w powietrzu unosiły się radość gotowania matki, jedyna ich wspólna cecha, dobry humor ojca, jego prostolinijność oraz przyjemność, którą czerpał ze spotkania z nią.

Jednak nie brakowało też nigdy rozdrażnienia. Nie znosiła tego, że jej rodzice zawsze oczekiwali, że pójdzie przywitać się z sąsiadami, których nie lubiła, choć była pewna, że czuli się równie zakłopotani tą okresową potrzebą uprzejmości jak i ona; tego, jak używali kieliszków do wina, które musiały zostać wykonane w krainie Liliputów, tak że miała wrażenie, iż napełnia swój prawie co minutę, a jej ręka sięgająca po butelkę napotykała milczące spojrzenia; powolności i uczciwości swojego taty, które doprowadzały ją do szału oraz tego, że zawsze rozumiał punkt widzenia innych; ale przede wszystkim nie znosiła niewzruszonej efektywności swojej matki, jej miny, która wyrażała stoickie rozczarowanie.

Zastanawiała się, czy ktoś w ogóle kiedykolwiek był dorosły w towarzystwie swoich rodziców? Można było myśleć w taki sposób, ale tak naprawdę to tylko żałosne okłamywanie samego siebie. Któregoś dnia będziecie dyskutować o życiu, książkach lub polityce, jak grupa kulturalnych dorosłych na tym samym poziomie, ale w pewnym momencie wypowiedz swoją drobną opinię, która mogłaby być uznana za lekko prowokującą, a wtedy usłyszysz ten łagodny, pobłażliwy śmiech swojego ojca, zobaczysz to lekkie skinienie głowy i uśmiech mówiący „Te twoje śmieszne pomysły; ale ustąpimy ci, ponieważ jesteś jeszcze młoda i nie wiesz wielu rzeczy”. Albo twoja matka zaciśnie usta, ostrożnie, nie do końca ukrywając swoją dezaprobatę: „Szkoda, że tak myślisz. Może z czasem z tego wyrośniesz. Mimo wszystko mogę winić tylko siebie, że tak cię wychowałam”.

Wracając do domu rodziców, Bella wyczuwała w powietrzu nieuchronne, jeszcze nie wypowiedziane pytania:

„Czy masz już chłopaka?” padało na nią z jedwabnego abażuru koloru kości słoniowej w przedpokoju. „Czy dostatecznie się starasz?” zerkąło na nią zza aksamitnych zasłon. „Czas ucieka” błyskało ze srebrnej solniczki. „Jak długo będziemy jeszcze czekać?” szeptały miękkie dywany pod jej stopami.

Allesandra, matka Belli, była oczywiście bardziej subtelna, posiadała Dyplom w Robieniu Wyrzutów Przez Aluzje, więc nawet najbardziej niewinny temat rozmowy mógł zamienić się w pole minowe pełne ukrytych niebezpieczeństw, czyhających przy każdym ostrożnym kroku. Jej milczenie było wielopłaszczyznowe, mieniło się wątpliwością, wstydem oraz roztrzaskanymi oczekiwaniami.

— Pamiętasz Sarę Forbes, rok młodszą od ciebie? — zapytała Bellę podczas jednej z poprzednich wizyt. — Mieszkała kiedyś w tym domu z imitacją okna wykuszowego, niedaleko Church Street. Właśnie poślubiła cudownego młodego człowieka. Miała taką ładną fryzurę na ślubie — to odwróciło uwagę od jej nosa.

Podtekst był wyrafinowany, ale jasny jak słońce: „Jest młodszą od ciebie o rok i nie posiada twoich zalet, ale nawet ona dała radę wyjść za mąż. I to za kogoś przyzwoitego, a nawet nie jest ładna. Powinnaś być lepsza od niej”.

Bella zgrabnie zeszyła z linii ognia i odpowiedziała własnym.

— Cudownie. Wyślę jej kartkę. Myślisz, że nadal będzie pracowała w sklepie?

„Może i jest zamężna, ale chyba nie pracuje pełną parą na polu kariery. Czy nie możesz być dumna chociaż z moich talentów i osiągnięć?”.

— Och, Bella, kochanie, myślę, że nie będzie już musiała. Jej mąż jest prawnikiem, młodszym wspólnikiem w bardzo szanowanej firmie. — Alessandra uśmiechnęła się łagodnie. — Świetnie sobie radzi. Poza tym mężczyźni mogą pozwolić sobie na oddanie się swojej karierze. Nie podlegają tym samym presjom co kobiety.

Imponujące — atak na dwóch frontach.

1. „Znalazła sobie nie tylko kogoś z pieniędzmi, ale także profesjonalistę z dobrymi perspektywami na przyszłość”.

2. „Mężczyźni nie posiadają bomby czasowej zagnieżdżonej w swoich narządach rozrodczych, więc mogą być ambitni i odnosić sukcesy. Czy ty nie słyszysz tykania swojego zegara?”.

Bella, bez przekonania, odrzuciła głaz, ostatni ciężki i niezdarny strzał.

— Prawnik, co? Och, nie ma o czym mówić. Czy nie mogła znaleźć sobie kogoś z przyzwoitą profesją? Znasz ten stary dowcip: Co to jest — stu prawników skutych łańcuchami na dnie oceanu? — Dobry początek.

Żałosne. Niewypał.

Nie zasługiwał nawet na ripostę. Alessandra westchnęła lekko niewzruszona i przyklepała włosy z tyłu głowy, wyglądając już i tak idealny kok.

— Bella, kochanie, może mogłabyś zrobić kawę? — Zmarszczyła brwi na widok pogniecionej bluzki Belli. — Muszę pójść na chwilę na górę. — Wstała i powiedziała przez ramię:

— W niebieskiej puszcze są *fiorentine* domowej roboty. *Coup de grâce**.

* *Coup de grâce* (fran.) — cios ostateczny, dobitnie.

„Jeśli nie umiesz znaleźć sobie faceta i dać nam wnuków, możesz chociaż przydać się do zaparzenia kawy. Może gdyby zechciało ci się tak jak mi, zrobić samej ciastka, znalazłabyś mężczyznę”.

I jeszcze sposób, w jaki wymawiała obce wyrazy, tak przesadnie poprawnie, jakby była prezentką wiadomości. W szczególności słowa włoskie, choć tak naprawdę Alessandra urodziła się w Manchesterze, a jej rodzice przybyli do Anglii kilka lat wcześniej. Sposób w jaki wymawiała słowo „Bella” — z tym niedorzecznym wydłużaniem podwójnego „L”, tak jak zrobiłby to włoski kelner, podtykając ci pod nos pieprzniczkę w kształcie ogromnego fallusa: „Czarny pieprz, *bella signorina*?”.

— Nie potrzebuję pieprzonego mężczyzny! — Bella chciała jej powiedzieć, aby zobaczyć, jak wzdryga się automatycznie.

Tak jakby jej matka mogła w to uwierzyć. Jaka kobieta chciałaby być sama? Zakonnica? Alessandra przybrałaby ten zakłopotany wyraz twarzy, zmarszczyłaby brwi, spoglądając na swoją córkę tak, jakby była jakimś obcym gatunkiem. Może mogłaby zostać zakonnica. Już widziała minę swojej matki, gdy oznajmia jej tę uroczystą nowinę: „Mamo, wstępuję do zakonu. Nigdy więcej już mnie nie zobaczysz”. Jej tygrysie oczy przyciemniłyby się mieszaniną czegoś, co można byłoby wziąć za przejaw uczuć — brak zrozumienia, wstyd, błysk poczucia winy — z powodu czego? — ulgi? Woląaby zostać anachoretą, pustelnikiem. Kto wie, może w swojej ascetycznej celi zajęłaby się ponownie malowaniem, w odosobnieniu poświęciłaby się pochwalę koloru i kształtu, a zewnętrzny świat byłby dla niej jedynie nićmi, z których tkalaby obrazy. W samotności jej myśli byłyby jasne i pełne życia, szokujące dziewiczy papier swoją śmiałością; jej pędzel pieszczotliwy i uwodzicielski. Prychnęła na siebie — Święta Bella z Bożych Pociągnięć Pędzlem.

Było późno, kiedy przyjechała i jej matka poszła już spać. Bella zagładnęła do pomieszczenia gospodarczego, żeby przywitać się z Hundem, psem, ale spał w swoim koszyku wtulony w stary dziecięcy kocyk. Jej tato czekał jednak na nią; siedział w kuchni, czytając ilustrowane czasopismo dla kobiet. Uściskał ją czule i wstawił czajnik.

— Zgadnij co mam, tatku? — Bella postawiła chlebowy pudding na dwóch talerzach z delikatnej porcelany.

— Ale uczta. Nic nie mów mamie. Czy to prawda? — zapytał Gerald, wskazując palcem stronę czasopisma. — Piszą, że 64% kobiet prędzej zakocha się w mężczyźnie, jeśli zobaczą, jak płacze.

— Wątpię. Nie wiedziałeś, że zmyślają siedemdziesiąt dwa procent tych statystyk albo sporządzają je po zapytaniu pięciu osób w biurze. Mimo wszystko przypuszczam, że większość kobiet pragnie wrażliwego mężczyzny. — Nalała sobie herbaty. —

Oczywiście nie mięczaka, ale kogoś rozumiejącego ich uczucia i całą resztę tych bzdur.

Gerald prychnął, śmiejąc się do filiżanki.

— Jakże delikatnie powiedziane.

Odkroił kawałek puddingu i spojrzał na nią znad okularów w stalowych oprawkach.

— Spotkałaś ostatnio, hmm, kogoś interesującego? — zapytał w ten swój wścibsko-rodzicielski sposób.

— W porządku tatku. Nie gniewam się, gdy to robisz. Niestety nie. Możesz trzymać swój smoking w naftalinie jeszcze przez jakiś czas. Równie dobrze mógłbyś go opchnąć, bo jakoś tego nie widzę.

— Wiesz, że kochamy cię bez względu na to, co robisz. Po prostu chcemy, żebyś była szczęśliwa.

— Ta, ta. Potwierdzam odbiór Mowy Oddanego Rodzica zgodnie z planem. Ale wy chcecie wnuków. Wy wszyscy tego chcecie. Moi przyjaciele mówią to samo. To tylko taki etap w życiu. Przejdzie wam.

Gerald uśmiechnął się.

— Ale co zrobimy z zestawem śniadaniowym Kubusia Puchatka, który zachowaliśmy dla ciebie? Na strychu mamy dwanaście rolek tapety z królikiem Bunny.

— Och, bądź cicho — powiedziała czule. — Przywiozłam ci twój ulubiony pudding. Czego ci więcej trzeba?

Bella spała w swoim starym pokoju. Wyglądał teraz zupełnie inaczej, spokojniej, przyznała w myślach. Alessandra kazała go odnowić tydzień po tym, jak Bella wyjechała do szkoły sztuk pięknych w Londynie. Gustownymi odcieniami przygaszonej brzoskwini zakryła ambitne malowidło na jednej ze ścian, przedstawiające dżunglę w stylu Rousseau. „Bella, kochanie, oczywiście, jeśli będziesz chciała, możesz namalować następne, ale tym razem może coś bardziej sympatico, hmm? Bukiet lilii na drzwiach od szafy wyglądałby bardzo pięknie”. Poza tym i tak malowidło podniszczyło się już bardzo, a Belli nie chciało się brać za retuszowanie całej ściany. Od tamtej pory pokój zmieniany był przynajmniej dwa razy, pomimo że nie używano go zbyt często. Łóżko jednak stało w tym samym miejscu, obok okna, ciepłe i przytulne między ścianą a bokiem szafy. Leżąc w nim, Bella poczuła, że chciałaby, aby ktoś mocno ją otulił i poczytał jej. Podciągnęła kołdrę pod brodę i zgasiła światło.

Leżała w łóżku, szepcząc do Fernando, swojej pluszowej żabki. Jego futerko jest przyklepane w niektórych miejscach, tam gdzie przytulała go zbyt mocno. Mała nocna lampka jest włączona, świeci łagodnym, ciepłym światłem, ponieważ Fernando boi się ciemności. Jej abażur obwiązany jest różową apaszką, aby światło było mniej jaskrawe.

Bella słyszy, jak na podeście schodów mama rozmawia z Poppy. Poppy czasami przychodzi i pilnuje Belli. Bella lubi Poppy. Poppy ma kręcone włosy z wplecionymi kolorowymi nitkami, czekoladowe rodzyunki w swojej ogromnej patchworkowej torbie, a kiedyś pozwoliła Belli później położyć się spać i oglądać sobotni thriller, choć nie powinna była tego robić.

Stojąc na podeście, mama mówi:

— ... i nie pozwól jej wstawać. Często skarży się, że coś jest pod łóżkiem, ale nie pozwalaj na takie bzdury.

— Jasna sprawa. Dobrej zabawy.

Drzwi do pokoju otwierają się i wchodzi mama.

— Już wychodzimy, kochanie. Proszę, bądź grzeczna dla Poppy. — Podchodzi i pochyla się, żeby pocałować Bellę na dobranoc. Mamusia ślicznie pachnie — perfumami, jedwabiem, świecącymi kolczykami, wieczorem — a Bella wdycha ten zapach i wyciąga w górę rączki, aby ją objąć.

— Bella, nie potargaj mnie. Właśnie się uczesałam. Dobranoc kochanie. Śpij dobrze.

Tatusz wchodzi do pokoju za nią.

— Przyszedłem tylko powiedzieć dobranoc.

Stawia cicho kroki, choć ona jeszcze nie śpi i siedzi na łóżku. Obejmuje ją rękami i mocno przytula. Bella czuje gładkość i miękkość materiału jego krawata przy swojej szyi, szorstkość marynarki na nosie.

— Tatusiu, sprawdzisz? Proszę.

Schyla się i klęka na podłodze, żeby spojrzeć pod łóżko.

— Wszystko w porządku — mówi, wstając, a gdy jest przy drzwiach, puszcza jej całusa. — Karaluchy pod poduchy.

— A szczympawki do zabawki — odpowiada Bella.

— Nie śpiesz się ze wstawaniem — powiedział Gerald, kiedy wsadził głowę między drzwi; w rękę trzymał filiżankę herbaty. — Mama musiała pojechać do miasta, żeby ułożyć sobie włosy, więc jesteś wolną kobietą.

— Miło z jej strony, że wywiesiła chorągiewki i zorganizowała komitet powitalny.

— Masz ochotę na śniadanie?

Podczas tradycyjnego spaceru po miasteczku kupiła kilka pocztówek przedstawiających ujmująco okropne widoki głównej ulicy i kościoła namalowane akwarelami, a następnie zawędrowała do Gwizdzącego Czajniczka, aby wypisać kartki i napić się kawy.

— Mama już jest — powiedział Gerald, gdy wróciła. — Nie zapomnij wspomnieć o jej fryzurze.

Bella obciągnęła fałdę na koszuli i zapukała do sypialni swoich rodziców.

— Mmmm?

Otworzyła lekko drzwi i wyciągnęła przez nie głowę.

— To tylko ja. Przyszłam się przywitać.

— Och, witaj, Bella, kochanie. — Alessandra zerknęła na nią znad toaletki. — Dlaczego tam tak stoisz? Wejdz, wejdz. Cudownie cię widzieć. — Bella pochyliła się, żeby pocałować nadstawiony policzek swojej matki.

— Włosy są świetne. Bardzo elegancko. Kolor też ładny. Alessandra przyglądnęła się twarzy Belli, jakby chciała sprawdzić jej wyraz, a następnie, przed lustrem, pokręciła głową w obie strony.

— Myślę, że sama lepiej bym to zrobiła. Tak czy inaczej, co u ciebie, kochanie? — Alessandra zasłoniła oczy dłonią, aby ochronić je przed chmurą lakieru do włosów. Przyglądziła kosmyk uciekający z koka. Zapach salonu fryzjerskiego wypełnił nozdrza Belli, przywołując w pamięci długie godziny u fryzjera, które jako dziecko spędziła na czekaniu, wymachiwaniu nogami, czytaniu książek i malowaniu obrazków w jej specjalnym „dorosłym” szkicowniku, który dał jej tato.

— Dobrze. Tak. Wszystko w porządku.

Trzy odbicia Alessandry spojrzały na nią wyczekująco z potrójnego lustra.

— Nie widzieliśmy cię już lata całe — powiedziała pełna twarz z centralnego kadru. — Naprawdę musisz przyjeżdżać częściej.

— Chciałabym, ale... — Bella wzruszyła ramionami. — Miałam tę przeprowadzkę. Jest jeszcze mnóstwo roboty, a wiesz, ile czasu pochłania praca i cała reszta.

— Oczywiście nie możemy konkurować z podnieceniem związanym z wyścigiem szczurów — powiedział prawy profil, energicznie pudrując swój policzek półprzeźroczystym pudrem.

— Dom wygląda ślicznie. Jak zwykle. Czy to nowa waza w przedpokoju? — Odbicie przytaknęło i spojrzało na nią z ukosa.

— Twój ojciec bardzo za tobą tęskni — powiedział lewy profil. — Spróbuj czasem o nim pomyśleć.

— Ależ myślę. — Bella zahaczyła kciukami o szlufki spodni i skupiła się na czubku swojego lewego buta. Jak ładnie wyglądała wytarta skóra na tle miękkiego, zielonego włosy dywanu. Może powinna pójść do lasu pomalować? Wymknąć się, jak na spotkanie z sekretnym kochankiem. Obraz ciemnych drzew pojawił się w jej głowie, cienie na ziemi poprzecinane promieniami słońca. „Ach, Bella, kochanie, znowu bawisz się swoimi farbami. Cieszę się. Kobieta powinna mieć przyjemne hobby...”.

Usta Alessandry podczas nakładania szminki przybrały kształt zastygłego grymasu uśmiechu.

— Co o niej myślisz, hmm? Nowa. Odcień Amber Spice.

— Śliczna — Bella potaknęła w kierunku odbicia w lustrze.

— Podkreśla również kolor twoich tęczywek. — Błyszczące oczy Alessandry, nakrapiane jak szylkret, pojaśniały.

— Naprawdę tak myślisz? — Uśmiechnęła się, jej piórka przyglądzone. — Zejdźmy na dół napić się kawy. — Odbicie usunęło nadmiar szminki z ust, przekręcając głowę w lewo i prawo. — Właśnie zrobiłam świeże *biscotti*. Musisz skosztować i spróbować zgadnąć, co jest w środku.

Bella wciągnęła słone powietrze i popatrzyła na morze. Był bezchmurny, jasny dzień, ale wiał wiatr, który ubijał wodę w spienione fale. Uwielbiała plażę w takie dni; było wystarczająco zimno, aby zatrzymać ekipy z termosami w samochodach — siedzieli opatuleni i przyglądali się morzu z nieukrywaną podejrzliwością. Choć sama mieszkała teraz niedaleko od morza, miała słabość do właśnie tego odcinka linii brzegowej — plaża z jej dzieciństwa oddalona o piętnaście kilometrów od domu rodziców. Widziała, że tato też chciał pojechać, ale zgarnęła tylko kluczyki do samochodu i wymknęła się, jakby była rozkojarzona. W przeciwnym wypadku jej matka nie chciałaby zostać pominięta i wszystko zamieniłoby się w żalną parodię rodzinnego wyjazdu. To całe poszukiwanie miejsca osłoniętego od wiatru, zamieszanie wokół jej włosów; to po prostu nie byłoby to samo.

Dwóch windsurferów odbijało się na falach, raz po raz opadając i wznosząc się. Ich oślepiająco różowe i zielone żagle wyglądały jak skrzydła egzotycznych ptaków. Był odpływ. Na dole, przy brzegu, mała dziewczynka niewprawnie zagarniała piasek łopatką do wiaderka. Jej biały kapelusz był naciągnięty tak nisko, że Bella pomyślała, iż musi widzieć jedynie to, co znajduje się bezpośrednio w dole. Dziewczynka wyglądała tak, jakby bardzo chciała zbudować zamek z piasku, ale rękawy jej sweterka cały czas zsuwały się, a ona była zbyt mała, żeby opanować sztukę ich właściwego podwijania. Jej mama siedziała w pobliżu, czytała czasopismo i popijała colę.

Bella po raz kolejny cisnęła kamieniem w kierunku małego kawałka drewna, wyrzuconego na brzeg przez morze, który leżał w pewnej odległości przed nią. Musnął kamienie obok. Mężczyzna z ujadającym terierem rasy Jack Russel popatrzył na nią wilkiem, jak gdyby celowała w jego psa.

— Prawie — powiedziała do siebie. — Spróbuję jeszcze raz i wracam do Domu Uciech.



Tato bierze ją na plażę i zaczyna pomagać jej przy zdejmowaniu butów i skarpetek.

— Masz ochotę na kamyczka, Ding-dong? — Czasem nazywa ją tak z powodu „bell”*, skrótu od Belli, ale mamusia mówi, że to głupiotkie i nieprawidłowe — Bella to piękne imię. Oznacza „piękna”; ona to wie, ponieważ jest Włoszką i sama je wybrała.

* Bell (ang.) — dzwonek.

— Ja to zrobić.

Tatuś zdejmuje swoje buty i skarpetki, następnie podciąga spodnie, tak że są zawinięte naokoło kolan. Morze jest zimne i Bella piszczy, kiedy woda podpływa jej do kostek. W wodzie jej stopy wyglądają, jakby nie należały do niej, jakby znalazła je podczas szukania muszelek. Są blade i miękkie, a słońce, przez fale, tworzy na nich małe, jasne linie. Kiedy wychodzi z wody, kamienie pod jej stopami wydają się dwa razy twardsze i ostrzejsze.

— A, au, au!

Tatuś podnosi ją i trzyma wysoko ponad swoją głowę, w górze, razem z dużymi białymi mewami. Mówi, że one płaczą za wszystkimi marynarzami i rybakami, którzy zginęli na morzu. Bella nie bardzo wie, jak mogli zginąć, skoro nie ma tu żadnych dróg i nie potrzeba żadnej mapy. Trzeba tylko rozglądać się i już widać plażę. Nagle tatuś podrzuca ją do góry nogami i Bella widzi kamienie, morze i niebo, a później znowu niebo, morze i kamienie. Bella krzyczy z radości.

— Tatusiu, tatusiu, postaw mnie na ziemię!

Pozwala pomóc sobie w nałożeniu skarpetek, ponieważ jej stopy nadal są wilgotne i ciężko jest je ubrać. Tatuś krzywo je włożył i pięty są na boku; potem zbyt mocno zapina jej czerwone buciki i lewy lekko ją ciśnie, ale Bella nic nie mówi.

Zabiera ją na wiśniową oranżadę i „Walijskiego królika” do kawiarenki, w której drzwiach wiszą jaskrawo kolorowe paski uderzające delikatnie o siebie na wietrze. Bella pragnie jedynie, żeby ten dzień trwał wiecznie — mewy szybujące nad nią, słodkie, różowe bąbelki wiśniowej oranżady, chrzęst kamieni, słony smak morza, kiedy oblizuje palce, i tatuś, który wkłada jej buty, patrzy w dół na sprzączki, kiedy je zapina, a potem na nią, siedzącą na falochronie.

— Wszystko w porządku, Ding-dong? No to w drogę. Mamusia czeka.



Alessandra poprawiała swoje włosy.

— Pięknie — powiedział Gerald. — Jak zawsze.

Machnęła na niego lekceważąco swoimi długimi, szczupłymi palcami.

— Dlaczego trudzimy się, spędzając tyle czasu i wydając tyle pieniędzy, aby wyglądać pięknie dla was, mężczyzn? — Odwróciła się w kierunku Belli, włączając ją w tę rozmowę; w milczeniu zarejestrowała jej wytarte dzinsy i włosy pośpiesznie zebrane w kucyk, po czym ponownie się odwróciła. — Kiedy wy nawet nie widzicie różnicy?

Poszła do kuchni.

— Zajmijcie się sobą i nie płączcie mi się pod nogami. Zamierzam przygotować kilka rzeczy na obiad. Nic specjalnego, skoro jesteście tylko my.

*

„Nic specjalnego” okazało się szparagami i placuszkami z serem grujer, po których podano przekładany pasztet z wędzonego kurczaka i szpinaku z sałatką.

— Jakież wieści? — Alessandra zapytała w powietrze, kiedy bezpiecznie znajdowali się na ostatniej prostej obiadu — ciepłe gruszki ugotowane w skórkach podane z *crème fraiche*.

„Spotykasz się z kimś?” Bella wyczuła, jak to ciche pytanie pelzło przez wykrochmalony lniany obrus, ostrożnie poruszało się wokół porcelanowej wazy ozdobionej morelowymi pąkami róż. „Czy ty się chociaż starasz?” skradało się drugie pytanie w ślad za pierwszym.

— Nic ważnego — powiedziała Bella, koncentrując się na podniesieniu krnąbrnego kawałka gruszki; jednocześnie z wprawą polityka starała się skierować rozmowę na inne tory. — Trzeba będzie włożyć trochę pracy w usunięcie wilgoci. — Bella wyciągnęła rękę na wysokości pasa. — Dotąd muszę zbić tynk.

— Brzmi drogo. Potrzebujesz pomocy? — zaproponował Gerald.

— Czy ty... — zaczęła Alessandra.

— Dziękuję, ale pod względem finansowym jest dobrze... poza tym, jak do tej pory, Seline wydaje się ze mnie bardzo zadowolona. Prawdopodobnie dlatego, że przyprowadziłam ze sobą kilku bogatych klientów, z których można wycisnąć pieniądze. Powiedziała, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, to w przyszłym roku zastanowimy się nad założeniem spółki.

— Ależ to cudowne! Wypijmy za to.

— Oczywiście to wspaniale, że doceniają twoje talenty, ale czy to nie jest zbyt ryzykowne? — zapytała Alessandra. — Czy nie będziesz ponosić odpowiedzialności, jeśli firma zbankrutuje?

Bella wypła łyk wina.

— No cóż, najlepiej jest patrzeć na wszystko optymistycznie — powiedziała, wstając od stołu. — Zrobić kawę?

— Może lepiej ja ją zrobię, Bella, kochanie. Ekspres do kawy jest troszkę kapryśny.

— Doskonale go rozumiem — Bella bąknęła pod nosem.

W niedzielny rano Gerald wziął Bellę na tradycyjną wycieczkę z przewodnikiem po ogrodzie. Stali razem przy grządkach z warzywami, wskazując, oceniając, jakby przyznawali medal podczas wystawy ogrodniczej.

— Oczywiście, minie jeszcze trochę czasu, zanim będzie piękny. Planuję posadzić w tym roku trochę cukinii. Twoja mama mówi, że można z nich zrobić dobrą zupę.

— Och? A może wspaniałą zupę?

— Zachowuj się, droga córeczko.

Za każdym razem, gdy Bella wskazywała lub podziwiała coś, Gerald z zaskakującą gracją lawirował między grządkami wzdłuż wąskich ścieżek, proponując: „Weź kilka, weź. Poczekaj, wykopię ci trochę”.

To było przygnębiające. Ona nie zrobiła jeszcze nic ze swoim małym skrawkiem ziemi, podczas gdy tato dokonywał cudów w jego ogromnym ogrodzie.

— Zastanawiałam się, czy nie zatrudnić kogoś do zaprojektowania ogrodu — żeby można go było łatwiej utrzymać w porządku. Już teraz wymyka mi się spod kontroli.

— Bardzo mądrze. Jeśli chcesz, mogę rzucić okiem. Albo znajdź kogoś, kto się na tym zna.

— Oczywiście nie wiem, co jest teraz w modzie — stwierdziła Alessandra, wyciągając z garderoby bluzkę dla Belli. — Ale taka zawsze się przyda.

„No i jest lepsza od tej strasznej koszuli”.

— Jest olśniewająca! — Bella potarła śliskim satynowym rękawem o policzek. — Jesteś pewna, że już jej nie chcesz?

— Już nie wychodzimy tak często jak kiedyś. Mam dużo więcej wieczorowych strojów niż okazji, aby się w nie ubrać.

„Gdybym była w twoim wieku, wychodziłabym potańczyć każdej nocy, odpierając sznur adoratorów”.

Bella podniosła jedwabną, szyfonową bluzkę i spojrzała na siebie w lustrze. Była wspaniała, intensywnie czerwona jak wiśnie.

— Kolor cudownie pasuje do twoich włosów. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego młodzi ludzie cały czas noszą tyle czarnych ubrań. Weź ją. — Alessandra ściągnęła z wieszaka spódnicę pasującą do bluzki. — Proszę. Już się w nią nie mieszczę. Oto uroki starości. — Poklepała swoje nadal smukłe uda.

„Nie będziesz wiecznie młoda”.

— Przydałoby ci się kilka porządnych rzeczy. Z twoim wyglądem to ogromna strata nie wykorzystać maksymalnie swoich atutów.

„Dlaczego nie postarasz się mocniej? Jeśli nie będziesz, nie znajdziesz mężczyzny”.

Ubrana w bluzkę i spódnicę, Bella czuła się inaczej — dziwnie elegancko, wdzięcznie, dorośle. Spódnica wirowała lekko wokół jej nóg, kiedy przechadzała się w tę i z powrotem po sypialni. Luźne rękawy bluzki były półprzezroczyste, lekko prześwitujące, bardziej ponętne niż goła skóra.

— To wygląda na tobie bardzo elegancko — potwierdziła Alessandra. — Wspaniale na specjalne okazje. Albo gdy ktoś zabierze cię na kolację?

— Teraz kobiety nie są już zabierane na kolacje. — Bella zignorowała ukryte pytanie. — Teraz płacimy same za siebie, jakbyś nie wiedziała.

— Ach, tak. Chciałam tylko powiedzieć... — Alessandra zaśmiała się cicho. — Oczywiście do tego pasują wysokie obcasy — Spojrzała na weekendowe buty Belli.

„Chcesz chyba, aby ktoś cię zauważył?”.

— Mam eleganckie buty, wiesz? Tylko dlatego, że nie...

— Nie. Oczywiście, nie możemy oczekiwać, że najlepsze rzeczy będziesz marnować na nas. — Odwróciła się i wyszła z pokoju.

Była sama w sypialni rodziców. Bella przyglądała się sobie w lustrze. Jej odbicie odwzajemniło spojrzenie, chłodno oceniając. Wiśniowa bluzka i spódnica nagle wydały się śmieszne, absurdalnie eleganckie, zbyt wyraźnie nie należące do niej — jak mała dziewczynka, która przebrała się w szpilki i piórkowy szal mamy. Kto nabierze się na to, że jest piękna? Będą wiedzieli, że jest oszustką, kukułką w gnieździe, próbującą zdobyć coś, czego nigdy nie będzie miała. Szarpnęła za suwak, wkręcając w niego materiał, zanim się uwolniła. Sięgnęła po swoje dzinsy.

— Nie zapomnij swojego prezentu do nowego domu — przypomniał Gerald, gdy wynosiła swoje rzeczy przez drzwi wejściowe. — Masz miejsce na tylnym siedzeniu?

— Gerald, kochanie, dasz sobie radę?

Nie musiała go rozpakowywać, żeby wiedzieć, co jest w środku. Dwie części: jedna duża i ciężka, najwyraźniej będące czymś w rodzaju podstawy lampy, i druga — nieporęcznie wyglądający abażur. Nawet bez oglądania Bella wiedziała, że to nie będzie się dobrze prezentować w jej domu. Było za duże i, znając swoją matkę, zbyt wytworne. Prawdopodobnie podstawa pomalowana będzie w egzotyczne ptaki albo gustowne kwiaty. I z pewnością było drogie. Za takie pieniądze mogła kupić sobie kilka porządnych, nowych ręczników lub komplet bardzo dobrych garnków.

— O, rety! Jak cudownie. Jak dobrze dostać właściwy prezent.

— Nie zamierzasz go otworzyć? — Alessandra stała za nią opanowana, z miną znamionującą właściciela. Z pewnością to był jej wybór.

— Ale tak jak teraz wygląda na dobrze zabezpieczony. Myślę, że lepiej będzie, jeśli przetransportuję go w opakowaniu. W ten sposób będę mogła cieszyć się nim, kiedy dojadę do domu.

— Oczywiście. — Alessandra przyglądała kosmyk włosów i skrzyżowała ręce. — Więc, w takim razie szerokiej drogi. — Podeszła bliżej i cmoknęła Bellę w policzek.

Kiedy już była w samochodzie, Gerald podał jej kopertę. — Niestety to nie jest wielki, tłusty czek. Coś do ogrodu.

— Zbyt płaskie jak na drzewko wiśniowe.

— Jedź już. — Pochylił się, żeby pocałować ją na pożegnanie. — Paragon na ten drugi prezent też tam jest; w razie gdybyś chciała wymienić go na coś, co powinniśmy ci kupić przede wszystkim. Nie krępuj się zaprosić nas na parapetówkę. Jeśli nie wstydzisz się za bardzo swoich starych rodziców — wapniaków. Przyjedziemy wcześniej i pomożemy.

— Nie bądź śmieszny tatusiu.

Nie ma szans, pomyślała. Już to sobie wyobrażała:

Jej salon. Przyjaciele stoją i rozmawiają, prezentując na stojąco popis ekwilibrystyczny z talerzami, kieliszkami i serwetkami. Ostrożnie lawirują między nadal nierozpakowanymi pudłami. Przyjazd Rodziców, jak wjazd Kleopatry do Rzymu — duże zamieszanie, ściąganie szalików, rękawiczek, płaszczy, rozmowa o zapomnianych rzeczach, które, jak się okazuje, zostały wzięte, no i gdzie są...? Jej ojciec martwi się o samochód, marudzi jak staruszek — z pewnością można by było coś poradzić na problemy z parkowaniem? Alessandra wkracza do kuchni, co chwila zerka na zdjęcie Belli z Patrykiem, które nadal jest przypięte na tablicy z korka; mówi, że kuchnia jest absolutnie słodka — jak wygodnie jest mieć wszystko pod ręką — dużo łatwiej utrzymać ją w porządku — wskazuje na draperie w miejscu, gdzie zostały specjalnie wypuszczone na podłogę — oczywiście, w nowym domu jest zawsze tyle do zrobienia — nigdy nie starcza czasu na obszycie zasłon i na inne drobne, nudne prace — och, w sypialni na gołych podłogach leżą dywaniki — mogła im powiedzieć, to chętnie dopłaciliby do dywanu — nawet bardziej niż chętnie — a może w dzisiejszych czasach taki jest trend? Tak łatwo jest stracić kontakt z tym, co jest w modzie.

Przyjadą wcześniej i pomogą? O, nie, dziękuję.

*

Bella nacisnęła klakson na pożegnanie, gdy przejeżdżała przez bramę. W tylnym lusterku widziała rękę swojego taty uniesioną wysoko, jakby z bezludnej wyspy dawał sygnały w kierunku statku w oddali, oraz dłoń matki, podniesioną niepewnie, jakby wyciągała ją po coś, do czego nie miała nadziei sięgnąć.

6

„Zapisz się na kurs wieczorowy — w ten sposób poznasz ludzi, a jednocześnie nauczysz się czegoś!” — Bella przeglądała czasopismo dla kobiet w toalecie w pracy. Rada brzmiała zawsze tak samo; kiedy ktoś pisał, że chce poznać nowych ludzi, można było się spodziewać, że odpowiedź będzie z rodzaju „wyjdź i zapisz się do klubu”. Ale czy jakaś kobieta spotkała kiedyś odpowiedniego mężczyznę na kursach wieczorowych? Bella wypytała Viv i Nicka, kiedy była u nich na kolacji. Nick stwierdził, że to racjonalne podejście (Viv: „Racjonalne? No tak, oczywiście, to jest najważniejsze”) i zapytał, na co zamierza się zapisać — stolarstwo czy konserwacja samochodu? Bella wołała witraże albo robienie patchworków. Jęknęła do Viv, która nie miała ochoty na żadne z nich.

— Słuchaj! Chcesz poznać faceta czy nie, do cholery?! Proszę bardzo, idź na zajęcia z patchworku, ale później nie przylatuj do mnie, biadoląc, że najlepszą partią jest czterdziestosiedmioletnia położna, bo przynajmniej ma włosy na brodzie.

— To mi wystarczy. Chcę poznać nowych ludzi, w przeciwnym wypadku będę się czuła, jakbym przyjechała tu w odwiedziny.

Siedzieli przy stole i jedli czosnkowo-imbrowe krewetki z podsmażonymi kluskami. Dziewczyny starały się nie śmiać z Nicka, który próbował używać pałeczek. Po raz trzeci upuścił krewetkę, próbując podnieść ją do ust.

— To napięcie mnie zabija, Nick. Weź widelec. — Viv odwróciła się bokiem do Belli i cichutko zgrzytnęła zębami. — Robi tak za każdym razem.

— Nie, nie. Już łapię, o co chodzi. — Krewetka niebezpiecznie zakołysała się, podczas gdy trzy pary oczu obserwowały jej chwiejny kurs z miski do ust.

— Wiesz, że i tak nie dostaniesz medalu. — Bella zagroziła pałeczkami, że zaraz mu ją zręcznie zabierze.

Krewetka spadła z cichutkim pacnięciem w swoje gniazdo z makaronu. Nick poszedł do kuchni i zaczął się tłuc.

— To i tak nie ma sensu. Nawet jeśli kogoś poznam, nigdy się nie dowiem, jak stworzyć związek. Mogę chodzić na kolacje, uprawiać mnóstwo seksu, ale później się gubię. Musi istnieć jakiś tajemniczy przepis, o którym ja nic nie wiem. Może dasz mi coś w rodzaju dziesięciu najlepszych wskazówek? Chyba już się w tym połapałaś.

— Viv, pochowałaś widelce z niebieskimi trzonkami? — doleciało z kuchni. — Nie lubię jeść chińszczyzny tymi drugimi.

— Taa, zgadza się. Jesteśmy całkowicie idealni. — Viv pokręciła głową i odkrzyknęła. — W drugiej szufladzie. Tam gdzie zwykle.

— Żadnego magicznego przepisu?

— Co, jak na racuchy mojej babci ze Szkocji? Jeśli taki istnieje, to nikt mi nie powiedział i, Bóg mi świadkiem, nikt nie zadał sobie trudu, żeby powiedzieć Nickowi. No wiesz, Nick myśli, że wzajemne wsparcie to wzajemne podpieranie się po zakrapianej imprezie w Wesołym Pstrągu. Nie mam pojęcia. Zaraz, mam. Myślę, że najważniejszą rzeczą jest rozmowa — kiedy chcesz i kiedy nie masz ochoty — tak że żadne z was tygodniami nie gotuje się ze złości z powodu jakiegoś błahego, drobnego problemu, który nagle przeradza się w trzaskanie drzwiami, rzucanie naczyń i pakowanie walizek. Aaa, i przydaje się jeszcze odrobina miłości. Pomaga przetrwać... — podniosła głos — ...te zbyt częste gówniane chwile.

Bella wysunęła dolną wargę.

— Czy to wszystko, szefie?

— Nadal ich nie widzę. — Płaczliwy ton wkradł się w głos Nicka.

— Nie, oprócz tego potrzebujesz ogromnie dużo szczęścia. — Viv wstała i pomaszerowała do kuchni. — Nie tamta druga szuflada, ta druga szuflada. I — kontynuowała — musisz być w stanie przebrnąć przez te wszystkie świny, mendy i maminsynków, aż w końcu poznasz miłego, tylko średnio neurotycznego mężczyznę, który nie może nawet znaleźć widelca we własnej kuchni, ale przynajmniej jest przygotowany, żeby naprawdę spróbować tego życia razem.

— W takim razie mogę ze sobą skończyć już teraz. — Bella wbiła sobie paleczkę w brzuch.

Poczekaj do następnego tygodnia. Wtedy będzie kolej Nicka, żeby umyć podłogi.

W czasie kiedy powinna pracować, Bella przeglądała broszurę kursów edukacyjnych dla dorosłych, którą wzięła z biblioteki. Doszła do wniosku, że przydałoby się jej kilka lekcji, żeby zrozumieć samą ulotkę. Czy istniał jakiś logiczny powód, dla którego lista przedmiotów, ceny i adresy zostały zaszyfrowane w tak skomplikowany sposób? Kusiło ją, żeby zostawić to do września. Może będzie miała więcej energii na rozszyfrowanie tego po wakacjach, poza tym zaczęłaby razem z rokiem akademickim. Ale znając siebie, do tej pory zapomniała o wszystkim. Dla niej powiedzenie „Po co robić coś dzisiaj, skoro możesz to zrobić jutro i mieć coś, na co można czekać?” nie było żartem, ale całkiem uzasadnioną filozofią życia. Zdecydowanie powinna zrobić to teraz. W ciągu ostatnich dwóch dni jej jedynym osiągnięciem było upieczenie cytrynowego ciasta, czego bynajmniej nie można nazwać priorytetowym zadaniem, oraz obszycie zasłon w sypialni. Oszukała nawet, dodając do długiej Listy — wkrótce dostępnej jako dziesięciotomowy zestaw — punkt: „Obszyć zasłony w sypialni” już po jego wykonaniu tylko dlatego, żeby móc rozkoszować się rzadką satysfakcją wykreślenia czegoś.

Po raz kolejny przebrnęła przez broszurę — może powinna wybrać według adresu? Po prostu znajdzie miejsce, do którego będzie jej się chciało dojechać, a przedmiot wybierze na chybił trafił. Albo strzeli na oślep? Zamknęła oczy, otworzyła broszurę i trafiła palcem. Nauka Rysowania i Malowania. A to się uśmieła. Prawdopodobnie jedyny przedmiot na liście, którego nie potrzebowała, ponieważ

już to umiała. No, może kiedyś umiała. Jej marzenia z dzieciństwa o zostaniu malarką wydały się żenujące jak pierwsze zadurzenie; głupota, którą lepiej zapomnieć.

Muszą istnieć jakieś kursy wieczorowe, na których można nauczyć się czegoś naprawdę trudnego. Jaki był sens zwracania sobie głowy Arkuszem Kalkulacyjnym dla Średnio Zaawansowanych albo Kreatywnym Maszynowym Haftowaniem, kiedy tak naprawdę potrzebowała Budowania Związków — dla Początkujących oraz Tych, Którzy Biorą Się w Garść, Lekcja Pierwsza? Zajęcia z Dekoracji Ciast dla Zaawansowanych dotyczyły pewnie, cóż, polewy na cieście? Ale najpierw trzeba mieć ciasto, a to oznaczało dodawanie wszystkich składników we właściwych proporcjach, a następnie mieszanie ich tak, aby były właściwie połączone. Analogia zaczynała stawać się poplątana sama w sobie, poza tym skierowała jej myśli ku obiadowi.

Wzięła swoją torebkę i wymknęła się do sklepu z kanapkami. Kurs powinien prowadzić cię bardzo powoli, tak abyś mogła stopniowo przejść od, powiedzmy, Lekcji Pierwszej: Pierwszy Telefon, do Lekcji Drugiej: Pierwsza Kolacja, Zdejmowanie Ubrań Bez Szarpania Się, Zen i Sztuka Nakładania Prezerwatywy, Spotkanie z Jego Rodzicami, Radzenie Sobie z Dąsami (Debiutanci) oraz Odchodzenie: Jak Powiedzieć, Że Potrzebujesz Więcej Przestrzeni, Kiedy Tak Naprawdę Chcesz Powiedzieć „Odwal Się”.



Zajęcia z Konserwacji Samochodu Dla Początkujących miały zacząć się we wtorek o wpół do szóstej. Po pracy Bella popędziła do domu po samochód. Nie chciał odpalić. „Ha, ha, ha, bardzo zabawne”, pomyślała, uderzając w deskę rozdzielczą. Jakie to pocieszające móc przekonać się, że Bóg jednak miał poczucie humoru. Oczywiście spanikowała, nadal próbowała go odpalić, dodała za dużo gazu i robiła inne rzeczy, o których wiedziała, że nie powinna robić, no i zalała silnik. Próbowała grać dobrego i złego policjanta, oscylując między „No dalej, jesteś wspaniałym samochodem, przydałaby ci się mała przejażdżka. Jedziemy”, jednocześnie rzucając się do przodu na swoim siedzeniu, aby wskazać kierunek jazdy, a „Ty draniu — ostatnia szansa; jak nie, to wymieniam cię na skuter”.

Wyłączyła silnik i siedziała tak kilka minut. Cudownie. Kolejna rzecz w jej życiu, która nie działała. Pomysł z wieczornymi kursami i tak był głupi, pewnie nie poznałaby nikogo odpowiedniego. Do tego czasu prawdopodobnie miała już pleśń między nogami. Dlaczego nie umiała pogodzić się z faktem, że była smutną, żalowaną starą panną, która już nigdy nie będzie miała mężczyzny ani dzieci? Powinna poświęcić się pomocy głodującym uchodźcom albo ofiarom niegustownych tapet i wyruszyć dookoła świata na rowerku trójkołowym lub wziąć udział w sponsorowanym chodzie do Llandudno w japonkach.

Ostatnia próba. Zapalił. Oczywiście. Popatrzyła na zegarek — może warto jeszcze pojechać? Przynajmniej się zapisze. Zanim dojechała i znalazła miejsce do zaparkowania, lekcja w połowie minę-

ła. Znalazła pokój i zanim weszła, spojrzała najpierw przez szybę w drzwiach; postąpiła bardzo rozsądnie, jak się okazało.

Grupa około dwunastu osób zgromadzona była wokół, jak przypuszczała, silnika samochodowego. Nagle jej członkowie rozstąpili się, aby przepuścić do środka około pięćdziesięcioletniego mężczyznę w niebieskim kombinezonie. Kiedy się odsunęli, odwrócili się w kierunku Belli. Poza dwoma mężczyznami były tam same kobiety. Ci dwaj nie stali zbici w grupie i wyglądali bardzo dziwnie; jeden był właścicielem rudych włosów, które odstawały od głowy we wszystkich kierunkach, jak gdyby właśnie przeżył porażenie prądem; drugi miał tak straszny trądzik, że jego twarz mogłaby służyć do oznaczania gwiazdozbiorów; no i żaden nie miał, nawet o minutę, więcej niż siedemnaście lat. Przywarła do ściany jak szpieg z filmu klasy B. Było blisko. Do diabła, kto chciałby się uczyć budowy silników? Od tego są mechanicy.

Ale skoro już tu była, trochę było szkoda. Lista kursów na ten wieczór, wisząca na tablicy ogłoszeń, oferowała: Zostań Swoim Księgowym (któż mógłby się oprzeć?); Włoski dla Średnio Zaawansowanych (być może interesujące, ale na razie nie zaszła dalej niż *grazie* i *spaghetti al pesto*, a na dodatek Alessandra na pewno będzie ciągle o tym mówić i poprawiać jej wymowę); Polskie Tańce Ludowe (popatrzyła na zegarek: zajęcia już się kończą); oraz Rysowanie Z Natury — Wszystkie Poziomy (zaczynają się za trzydzieści sekund). Prawdopodobnie nie spotka tam wielu mężczyzn, ale i tak będzie się dobrze bawić, no i nie musiała nikomu o tym mówić; nie uczestniczyła w prawdziwych zajęciach od czasów szkoły sztuk pięknych, a przecież uwielbiała to zupełne zaabsorbowanie zadaniem. Kiedy rysowała, była całkowicie skoncentrowana, jej skupienie przekładało się na patrzenie, prawdziwe widzenie, i przekształcanie jej trójwymiarowych wizji w dwuwymiarowe obrazy. Pędziła przez korytarze w poszukiwaniu właściwej sali. Dlaczego w takich miejscach pokoje mają zawsze dziwne numery lub nazwy? Sala, której szukała, oznaczona była symbolem WG4, ale nic nie wskazywało na to, że istnieją pomieszczenia WG1, 2 albo 3.

W końcu odnalazła ją w dobudówce. Wpadła do niej w samym środku mowy wstępnej nauczyciela. Powiedział, że mają zwracać się do niego „JT” i zadawać tyle pytań, ile tylko chcą. Poza tym, że nauczyciel nalegał, aby zwracano się do niego za pomocą jego inicjałów, był całkiem w porządku.

Bella zdała sobie sprawę, że mówi do niego „Eem...?”, aby uniknąć używania „JT”, co brzmiało jak środek czyszczący albo szef-megaloman, który myślał, że w ten sposób kumpluje się ze swoimi pracownikami. Jak można powiedzieć: „Mówcie do mnie JT” i nie wydawać się zażenowanym? „Eem” zasugerował, aby każdy zaczął od szybkiego piętnastominutowego szkicu, zanim przejdą do dłuższego rysowania póź.

Model rozebrał się, przybrał pozycję stojącą i pochylił się z jedną nogą na krześle. No proszę, koniec końców będzie w towarzystwie nagiego mężczyzny, i to bez tego okropnego skrępowania. Nie trzeba się śmiać z ciężkich dwuznacznych żartów, żadnego dowiadywania się, że gra wstępna oznacza

dla niego dziesięciominutowe energiczne grzebanie w jej włosach łonowych, żadnego zapalenia pęcherza i żadnego przedstawiania go swojej matce. Wyśmienie.

Bella zanurkowała w swojej torebce w poszukiwaniu krótkiego ołówka. Jakie to dziwne — pomyślała — kiedy zaczyna się naprawdę patrzeć, rysować, już nie widać nagiej osoby. Model staje się po prostu szkieletem pokrytym ciałem, zbiorem rozmiarów i płaszczyzn, światła i cienia. Gdyby tylko mogła zredukować ludzi do takiej postaci przez resztę czasu; zgięcie nogi, krągłość ramienia, ciężar dłoni na biodrze. Nie chodziło o to, że rysowanie było łatwe — nic bardziej mylnego; jak przedstawić tę stopę w skróconej perspektywie, aby nie wyglądała na zdeformowaną? Albo jego dyndających części, tak żeby nie przypominały kurzych podrobów? Ale jeśli naprawdę patrzysz, zaczynasz się uczyć, zaczynasz coraz więcej z tego rozumieć. Można przedstawić osobistą interpretację, zbliżoną do rzeczywistości. Jednak nawet jeśli żyjesz na ziemi tysiąc lat — cóż, tak naprawdę trzydzieści trzy, ale była pewna, że nie jest wcale łatwiej — nadal uznajesz ludzi i samego siebie za zupełną tajemnicę. Odrzuciła tę myśl jako bezowocną, skupiła uwagę na modelu i pogrążyła się w rysowaniu.

Kiedy nadszedł czas na przerwę dla modelu, Bella dostrzegła pokój wokół siebie, pozostałych ludzi w sali, jak gdyby wybudziła się z transu; kształty nabierały ostrości. Zamrugła, jakby nagle włączono światło. Przez jakiś czas trudno jej było coś powiedzieć, jej głowa była nadal wypełniona obrazami, kształtami. Zanim mogła w myślach przełożyć słowa na dźwięki, widziała je jako symbole, przez chwilę litery stanowiły jedynie abstrakcyjne linie i krzywe, jakby były obrazami, a nie językiem mającym znaczenie. Rysowanie przypominało bycie zakochanym, pomyślała, jego pełnia, nie potrzeba niczego więcej.

Miała świadomość obecności osoby przy jej lewym ramieniu. JT sprawdzał postępy. Pokiwał głową z aprobatą.

— Przypuszczam, że nie jesteś tak zupełnie początkująca.

7

Niedziela. Dzień wymyślony jedynie po to, aby przypominać wszystkim samotnym ludziom na tej planecie, jacy są smutni i samotni. Nie chodziło o to, że cierpiała na brak rzeczy do zrobienia. Na początek istniała drobna kwestia pudeł. Minęły już tygodnie od czasu, gdy się wprowadziła, a nadal otaczał ją kartonowy pejzaż miejski. Ale jaki był sens wypakowywania tego wszystkiego, kiedy i tak podczas usuwania wilgoci będzie musiała z powrotem zapakować rzeczy do pudeł? Nie może znowu zwalić się na głowę Viv i Nickowi. Viv powtarza, że nie ma problemu, ale któregoś wieczoru Nick stwierdził, że nie potrzebują już starać się o dziecko, skoro mają Bellę — nie muszą martwić się o to, aby dostała się do porządnej szkoły — nie muszą finansować jej studiów — żadnych kłótni o późne powroty do domu ani wiszenia godzinami na telefonie. Fantastycznie, powiedział, dlaczego ktoś inny

na to nie wpadł? Po co narażać siebie na lata niepokoju i cierpienia, kiedy można zaadoptować trzydziestotrzylatkę, która potrafi gotować i zrobić wiele innych rzeczy? Przechabawne. Ojej, ale się uśmieła.

Wyciągnęła swoją Listę. Napisane było na niej „Uporządkować dom”, „Uporządkować ogród”. Obie rzeczy wydawały się zbyt trudne jak na niedzielny poranek. „Wilgoć”. Stanowczo podkreśliła ten punkt, aby poczuć, że w jakiś sposób przyspiesza jego wykonanie. Poniżej, jako podpunkt, dodała: „Ponownie pogonić pana Bowmana”. „Pęknięcie w ścianie — pracownia”. To było raczej zadanie dla majsterkowiczów bardziej typu „znajdź kogoś innego, aby się tym zajął”, „Zasłona prysznicowa” — ciąg dalszy Listy. „Roleta do łazienki”. Ach, to już coś znacznie lepszego. Poradzi sobie z prostym i lekkim wyborem zasłony prysznicowej. Sklep z wyposażeniem wewnątrz Habitat otwierają w południe. Mnóstwo czasu, żeby przelecieć się po domu i zrobić szybkie porządki. Po małym śniadanku.

Na śniadaniowej tacy znajdowały się płatki kukurydziane i zimne mleko, herbata, opiekana buleczka. Wrzuciła kasetę z *Filadelfijską Opowieścią* do odtwarzacza i usadowiła się wygodnie na kanapie.

Na tym właśnie polegał problem ze światem — nie istnieli już tacy mężczyźni jak Cary Grant. Choć równie ochoczo zadowoliliby się Jamesem Stewartem. Zbliżała się właśnie scena, w której Cary Grant całuje Katharine Hepburn w noc przed jej ślubem z innym mężczyzną, po czym pijani pływają w świetle księżyca.

— To chyba nie jest miłość — szepnął w jej włosy.

— Nie, nie, nie może być. — Hepburn szepnęła, opierając się o drzewo; jej twarz była skąpana w świetle księżyca.

— Czy ... to będzie nie na miejscu? — powiedział, przeciągając samogłoski w sposób typowy dla południowoamerykańskiego akcentu.

— Szalenie!

No i wyglądała tak pięknie, nawet kiedy była pijana.

Bella wyłączyła telewizor i oparła głowę na poduszkach. Co będzie, jeśli nigdy nie uda jej się znaleźć mężczyzny, mniejsza o Pana Doskonałego, ale kogokolwiek? Stanie się jedną z tych samotnych kobiet, które robią zamieszanie wokół swoich kotów, jakby to były ich dzieci, i jeżdżą na wycieczki grupowe do Tajlandii, aby dowiedzieć się czegoś o batik. Po jakimś czasie przyjaciele porzucają nadzieję na znalezienie jej kogoś i zaczną myśleć o niej ze współczuciem, podczas gdy jej będą mówić, jak bardzo zazdroszczą jej wolności — jak cudownie jest być cały czas niezależnym — może polecieć do Nowego Jorku bez sprawdzania swojego kalendarza pół roku wcześniej — żadnego marnowania życia na negocjacje typu: „Ja poodkurzałam, więc ty pozmywaj” — żadnych sprzeczek o to, kto ostatni raz wynosił śmieci — żadnego przepytywania, dlaczego wydała tyle pieniędzy na lniany żakiet, a tak w ogóle to czy ona nie ma już jednego, czy naprawdę potrzebny był kolejny? — żadnych niekończą-

cych się debat na temat: czy wysłanie dzieci do prywatnej szkoły byłoby sprzeniewierzeniem się ich socjalistycznym przekonaniom; oczywiście, nie chodzi o to, że nie woleliby szkoły państwowej, ale Lottie jest taka bystra, a w tych przepelnionych klasach nigdy nie poświęcono by jej wystarczająco dużo uwagi, to nie byłoby w porządku — jak cudownie musi być móc rozciągnąć się w łóżku, nie budzić się z zimna bez przykrycia o trzeciej nad ranem i mocować się z chrapiącą świnia obok siebie o mały kawałek kołdry.

Boże drogi, było już prawie południe. Musi, musi, musi zrobić coś konstruktywnego. Zając się szkicowaniem albo czymś. JT powiedział im, że wszyscy powinni codziennie rysować — „...niezbędna rutynowa czynność jak szorowanie zębów”. Jej wzrok padł na mały kawałek łuszczącej się ściany powyżej listwy przypodłogowej, który wyczekiwał na zainteresowanie pana mającego zając się wilgocią (wyobrażała go sobie jako mężczyznę, który cierpiał na łagodną, ale obrzydliwą dolegliwość, możliwe, że coś w rodzaju grzybicy). Następnie znowu spojrzała na pudła. Mogła udawać, że są zamierzonym elementem wystroju; może coś takiego stanie się kiedyś modne — Artystyczny Nieład. Niedzielne dodatki poświęcałyby strony pomysłowo ustawionym kartonom z rupieciami; ich wysypująca się na podłogę zawartość byłaby przedstawiona na zbliżeniach ziarnistych zdjęć, które eksponowałyby istotę zblazowanego szyku. Przypomniało się jej, że miała wyruszyć po zasłonę prysznicową. Z pewnością, jeśli będzie ją miała, stanie się jedną z tych dynamicznych osób, które o szóstej rano wyskakują z łóżka pod prysznic, później jedzą jogurt w pozycji kwiatu lotosu, zamiast przez ponad godzinę wałęsać się po łazience, czytając i marząc. Pójdzie teraz do Habitat, w tej właśnie chwili, a później, gdy wróci, uważnie przyjrzy się ogrodowi.

Patrick nienawidził Habitatu, nie znosił go tak samo, jak wszelkiego rodzaju zakupów, które nie wiązały się z kupowaniem jedzenia; wymyślał daltonizm, brak zmysłu smaku i inne upośledzenia, jakie tylko przyszły mu do głowy, by wykręcić się od zakupów — „Ty idź, Bel. Ty jesteś w tym dobra. Dla mnie wszystko wygląda tak samo”. Była tym szczerze zdziwiona. To tak, jakby twierdził, że nie umie odróżnić keksa od koktajlu z krewetek. Jak ktoś mógł nie przejmować się wyglądem swojego otoczenia? Dom był jak cudowny, trójwymiarowy obraz do skomponowania: zestawienie kolorów, kontrast powierzchni, padanie światła, dreszcz wywołany kontrolowanymi sprzecznościami. „Kołdra to kołdra” — mówił Patrick. „Jeśli jestem nią przykryty i śpię, dlaczego mam się przejmować jej wyglądem?”. Bella zagryzła wargę. Dlaczego najbardziej za nim tęskniła, kiedy przypominała sobie coś, co ją w nim denerwowało?

Gdyby Bella dobrze to przemyślała, zdałaby sobie sprawę, że pójście w weekend do Habitatu nie było rozsądne dla samotnej osoby. Teraz poznała mroczną i straszną prawdę: Habitat był jądrem, otchłanią żalości w samym środku Niedzielnego Piekła. Nigdy nie widziała tylu par; musieli hodować je w kokonach w piwnicy. To były Pary-Klony, z kuchniami wyłożonymi kafelkami, z błyszczącymi ekspresami do kawy, terakotowymi pojemnikami na ciastka i „zwariowanymi” mydelniczkami w

kształcie ryby. Mieli gniecione zasłony z materiału o luźnym splocie, takie same kurtki i dzieci. To wszystko stanowiło część wielkiego spisku, którego celem było zmuszenie cię do prawidłowego wypełnienia swojej roli konsumenta (a co się stało ze starym, poczciwym klientem?), to znaczy wydawania, wydawania, wydawania. W supermarketach cukierki i czekoladę kładli przy kasie na wysokości ręki, tak aby dłoń z własnej inicjatywy chwyciła za potrójną paczkę orzechowego musu. W sklepach z wyposażeniem wnętrz wypuszczali na podłogę idealne, fabrycznie wyprodukowane rodziny, aby te wizje rodzinnego szczęścia zainspirowały cię, Smutnego Singla. Zaczynasz czuć ciepło, popadasz w melancholię, robisz się hojny. Jeśli tylko kupisz zestaw rustykalnych kubków do kawy, śródziemnomorski dzbanek na sok i obrus w kratkę z serwetkami do kompletu, to z pewnością również zdobędziesz łączony zestaw Idealnego Męża i Idealnych Dzieci oraz związane z nim Idealne Życie.

Nie mogła nawet obejść kanapy bez potknięcia się o spacerówkę albo małego człowieczka w ogrodniczkach, który toczył się prosto pod jej kolana. Wspomniany mały człowieczek często starał się iść dalej jak nakręcona zabawka, co stanowiło dowód potwierdzający słuszność jej hipotezy, że dzieci napędzane są jakimś złowrogim, niewidzialnym źródłem energii. No i po co te wszystkie zabawki? To miał być sklep z wyposażeniem wnętrz. Nie chciała patrzeć na sztruksowe wielbłądy, worki śmiesznych klocków albo słodkie małe foczki z dużymi ciemnymi oczami, które mówiły: „Proszę pana, proszę mnie nie lać pałką”. Złapała się na tym, że szła do kasy, trzymając małą pluszową świnkę — dla siebie. Właśnie w myślach podkładała jej głos z entuzjastycznym kwiczeniem — „Kwi, kwi, zabierasz mnie do domu?” — kiedy spojrzała w dół i zobaczyła ją w swojej dłoni. Pluszowa zabawka. Była tak przerażona, jakby nagle zorientowała się, że wyszła bez płacenia. To dopiero początek. Następny przystanek — czterdzieści pretensjonalnych, maziowatych stworzeń ze słodkimi imionami piętrzących się na poduszkach. Później skończy się na tym, że będzie prowadziła z nimi nocne rozmowy i trzymała ich zdjęcia w portfelu. Poprzednio pracowała z kimś, kto przyniósł do pracowni pluszowego misia i wyciągnął jego łapkę, aby ją uścisnęła — kobieta, która poza tym wyglądała na kogoś zupełnie rozsądnego i normalnego. O, nie, dziękuję. Nie zamieni się w Pluszową Panią. Jak można — jak ktoś może trzymać przytulanki na podwójnym łóżku? Czy nie było w tym nic dziwnego, choć odrobinę? Trochę lolitkowate? Rozkosz pedofila?

Zadzwoniła do Viv, żeby opowiedzieć o incydencie i przyznać się.

— Ale przecież tak naprawdę nie kupiłaś jej, prawda?

— Nie, ale wisiałam niebezpiecznie na krawędzi. No i, i, i... nawet po tym, gdy zdałam sobie sprawę, jak byłam blisko, pomyślałam, że może, mimo wszystko, mogłabym ją kupić i trzymać pod poduszką. Jakby to się nie liczyło. Zastrzel mnie teraz, zanim będzie za późno.

Głos Viv zniżył się do szeptu, gdy wyznała, że Nick miał zabawkę.

— Niemożliwe!

— Możliwe. Boże, nie powinnam ci tego mówić. Piśnij choć słówko, a już nie żyjesz. To taki mały pluszowy piesek, ale jest w porządku, bo ma go od dzieciństwa. Nazywa się Max.

— To coś się nie nazywa. To coś jest zrobione z materiału i waty.

— Nie bądź taka nietolerancyjna. Jest naprawdę słodki. Nick skacze, nim po moim brzuchu i robi salta.

— Zboczeńcy! — Równie dobrze Viv mogła powiedzieć, że w łóżku ubierają się w mundury funkcjonariuszy służby miejskiej albo że lubią na siebie sikać. — Jeśli istnieje na świecie jeszcze jedna cyniczna, stara zdzira, to myślałam, że mogę na ciebie liczyć — o, nie, nie staraj się was bronić, tylko pogarszasz sprawę. To smutny, smutny dzień.

Bella postanowiła, że następne wizyty w Strefie Niebezpieczeństwa ograniczy do dni, w których sklep otwarty jest do późnych godzin wieczornych, kiedy to czynne zawodowo, wolne kobiety w elegancko dobranych ubraniach z odpowiednimi metkami i paskami, a nie w ogromnych, bezkształtnych, workowatych strojach i legginsach, przychodziły wieczorami, aby popatrzeć na podstawy lamp, ponieważ nie miały z kim zjeść kolacji.

Jak na złość, perspektywa uporządkowania pracowni wydawała się jej tego popołudnia równie beznadziejna jak każdego innego dnia. A może ogród? To było minimalnie bardziej interesujące. Poszła sprawdzić, jak się obecnie rzeczy mają z bezpiecznego miejsca, zza oszklonych drzwi do ogrodu. Oparła czoło o chłodną szybę i przycisnęła nos jak dziecko, które chce, żeby je wypuszczono, aby mogło się pobawić. Nie ma wątpliwości, sytuacja się pogarszała.

Kiedy po raz pierwszy oglądała dom, ogród wydawał się jej zaledwie trochę posępny — podniszczony skrawek trawnika, kilka przeredzonych krzaków nieokreślonego gatunku, trochę poplątanych pnączy. Jak rzeczy mogły się tak szybko wymknąć spod kontroli? Coraz trudniej było nawet zobaczyć drugi koniec ogrodu. To by jej nie martwiło, gdyby miała hektar ziemi lub więcej; przypuszczalnie taką cenę trzeba było zapłacić za bycie bogatym — niemożność zobaczenia granic swojej posiadłości, poczucie zmęczenia po dotarciu do końca korytarza. Ale jej ogród był skromniejszych rozmiarów, miejsca zaledwie tyle, żeby się obrócić. To było żenujące. Musi wprowadzić coś w rodzaju kontroli, kiedy jeszcze może tam wejść. Niedługo pnącza dotrą do drzwi balkonowych, niczym wąsy muskające trawę; bluszcz owinie się wokół domu jak boa dusiciel, zacieśniając swój uścisk, zamykając ją w środku. Byłaby jak Śpiąca Królewna, która otoczona murem z dzikich róż czeka na prawdziwego księcia, jedynego mężczyznę wystarczająco odważnego, aby się do niej przedrzeć.

Od czego, do licha, powinna zacząć? Potrzebowała maczety, kompasu i poradnika przetrwania. Musi przywiązać kawałek sznurka do klamki, by znaleźć drogę powrotną do domu. Może Viv jej pomoże. Ale ona z Nickiem miała już pełne ręce roboty, próbując odmalować sypialnię. Trawnik wyglądał równie żałośnie jak rozczochrane włosy zaczesane na łysinie. Rozpaczliwie potrzebował koszenia — brakowało jej jedyne kosiarki. A ten olbrzymi krzak musi zostać przycięty — gdyby tylko miała

sektor. Wyciągnęła swoją listę z szuflady w kuchni. Do punktu „Centrum ogrodnicze” dopisała, „kupić narzędzia”.

W centrum ogrodniczym był duży ruch; ludzie kupowali szopy, dźwigali worki kompostu do samochodów i przywiązywali treliáže do bagażników dachowych — jak w ulu. Nawet patrzenie na nich sprawiało, że czuła się zmęczona. Pary emerytów pochylały się z czułością nad krzewami i krzakami róż, tak ciekawi i podekscytowani przyszłym zakupem, jakby chodziło o nowego wnuka. Bella minęła około sześćdziesięcioletnią kobietę ubraną w dżinsy i kolorową kamizelkę.

— O, ty jesteś ładnym koleżką — mówiła kobieta do pstrego ostrokrzewu, kiedy Bella przechodziła obok.

„Też tak skończę”, pomyślała. „Będę nosić rzeczy o trzydzieści lat dla mnie za młode i gadać do roślin. Założę się, że ma koty”.

Może powinna uprościć cały ogród — tylko trawnik, małe drzewko i kilka donic. Później to małe drzewko stanie się dużym drzewem i zacieni cały ogród tak, że nie będzie mogła wyjrzeć na zewnątrz; to tak, jakby kupić szczenię kundelka i patrzeć, jak rośnie i rośnie, dopóki nie zorientujesz się, że jest mieszanką doga niemieckiego i byka.

Zdała sobie sprawę, że najpierw musi uporządkować ogród, zanim będzie warto wydać pieniądze na rośliny, ponieważ w jego obecnym stanie i tak nie było miejsca, aby je posadzić. Tymczasem wybrała kilka doniczek ziół, aby poprawić sobie nastrój. Podczas płacenia zauważyła przy ladzie wywieszkę reklamującą usługi projektanta ogrodów: „Czas rozpocząć nowy rozdział w życiu? Jeśli twój ogród jest dla ciebie przekleństwem, a nie radością, nie chowaj się z płaczem w domu. Bez względu na to, czy twój gust skłania się bardziej ku tradycyjnemu lub awangardowemu, prostemu lub zdumiewającemu stylowi, pomogę Ci stworzyć Twój idealny ogród i zamienię marzenia w rzeczywistość — po rozsądnych cenach”. Oferowano darmowe wstępne konsultacje, bez zobowiązań. Zanotowała nazwisko i numer telefonu.

Przesadzając zioła, aby uniknąć większego zła, jakim było pranie, Bella zdecydowała, że od razu zadzwoni do mężczyzny zajmującego się projektowaniem ogrodu. Była niedziela, więc prawdopodobnie go nie zastanie. To pewnie kolejna osoba, która spędzała ten wspaniały dzień na łonie rodziny, nosząc swoją najmłodszą pociechę na barana lub grając w piłkę w parku z najstarszym synem. Wymieniał pełne zadowolenia z siebie uśmiechy ze swoją szczupłą żoną, gdy ona mieszała sos pieczeniowy, a dzieci szczyrzyły zęby w szelmowskim uśmiechu, wcinając z apetytem stertę brukselek. Niedzielne obiady z jej dzieciństwa wyglądały trochę inaczej. Zmarszczone brwi matki, gdy poskramiała pojedynczą grudkę w sosie, jej skupienie przy dodawaniu odrobiny czerwonego wina do rondla. Ciężkie sztucce, niewygodne w dziecięcych rączkach Belli, delikatna porcelana, nieskazitelny obrus. Jej własna spokojna twarz jak blady księżyc w chmurze ciemnych włosów. Głęboki głos ojca, kiedy mówi, działa uspokajająco, wypełnia ciszę. Tato bawi się w udawanie, w Szczęśliwą Rodzinę.

Odrzuciła tę myśl i zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu numeru telefonu, który zanotowała. Mogła przynajmniej zostawić wiadomość, co oznaczało, że wykreśli coś z Listy. Automatyczna sekretarka poleciła zostawić wiadomość dla Willa Hendersona albo firmy Projektowanie Ogrodów Hendersona.

— Potrzebuję człowieka z maczetą i kadzią środka chwastobójczego — powiedziała — och, i jeszcze nowego ogrodu.

Ponownie wyjęła Listę z szuflady. Cholera. Na samym dole dopisała: „Zadzwoń do projektanta ogrodów”, po czym stanowczo wykreśliła ten punkt i poszła na górę, czując się, wystarczająco pozytywnie, żeby stawić czoło pracowni.

Rysa na ścianie była dłuższa, niż jej się wydawało. To ten rodzaj pęknięcia, na który można było cmoknąć z niezadowoleniem, zmuszał do stwierdzenia: „Coś trzeba z tym zrobić”, jakby się było autorytetem w tych sprawach. Bella zrobiła obie te rzeczy, po czym cofnęła się, aby przyjrzeć się pęknięciu zza półprzymkniętych powiek. Szkoda było wypełnić je nudną, pocziwą szpachlówką; do tego dochodził pewien drobny problem — nie miała jej. Skinęła do siebie, jakby podjęła decyzję i zaczęła przeglądać pudła w poszukiwaniu swoich farb.

8

— Nie, nie, nie i jeszcze raz nie.

— Czy w takim razie mam to wziąć za odmowę? — zapytała Bella.

Coś jej podpowiadało, że Viv nie była zbyt zachwycona pomysłem pójścia na wieczór poezji.

Viv twierdziła, że ma alergię na poezję od czasu pechowego incydentu w szkole, kiedy to zasnęła — jej broda nagle uderzyła w ławkę z głośnym hukiem — podczas gdy nieszczęśliwie nazywająca się pani Doring* czytała im *Damę z Shalott*, podnosząc się na palcach dla podkreślenia rytmu, jakby umieszczona została na podskakującej sprężynie.

* Pani Doring — jedna z matek, która w książce Iry Levina pod tytułem *Chłopcy z Brazylii* adoptuje klona Adolfa Hitlera.

— Ale to nie jest typowa poezja, Viv, żadne tam „wędrowałem samotnie jak obłok”. Jest naprawdę zabawna. Niektóre wiersze są nieprzyzwoite. Spodoba ci się.

— Nie da się, kochanie. Piątek to nasz wieczór z jedzeniem na wynos i filmem wideo.

— Ale to jest Kultura. Pamiętasz, co to jest Kultura? Kiedyś jej zakosztowałaś, jakieś cztery lata temu.

Viv pozostała niewzruszona. Wszystkie pary mają jeden ustalony wieczór dla siebie, kiedy to siedzą wlepione w telewizor, chrupiąc *czau mein* z kurczaka, wołowinę w sosie z czarnej fasoli albo Zestaw Specjalny nr 2; to było uniwersalne prawo, niepodważalne jak grawitacja albo $e = mc^2$. Przypomniało się jej, jak Patrick grzebał w szufladzie.

— Gdzie się znowu podziała ta cholerna lista, Bel? — Menu restauracji Wong Kei.

— Po co ci ona? Zawsze zamawiamy to samo: 5, 8, 27, 41, 63, 66. Krakery krewetkowe gratis. — Ludzie, nadal pamiętała numery, kod wyryty w jej pamięci jak szyfr do sejf. Ile jeszcze musi minąć czasu, aby je zapomniała?

— Jesteś żalosna. Ktoś mógłby pomyśleć, że jesteście zrośnięci biodrami. Nie, nie, nie próbuj protestować. Na następne święta Bożego Narodzenia dostaniecie ode mnie takie same kurtki przeciwdeszczowe. Pomarańczowe, z zawadiackimi składanymi kapturami.

— Ale ty powinnaś pójść — powiedziała Viv. — Może będą tam jacyś mili mężczyźni.

— Akurat. Jaki facet chodzi na wieczory poezji?

— Nie ma dla ciebie ratunku. Cóż, nie wiń mnie, jeśli nigdy nie znajdziesz — przybrała melodramatyczny ton głosu jak z kiepskiego horroru — Tego Jedynego.

Ten Jedyny. Magiczna, idealna fantazja — Pan Doskonały; każda kobieta wie, że on gdzieś tam jest, boryka się ze swoją samotną egzystencją, ponieważ jeszcze nie znalazł Jej, swojej kobiety marzeń, Tej Jedynej. Bella przypominała sobie przytomnie, że życie tak nie wygląda; oczywiście, na świecie istnieją setki, może nawet tysiące mężczyzn, którzy pasowaliby do każdej kobiety. Większości z nich nigdy nie spotkasz, ale to nadal pozostawia wiele okazji do ułożenia sobie bardzo miłego życia z bardzo miłą osobą. Ale co, jeśli rzeczywiście istnieje tylko Ten Jedyny, idealna osoba, która jest ci przeznaczona? Któregoś ranka możesz spóźnić się na swój autobus, w którym on mógłby być, samotny i gotowy, by cię spotkać, a ty nigdy nie dowiesz się, jak blisko byłaś. Albo możesz wypatrzeć go na drugim końcu pokoju, wasze oczy spotkają się na chwilę, a ty będziesz się zastanawiać „Co jeśli...?”. Ktoś inny może podejść pierwszy, zdusić twojego mężczyznę w ślepym zaułku, małżeństwo bez miłości. Nawet teraz, właśnie w tej chwili, twój Pan Doskonały może brykać z inną kobietą, niewierny łajdak, ignorując drobną myśl, która trzepoce w jego głowie jak ćma, szamocze się, aby zauważył, że w jego życiu brakuje czegoś ważnego. Jeśli przypadkiem kiedyś się spotkacie, Ten Jedyny oczywiście pozna się na twoim prawdziwym uroku i będzie ślepy na wystający brzuch i szerokie ramiona.

Pójdzie sama. Dlaczego nie? Była niezależną kobietą, starą panną z wyboru, jak pewnego razu usłyszała od kogoś. O ileż lepsze było posiadanie różnorodnych zainteresowań, chodzenie na wieczory poezji, niż siedzenie rozpartym na kanapie, oglądanie telewizji i roztrząsanie największego zmartwienia, czyli — czy zostać przy czymś znanym, nr 63: Kurczak z chińskimi grzybami, czy zaszaleć i zdecydować się na nr 67: Kurczak z Orzechami Nerkowca.

Gdy Bella przyjechała na wieczór poezji, większość miejsc była już zajęta. Z trudem udało jej się skończyć rozmowę z Seline dotyczącą perspektywy założenia spółki, ponieważ interesy w firmie szły bardzo dobrze. Bella miała nadzieję na odwleczenie chwili, w której rzeczywiście będzie musiała podjąć decyzję tak długo, jak to będzie możliwe. Albo dłużej. Nie wiedziała, czego chciała oprócz tego, że nie chciała decydować. Poczęstowała się winem i znad krawędzi kieliszka ukradkowo rozglądała się w poszukiwaniu jakiegoś samotnego, atrakcyjnego mężczyzny. Byłoby ładnie z ich strony, gdyby nosili małe znaczki lub plakietki na klapach marynarek: „Wolny” albo „Żonaty, ale szukam kogoś do zaliczenia”, albo „W związku, ale otwarty na propozycje”.

Był spory tłum. Ostatnim razem kiedy poszła na wieczór poezji, oprócz niej były tylko dwie osoby, które, jak wywnioskowała, należały do rodziny poety i grona wielbicieli, korzystających z jego chwili sławy. Czuli się zobowiązani do przesadnego okazywania swojego uznania, aby zrekompenzować brak publiczności, więc spędziła cały czas na kiwaniu głową i marszczeniu brwi, starając się wyrafinowaną mimiką wyrazić: „O, rety, jakie to głębokie, jaki delikatny nastrój, czuję się niezmiernie zaszczycona, że mogłam usłyszeć te wzbogacające duszę słowa”. Po każdym wierszu świta poety otwarcie wpatrywała się w nią, aby sprawdzić, czy jej reakcja była wystarczająco intensywna. Dlaczego to ona próbowała sprostać ich oczekiwaniom, zastanawiała się. Czy to nie poeta miał tutaj występować?

Usiadła przy stole, na którym piętrzyły się książki Nell Calder i rozejrzała się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłaby położyć swój kieliszek. Na stole obok znajdował się wolny róg. Sięgnęła w jego kierunku w tym samym momencie, co ktoś inny. Ich kieliszki brzęknęły.

— Och, przepraszam — powiedzieli równocześnie.

— Ee, w takim razie na zdrowie. — Mężczyzna uśmiechnął się, patrząc jej w oczy. Ładna twarz, ale jaki niegrzeczny, pomyślała. Wytrącona z równowagi, spojrzała szybko w innym kierunku. Nie chciała, aby zaczął sobie coś wyobrażać. Jego włosom przydałaby się odrobina czesania. Były niebywale skręcone, tu i tam odstawały pod dziwnym kątem. Spojrzała na niego z ukosa. Zauważył to i uśmiechnął się.

Rozległ się głośny łomot i wycie, kiedy ktoś wyciągnął mikrofon ze statywu, stojącego na przedzie.

— O, proszę, to chyba znak, że coś się dzieje — powiedział mężczyzna ze sprężynkami na głowie stojący koło niej, wyciągając się, aby zobaczyć coś ponad kobietą, która miała na sobie osobliwy patchworkowy kapelusz ze śmiesznie wysokim denkiem.

— Myślisz, że ma pozwolenie na ten kapelusz? — szepnął do Belli i wskazał na kobietę skinieniem głowy. — Ten teren jest objęty ochroną konserwatora. — Przetykając, Bella zaśmiała się, z parknięciem rozpryskując wino. Cudownie. Cóż, oto sposób na zwrócenie na siebie uwagi.

Zawstydzona odwróciła wzrok. Przedstawiano Nell Calder. Oklaski.

— Do napisania tego wiersza zainspirował mnie mój były mąż — powiedziała poetka. — Tytuł brzmi „Czy mogę sprawować opiekę nad minutnikiem do jajek”.

Świadoma obecności Sprężynka obok siebie, Bella omiotła pomieszczenie wzrokiem, który mówił „Szukam właśnie mojego przyjaciela”, starając się zobaczyć coś przez kobietę. Nagle, na drugim końcu pokoju, Bella zauważyła mężczyznę, który był do połowy zasłonięty przez kobietę trzymającą przed sobą kieliszek. Ciemne, opadające włosy. Profil twarzy z okularami w rogowej oprawie. Patrick? Szok. Suchość w ustach. Walenie serca. Nawet teraz. Kiedy wyciąga szyję, aby zobaczyć, pamięć ją zaskakuje, zalewa falami, pozostawiając ją bladą i bez tchu.



Łapie się na tym, że rozgląda się po pokoju w poszukiwaniu jego. Może jest w kuchni, szpera w lodówce, szukając kawałka sera, albo w toalecie zaabsorbowany egzemplarzem „National Geographic”? Oczywiście, nie ma go tu. Ona to wie. A mimo to... Ci ludzie — jego siostra Sopię, która nagle wydaje się tak drobna i krucha, jakby najłżejszy wietrzyk mógł ją porwać, prawą ręką ściska kurczowo lewe ramię za plecami, trzyma się; James, jeden z najlepszych przyjaciół Patricka, skępowany i świadomy wystającego brzucha w za ciasnym pożyczonym garniturze; Rose, mama Patricka, nienagannie ubrana jak na wesele, z oczami niczym latarnie morskie, troskliwie przewiduje potrzeby każdego gościa — „Odrobinę wytrawnej sherry? Kolejną kanapkę z wędzonym łososiem? Wszyscy są naprawdę cudowni. Nie musiałam prawie nic robić. Pozwól, że coś ci podam. Tylko mała przekąska?”; jego ojciec, Joseph, podtrzymywany przez elegancko skrojony, czarny jak kute żelazo garnitur, spogląda w dół w swoją ciężką szklankę; patrzy na kostki lodu, które unoszą się na powierzchni i obijają się o siebie w zamkniętym jeziorze szkockiej — wygląda, jakby chętnie do nich dołączył, jakby chciał wśliznąć się w ten przyjemny płyn i poczuć, jak go opływa, przepływa przez niego, płynie w nim, jak wypycha ciepłą krew, która z uporem kończy niestrudzony obieg po jego ciele, jak szumi w nim, hartując tętnice swoim lodowatym środkiem znieczulającym, ściskając go słodko, dopóki nie zdrętwieje i już nic nie będzie czuł.

A tam, mała grupka kolegów z pracy Patricka; trzymają talerzyki, serwetki i kieliszki, z zażenowaniem gryzą kęsy zbyt dobrych, kuszących smakołyków; jego brat, Alan, kiwa głową na znak szczerego zgadzania się z ciotką Patsy, zbiera monety w kieszeni swoich spodni, brzęczy nimi w dłoni, po czym je wypuszcza — zbiera, brzęczy i wypuszcza — znajduje pocieszenie w fakcie, że może kontrolować przynajmniej te uległe monety.

Ale, oczywiście, jego tutaj nie ma. Bella to wie, a mimo to ma wrażenie, że ci ludzie, którzy byli dla niego najbliżsi — ludzie, którzy pomagali mu stawiać pierwsze niepewne kroki, którzy na placu zabaw porównywali z nim kolana pokryte strupami, krztusili się pierwszym ukradzionym papierosem, pracowali z nim, kłócili się z nim, śmiali się z nim, całowali go, kochali — wydają się tworzyć między

sobą formę, przestrzeń w kształcie Patricka, dlatego Bella czuje, że on naprawdę tu jest. Z pewnością wszyscy ci ludzie byli tutaj tylko dla niego.

— Spróbuj coś zjeść Bella, hmm? — Półmisek z miękkimi lodygami szparagów, opatulonymi jak delikatny noworodek w cienko zwinięty ciemny chleb (oczywiście, żadnych skórek — „Uważam, że te drobne dodatkowe starania mają znaczenie”), podpływa pod jej nos. Bella bierze jedną i posłusznie podnosi w kierunku ust. Może to zrobić. Może funkcjonować jak normalny człowiek. Jej zęby mechanicznie poruszają się tam i z powrotem, pełniąc swoją powinność. Przyciska serwetkę do ust — niebieska, bladoniebieska, prawie w tym samym kolorze co ta stara koszula Patricka, ta z tak powycieranym kołnierzykiem, że próbowała nakłonić go do pocięcia jej na szmatki do butów, ta, która leży teraz nie uprana pod jej poduszką i czeka na nią, czeka, aż ona wtuli twarz w pognieciony materiał, zaciągnie się jej niebieskością i owinie wokół siebie.

Dzyń, dzyń. Dziwny odgłos, metal uderzający o szkło. Nóż stukający ostrzem o kieliszek na wino, jak dziecko ścinające czubek ugotowanego jajka; dźwięk, który przerywa każde wesele, każdą rocznicę, aby zwiastować przemówienie, dźwięk świętowania. Ktoś coś mówi. Tak, twarze zwracają się w jednym kierunku. Bella naśladuje, również odwraca głowę, kolejny słonecznik bezmyślnie podążający w kierunku słońca.

Alan, brat Patricka, przemawia:

— ...wszystkim za przyjście, niektórzy przyjechali z bardzo daleka. Jest mi... nam wszystkim... niezmiernie miło. Jesteśmy wzruszeni, mogąc widzieć tyłu was tutaj. Tyłu przyjaciół, tyłu członków rodziny. Ja... cóż.

Oczyszcza gardło, zaciska mocno usta, zachowując słowa w sobie.

— W każdym razie — uśmiecha się nerwowo — wiem, że Patrick nie chciałby, abyśmy się smucili, mieli miny ponure jak deszczowy weekend, i nie zniósłby widoku marnującego się dobrego alkoholu, więc proszę, wnieśmy kieliszki. Za Patricka.

— Za Patricka — powtarzają wszyscy.

Alan ponownie podnosi swój kieliszek, lód brzęczy cichutko, jak ledwo słyszalny dzwon poruszony przez lekki wietrzyk.

— Niech pamięć o nim żyje nadal — mówi.

— Niech pamięć o nim żyje nadal.

Nie, pomyślała, nie zadowoli się uporządkowaną kolekcją wspomnień, zebraną starannie jak w albumie fotograficznym. Chce pobiec na cmentarz, zdjąć swoje zbyt eleganckie, okropnie idealne buty z czarnego zamszu, rzucić każdy bezmyślną trajektorią wysoko, wysoko, ponad mur, do lasu znajdującego się po drugiej stronie. Padłaby potem na kolana, grzebała w ziemi, spychając lepkie grudki dłońmi na bok. Wyłaby do wilgotnej ziemi, a potem gwałtownym szarpnięciem otworzyłaby to lśniące pu-

dło. Sięgnęłaby po niego i potrząsnęła nim, krzycząc: „Przestań Patrick. Przestań! To nie jest zabawne. Nie rób tak!”.

Widziała, jak jego twarz nagle marszczy się ze śmiechu, jak palcem podsuwa okulary wyżej na nosie, chichocze spazmatycznie. „To było znakomite”, powiedziała. „Naprawdę cię nabrałem. Nawet nie wiesz, jak trudno było zachować ciszę przez cały czas. Kiedy ksiądz opowiadał, jakim to byłem zawsze uprzejmym i uczciwym człowiekiem, musiałem zagryźć policzek, żeby powstrzymać wybuch śmiechu. Och, no dalej Bel, to było śmieszne — sama przyznaj. Przy okazji, świetny kapelusz. Nowy?”.

Później ona też by się śmiała i szturchała go żartobliwie za to, że ją przestraszył, a potem rozmawialiby o tym zdarzeniu, dzieląc się ponownie najlepszymi momentami, parodiując innych, porównując stroje, robiąc uwagi na temat, kto się spóźnił, która część była najbardziej wzruszająca, kto płakał w sposób najbardziej rzucający się w oczy, kto jedynie z grzeczności musnął chusteczką kącik oka; śmialiby się razem.

Ale to nie jest żart. Teraz już wie, że nie wróci na cmentarz. Nie może. Nie zanurzy rąk głęboko w gąbczastej ziemi. Dopóki nie patrzyła, to mogło być nadal jedynie pudło, po prostu długa skrzynia z wypolerowanej dębiny, która leżała pusta w cichej ziemi — a Patrick mógł być wszędzie — w domu, objając się przy „robieniu rzeczy, które należy zrobić w domu”, jak zwykł mówić, co głównie polegało na oglądaniu urządzeń i przedmiotów wymagających naprawy i częstym mówieniu „hmm”, a potem na siedzeniu z kawą nad krzyżówką; w pracy, gdzie był rozsądny i kompetentny, pisał raporty lub był gdzieś na terenie budowy, mierzył, zwracał uwagę na szczegóły, robił notatki; mógł być zaangażowany w poważny związek ze swoim ukochanym komputerem; lub rozciągnięty na kanapie, z gazetą na twarzy, chrapał, wydając ten osobliwy półgwizdzący dźwięk przy wydychaniu, dopóki nie szturchnęła go albo złapała za nos, żeby przestał.

Ktoś ją przytula. Bella przyciska lekko, uprzejmie, ciało odziane na granatowo, nieświadoma, kto to jest, ale mimo to wdzięczna za dodające otuchy ciepło. Czyjaś ręka klepie ją pocieszająco po ramieniu, jak właściciel nagradzający swojego psa za dobre wykonanie sztuczki. A to była sztuczka. Sącz wino, jedz kanapki, nadstawiaj policzek do całowania, uroń jedną lub dwie ciche łzy. Żadnego krzyku; żadnego zawodzenia; żadnego ohydneho, rozdzierającego płaczu, który targał całą klatką piersiową; żadnych śladów po czarnym tuszu do rzęs na twarzy zalanej łzami, które wydają się już nigdy nie wyschnąć; żadnego siedzenia zwinięta w kłębek na podłodze, z głową mocno przyciśniętą do kolan, ściskania, trzymania siebie, w razie gdyby miała rozpaść się na ostre, kruche kawałki albo opaść powoli, ześlizgując się po podłodze w kałużę łez i bólu. Nie. Wykona tę sztuczkę rzeczywiście dobrze. Uśmiecha się i całuje policzek, zastanawiając się, kiedy wreszcie będzie mogła wyjść.



— ...Isabel, prawda? — Czyjaś dłoń machała jej przed twarzą, domagając się uwagi. Lekko się cofnęła, ponownie wyciągnęła szyję, aby zobaczyć mężczyznę. Odwrócił się — dłuższy nos, cieńsze usta. Zupełnie inny. W ogóle nie wyglądał jak Patrick. Nie. Oczywiście, że nie. Odrzuciła tę myśl i obróciła się, aby skoncentrować się na osobie, która stała przed nią zbyt blisko. Kobieta będąca w nielegalnym posiadaniu odrażającego patchworkowego kapelusza.

— Nie — automatycznie zaprzeczyła Bella. — Nazywam się Bella. — Kim była ta kobieta? Pod rondem jej twarz wydawała się jakaś znajoma, ale Bella nie mogła jej rozpoznać.

— Cóż, to i tak skrót od Isabelli, prawda? — Kobieta spojrzała na nią prawie z wyrzutem.

— Nie w moim przypadku. Po prostu Bella. — Uśmiechnęła się. — Bardzo przepraszam, ale jestem okropna, jeśli chodzi o zapamiętywanie imion...

— Ginger Badell. Jakiś tydzień temu spotkałyśmy się w Scotton Design. Tworzę pojęcia dla firmy Benson Foods. — Kobieta chwyciła wysokiego, szczupłego mężczyznę, który, zalekniony, unosił się na orbicie wokół niej, i trzymając za łokieć, skierowała go w stronę Belli. — A to jest Roger, mój *amore*. — Spojrzała po obu stronach Belli i przyciągnęła żyłastego *amore* bliżej, jakby obawiała się, że Bella może nagle spróbować go chwycić i zdusić w namiętym uścisku.

Rozmawiali uprzejmie przez kilka minut, podczas gdy Bella starała się dyskretnie rozglądać w poszukiwaniu Sprężynka. Czyżby wyszedł?

— Jak miło było cię znowu spotkać — powiedziała Bella, wycofując się. — Muszę skorzystać z okazji i kupić egzemplarz z autografem. Proszę mi wybaczyć.

Przed nią w kolejce do podpisania książki stały jeszcze trzy osoby. Czekać, Bella rozglądnęła się dookoła. Sprężynek najwidoczniej wyszedł. Pomyślała, że mógłby się pożegnać. Nie żeby była zainteresowana; sposób w jaki na nią patrzył, musiał być odrobinę dziwny. Pewnie był prześladowcą. Prawdopodobnie i tak mu się nie spodobała. Był miły z litości. Może jest już w drodze do domu, do swojej żony, czwórki dzieci i psa. Cholera. Nawet ta szurnięta kobieta — Ginger, z najgorszym na świecie gustem, jeśli chodzi o kapelusze, miała faceta. No, prawie, bo przecież wydawało się, że miał tyle testosteronu co spleśniała myjka do twarzy. Poza tym powiedziała „pojęcia” zamiast „projekty”, *amore* z przyprawiającym o mdłości wstydlwym spojrzeniem, no i reagowała zbyt emocjonalnie. Ale najgorsze było to, że patrzyła na Bellę z góry, żalowała jej, ponieważ była sama.

Dotarła na początek kolejki.

— Co mam napisać? — Poetka siedziała z piórem w ręku. — Czy to dla kogoś wyjątkowego?

— Ha! — wykrzyknęła; mężczyzna za nią aż podskoczył ze strachu. Oj, nie chciała być aż tak dobitna. Chrząknęła, jakby chciała tylko oczyścić gardło. — To byłoby zbyt piękne — odpowiedziała.

Kiedy tamtego wieczoru Bella wróciła do domu, nie było żadnej wiadomości od pana zajmującego się wilgocią. Jak on śmie? Już się przyzwyczaiła do jego regularnych, coraz to bardziej intrygujących wymówek, dlaczego jeszcze nie może przyjść, ale na pewno, bez wątplenia jest następna w kolejce; jest wpisana w jego małej książeczce, więc teraz to już bez dwóch zdań. Typowy mężczyzna. Kiedy już zaczynała się przyzwyczajać do rozczarowań jednego rodzaju, on przerzuca się na jakąś nową formę doprowadzającą cię do irytacji. Doszło do tego, że zaczęła oczekiwać małej migającej lampki na swojej automatycznej sekretarce, która zwiastowała kolejny ekscytujący odcinek z życia i pracy pana Bowmana. Jak do tej pory jej ulubioną wymówką było to, że lokator wyniósł się bez powiadomienia. Nie bardzo wiedziała, jak to miało powstrzymać pana Bowmana od zbitcia tynku, ale on był stanowczy w tej sprawie.

Była jednak inna wiadomość, kolejna od tego Hendersona, projektanta ogrodów; od wielu dni grali w berka na automatyczne sekretarki. Może chciałby dołączyć do pana Bowmana na liście ludzi, którzy powinni pomagać jej w Uporządkowaniu Życia, ale z niewiadomych powodów nigdy się nie pojawili. Może przyjdzie, przewróci do góry nogami pół ogrodu i pójdzie sobie, zostawiając ją ze sterłą ziemi i gruzu. Pasowałoby to wtedy do salonu i jego atrakcyjnej kolekcji pudeł. A może po prostu zaproponuje panu Bowmanowi, że się z nim prześpi — czy to przesunie ją wyżej na jego liście priorytetów? Podejrzała, że nie; bez wątplenia powiedziała: „Cóż, zapewne byłoby to mile widziane pani (jakoś nie mógł zmusić się, żeby powiedzieć »panno«, ale widocznie była już zbyt stara na »pannę«, więc musiała być »panią«) Krer...er (zazwyczaj wołał w uprzejmy sposób wymamrotać jej nazwisko, niż zaryzykować ośmieszenie się, próbując prawidłowo je wymówić), ale muszę obsłużyć jeszcze dwie inne panie, one czekają dłużej od pani”.

Will Henderson w swojej wiadomości powiedział, że jego człowiek z maczetą rwał się już do roboty, ale chyba nie mają szczęścia, jeśli chodzi o skontaktowanie się ze sobą, najwyraźniej jej życie było nieskończonym i wspinałym towarzyskim wirem. Może wpadnie do niej w sobotni poranek, gdzieś około dziesiątej, ale jeśli jej nie pasuje, to czy może zadzwonić i zostawić kolejną wiadomość. Tak naprawdę, to czy może zadzwonić bez względu na to, ponieważ nie dała mu swojego adresu.

Kurka wodna, równie dobrze mogła zaprogramować jego numer w pamięci swojego telefonu. Z pewnością zrobiłaby to, gdyby znalazła instrukcję obsługi i dała radę połapać się jak programować pamięć, to akurat by zrobiła.

Zadzwoniła rano z pracy.

— Cześć. To znowu Bella Kreuzer. Dzwonię...

— Halo? — Ktoś podniósł słuchawkę.

— Pan Henderson? We własnej osobie? Więc pan naprawdę istnieje. W tej chwili wprowadził mnie pan w ogromne zakłopotanie. Tak dobrze układało mi się z pana automatyczną sekretarką. Najlepszy związek, w jakim kiedykolwiek byłam.

— Czy mam się rozłączyć i zostawić was samych? Podała mu swój adres i potwierdziła spotkanie w sobotni poranek.

— I czy mogę prosić o niewycinanie niczego do tej pory — powiedział. — Tak łatwo jest stracić coś cudownego, ponieważ nie wygląda to zbyt dobrze i można się na tym nie poznać.

— Obiecuję. Słowo harcerza.

Piątek. Najlepszy dzień tygodnia. Po południu ktoś zawsze wymykał się po ciastka i, jeśli Seline nie było w biurze, kilka butelek wina. Zajmowali się pracą, jednocześnie odczytując przegląd najważniejszych wydarzeń z „Hello!” i grając w „Wybory”. — Wolałabyś mieszkać przez trzy miesiące w sali wystawowej sklepu meblowego, gdzie naokoło chodziliby ludzie i obserwowali cię przez cały dzień, czy przespać się z facetem ze sklepu z kanapkami?

— Którym? Chyba nie tym z zębem?

— Tak i musiałabyś go pocałować.

Bella naszkicowała w swoim notatniku, rozważając wielce ambitne projekty ogrodu, wiktoriański letni domek na kółkach, krzewy strzyżone w kształcie piramid, mauretańskie kanały wodne, które przecinały się jak krata, ogromne, urwiste skały z naturalnej wielkości wodospadem, huśtawkę zawieszoną na masywnym drzewie cedrowym na linach, w które wplecione były róże i bluszcz. Czy można przesadzać dwustuletnie drzewo, zastanawiała się? Chyba nie.

Nagle, niespodziewanie, Seline wpadła do biura. Słysząc było stłumiony brzęk butelek pośpiesznie chowanych pod biurka; gry komputerowe prędko przełączano na opracowanie graficzne opakowania białego sera.

— Czy ktoś widział mój egzemplarz „Hello!”? — zapytała Seline.

Sobotni poranek. Dzwonek do drzwi. Rzeczywiście było tak późno czy ten typ Henderson był wcześniej? Zbiegła po schodach, zapinając guziki dżinsów. Buty? Mniejsza o to.

— Sprężynek! — Próbowała zamienić to w kaszel. Zabawny mężczyzna z wieczoru poezji.

— To ty? — zdziwił się Sprężynek. — Co powiedziałaś?

— Nic, nic. To tylko swędzenie w gardle. — Odchrząknęła głośno. Bardzo pociągające. Szkoda, że nie splunęła na niego flegmą. — Co ty tutaj robisz?

— Przyszedłem wykarczować twój ogród. Will Henderson. — Uśmiechnął się. — Cześć. Cieszę się, że ponownie cię spotkałem. — Przeprosił za to, że tak szybko wyszedł po wieczorze poezji bez pożegnania. Był zakłopotany, kiedy zobaczył, że rozmawia z kobietą w kapeluszu po tym, jak mówił o niej takie rzeczy.

— Hej, psychodeliczne palce u stóp. — Skinął na połyskujący niebieski lakier do paznokci. — A może to jakaś rzadka choroba, o której nie powinienem był wspominać?

Dobry Boże! Niebieskie paznokcie — jakby była nastolatką. Zaczęła szukać butów.

— Więc właśnie się wprowadziłaś? — Machnął ręką w kierunku wielopoziomowego składowiska dla kartonów w jej salonie. Wyjaśniła, że nie było sensu rozpakowywać wszystkiego, ponieważ najpierw należało zająć się wilgocią.

— Już tak długo czekam na załatwienie tego, że w głowie widzę to drukowanymi literami. Pan Bowman jest bardziej nieuchwytny niż Liga Scarlet Pimpernel*.

— Bowman? Hmm.

— Co? Co?

— Nie, nic, jest bardzo dobry. Ale chyba ci się nie spieszy, prawda?

* Grupa młodych Anglików, którzy wykradali z więzień francuskich arystokratów w czasie Rewolucji Francuskiej; bohaterowie powieści romantycznej *Scarlet Pimpernel* autorstwa Hrabiny Orczy.

Wyjaśniała, że czeka już od dwóch miesięcy, po czym zaczęła wygłaszać tyradę na temat pana Bowmana i jego wachlarza pomysłowych wymówek; nigdy nie zjawiał się wtedy, kiedy obiecał, a teraz nie zadawał sobie nawet trudu, żeby zadzwonić, że nie przyjdzie. Czy on był jakąś lokalną legendą, zapytała, czy to dlatego Will o nim słyszał?

— Nie. To mój szwagier.

— Taa, jasne. Bardzo śmieszne. W szkole niektóre dzieci zawsze robiły takie kawały; kiedy w drodze do biblioteki minęło się mężczyznę z brzydkim tupecikiem (trzymając koniuszkami palców chłopca o lepkich dłoniach) i syknęło się do swojego towarzysza „Tupecik!”, on odpowiadał „To jest mój wujek” i udawał, że jest obrażony. To była taka moda, etap, jak gra w kości, mówienie „Kurczaki pieczone”, albo przyklejanie nalepek z postaciami z kreskówki na wewnętrznej stronie blatu biurka.

— Nie. Naprawdę. Tak jakby. Cóż, jest moim prawie szwagrem. To brat męża mojej siostry. Więc kim on jest dla mnie?

— Obawiam się, że jest bardzo irytującym człowiekiem, który nie zajął się wilgocią w moim domu.

Wyszli do ogrodu. W niektórych miejscach potakiwał głową, w innych mrucał, cmokał, relacjonował na żywo do siebie — „stary mur z cegieł, dum-di-dum, warstwy krzemienia — hmmm, betonowa kostka brukowa — kiepski trawnik — kilka przyzwoitych krzewów — ładny powojnik, dum-di-dum — rdest buharski, oj — jeżyny — wieloletnie chwasty — oczyścić ten kawałek — przesadzić to”. Zanurkował między krzaki, uklęknął, opierając się na dłoniach, aby przyglądać się roślinom od dołu, włożyć dłonie w ziemię, pokruszyć ją między palcami.

Widziała, jak robił szybkie szkice, liczne notatki, małe wykresy. Jeśli jest zainteresowana, powiedział, to wróci, żeby obmierzyć ogród jak należy.

— Mogę ci zadać kilka pytań? — Will odłożył kubek i wyjął notatnik z jednej z wypchanych kieszeni marynarki.

— Brzmi złowieszczo. To nie ja, panie władzo. Nawet mnie tam nie było. Niech pan zapyta kogoś.

— Proszę zachować spokój. — Spojrzał znad swojego notatnika. — Kwestia jest taka: powodem, dla którego ludzie mają ogród, który im nie odpowiada, jest to, że biorą się za niego bez zastanowienia się nad tym, czego tak naprawdę chcą.

Bella poruszyła się na swoim krześle i usiadła na dłoniach żeby powstrzymać ich nerwowe ruchy.

— Czuję się, jakbym była na egzaminie.

— Bo jesteś. — Will podwinął rękawy. — Jeśli udzielisz zbyt wielu błędnych odpowiedzi, moje wynagrodzenie wzrośnie. Gotowa? Dobra, pytanie pierwsze. Co chcesz zrobić w tym ogrodzie?

— Czy nie możemy zacząć od czegoś łatwiejszego?

— Nie, nie możemy. Sądząc po jego stanie, zakładałam, że nie jesteś wytrawną kolekcjonerką roślin? Więc, czy potrzebujesz miejsca, gdzie można by było zjeść? Kryjówki przed wyścigiem szczurów? Zacisznego miejsca do opalania? Każdego z powyższych?

— Jeszcze raz, jak brzmiało to środkowe? Nie wiem, nie wiem. Ale zaciszne miejsce to konieczność. Chcę mieć gdzie ustronny kącik z mnóstwem opadających, zwisających rzeczy.

Nie cierpię mieć wrażenia, że ludzie patrzą na mnie. Czy to brzmi strasznie paranoidalnie?

— To musi bardzo utrudniać życie. — Will zapisał coś w swoim notatniku.

— Co? Bycie paranoiczką?

Wzruszył ramionami, jakby to było oczywiste.

— Nie, po prostu... cóż... myślę, że ludzie często patrzą na ciebie. — Podniósł wzrok znad swoich zapisków.

— Następne pytanie?

Bella spojrzała w dół, w kubek z kawą, a później zaczęła obserwować jego ręce, aby uniknąć penetrującego spojrzenia. Dlaczego patrzył na nią w ten sposób? To było naprawdę bardzo niegrzeczne. Sprawił, że czuła się zażenowana. I tak pewnie powiedział to tylko po to, żeby się z nią podrażnić. Wyglądając tak jak tego ranka, w tych paskudnych starych dżinsach i rozciągniętym swetrze, nie spodobałaby się nikomu. Miała rozpuszczone włosy i nawet nie zadała sobie trudu, aby umalować usta; mniejsza o te wszystkie czynności, których potrzebowała, żeby poczuć się choć trochę atrakcyjnie.

— Masz dzieci?

— Nie. Ale co to ma do rzeczy?

— Miejsce do zabawy. Możesz chcieć piaskownicę. Huśtawkę. Cokolwiek. Jakies na horyzoncie?

— Gdyby tak było, Watykan ogłosiłby mnie współczesnym cudem.

— Więc nie przepadasz za dziećmi?

— Czy te pytania naprawdę są częścią kwestionariusza?

— Nie. Jestem po prostu ciekawski. — Znowu ten wzrok. Bella roześmiała się. Przynajmniej był szczery.

— Nie chodzi o to, że ich nie lubię. Ja po prostu... — Wzruszyła ramionami. — Ja... tak czy inaczej, jestem... jeszcze kawy?

Bella spędziła trochę czasu na bawieniu się pokrywką czajnika, głośnym otwieraniu i zamykaniu szafek w poszukiwaniu herbatników.

— Nie rób sobie kłopotu. Naprawdę. — Will wstał, żeby wyjść. — I tak już się zasiedziałem. Więc pomyśl, co konkretnie chcesz mieć w ogrodzie, wszystkie rzeczy, które muszą się tam znaleźć i tak dalej. Zrób listę.

— Tak jest. Robienie list, w tym jestem dobra. Czy naprawdę zaprojektujesz go tak, aby odpowiadał każdej mojej potrzebie?

— Nie. Będę potakiwał i często mówił: „Rozumiem. Żaden problem”, po czym zignoruję cię i zrobię przede wszystkim to, co mi przyjdzie do głowy.

Will wyciągnął swoją wizytówkę.

— Zadzwoń do mnie. Proszę — dam ci jeszcze kilka, w razie gdybyś chciała je komuś przekazać.

Bella uśmiechnęła się.

— Wydrukowali ci za dużo, prawda?

— Cóż, są tańsze, gdy zamówi się tysiąc.

— Tysiąc? Dobry Boże. Daj mi cały plik. Na odwrocie będę mogła robić listy zakupów.

— Nadają się również do podkładania pod nogi chybotliwych stolików w restauracji.

Na tablicy w kuchni brakowało wolnych pinezek, więc Bella wsunęła jego wizytówkę za róg zdjęcia. Tego, które przedstawiało ją i Patricka. Jej palec przez moment spoczął na pinezce, pod opuszką poczuła jej zimną twardość.

Usłyszała wiadomość, kiedy gotowała.

Bella miesza sos i śmieje się z tego, jak Viv opisuje napuszonego tumana, którego musiała znośić podczas swojej całodniowej konferencji.

— Więc ona zaproponowała mu kawałek sera Brie, a on powiedział: „Właściwie sam wyglądam jak ser stilton” i zaśmiał się, oczekując od nas, że uznamy go za wielkiego dowcipnisia. Nie mogliśmy

z Jill na siebie spojrzeć. A do tego miał na sobie marynarkę z takimi błyszczącymi guzikami z małymi kotwicami.

— Marynarkę, co? Powiesić takich jak on, to za mało. Dzwoni telefon.

— Odbierz proszę. Muszę dalej ubijać, bo wygląda jakoś niewyraźnie. To prawdopodobnie Patrick. Spóźni się. Pyta, czy możemy zostawić mu kolację. Bla, bla. Powiedz mu, że mamy pieczone banany — to go ponagli.

— Dobry wieczór, rezydencja państwa Kreuzer i Hughes. — Głos Viv jest przesadnie poprawny, niczym u recepcjonistki.

— Tak, tak. Jest tuż obok.

Viv podaje jej słuchawkę i mówi, że to ojciec Patricka.

— Witaj, Joe! Co tam u ciebie? Patrick jeszcze nie wrócił. Jest...

Zamilkła.

Słysząc tylko tykanie kuchennego zegara. Viv przestaje ubijać i unosi wzrok. Twarz Belli wygląda jak maska, blada i pozbawiona wyrazu.

— Yhmm. Tak, nadal tu jestem. Trzymam się. Gdzie jesteście? Poczekaj. — W pośpiechu szuka długopisu. — Dobra. Gdzie mam przyjechać?

Gryzmoli nierówno na odwrocie koperty, na dole listy z zakupami. Kiedy patrzy na pętle i linie z atramentu, pojawiające się na papierze, wie, że zapamięta tę chwilę na zawsze — jak stoi w tej kuchni, widzi nazwę szpitala obok słów, które nagle wydają się banalne, niezrozumiałe — *masło, kartofle, zielone warzywa, kawa* — *NIE bezkofeinowa, jedn. maszynki dla P*. Jeśli się zastanowić, czy „kartofel” nie był dziwnym słowem? Czy aż tak się śpieszyła, że napisała „jedn. maszynki”? Spojrzała na twarz Viv, sposób, w jaki trzepaczka wypada z jej ręki do sosu. Jaki głośny jest zegar kuchenny. Dlaczego jest taki głośny?

Wzrok Belli błądzi po korkowej tablicy, kolorowych kartkach, listach i wiadomościach — „Taj Mahal Na Wynos. Zadzwoń po Darmową Dostawę. Specjalność Tandoori na Piątkowy Wieczór”. Fotografia z wakacji przedstawiająca ją na plaży w Arisaig, kiedy objechali razem zachodnie wybrzeże Szkocji. Groteskowo słodkie zdjęcie Lawrence'a, siostrzeńca Patricka, przebranego za pasterza z okazji jasełek, ze ścierką do naczyń na głowie. Samotny kolczyk z gagatem, który pełen optymizmu czekał na odnalezienie swojego towarzysza. Stara wiadomość: „B. nie zapomnij, wrócę po 10. Proszę, zostaw trochę jedzenia albo zadowolę się tostem (chlip...). Całusy, P”. Zamazane zdjęcie zrobione za pomocą samowyzwalacza w czasie ostatnich świąt Bożego Narodzenia, na którym są razem w łóżku, a na głowach mają czerwone filcowe rogi.

Drży. To pewnie normalne, powtarza sobie. Ma wrażenie, że jest poza swoim ciałem, widzi swoją dłoń, która ściska słuchawkę jak koło ratunkowe, swoje gołe stopy na podłodze. Nie czuje po-

sadzki pod sobą; przyciska mocno podeszwy stóp do korkowych płytek, nawiązując kontakt z podłożem. Kiwa głową, potakuje, tak, tak, już wyjeżdża, przyjedzie jak najszybciej.

— To Patrick, prawda? — pyta Viv.

— Zdarzył się wypadek. Na terenie budowy. — Brzmi jak kwestia z kiepskiego filmu. Chciałaby cofnąć taśmę i powiedzieć coś bardziej sensownego, przejmującego, lepszego.

— Czy on ...?

Patrick żyje, ale jest nieprzytomny, doznał ciężkich obrażeń głowy, ma wewnętrzny krwotok.

— Buty? Potrzebuję jakichś butów.

Kiedy siada i próbuje zawiązać buty, nie może opanować drżenia nóg; jej kolana podskakują w dół i w górę jak tłoki. Viv klęka przy jej stopach i zawiązuje sznurowadła, przytrzymuje Bellę za ramiona.

— Nie możesz tak prowadzić — mówi Viv. — Zawiozę cię.

◆◆◆

— ...albo w weekend? — pytał Will.

— Hmm?

— Przepraszam, jeśli przeszkadzam. Chodzi o to, że teraz jest dobra pora, aby rozpocząć pracę nad twoim ogrodem, więc zadzwoń wkrótce. Dobrze? Czy jestem zbyt bezczelny?

— Nie. Tak. Masz rację.

— Czy jestem zbyt bezczelny?

— Nie. Wracając do twojego wcześniejszego pytania. Wkrótce. Następny weekend? A może to nie...

— W porządku. Pasuje. Do zobaczenia więc wtedy. To nie brzmi dobrze, prawda?

— Co?

— „Więc wtedy”.

— Czy myślałeś o poddaniu się leczeniu? Obecnie chirurgia laserowa dokonuje cudów. W jednej chwili wypalają całe płaty mózgowe.

— Dziękuję. Zapamiętam to. Wychodzę już, ale nie zapomnij.

— Nie zapomnę. — Przytaknęła zdecydowanie. „Ale czego?”, zastanawiała się.

— Croissanty — powiedział Will, machając jej przed nosem papierową torbą, kiedy otworzyła drzwi. — Za to, że zmusiłem cię do wczesnego wstania.

— Bzdura. Już od godzin jestem na nogach. Przebiegłam piętnaście kilometrów. Zrobiłam sto pompek. Poodkurzałam dom. Wylizałam okna do czysta. Ponownie pokryłam dach dachówką.

Wzięli croissanty i kubki z kawą na zewnątrz do ogrodu. Stali i rozmawiali, opierając się plecami o oszklone drzwi prowadzące do ogrodu, przyjemne, ciepłe od wiosennego słońca. Chciał wiedzieć, jakie rośliny lubi.

Zamknęła oczy, żeby sobie je wyobrazić, zobaczyć je świeże i żywe w swoich myślach — trawa, powiedziała — pierzaste główki falują na wietrze, odbijając światło — różne faktury, liście niczym z filcu, błyszczące łodygi i te rośliny z pokrytymi meszkiem, plisowanymi liśćmi, które zatrzymują krople deszczu w postaci szklanych kuleczek — smugi koloru — wonne rośliny, duże róże o pełnych kwiatach, lawenda i jaśmin — zioła, melisa, rośliny do gotowania — coś dramatycznego, kolczastego, może juka, coś, co można oświetlić w nocy, żeby rzucało cień na mur.

Rozmawiali o kształtach, proporcjach, stylach, materiałach. On szkicował pomysły, chodził tam i z powrotem, machał rękami jak szalony dyrygent, pokazywał jej różne rzeczy, kuczał, aby zaprezentować pozycję kamiennych donic, stał prosto jak drzewo, żeby mogła ocenić efekt z wnętrza domu. Dyskutowali nad wydatkami.

— Nie szalej, nie jestem sułtanem Brunei.

— Więc w takim razie nie będzie marmurowego patio? Brykających złotych nimf w fontannie?

Zadawał jej jeszcze więcej pytań: ile czasu będzie poświęcała na zajmowanie się ogrodem? „Szczerze”, powiedział. Czy była leniwa? Jak jeszcze spędza swój czas?

— Czy nie masz nic przeciwko moim pytaniom? Moja mama mówi na mnie Hiszpańska Inkwizycja.

— Ha! Przy mojej matce Hiszpańska Inkwizycja wygląda jak wycieczka kościelna.

Zapytała, czy nie chciałby czegoś przekąsić, miała jedynie resztki z lodówki; była zakłopotana faktem, że ponownie zajęła tyle jego czasu, a w domu może czekał na niego prawdziwy gorący obiad?

— Nie ma szans.

— Częstuj się. — Rozłożyła potrawy na kuchennym blacie. — To taki obiadowy wypas. Po prostu bierz, na co masz ochotę.

— Ale smakołyki. Jak nocna ucztą — uwielbiam podjadać.

— Ja też.

— Ja bardziej.

Bella spojrzała na niego. — Dawniej, gdy byłam mała, też tak mówiłam.

Will stwierdził, że w porównaniu z zawartością jego lodówki to była prawdziwa uczta.

Kurczak na zimno w sosie z bazylii, sałatka z białej kapusty domowej roboty, gorący chleb ciabatta, płynny brie. Wzruszyła ramionami.

— To tylko resztki. Czy ty nie jesz niczego porządnego?

— Oczywiście, że tak. Dlaczego kobiety zawsze myślą, że mężczyźni nie potrafią gotować? Umieć zrobić dobrego kurczaka z rusztu. Coś w rodzaju potrawy z duszonymi jarzynami. — Zastanawiał się. — Kotlety! — krzyknął triumfalnie. — Makaron z sosem.

— Domowej roboty czy ze słoika?

Zmarszczył brwi. — O! I robię wyśmienite mięso podsmażane po chińsku.

— Wszyscy mężczyźni tak mówią. Widziałeś ten film dokumentalny? Jak dowiedziono, chromosom Y jest odpowiedzialny za zdolność gotowania tylko na dużym ogniu — dlatego mężczyźni lubią grillować.

Ponownie na zewnątrz; Will zaciągnął ją na sam koniec ogrodu. Stał za nią, wskazując przez jej ramię dom. Czowała ciepło jego oddechu na swoich włosach. Przez chwilę wyobraziła sobie, że słyszy, jak przetyka, jak powietrze rozszerza jego płuca, rytmiczne bicie jego serca.

— Tam. Widzisz? Pamiętasz, co zasugerowałem wcześniej odnośnie patio? Z szerokimi schodami. — Odsunęła się i przeczesła palcami włosy.

— Dobrze. A co z tym okropnym trawnikiem? Will stanął na nim.

— Pozbądź się go. Jest w beznadziejnym stanie. Oczywiście, jeśli chcesz, możemy ponownie pokryć to miejsce darnią, ale ja bym się nie wysilał. To nie jest dobre wykorzystanie przestrzeni. Tylko pomyśl... — zatoczył szeroki łuk ręką, jak czarodziej rzucający urok. — Żadnego koszenia. Żadnego przyszywania brzegów. Więcej miejsca na ciekawe rośliny...

— Czy to nie będzie wyglądało zbyt surowo? Jak parking?

— Nie, chyba że wyraźnie poprosisz o asfalt. Myślałem o ułożeniu tam kamieni, tak że moglibyśmy sadzić bezpośrednio do ziemi pod spodem — ozdobne trawy, zioła, cokolwiek. Albo duże, niezgrabne, szare kocie łby, z wodą...

— Jak na plaży? Cudownie. Mój tato zabierał mnie nad morze, gdy byłem mała. Nadal tam jeżdżę, kiedy czuję się do dupy.

— To samo tutaj. O, spójrz tam... — Oddalił się i zanurkował między dwoma wybujałymi krzakami.

Bella wpatrywała się w ziemię, zamieniając ją w myślach w swoją prywatną plażę — rozciągająca się linia horyzontu, woda wlewająca się na kamienie, wilgoć ożywiająca ich kolory, morska fala spieniona na jej stopach.



Zostaje na pożegnalnym przyjęciu tak długo, jak nakazuje przyzwoitość, tak naprawdę trochę krócej. Przemyka cicho przez pokój, aby pożegnać się z filarami rodziny Patricka. Joseph przytula ją tak mocno, że prawie nie może oddychać. „Bądź z nami w kontakcie, dobrze? Odwiedzaj nas”. Rose całuje ją w policzek. „Byłaś dla nas taką pociechą”. Sophie nagle wygląda jak dziecko, jej oczy stają się duże i mętne. „Czy mogę cię odwiedzić, Bel?”. Alan tylko mocno ją obejmuje. Nie może mówić.

Jedzie nad morze. Patrick zabrał ją tam kilka razy, kiedy jechali w odwiedziny do jego rodziców. Teraz potrzebuje morskiego powietrza w swoich płucach, pieczenia soli w nozdrzach, wiatru, który owiałby jej twarz, pozostawiając ją oczyszczoną, surową, ale odnowioną.

Kiedy skręca w drogę prowadzącą na plażę, jak zwykle zaskakuje ją nagła pustka na jej końcu, gdzie trakt zakręca gwałtownym łukiem. Gdyby pojechała prosto, wyskoczyłaby ponad kamienie, żeglując w kierunku ogromnego nieba; szybowałaby jak wielka metalowa mewa przez jedną piękną, wzniosłą chwilę, a później spadłaby w fale, nurkując głęboko, tonąc, aby osiąść na dnie morza. Tam ryby skubałyby jej ciało, tańczyły między jej kośćmi. Kraby chodziłyby po jej żebrach z klekotem stłumionym przez morze. Jej włosy falowałyby jak wodorosty. Pąkle zasiedliłyby ją, uczyniły swoim miastem; byłaby częścią innego świata, jej słone łzy zostałyby niezauważone w morzu.

Samochód zwalnia, a ona koncentruje się na skręcie w lewo w ślepą uliczkę, aby zaparkować za znakiem „Nieprzystosowany dla motorów”. Wyciąga swój stary, wygnieciony płaszcz przeciwdeszczowy z jego stałego miejsca pobytu — bagażnika samochodowego. Kamienie chrzęszczą pod nogami, jej czarne zamszowe buty zapadają się w nie. Zdejmuje je i idzie kilka kroków dalej. Psia-krew, ale te kamienie są twarde; żałuje, że nie wzięła innych butów. Ale w końcu, kiedy jedziesz na pogrzeb, zwykle nie zastanawiasz się: „Czy mam wszystko? Chusteczki? Czarny kapelusz? Buty na plażę?”.

Wiatr zawiewa jej włosy na twarz, do ust; podchodzi bliżej do falochronu, szukając schronienia. Ale podniszczony; drewno jest gładkie w dotyku, wypolerowane przez fale i — jak przypuszcza — piasek. Opiera głowę o falochron i patrzy spod przymrużonych powiek wzdłuż całej jego długości. W wąskich szczelinach między żerdziami znajdują się małe kamyczki, ale nie umie powiedzieć, czy zostały tam umieszczone przez zdeterminowane dziecko, czy siłę morza. Zamachała palcami stóp do kamieni w dole, tak dziwnych w porównaniu z jej cienkimi czarnymi rajstopami.

— Kurwa, kurwa, kurwa — mówi pod nosem. — Cholera, cholera, cholera. — Jak on mógł mi to zrobić? To cały Patrick, doprawdy. Jest tak cholernie przekorny. Zawsze musi iść własną drogą. Tylko on mógł dać się zabić w tak absurdalny sposób i w tak nieodpowiedniej chwili. W tym absurdzie jest jakiś rodzaj przyjemności, pociechy. Lepiej wkurzać się na niego i pomstować na jego irytujące nawyki, niż pozwolić swoim myślom na chwilę ciszy, w której czai się mrok, kłębi się cierpliwie, gotowy na moment, kiedy zostanie wpuszczony. Jeśli Bella wytrzyma wystarczająco długo, może po pro-

stu oddali się chyłkiem, znudzony oczekiwaniem? Ale ona wie; wie, że on tam jest. Będzie pełzać między jej kostkami, więc się, aż uśpi jej czujność. Wtedy oplecie ją, wpełźnie po niej, ciężki i zimny jak kamień, i pociągnie w dół, w studnię ciemności. Nigdy nie uda jej się wdrapać z powrotem na górę. Nie. Zerknęła poza krawędź i wtedy strach chwycił jej żołądek. Nie zrobi tego. Nie może.

— Cholerny Patrick. — Spycha mocno kamień stopą w dół.



— ...więc zgadzasz się? — Will stał blisko i patrzył w dół na nią.

Wydawał się oczekiwać czegoś.

— Mmm?

— Witamy z powrotem. Zgadzasz się, żebym usunął te krzaki? Zajmują miejsce.

— Czy ta przestrzeń nie będzie wyglądała na zbyt odsłoniętą?

— Zaufaj mi. Będzie pełno zacisznego miejsca. Możemy postawić pergolę z ginurą pnącą oraz odrobiną powojnika w tym rogu. O, wiem... — Pobiegł na koniec ogrodu, a Bella uświadomiła sobie, że za nim podąża. — Powiedzmy, właśnie tutaj — sekretna kryjówka z dachem z gałęzi wierzby. Wystarczająco duża dla ciebie i drugiej osoby...

— Tak. — Odwróciła się, aby uciec przed jego wzrokiem. — Podoba mi się. Ale bez tej „drugiej osoby”. Pojedyncze miejsce wystarczy. — Udawała, że nie słyszy go za sobą, kiedy szła w kierunku domu.

— Jesteś pewna?

— O, czy dziś są twoje urodziny? Ile masz lat? — Will skinął w stronę bogato zdobionej lampy od rodziców Belli, nadal na wpół okrytej bibułą. — Jeśli wolno zapytać?

— Nie, nie wolno, i nie, nie mam dziś urodzin. To prezent do nowego domu od moich rodziców. Jeszcze nie zebrałam się, żeby go wymienić. Paskudna, prawda?

Wzruszył ramionami.

— Wcale nie. Wygląda tylko trochę jak z jakiejś rezydencji. Powiedziałbym, że nie całkiem w twoim stylu.

— Ach? Więc jesteś już ekspertem?

— Tak. Ekipy detektywów pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę, aby przygotować dla mnie co godzinę najświeższe informacje na twój temat.

— No i co mówią?

— To ściśle tajne. Poza tym nie doszły jeszcze do preferencji odnośnie abażurów.

Pokręciła głową, powstrzymując uśmiech.

— À propos, muszę zadzwonić do staruszków. Weekendowy obowiązkowy telefon.

— A, więc jesteście ze sobą blisko?

— Poczęstuj się herbatą. — Bella wskazała Willowi czajnik. — W niebieskiej puszcze, z pokrywką zabezpieczającą przed dorosłymi. Kawa jest w szafce po prawej.

— No dalej, tato. — Po cichu Bella próbowała siłą woli zmusić swojego ojca do odebrania telefonu.

— O! Cześć. To ja.

— Bella, kochanie! Jak miło! — Głos jej matki zabarwiony był zawołaną paniką. Bella wyobraziła sobie ją w holu, jak bawi się jedwabną apaszką i rozgląda się desperacko w poszukiwaniu Geralda. — Więc. Co... u ciebie?

„Czy zamierzasz być wiecznie samotna?”.

— Z domem wszystko w porządku?

„Zdaje się, że jeszcze nie zostaliśmy zaproszeni”.

— Dostaliśmy kartkę od ciebie. Cieszę się, że spodobała ci się lampa. Nie byłam pewna, wiesz, czy będzie całkiem... Tak czy inaczej.

„Nie można ci dogodzić”.

— Jest bardzo elegancka. — No dalej. Idź i zawołaj tatę. — Zaczęłam znowu rysować. — Cholera. Miała tego nie ujawniać. Teraz jej matka zaśmieje się pobłaźliwie; Bella bawi się w artystkę. Jakie to zabawne.

— To cudownie, kochanie. Cieszę się. Kiedy porzuciłaś rysowanie, wydawało mi się to taką stratą. Powinnaś wykorzystać swój talent.

„Jaka szkoda, że nigdy nie możesz wytrzymać przy jednym”. Boże, ona nigdy nie przepuściła okazji, żeby zrobić jakiś przytyk.

— Co u taty?

— Już go proszę. — Ulga zaświstała po obu stronach linii telefonicznej. — Gerald! Bella dzwoni.

Pojawił się Will i zrobił znak w kształcie litery „H”; obie dłonie równolegle, a między nimi zgięty palec. Znak zapytania.

— Tak poproszę. — Kiwnęła głową.

— Tak poproszę co? — Głos jej ojca pojawił się w słuchawce.

— Cześć tatusiu. Jak leci? Nakazuję tylko mojej służbie, aby mnie obsłużyła.

— To prawidłowo, oczywiście. Jest Viv? Pozdrów ją od nas.

— Nie. Poszłam za twoją radą...

— To coś nowego — zaśmiał się Gerald.

— Och, bądź cicho. Wynajęłam kogoś, żeby zajął się ogrodem.

— Dobrze. Zna się na rzeczy?

— Poczekaj. Zapytam go. Will? — zawołała w kierunku kuchni. — Mój tato chce wiedzieć, czy znasz się na rzeczy?

Głowa Willa ukazała się przy framudze drzwi.

— Powiedz, że wszystkiego nauczyłem się z Zestawu Małego Ogrodnika, kiedy miałem jedenaście lat.

— Słyszałeś to tatku?

— Brzmi nieźle. Jest wolny?

— Och, tatusiu! Nie mam pojęcia. Jesteś gorszy od Viv.

— Więc jest czy nie?

— Skąd mam wiedzieć? Pewnie nie. A zresztą, co to ma ze mną wspólnego?

Głowa Willa ponownie pojawiła się w drzwiach, tym razem na wysokości kolan.

— Herbatniki? — zapytał. — Muszę mieć herbatniki, jeśli mam być kreatywny.

— Zastanawiałam się nad malowidłem ściennym na murze. — Bella wskazała na sam koniec ogrodu.

Will powiedział, że oczywiście, może mieć, co chce, ale to będzie drogie. Jego zdolności artystyczne nie sięgają aż tak daleko, więc będzie musiał zlecić podwykonanie. Bella wyjaśniła, że planowała zrobić je własnoręcznie.

— Twoja twarz — zaśmiała się — jest jak otwarta książka.

Widzę, jak myślisz: „Och nie, klientka, której wydaje się, że umie malować. Zepsuje cały ogród jakimś okropnym krajobrazem toskańskich gajów oliwnych”.

— Byłaś blisko. Właściwie myślałem, że wołałabyś gotycką budowlę ogrodową pokrytą pnączami. Jakaś szalona romantyczna fantazja.

— Trafienie! Jesteś całkiem blisko. — Opisała swoje plany — kruszące się sklepienie przejście namalowane techniką *trompe l'oeil**, otoczone na przykład prawdziwą pnącą się różą, które ukazuje w głębi nęcący nasłoneczniony sekretny ogród ze ścieżką zakręcającą w ciemnościach.

* Malowidła wykonane tą techniką sprawiają wrażenie trójwymiarowych.

— Nie chcę być nieuprzejmy — powiedział — ale to wygląda na śmiały wyczyn.

— Zawsze mogę to zamalować, jeśli będzie wyglądało okropnie.

— Albo puścić róże po ścianie.

— Czy wobec wszystkich swoich klientów jesteś tak niegrzeczny?

— Tylko dla tych z napiętym budżetem. Dodaj jeszcze kilka stówek, a będę prawdziwym czarusem — „Malowidło ścienne! Cóż za szczęśliwy pomysł! I sama go namalujesz? Jak cudownie! To doda ogrodowi twojego unikanego charakteru”.

— To do ciebie nie pasuje. Już wolę, jak jesteś nieuprzejmy, dzięki.

— Emm, twoja toaleta na dole chyba przeżywa najazd pudeł. Skąd one się wszystkie wzięły? — zapytał Will.

— Musiałam zrobić trochę miejsca w pracowni. Z pewnością dasz radę wejść po schodach?

Will wyjaśnił, że wielu klientów nie lubiło, aby ogrodnik korzystał z toalety na górze. Niektórzy nie wpuszczali go nawet do domu. Kiedyś chodził sikać za krzakiem w ogrodzie, ponieważ właściciele dali mu aż nazbyt wyraźnie do zrozumienia, że nie życzą sobie, aby przekraczał próg domu. Zawsze brał ze sobą termos, nigdy nie mógł liczyć na to, że zaproponują mu filiżankę herbaty.

Bella była oburzona. Czy to go nie złościło? Wzruszył ramionami.

— Niektórzy ludzie tacy są. Nie ma się co denerwować z powodu każdej drobnostki, która cię irytuje. W przeciwnym razie nigdy nie przetrwałabyś jednego dnia.

— Ależ ja uwielbiam rozprawiać o denerwujących mnie rzeczach. To prawie moja ulubiona rozrywka.

— Hmm? Więc co jest ulubioną?

Jego słowom towarzyszył znowu ten wzrok. To dziwne, oceniające spojrzenie, jak gdyby wyrażał sobie opinię, jakby próbował wejrzeć do wnętrza jej głowy.

— Klócenie się.

— Poza tym — powiedział — zemściłem się. Dorzuciłem jeszcze jeden tysiączek do rachunku. Za te pieniądze mogliby wybudować osobną toaletę dla pracowników.

— Łazienka jest na prawo. — Bella wskazała na schody. — Och, zaczekaj. — Podążyła za nim po schodach. — Chyba skończyło się mydło.

Patrzył na nią, jak przeszukiwała pudła.

— W jednym z nich na pewno jest mydło. Poczekaj, poczekaj. — Zauważyła jego wyraz twarzy. — Uważasz to za zabawne, że nie mogę nic znaleźć we własnym domu?

— Tak. Dlaczego nie weźmiesz się za te pudła za jednym zamachem i nie rozpakujesz wszystkiego, tak abyś wiedziała, gdzie co jest?

— Z powodu wilgoci!

— Ach, to teraz już wiem, dlaczego pozwalasz mi skorzystać ze swojej ekskluzywnej toalety. Chcesz, żebym zamienił słówko z moim prawie szwagrem, prawda?

Bella otworzyła drzwi do pracowni, aby poszukać następnego pudła. Z pewnością gdzieś było mydło.

— Ależ to fantastyczne! — Will stał w wejściu i patrzył na niemal skończone malowidło na ścianie z pęknięciem. — Zdajesz sobie sprawę, że teraz czuję się jak skończony palant? Dlaczego nie powiedziałaś, że jesteś profesjonalistką?

— Bo tak naprawdę nie jestem. Wiesz, ja pracuję tylko jako tak zwany dyrektor kreatywny; to eleganckie określenie na projektanta. Maluję tylko dla siebie. Na życie tym nie zarobisz.

Pęknięcie zostało wkomponowane w obraz, który przedstawiał starą, łuszczącą się ścianę z półotwartym oknem. Na parapecie stał mały kamionkowy garnuszek. Część ściany była jasno oświetlona, jakby światłem wpadającym przez sztuczne okno, część pod parapetem znajdowała się w głębokim cieniu.

— Założę się, że mogłabyś zarobić na kawałek chleba, wykonując malowidła ścienne. — Wskazał na okno. — Myślałem, że garnuszek jest prawdziwy. I ten kawałek drzewa, który można zobaczyć przez okno. To wiśnia kwitnąca zimą, prawda? Prawdopodobnie *Prunus X subhirtella* „Atumnalis”.

— Popisy. Nie mam pojęcia. Namalowałam to, co rośnie w ogrodzie sąsiadów. Kwitło, kiedy się tu wprowadziłam.

— To jest cholernie dobre, wiesz? Założę się, że załatwiłbym ci kilka zamówień, gdybyś była chętna.

— To znaczy, że stałabym się prawdziwą artystką? — Bella splotła dłonie. — Och, marzyłam o tym od tak dawna! Ślęczałam nad parzącym w ręce pędzlem na moim skromnym poddaszu. Rezygnowałam z pączków z dżemem, aby kupić farby. Nareszcie mój geniusz został odkryty!

— Czy ty zawsze tak robisz?

— Przepraszam, proszę pana. Nie mogę się opanować, proszę pana.

— Znowu to robisz. — Will pokiwał głową. — Powiem ci jedną rzecz...

— Czy mogę wziąć notes?

— Czy możesz się zamknąć na chwilę? Jeśli zawsze żartujesz z rzeczy dla ciebie naprawdę ważnych, to znaczy, że masz o sobie niskie mniemanie.

— Dlaczego myślisz, że malowanie jest dla mnie ważne?

Nic nie powiedział. Oparł się tylko o framugę drzwi i popatrzył na nią. Poczula, jak się rumieni, jakby przez przypadek zobaczył ją nagą.

— A nawet jeśli jest? — Skrzyżowała ręce i zagryzła wargę.

— Nadal muszę jeść, prawda?

— Oczywiście. Ale jeśli nie traktujesz swojej pracy poważnie, to możesz założyć się o swoje jaja, że inni też nie będą.

Bella zaśmiała się.

— „Założyć się o swoje jaja”? Dobry Boże, skąd, do licha, tyś to wziął? Nie mam jaj. Jestem rodzaju żeńskiego, jeśli jeszcze nie zauważyłeś.

Will poszedł do łazienki i zamknął drzwi.

— Twoje metaforyczne jaja — krzyknął ze środka. — Które z pewnością masz. — Słyszała, jak siusiał, co wydało się jej bardzo intymne. Zaczęła schodzić po schodach. — I owszem, zauważyłem — usłyszała głos z góry.

Po wielu telefonach, kilku faksach i wielu filiżankach herbaty w ciągu następnych dwóch tygodni plan ogrodu został ukończony, a skromny budżet uzgodniony. Niektórymi pracami budowlanymi — patio, pergola — miał zająć się podwykonawca Willa

— Douglas. Will wyjaśnił, że może zredukować koszty, jeśli Bella pomoże przy czyszczeniu i sadzeniu, co dodatkowo przyspieszy pracę.

— W tej chwili reszta moich projektów to zlecenia miasta, więc jeśli ci to pasuje, większość możemy zrobić w weekendy — powiedział. — Wtedy będziesz mogła pomagać, doglądać, zupełnie zmieniać swoje zdanie, mówić, że wyobrażałaś sobie coś bardziej na kształt Wersalu i prosić o przesunięcie ogrodu odrobinę w lewo. Na pewno jesteś zadowolona? — zapytał Will. — Później będziesz mogła bawić się szczegółami, ile tylko zechcesz, ale podstawy musimy ustalić na samym początku, bo w przeciwnym wypadku nic z tego nie wyjdzie.

— Więc — powiedziała Bella — ostateczny test. Czy podzielasz zdanie swojego prawie szwagra, że praca jest raczej ciekawym pojęciem, które można poddać dyskusji, ale niekoniecznie czymś, co należałoby w rzeczywistości wykonać? Czy możesz wkrótce zacząć?

Mógł. Zrobi to. Powiedział, że nie może się już doczekać. Wszystko zależało od niej.

11

— Więc jaki on jest? — Viv rozsiadła się na swoim krześle w barze serwującym tapas.

— O, proszę, to jest niezłe. — Bella odwróciła butelkę wina, aby przyjrzeć się etykietce. — Kto?

— Twój ogrodnik. Czy jest twardym człowiekiem ziemi? Szorstkim, a w środku tak naprawdę wrażliwym?

— Nie do końca. Myślę, że „Will” i „wrażliwy” to nie są słowa, które w naturalny sposób znalazłyby się w tym samym zdaniu.

— Ale zdaje się, że spędzasz dużo czasu w jego towarzystwie. Tęsknię za tobą. A Nick marzy o twojej potrawie z krewetek.

— Cieszę się, że oboje cenicie mnie za moje wspaniałe przymioty, a nie tylko za to, że w cudowny sposób obchodzę się ze świeżym imbirem.

— Więc kiedy znowu się z nim spotkasz?

— Ja się z nim wcale nie „spotykam”. W sobotni rano przyjdzie, żeby zacząć pracę.

— Założę się, że wstaniesz wcześniej, żeby zrobić sobie makijaż. Jaki jest współczynnik „apetyczności”?

— Co z tobą? Masz obsesję na tym punkcie. Powinnaś być już na to za stara.

— Muszę mieć jakieś zastępcze przyjemności, prawda? Czy nie żałujesz nas, nudnych par, które popadły w rutynę? Główną atrakcją naszego tygodnia jest chińskie żarcie i film wideo w piątkowy wieczór. Tak czy inaczej, musiałaś o tym myśleć.

— Dlaczego musiałaś? To nie ja mam tu obsesję. Mówiłam ci, nie mam sił, żeby być w związku. To całe wychodzenie i robienie różnych rzeczy. Bycie miłą. Zbyt skomplikowane. Wasze życia zaczynają się splatać, a po wszystkim trzeba się starać rozplatać cały ten bałagan. Nie patrz tak na mnie.

— Jak? Nie zawsze jest „po wszystkim”, kochanie.

— W moim przypadku jest. Związek to tylko ta część, która ma miejsce, dopóki nie dojdę do etapu „po wszystkim”.

Viv westchnęła.

— Więc jest apetyczny czy nie?

— To nie jest ten typ, o którym masz szalone namiętne fantazje. Nie jest przystojny, ale całkiem atrakcyjny. Milutki. Ma ładne oczy. Wygląda tak solidnie jak drzewo, jakbyś mogła się na nim wesprzeć. I ma taką małą bliznę. O tu. — Podniosła dłoń do brwi.

— Nie żebyś spędziła czas na przyglądaniu się mu.

Bella zmarszczyła nos.

— Jego włosy są trochę osobliwe jak sprężynki, niektóre dziwnie odstają.

— Kurczę. Dzikie włosy. Jakie okropne. — Oczy Viv rozszerzyły się, wpatrzone w bezładne loki Belli.

— Bardzo śmieszne. Muszę cię poinformować, że zagnieździło się tu czternastu uchodźców. Czy chcesz, żebym wyczesła ich na ulicę? — Bella wypiła resztę swojego wina. — Tak czy inaczej, z pewnością nie jest dziarskim panem Rochesterem*. To po prostu zwyczajny facet.

— Czy ja w ogóle dostanę wino? Nie stawiaj na nim krzyżyka, kochanie. Pamiętaj, pan Rochester miał kopniętą żonę zamkniętą na strychu. Wiele przemawia za zwykłym facetem.

* Bohater powieści Charlotte Brontë *Dziwne losy Jane Eyre*.

Początkowo po przeprowadzce weekendy strasznie się jej dłużyły. Chodziła po sklepach, później do Viv, z powrotem do domu, wałęsała się z pokoju do pokoju, daremnie przekładała rzeczy z jednego miejsca na drugie, zabierała się za przypadkowe zajęcia, jak gdyby to była imponujących rozmiarów przeszkoda, wymagająca gigantycznych zasobów energii — zrobienie aksamitnej poszewki na

poduszkę, obszycie zasłon. Teraz weekend oddalał się od niej jak święta Bożego Narodzenia, kiedy była dzieckiem; wydawał się niesamowicie odległy. Tydzień w pracy rozciągał się; przewidywalny cykl spotkań, projektowanie, wpatrywanie się szklistymi oczami w komputer, paplanie, wyskakiwanie po kawy cappuccino — „Masz na myśli *cappuccini*, Bella, kochanie”. Zaczęła częściej rysować. Jej blok wypełnił się szkicami kolegów z pracy w galerii póź. Ołówek poruszał się szybko po papierze, odtwarzał sposób, w jaki stali, siedzieli, pochylali się, przeciągali się i pracowali.

W czwartek przeglądała setki przeźroczy; jej oczy były zamglone od patrzenia przez szkło powiększające, plecy bolały od garbienia się nad przeglądarką do slajdów. Prawie co godzinę szła do biurowej kuchni, żeby powycierać blat, umyć dzbanek do kawy i wylać zepsute mleko; cokolwiek, aby zabić czas.

Zadzwoiła Viv.

— Wszystko w porządku? Masz okropny głos.

— To po prostu jest bardzo, bardzo długi tydzień. Z wielkim trudem przychodzi mi udawanie entuzjazmu dla jogurtu o smaku szampana finny Buck.

— Żartujesz?

— Nie, po prostu nie mam nastroju do pracy. — Bella już żałowała, że nie poprosiła Anthony'ego o kupienie dwóch batonów podczas czekoladowego wypadu.

— Nie, jogurt o smaku szampana. Żartowałam, czy to prawdziwy produkt?

Viv zaprosiła Bellę na przyjęcie w sobotę.

— Kuzyn Nicka, Julian, właśnie przyleciał z Rio i próbujemy mu pokazać, że my również wiemy ekscytujące życie...

— Ale przecież tak nie jest.

— Ty to wiesz, my to wiemy, ale on nie. Nick powiedział, że nie może znieść, kiedy Julian jest taki zadowolony z siebie, dlatego że my jesteśmy ustatkowani, nudni i zachowujemy się jak typowa para. Powiedz, że przyjdiesz. Nie masz nic innego w planach, prawda?

— Urocze. Ale mogłabym mieć. Bal maskowy. Premiera filmowa. Romantyczny weekend w Hull.

— Więc jesteś wolna?

— Niewiarygodne, ale tak.

Bella zaproponowała, że przyjdzie wcześniej i pomoże.

— Czy mam coś przynieść?

— Wszystko, co chcesz, oprócz jogurtu o smaku szampana. Sobota. W końcu.

— Żadnych croissantów? — Bella popatrzyła na Willa zza drzwi wejściowych.

— Wiedziałem, że zbyt wcześnie cię rozpuściłem.

— No cóż, już tu jesteś. W takim razie wejdź.

Podawała mu talerz. I croissanta. Próbowwała przestać się uśmiechać jak głupek, zagryzając wargę. Była na siebie zła za to, że cieszy się na jego widok. Zaskoczona. Wpadła do kuchni, mówiła do niego przez ramię i unikała jego wzroku. „Nie bądź zbyt rozentuzjasmowana”.

— Wyszłam wcześniej i kupiłam je. I tak prawie nie spałam, więc pomyślałam, że równie dobrze mogę wstać.

— O? Dlaczego?

— No, wiesz... — Odkręciła do końca kurek i skupiła się na szorowaniu zlewu.

Folia, przykryta płachtami chroniącymi przed kurzem, rozciągnięta była na całej drodze między drzwiami wejściowymi a tymi do ogrodu; wszystko — cegły, gruz, kamienie, rośliny — musiało przejść przez dom, ponieważ był on usytuowany w środkowej części rzędu szeregowca.

Zabrali się do roboty; usuwali jeżyny, przenosili inne rośliny, aby zabezpieczyć je przed gruzem.

— Nie przemęczaj się — powiedział. — Nadwreżysz sobie plecy, jeśli nie jesteś przyzwyczajona do tego rodzaju pracy.

— Przypuszczam, że uważasz mnie za słabą kobietkę?

— Dlaczego przybierasz pozycję obronną? To nie ma nic wspólnego z twoją płcią. Liczy się to, do czego przywykłaś. Nie możesz siedzieć cały tydzień za biurkiem, a potem przeskoczyć od razu do fizycznej pracy. — Oparł grabie o mur. — I tak czas na przerwę. Ale będzie pięknie. — Zrobił szeroki ruch ręką, jak gdyby już widział skończony ogród. — Ale zanim będzie lepiej, zrobi się gorzej, więc ostrzegam.

Douglas przyjechał w porze lunchu, aby podnieść darń z trawnika i przygotować bazę pod patio. Był cichym mężczyzną; na powitanie ledwo kiwnął głową do Belli.

— Bardzo nieśmiały — szepnął Will. — Boi się atrakcyjnych kobiet. — Will zaznaczył na ziemi miejsce na pergolę. — A tutaj będzie stała twoja mała altanka. Widzisz? Kiedy tylko zasadzimy rośliny, będziesz niewidzialna nawet z kilku kroków.

— Idealnie — stwierdziła.

Bella wpatrywała się w czarną dziurę swojej szafy przez bardzo długi czas. Może jeśli będzie stała tam wystarczająco długo, to niesamowicie droga, elegancka, mała krepdeszynowa sukienka trafi na jeden z jej wieszaków? Naprawdę przydałyby się jej nowe ubrania. Właściwie wybór ograniczony był do trzech opcji: czarne jedwabne spodnie z brązową zakładaną bluzką lub kremową jedwabną koszulą; krótka czerwona spódnica z seksownym czerwonym topem, który pomagał odwrócić uwagę od jej wystającego brzucha; albo fioletowa sukienka, ale była zbyt ciasna i sprawiała, że Bella czuła lepkość pod pachami.

Jej wzrok padł na wiśniowo-czerwony kostium, który dała jej Alessandra. Jego materiał był wspaniały. Wyciągnęła go i przytrzymała przed sobą. Piękny, tak naprawdę dla niej zbyt porządny. Nie

czuła się wystarczająco elegancko, aby dostatecznie go docenić. Poza tym kostium był prawdopodobnie zbyt szykowny na przyjęcie. Nie. Wróciła do trzech opcji; spodnie były najwygodniejsze, ale miała ochotę zafundować swoim nogom coroczny wypad. A więc fiolet. Przynajmniej to jakaś odmiana od czerni. A niech tam, po prostu użyje dużo dezodorantu i będzie trzymać wciągnięty brzuch. To była odpowiednia sukienka do flirtu. Sprawiała, że czuła się bardziej zuchwale, śmieiej.

Zdecydowanie spędzała zbyt dużo czasu, myśląc o seksie. Prawdopodobnie dlatego, że go nie uprawiała. Nadal miała nieotwarte opakowanie prezerwatyw w szafce przy łóżku. „Powinnas być zawsze przygotowana”, mówiła Viv. „Noś też kilka w torebce”. Jakby nagle, w warzywniaku, owładnięta żądzą miała powalić na ziemię nic nie podejrzewającego sprzedawcę, który próbował ułożyć kalafiory. Najwidoczniej Viv myślała, że Bella doświadczała napadów spontaniczności, choć nic na to nie wskazywało. Nawet jeśli wychodziła po mleko i bochenek chleba, sporządzała listę. Zaczynała żałować, że zaszalała i kupiła paczkę dwunastu prezerwatyw zamiast trzech. Jak tak dalej pójdzie, będzie miała szczęście, jeśli zużyje je przed wygaśnięciem daty ważności; dobry Boże, jak tak dalej pójdzie, to ta paczka może stanowić zapas do końca życia.

— No to uciekam — Will krzyknął w górę schodów.

— OK. Poczekaj chwileczkę. Już schodzę... — Zbiegła z hukiem po schodach.

— Och, czyżbym słyszał stukot pędzących w popłochu małych bizonów? Czy ty... — Przerwał.

— Co? Co się stało?

— Nic. Przepraszam. Jeszcze nie widziałem cię tak wystrojonej. Nie rozpoznałem cię bez błota na twarzy.

— Ee... czy... wyglądam dobrze? Nie jest zbyt...?

— Zbyt jaka?

— Cóż, zbyt przyległa. Popatrz. — Obróciła się bokiem. — Mam odstający brzuch.

— Mój Boże! Masz rację. Ludzie będą o nim szeptać po kątach. Może powinnaś wynająć mały namiot cyrkowy i nałożyć go zamiast tej sukienki.

— To wcale nie jest zabawne. Po prostu odpowiedz — wyglądam w tym grubo czy nie?

— Nie. Sama sobie odpowiedz. Czy naprawdę myślisz, że w tej sukience ludzie będą patrzeć na twój brzuch?

— Czy to „nie” oznaczało, że nie wyglądam grubo, czy „nie”, nie odpowiem na pytanie?

— Niewiarygodne. — Will potrząsnął głową. — Czy istnieje jakaś dziwna masowa histeria, która dotyka tylko kobiety? Dlaczego każda baba na tej planecie myśli, że jest gruba?

— W takim razie, czy to oznacza „tak”?

— Niepojęte. Baw się dobrze Moby Dicku. — Odwrócił się do wyjścia. — Idę utorować sobie drogę po Tesco.

Dziwne. Była pewna, że miała jeszcze kilka butelek wina. Myszy na pewno je wypily. Teraz będzie musiała wstąpić do supermarketu w drodze na przyjęcie.

Panował zadziwiający tłok. Zastanawiała się, kto, do licha, wybiera sobotni wieczór na zakupy? Może to sami fantastyczni single, szukający jakiejś rozrywki. Zawsze czytała, że supermarkety to wspaniałe miejsca na poznanie ludzi. Czy to dlatego, że z góry można było zobaczyć, czy wasze gusta są kompatybilne? Nieważne, czy mieliście jakieś wspólne zainteresowania lub podobne przekonania polityczne, czy wyznawaliście te same wartości, ideologie. Czy kupował sos w proszku, kotlety z kurczaka albo sojowe hamburgery — oto co naprawdę powinnaś wiedzieć. Zaczęła zaglądać ludziom do wózków; potrzebowała kogoś ze świeżym makaronem, porządnym winem i mnóstwem czekolady, kogoś, kto będzie seksownie całował i umiał ją rozśmieszyć. Czy prosiła o zbyt wiele?

Z głośnika rozległ się głos: „Zapraszamy do stoiska z rybami na wędzone filety z łupacza — tylko dzisiaj specjalna oferta...”. Bella spojrzała w górę. Może zrobi potrawkę rybną. Nagle, na końcu korytarza, wydawało jej się, że zobaczyła Willa, pochłoniętego swoją listą zakupów. Ha, ha — podejździe do niego i podkucza mu, że szuka miłości wśród fasoli w sosie pomidorowym. Może zakradnie się od tyłu i uszczypnie go w tyłek. Nie. Powie coś dwuznacznego. Nie. Może uda, że jest normalnym człowiekiem i przywita się serdecznie. Tak. Tak zrobi.

Kiedy szła w jego kierunku, Will zostawił na chwilę swój wózek i zniknął za rogiem. Zastanawiała się, jakie rzeczy kupował, pewnie mrożoną lasagne, piwo i prawdopodobnie coś niespodziewanego — może ciasto. Rzut oka do jego wózka. Jabłka. Banany. Mrożona lasagne — ha! Jakież puszki. Nic fascynującego. Dwie duże plastikowe paczki — „Noworodek Ultra-Dry”, głosił napis. „Uniseks. Miękkie i wygodne”. Duża niebieska plastikowa butelka — płyn do kąpieli firmy Johnson.

Wzdrygnęła się, jakby ktoś ją ugryzł. Cofnęła się i wpadła na tyczkowatego młodzieńca w muszce, który przekładał coś na półkach.

— Przepraszam — powiedziała. — Przepraszam. — Odwróciła się, ściskając swój koszyk; uderzyła nim kobietę. — Przepraszam, przepraszam. — Szła po wino, do kasy, do wyjścia.

— Aha! — powiedziała Viv, gdy otworzyła drzwi. — Seksowny fiolet. Wyszłaś, żeby usidlić kogoś konkretnego, czy to wabik na każdego niczego nie podejrzewającego mężczyznę, który będzie przypadkiem przechodził?

— To albo część zmyślnej intrygi, aby obalić rząd i zmienić cywilizację. Może też być smutna i desperacka próba podstępnego nakłonienia ograniczonego umysłowo, krótkowzrocznego mężczyzny z nadmiarem testosteronu do poderwania mnie. Wybieraj. Nie uważasz, że zbyt eksponuję mój brzuch?

— Widzę, że na giełdzie nie było nieoczekiwanego wzrostu poczucia własnej wartości. — Viv gestem ręki zaprosiła ją do środka.

Bella uniosła jedną brew.

— I ty nazywasz siebie panią domu? Jestem tu już czterdzieści pięć sekund i nie poczęstowano mnie niczym poza koreczkiem. Masz coś przyzwoitego do picia czy bierzemy to, co ja przyniosłam?

Viv smarowała rozcięte bagietki czosnkowo-ziolowym masłem, podczas gdy Bella wsypywała pistacje i oliwki do półmisek.

— Masz tam dość jedzenia? — zapytała Viv, gdy Bella rozłupała zębami kolejnego orzeszka. — Wszystko w porządku, kochanie? Wyglądasz troszkę mizernie.

— Wszystko dobrze. Dolej mi, proszę.

— Spokojnie. Cały wieczór przed tobą. Co jest?

— Nic. Wszystko. To głupio zabrzmiało.

— Co jest głupie? — Nick wpadł do kuchni. — Aa, czyżbym dostrzegł pistacje? — Wybrał z miski całą garść.

— Właśnie zobaczyłam Willa w supermarkecie, z wózkiem pełnym pieluch.

— Co za łajdak! — Nick potrząsnął głową. — Co? Sądziłem, że to właśnie powinienem powiedzieć. Myślałem, że zrobię to przed tobą, Viv. A tak w ogóle, to kto to jest Will?

— Ogrodnik Belli. Myślałam, że cholernie go lubisz. Cóż, widocznie nie jest cię wart.

— Czuję się jak idiotka. Od czasu, gdy go poznałam, wydawało się, że jest między nami to coś.

Nick podniósł wymownie brwi.

— Idź stąd — Bella i Viv powiedziały jednocześnie.

— To niewypowiedziane założenie, że lubimy się wzajemnie. Założę się, że flirtuje ze wszystkimi klientkami tylko po to, by im się podlizać. Prawdopodobnie rozmawia teraz ze swoją żoną i pieszczotliwie przemawia do dziecka — i śmieje się ze mnie, i z moich głupich pudeł, i z mojego głupiego malowidła — i nienawidzę go, ale nie tak bardzo jak siebie samej. Żałuję, że kiedykolwiek go spotkałam. Tak naprawdę to wszystko moja wina, ponieważ pozwoliłam sobie go polubić, co było głu-

pie, głupie, głupie. No i nie mogę go zwolnić, bo już zaczął, i wszędzie jest ziemia, i jeśli ogród nie zostanie skończony, to będzie wyglądał jak ogromne wysypisko, a dom już przypomina magazyn. Więcej wina, proszę.

— Och, kochanie. Tak mi przykro. Znajdziemy ci kogoś miłego, prawda Nick?

— Ja? Dlaczego na mnie patrzysz? Zawsze mówisz, że moi przyjaciele to ciemna masa.

Bella ponownie zaczęła podjadać pistacje. — Zapomnijcie o tym. To przegrana sprawa. Już mi nie zależy. Zamierzam do końca żyć w celibacie i poświęcić się sztuce.

— Jak siostra Wendy*?

— Tak. Tylko z lepszym ortodontą.

* Siostra Wendy — siostra zakonna prowadząca telewizyjne programy o sztuce.

— Dobrze, oto twoja dola. — Viv wyrwała jej z rąk półmisek z orzechami i zaniósła go do salonu. — Kiedy skończycie, trzeba będzie je podać w kieliszku do jajek.

Nick poluźnił swój krawat, podwinął rękawy i zamachał palcami, jakby rozgrzewał się przed wykonaniem utworu Chopina na fortepianie koncertowym.

— Jeśli ktoś — skinął na Bellę — pokroi pomidory na sałatkę, ja przygotuję — przerwał dla większego efektu — sos.

— Och, kochanie. — Viv wyduła wargi i otworzyła szeroko oczy w udawanym podziwieniu. — Naprawdę możemy zostać i popatrzeć?

Nick umył ręce i trzymał je w górze jak chirurg.

— Zezwalam. Ścierka?

Przygotowywanie Francuskiego Sosu — jedynej kulinarnej umiejętności Nicka — to dramat epicki w pięciu aktach z Nickiem w roli głównej, zreczenie wspomaganym przez tłuczek i mózdzierz, duże ząbki czosnku, dwa rodzaje musztardy, odrobinę niezwykle drogiego oleju z oliwek, który pochodzi z konkretnego gaju oliwnego w Toskanii oraz innych rzadkich maści, ukrywanych przez Nicka, „aby zachować aurę tajemniczości”.

Bella umyła i pokroiła pomidory, podczas gdy Nick rozpoczynał Akt Pierwszy — Rozgniatanie Czosnku z Morską Solą.

— Oglądanie ciebie, Nick, jest takie przyjemne i kształcące — stwierdziła Bella. — Czy myślałeś o udzielaniu lekcji?

— Wyśmiewaj się, jeśli chcesz — powiedział Nick — ale jeszcze nie widziałem, żebyś zostawiła na talerzu coś większego niż gąsienica, kiedy podałem sałatkę.

— To prawda, o Wielki, ale jakież to marnotrawstwo dla tak małej publiczności. Może poczekasz, aż pojawią się goście; będziemy mogli oceniać twój występ i dawać ci noty. — Bella podniosła

kolejno ręce, jakby pokazywała kartki z punktami. — Wartość techniczna: 5.6. Wrażenie artystyczne: 5.9.



Zadzwonił dzwonek. Nick nadal był w trakcie Aktu Trzeciego — Mieszanie Dwóch Rodzajów Musztardy z Czosnkiem, a Viv „po łokcie w cholernej *lollo rosso*”, więc Bella poszła otworzyć.

Przyszli Sara i Adam, para, którą Bella już poznała. W tym samym momencie wrócił kuzyn Nicka, Julian, którego wysłano po papierowe serwetki; spróbował w trzech różnych sklepach bez sukcesu. Bella zaproponowała im drinki i starała się nie patrzeć zbyt często na Juliana.

Zaczęło przybywać więcej ludzi, a Bella znalazła się w samym środku sprzeczki dwóch par o przedszkole. Kiedy odważyła się wyrazić swoją opinię, cała czwórka, jak jeden mąż, odwróciła się i spojrzała na nią w ten szczególny sposób. Jedna z kobiet złożyła w imieniu ich wszystkich oświadczenie, jakiego można się było spodziewać: „Oczywiście, kiedy ma się samemu dzieci, inaczej to wygląda”. Jak mogła dyskutować z czymś takim? Czuła się, jakby miała sześć lat i była upominana za kolejne niegrzeczne zachowanie czy szaleństwo; jej matka patrzy na nią protekcyjnie — „Kiedy dorosisz... Kiedy będziesz starsza... Wtedy będziesz robiła, co ci się żywnie podoba”. Ha! Kiedy nadejdzie ten cudowny dzień? Kusiło ją, aby wprawić te pary w zakłopotanie i powiedzieć, że niestety, nigdy nie będzie mogła mieć dzieci, ponieważ... ponieważ cierpi na straszną chorobę; macicę oddała do celów naukowych, jajowody zostały poszarpane przez szalonego chirurga, a jajniki odmówiły uwalniania jajeczek bez pisemnego upoważnienia.

Z przeciwległego końca pokoju Julian zwrócił na siebie uwagę Belli, uniósł swój kieliszek i skinął w jej kierunku. Boże, jaki on apetyczny. Bella pośpiesznie uwolniła się ze sporu bez wyjścia — „Muszę tylko... stary znajomy... proszę wybaczyć” — starała się nie pokazywać, że spieszy się do niego.

Zdecydowanie powinna była już wtedy odstawić alkohol, ponieważ wypła więcej niż zwykle. W pewnym momencie usłyszała wybuch zbyt głośnego śmiechu i już w duchu wydymała wargi, aby wyrazić swoją dezaprobatę, kiedy zorientowała się, że ten śmiech należał do niej, ale już się tym nie przejmowała. Choć raz pragnęła zapomnieć o rozsądku i udawać wszetecznicę, lalunię, chciała flirtować w szokujący sposób i po prostu rozkoszować się niewątpliwym wrażeniem wywieranym na mężczyznach. Kładła dłoń na ramieniu Juliana i wpatrywała się w niego z natężeniem, kiedy prosiła, aby opowiedział jej wszystko o swoich podróżach. Odwzajemniał kontakt wzrokowy ze szczerym zainteresowaniem i chętnie opowiadał o sobie.

Było już po pierwszej w nocy, kiedy ostatni z gości został w końcu wsadzony do taksówki, a Viv zaprowadziła Bellę do wolnej sypialni.

— Nie spieraj się ze mną. Nie jesteś w stanie nigdzie iść — skarciła ją czule. — Julian zgodził się spać na kanapie, więc ty nocujesz tutaj, choć przypuszczam, widząc, jak patrzył na ciebie, że byłby bardziej niż szczęśliwy, gdyby mógł wcisnąć się tutaj z tobą.

Viv zaczęła ścielić łóżko. Bella pociągnęła niezdarnie za jeden koniec prześcieradła, ale zaczęła chichotać, kiedy próbowała sobie przypomnieć, jak starannie zasłać łóżko.

— Przystaniesz czy nie? — zapytała Viv, powstrzymując wybuch śmiechu. — To ty powinnaś być tą rozsądną.

— Mógłby zająć ten mały rozek. — Bella osunęła się powoli na łóżko, kiedy było zaścielone dopiero w połowie. — Obiecuję, że go nie dotknę. No, może odrobinę. Więc myślisz, że mnie lubi?

— Przesuń się. Gdyby stał jeszcze bliżej, wylądowałby w tej sukience razem z tobą. Ale na twoim miejscu nie zawracałabym sobie nim głowy — za kilka dni wylatuje do Waszyngtonu. W każdym razie, może i jest dobrze zbudowany, ale nie jest aż tak interesujący, no i ma ego wielkości nadprodukcji masła w Unii Europejskiej.

— Ładne ramiona — Bella cmoknęła z uznaniem.

Viv westchnęła i przykryła ją kołdrą. — Dobranoc. Nie musisz się jutro śpieszyć ze wstawianiem.

— Poproś tylko obsługę hotelową, aby go przysłała — Bella wymamrotała w poduszkę. — Z opiekuję się nim. Ze mną będzie bezpieczny.

13

— Obiecałaś, że oprowadzisz mnie po mieście. — Głos Juliana w słuchawce telefonu brzmiał pewnie, oczekiwał zgody. — Będę tutaj tylko przez kilka dni, a jutro muszę wyskoczyć do Coventry. Co powiesz na piątek, po pracy? Chciałbym odkryć te tajemne miejsca, których turyści nie mogą zobaczyć.

Pewnie, że byś chciał, pomyślała Bella, słysząc jak się zgadza z kokieteryjnym śmiechem. Po co zawracać sobie głowę podtekstami, kiedy można być otwarcie dwuznacznym? Boże, była taka pijana na przyjęciu. Nie zdarzyło jej się to od, ilu, dwóch lat? To było po alarmie ciążowym.



Spóźnia się już dwa tygodnie. W dużej, anonimowej drogerii Boots kupuje test typu „zrób to sam”; siedząc w autobusie, wodzi palcami po proroczym pudełku w swojej torebce, jak gdyby ono już znało odpowiedź. Okres często się spóźnia, kiedy kobieta żyje w stresie, przypomina sobie. To musi być to. Po przyjsciu do domu stara się zachowywać swobodnie, wstawia wodę w czajniku i bezmyślnie przegląda gazetę, zamiast biec prosto do łazienki, jakby brak zaniepokojenia mógł zmienić wynik. Niezdarnie próbuje nasuszać do maleńkiej fiolki, oblewa swoje trzęsące się dłonie. Wynik powinien

pojawić się prawie natychmiast, ale mimo to jest świadoma każdej sekundy; czeka, aby zobaczyć, czy w białym kwadraciku pojawi się niebieska linia, oznajmiając: „Radujcie się, narodzi się dziecko” lub, jak to jest w jej przypadku: „O, kurwa”.

Kwadracik pozostaje biały, ulga jest więc przemożna, jakby ktoś otworzył nagle wszystkie okna i wpuścił masę uderzającego do głowy świeżego powietrza. Ale Patrick zdążył już sobie wmówić, że ona na pewno jest w ciąży. Zauważyła, że przygotowuje się do roli Dumnego Ojca. Pewnego razu złapała go, jak trzymał nogawki malutkich niebieskich, puchatych śpioszków, podczas gdy powinni byli szukać szlafroka dla jego taty w domu towarowym Marks & Spencer. Zaczął zaglądać w okna wystawowe agencji nieruchomości i przyglądać się absurdalnie dużym domom, na które w żaden sposób nie mogli sobie pozwolić.

Wydawało się, że ten mały pusty kwadracik zadał mu prawdziwy cios. Ma poszarzałą twarz, oczy ponure z rozczarowania i straty. Mocno go przytula, przyciąga do siebie, jakby on sam był dzieckiem, które tego potrzebuje, całuje jego włosy. Później idą na kolację i zamawiają dwie butelki okropnie drogiego wina, po których w domu wypijają liczne szklaneczki szkockiej; każde z nich ma własny powód, aby się upić do nieprzytomności. Bella delectuje się każdym łyżkiem, czuje, jak ulga wiruje w jej ustach, przedostaje się do nozdrzy na fali zapachu dymiącego torfu i suchego dębu.

Następnego ranka oboje źle się czują, a Patrick kiepsko żartuje, mówiąc, że wie już, jak to jest mieć poranne mdłości i jakie to dobre przygotowanie do bycia w ciąży. Bella w milczeniu robi kawę i stara się unikać jego wzroku. Już o tym nie wspomina.



Piątkowy poranek był ciepły i słoneczny, zdecydowanie pogoda na spódnice. Goląc nogi pod prysznicem, Bella powiedziała sobie, że to tylko z tego powodu. Oczywiście nie miała zamiaru pozwolić, aby Julian dotykał swoim ciepłymi, męskimi dłońmi jej jedwabście gładkich łydek, ależ skąd. Z podobną obojętnością względem bielizny, jaką miała ubrać, Bella przeszukała swoją szufladę, zgarnęła całą jej zawartość i rzuciła na łóżko. Kremowy koronkowy komplet oraz seksowny czerwony stanik z figami znajdowały się w koszu na brudną bieliznę. Powinna była zrobić wczoraj duże pranie, ale teraz jest już za późno — nie zdążą wyschnąć. A co jeśli Julian przyjdzie potem na kawę albo coś takiego? Chyba da radę udawać, że porozwieszane skarpetki i majtki to chorągiewki powitalne.

Przejrzała swoją bieliznę, trzymając ją w górze między palcami, jakby przeszukiwała wysypisko śmieci. Trzy pary starzejących się, poszarzałych, rzekomo białych bawełnianych fig; walentynkowa para majtek ozdobiona na przedzie czerwonym sercem oraz napisem „Jestem twoja”. „Nie sądzę”, pomyślała i wrzuciła je z powrotem do szuflady. Bładoróżowa para ze zbyt luźną gumką. Brzoskwiniowe figi z przodem jak deska rozdzielcza sięgały jej do pasa i uciskały pęcherz, tak że musiała chodzić do toalety co dwadzieścia minut. Czarne koronkowe majtki tak skąpe, że słowo „majtki” wydawało się dla nich zbyt duże; uszyte były z tak niewielkiej ilości materiału, że w nich jej uda i po-

śladki wyglądały na ogromne, do tego miało się wrażenie, że trzymają się na jednej nitce, co wcale nie było odprężające. Poza tym to był prezent od Patricka. Wepchnęła je z powrotem do szuflady.

W czasie lunchu może wymknąć się do sklepu i kupić zwyczajne bawełniane figi, a potem zmienić je w biurze. To było głupie, zganiła się, nikt nie będzie patrzył na jej majtki; to miał być spacer po mieście i być może mała kolacyjka — teoretycznie żadne oglądanie bielizny nie będzie miało miejsca. Mimo wszystko przydałyby się jej nowe rajstopy i takie tam; no i nie zajmie to dużo czasu.

Kiedy wychodziła z pracy, zadzwonił telefon. Pozwoliła, żeby włączyła się automatyczna sekretarka, ale zawahała się przy drzwiach, aby usłyszeć, kto dzwonił. To był Will.

— O, cześć. Cieszę się, że cię zastałem. Jesteś w domu dziś wieczorem?

— Nie, tym razem nie. Musisz przyjść? — „Jak tam twoja żona?“, chciała zapytać. „Dzieciątko ma się dobrze?“.

Powiedział, że chciał tylko sprawdzić te krzewy, które przesadzili, i czy pamięta, że jutro on nie może pracować, ale może wpadnie, i że Douglas powinien przyjść o jedenastej?

— Idziesz w jakieś miłe miejsce?

— Mmm. No wiesz, po prostu, wychodzę. — Pewnie myślał, że jest żalosna, bo się w nim zadurzyła. — Tak, właściwie to na randkę — dodała.

— Och. — Zakaszłał. — Więc baw się dobrze.

Kiedy przyjechała pod wschodnie wejście katedry, lekko zdyszana z powodu spóźnienia, Juliana jeszcze nie było. Oparła się o słupek i po prostu rozkoszowała się słońcem na twarzy, patrząc na przechodzących ludzi. Jej spódnica w morskim kolorze delikatnie trzepotała na wietrze. Odsunęła zbłąkany kosmyk włosów, który przykleił się do ust w odcieniu Mulberry Dew.

Dwóch nastoletnich chłopców, którzy przechodzili obok sprężystym krokiem, uwieczonych w ciałach, do których jeszcze nie dorośli, spróbowało gwizdnąć na nią z uznaniem, ale wyszedł z tego przenikliwy pisk. Szturchnęli się wzajemnie łokciami, aby pokazać, że nadal są bardzo męscy i roześmiali się. Obok niej przeszedł mamroczący do siebie mężczyzna; ubrany był w wysłużony słomkowy kapelusz i marynarkę, która dawno już wzruszyła ramionami i porzuciła myśl o tym, że może ktoś uzna ją za elegancką; miało się wrażenie, że holował go dziwnie wyglądający kompan — mały, sapiący terier, który przypominał włochaty dywanik łazienkowy poszarzały od prania. Mogła wziąć ze sobą swój szkicownik. To było idealne miejsce, aby rysować ludzi. Zamknęła oczy, starając się wyryć obrazy w pamięci.

Jakiś cień zasłonił jej słońce.

— Czy wiesz, że dziś wyglądasz jeszcze bardziej uroczo niż w tamtej seksownej sukience? — powiedział Julian. — Dostanę buziaka?

Trwało to i trwało. Julian zdawał się ogromnie dumny z faktu, że jego stosunki trwały bardzo długo, jakby maraton był zasadniczo czymś lepszym od sprintu bez względu na to, jak nieciekawym się wydawał. Nudny seks to już wystarczająco kiepska sprawa, ale jeśli ten ktoś do tego był wytrzymały... Bella poczuła, że zaczyna drętwieć. Lepiej bawiłaby się sama, rozwiązując krzyżówkę. Może mogłaby sięgnąć po gazetę i wypełnić ją, patrząc mu przez ramię. Był tak zachwycony swoją fizyczną sprawnością, że pewnie i tak by nie zauważył. Chociaż prośenie go o pomoc w zgadywaniu haseł mogłoby być ryzykowne: „Mmm, ujeżdżaj mnie, wielkoludzie. Jak myślisz, inaczej „iluzja”? Osiem liter, ostatnie E”. Może jeśli ściśnie trochę mocniej, to go przyspieszy. Powinna była bardziej sumiennie wykonywać ćwiczenia na mięśnie dna miednicy.

Jej wzrok błędził po pokoju. Ten abażur tu nie pasował. Kształt był trochę dziwny i widać było żarówkę, zwłaszcza kiedy patrzyło się z tego miejsca. Może zrobi abażur z tego pergaminowego materiału i namaluje coś na nim? Musi też pójść jutro po zakupy — na pewno kończył jej się papier toaletowy. I wybielacz. Więcej oliwy z oliwek. W myślach przejrzała kuchenne szafki. Makaron — *rigatoni* czy *tagliatelle*? Muszelki? „Postaraj się trochę *chonchiglie alla genovese*”. Lepiej sprawdzi też proszek do prania.

A on nie przestawał.

— Mmm — mruknęła zachęcająco, starając się go ponaglić. Czego on chciał — medalu? — Jak miło. — Zamknęła oczy, pozwoliła, aby jej umysł oddalił się, wolne myśli unosiły się; spoglądała na siebie z góry. Fantazjowała o tym, jak się dotyka, gdy jest sama. Chciała, żeby Patrick tam był, ciepły i żywy, dodający otuchy i znajomy, kochający ją, udzielający rozgrzeszenia.

Jego twarz przed nią, teraz, uśmiecha się w sposób, który poznaje. Całuje ją raz, mocno, po czym sięga pod spódnicę. Kiedy ją podnosi, Bella czuje dreszczyk wywołany przez brokatową narzutę na łóżko, której dawno już nie ma; jej faktura niczym płaskorzeźba, szorstka pod nagimi udami. Jest zaskoczona jego nagłym pośpiechem, zaczyna się odsuwać, aby spojrzeć na niego, wyczytać coś w jego oczach. Ale kiedy jej dotyka, jego brązowe oczy zamieniają się w morskie, szczeka robi się szersza, włosy stają się cieńsze, krótsze, skręcają się jak bielistka siwa pod jej dłonią — widzi twarz Willa. Jego czuła twarz. Czuje, jak oczy zachodzą jej łzami, jej wargi na jego, ich usta głodne, chciwe, wdzięczne.

Wkłada swoją rękę pod nią i przyciąga mocno do siebie. Ona dyszy z powodu jego intensywności, swojej, przytula się do niego, poruszając się szybciej i mocniej, przyciągając się do niego. A on ściska ją, przywiera do niej ze wszystkich sił. Czuje tylko jego ciepło, zapach i puls — początkowo jak niskie tony kontrabasu bije mocno i dudni, później wzrasta, rozprzestrzenia się i — wygina się w łuk, oddala się od niego, po czym przywiera po raz ostatni, jej wnętrze ciepłe i miękkie jak topiące się masło.

W końcu jej oddech uspokaja się, leży, skóra gorąca i przeszywana przez dreszcze, na udach czuje mrowienie od tarcia o brokatową narzutę.

— No, no — powiedział Julian — ni stąd, ni zowąd nagle się rozgrzałaś. Mała z ciebie ślamazara, co? — Klepnął ją swawolnie w pośladek.

— Chyba tak. — Położyła się zaczerwieniona od żądz, przyjemności i poczucia winy. Przewróciła się na pomięte prześcieradło, nagle zaszokowana jego obcą, pełną wyrzutu miękkością, jej ciało nadal świadome dotyku szorstkiego brokatu.

— I wtedy ten facet powiedział: „Będzie pan musiał go przestawić”. Zupełnie nie był pomocniczy. Nie do wiary.

O tak, nie do wiary, pomyślała. Nie mogę uwierzyć, że poszłam do łóżka z kimś, kto mówi „niepomocniczy”. To był taki zły pomysł.

— Naprawdę? — powiedziała głośno, wstrzykując dawkę zainteresowania w ton głosu, zarówno dla dobra swojego, jak i jego. „On był interesujący”, powiedziała do siebie, „naprawdę był”.

— Napijesz się herbaty albo czegoś innego? — Wysunęła się z łóżka.

— Brandy, jeśli masz. — Julian patrzył, jak sięga po szlafrok, który wisiał na drzwiach. — Ładna dupcia.

Czekając, aż zagotuje się woda w czajniku, Bella wpatrywała się w swoje stopy, blade i miękkie na tle zimnych płytek podłogowych. Przydałoby się przyciąć paznokcie u stóp, no i lakier odprysnął.

Co ona, do licha, wyrabiała? Właśnie wskoczyła do łóżka z prawie obcym człowiekiem i musiała fantazjować o innym mężczyźnie, a właściwie dwóch mężczyznach. Stawała się bardzo dziwna, a mimo to nadal myślała o swoich paznokciach u stóp. Ale wołała to niż rozważanie swojej niezwyklej, niewiarygodnej, zadziwiającej głupoty. A do tego jeszcze nie wyszło. Nadal było jej niezręcznie z powodu Willa; najgorsze, że to właśnie myślenie o nim tak ją podnieciło, do tego teraz czuła się podle z powodu Juliana i winna z powodu Patricka. Trzech w cenie dwóch. Cudownie. Pełny komplet.

A co, jeśli nie będzie mogła czerpać przyjemności z seksu bez wyobrażania sobie Patricka albo kogoś innego? Poczucie wstydu znowu ją zakłuło. Zażenowana, nalala Julianowi podwójną brandy i prowokacyjnie zakołysała biodrami, gdy niosła ją do niego po schodach.

— Byłaś wspaniała — powiedział. — Naprawdę się wczułaś.

Uśmiechnęła się, po czym schowała twarz w jego szyi, tak aby nie mógł spojrzeć jej w oczy.

Zadzwonił dzwonek do drzwi. Przekręciła się na drugi bok, półprzytomna z powodu braku snu. Doznała szoku, gdy zobaczyła drugą twarz na poduszce obok.

— Spodziewasz się gości? — zapytał Julian. — Mam nadzieję, że to nie pastor.

Bella zaśmiała się i pokręciła głową. Dlaczego mu pobłażała? Popatrzyła na zegarek. Prawie wpół do jedenastej. Może Douglas przyszedł trochę wcześniej. Straszna myśl — to mógł być Will. Chyba nie powinna otwierać.

Dzwonek odezwał się ponownie. Nie ma czasu, żeby się ubrać. A co w ogóle to miało z nim wspólnego? To, z kim spała, z pewnością nie było jego sprawą. Absolutnie żadną. Uprawiała seks. Owinęła się ciasno szlafrokiem, założyła ręce na piersiach i zbiegła z głośnym tupotem po schodach, aby otworzyć drzwi. Jej twarz przybrała wyraz sprzeciwu.

— Dobry — przywitał ją Will. — Przepraszam, jeśli ściągnąłem cię z łóżka, ale i tak powinnaś już wstać. Cudowny dzień. Wyjdź do ogrodu. Obiecuję, że nie będę patrzeć na twoje nieogolone nogi. — Poszedł do kuchni.

— Nie są nieogolone. — Ukradkowo potarła jedną o drugą. Hmm. — Wczoraj je goliłam. Wiesz?

— Dla mnie i tak wyglądają ślicznie. — Jak udało mu się sprawić, aby to zabrzmiało, jakby to ona starała się, żeby zauważył jej nogi? Miał talent do odwracania kota ogonem.

— Jest szansa na filiżankę herbaty, zanim zacznę?

— A co? Straciłeś władzę w rękach?

— Nie chciałem wpaść i od razu się rozgaszczać jak u siebie w domu.

— Dlaczego nie? Zwykle tak robisz. Will odwrócił się i spojrzał na nią.

— Jesteś dziś kłująca jak ostrokrzew ciernisty. Co jest grane?

— Nic nie jest grane. — Dlaczego on nie może odejść? Skrzyżowała jeszcze raz ręce i popatrzyła na swoje stopy. — Jestem po prostu w trakcie czegoś.

— W szlafroku? — Will zaśmiał się, po czym się zarumienił. — Och. Racja. Przepraszam. — Odstawił z hukiem czajnik z powrotem na blat kuchenny. — Dlaczego nie powiedziałaś? W końcu jestem tylko ogrodnikiem. Nie musisz cackać się z moimi uczuciami.

— Nie, ja... to nie tak. Ja...

— Nie musisz być zakłopotana. — Patrzył teraz bezpośrednio na nią. — Jestem przekonany, że nie potrzebujesz tłumaczyć się przed wynajętym robotnikiem.

Niech go szlag. Jak śmie ją zawstydząć.

— Nie. Z pewnością nie muszę. Masz tupet jak cholera. Starasz się wzbudzić we mnie poczucie winy, kiedy to ty przez cały czas flirtowałaś ze mną, a przecież masz żonę i dzieci.

— Co? — Will spojrzał za siebie. — Mówisz do mnie?

— Tak, nie udawaj. Nie jest ci z tym do twarzy. Zbyttno się nie afiszowałaś ze swoją rodziną, prawda? Jakie to dziwne, że ten mały szczegół z twojego życia wylatywał ci z głowy podczas wszystkich naszych rozmów. Ale ja cię widziałam, w Tesco, z milionem pieluch.

Westchnął głośno i pokręcił głową.

— Uśpij mnie i skróć moje cierpienia. Nie przyszło ci do głowy, żeby zapytać? Postaraj się czasem rozmawiać, dobrze? Spróbuj powiedzieć: Will, dlaczego kupiłeś mnóstwo pieluch? Wtedy ja odpowiem: Bella, cieszę się, że zapytałaś. To dlatego, że jestem dumny i oddany wujkiem, co, jak mi

się wydaje, już ci mówiłem. Pomagałem mojej siostrze, ponieważ przy pięcioletniej córeczce, małym synku i mężu pracoholiku jest cholernie wykończona. Tak?

Bella milczała, zaciskając i rozluźniając pięści po bokach ciała. Jej mostek uciskał, jakby był zaciśnięty na płucach, wytłaczając, wypychając z niej powietrze.

— Ja po prostu pomyślałam... — powiedziała chrapliwym głosem.

— Jeżeli cię to gryzło, dlaczego nie zapytałaś? — Will zrobił krok w jej kierunku.

— Dlaczego, do licha, miałoby mnie to gryźć? — Zebrała siły, znowu zbuntowana, odsunęła się. — Nic mi do tego, ile masz dzieci. Jeśli o mnie chodzi, to możesz mieć cały żłobek.

— Dzięki. Zapamiętam to do następnego razu, kiedy przyjdzie mój okres godowy. W każdym razie, tak między nami — nie, żeby ktoś choć trochę interesował się mną, moim życiem czy moim stanem cywilnym — jestem: a) bezdzielny, b) wolny i c) otwarty na propozycje. Dziękuję. Teraz idę do ogrodu, aby zobaczyć te krzewy, i potem nie będę cię już denerwował.

— Nie ma takiej potrzeby. Nie śpiesz się. — Zagryzła wewnętrzną stronę wargi. Nie rozplącze się. Nie robi tego. Wbiła paznokcie mocno w dłoń. „Nie zależy mi”, powiedziała do siebie, „nie zależy, nie zależy, nie zależy”.

— Tylko koniecznie zwlecz się jutro z łóżka, żeby jeszcze raz je podlać, jeśli nie będzie padać. Przyjdę w poniedziałek, zanim wyjdiesz do pracy — punkt ósma. Proszę, postaraj się wstać do tego czasu.

— Tak jest! — Zasalutowała, ale on odwrócił się już do niej plecami, więc nie zobaczył żartu.

14

— Mały prezent na przeprosiny. — Will wepchnął plastikową torebkę w jej rękę. — Jeszcze za wcześnie na róże.

W torebce znajdowały się łądzygi rozmarynu z jego ogrodu. Rozcierając liście między palcami, pochyliła głowę, aby je powąchać — niebiański zapach — mocny i ostry, ale czysty, prawie antyseptyczny.

Wiedziała, że to ona powinna przeprosić. Wina leżała wyłącznie po jej stronie. Snucie domysłów. A potem niemal rzuciła się na Juliana, aby poprawić sobie nastrój. Kolejny szczęśliwy pomysł kobiety, która zaprezentowała już Przenosiny do Miasta, w Którym Zna Tylko Dwie Osoby, Przeprowadzkę do Nowego Domu i Rozpoczynanie Nowej Pracy Jednocześnie, no i jej ulubione, Marzenie o Byciu Malarką. Jaki był sens pozwolenia sobie na przygodny seks, jeśli po wszystkim czuła się tak cholernie nieszczęśliwa?

Kiedy tylko Will wyszedł w sobotni rano, pozbyła się Juliana z domu najszybciej, jak umiała, bełkotała coś o pilnej pracy do zrobienia — powiedziała, że musi iść do biura — chciałaby móc prze-

leżeć w łóżku cały dzień — ale nic na to nie poradzi — odprowadziła go po schodach na dół — podała kawę w małych filiżankach, aby szybciej ją wypić — pocałowała go w przedpokoju, jej ręka leżała już na klamce — oczywiście, że było cudownie — chętnie spotka się z nim następnym razem, kiedy przyjedzie — tak, oczywiście — miłej podróży — buziaczki, pa pa.

— Wiem, że jesteś małym łakomczuchem. Przepraszam za nieeleganckie opakowanie.

— Czy to nie eufemizm określający kompletnego żarłoka? Dziękuję. Bardzo mi się podoba.

Dlaczego to ty przepraszasz?

Odchrząknął.

— Po prostu przykro mi, że w sobotę zbyt zadzierałem nosa.

— Nie ma sprawy — powiedziała. — To nie ma znaczenia.

Z całą pewnością to ona powinna przepraszać. Na myśl o tym ścisnęła palce w bucie, uczucie wstydu, przyznanie się do tego, że nie miała racji. Kiedy była dzieckiem, jej głowa opadała jak zwiędnięty kwiatek; musiała przepraszać chyba każdego dnia: Przepraszam Mamusiu, nie chciałam — przepraszam, zapomniałam — przepraszam, nie wiedziałam — przepraszam, nie zdawałam sobie sprawy — myślałam, że mogę — przepraszam, przepraszam — przepraszam, że jestem utrapieniem — przepraszam, że byłam niegrzeczna — przepraszam, że jestem sobą. Usta jej matki, drżące w cichym triumfie, nagle mówiły łaskawie w obliczu zwycięstwa: „Nic się nie stało, Bella, kochanie. Następnym razem będziesz wiedziała i tego nie zrobisz, prawda?”.

— Owszem — skinął Will — ma. Ja... byłem... cóż. Przepraszam.

— Ja też. Naprawdę.

— Ja bardziej. — Uśmiechnął się. — Naprawdę.

— Możesz zrobić herbatę — jeśli to sprawi, że poczujesz się lepiej.

Will powiedział, że nie może teraz zostać, przyszedł tylko sprawdzić kilka rzeczy i podrzucić rozmaryn. Zapytał, czy nadal pasowała jej sobota.

— A może w przyszłości weekendy mogą być problemem? Z jakichś powodów?

— Czy to w języku Willa oznacza: czy ostatnia sobota może się powtórzyć? Powiedziałabym, że to tak prawdopodobne, jak zlecenie mi namalowania fresku na kopule Albert Hall.

Wzruszył ramionami.

— Więc całkiem prawdopodobne?

— I ty mówisz, że ja jestem marzycielem? — Popchnęła go żartobliwie.

— Bo jesteś. Zaczęłaś już malowidło na murze?

— Nadal jest na etapie planowania.

— Więc to oznacza, że nie, jak ty byś to ujęła. — Odwrócił się do wyjścia. — Lepiej zabieraj się do pracy, dobrze?

— Jesteś taki apodyktyczny!

— Znam cię, w przeciwnym razie będziesz snuć się jak we śnie przez cały tydzień, a chciałbym, żebyś była użyteczna podczas weekendu.

— Ale ja nie zostałam stworzona, aby być użyteczna.

— Spodoba ci się. To będzie nowe doświadczenie. Zaufaj mi.

Bella postanowiła, że zignoruje fakt, iż teraz rysowała każdego dnia, jak również podczas cotygodniowych zajęć, i że wieczorami zaczęła malować. To z pewnością było tymczasowe dziwactwo, zwykłe zakłócenie w konstrukcji wszechświata, które niedługo zostanie usunięte. Łatwiej było jej oszukiwać się w ten sposób. Od niechcienia brała ołówek, trzymała swój blok tak, jakby robiła krótką notatkę. Gdyby przywiązywała do tego zbyt dużą wagę, pozwalając sobie na luksus kupienia grubego papieru, nowych pędzli, porządne wysprzątanie pracowni, nigdy by do tego nie doszło. To było jak chodzenie po linie nad przepaścią — nie można zatrzymać się ani patrzeć w dół, ponieważ w przeciwnym razie nagle uświadomisz sobie, co tak śmiało, tak niemądrze próbowałaś osiągnąć.

Kiedy zaczynała malowidło na murze, znowu poczuła ten stary przypływ podniecenia, który przyprawiał o zawrót głowy i niepokoił. Przed laty, gdy przyjęto ją do szkoły sztuk pięknych, uważała się za oszusta, któremu się poszczęściło: pozwolono jej — zachęcano ją! — do malowania cały dzień! To było jak zezwolenie na zabawę. Pamięta speszony uśmiech Alessandry, kiedy wyjaśniała sąsiadom osobliwy grzeszek Belli: „Oczywiście kochana Bella mogła pójść na uniwersytet, Oxford albo Cambridge, ale bardzo chce zostać artystką!”. Dla jej własnych uszu brzmiało to równie niedorzecznie, jak chęć zostania baletnicą albo astronautką, głupiutkie dziecinne marzenie. Powstrzymała się. Wybrała grafikę. Praktyczne. Dochodowe. Skupiła się na rozwijaniu swojej kariery.

Sobotni poranek. Will cofnął się, aby podziwiać pęczek rozmarynu w niebieskim dzbanku na kuchennym parapecie.

— Widzę, że rozmaryn długo się utrzymał. Powinnaś się cieszyć, że nie przyniosłem ci nudnego bukietu róż.

— Ogromnie się cieszę. Każdego ranka budzę się i myślę: „Bogu dzięki, że Will nie kupił mi żadnych róż”. Proszę, nastaw wodę. Jestem cała pochlapana farbą.

— Rzeczywiście. — Wyciągnął rękę i dotknął płatka jej nosa. — Masz odrobinę szarej własnici... tu. A może nie do końca opanowałaś nakładanie cieni do powiek?

— Jak miło widzieć, że zaczęłaś wykonywać moje każde polecenie. — Will spojrzał na początki trójwymiarowego łuku na ogrodowym murze. — Pewnie chcesz kontynuować, czy też mam ci pokazać, jak się sadi i tym podobne?

— Opatentowany Kurs Hendersona: Jak Odkryć w Sobie Talent do Roślin w Kilka Chwil? Czy to zrobi ze mnie prawdziwego ogrodnika?

— O nie, kochanie, potrzeba wielu lat, aby nim zostać. Widzisz? Popatrz na te ręce. — Wyciągnął swoje dłonie w jej kierunku. — To już wrosnięte, to znaczy, nigdy nie zejdzie.

Bella zaczęła wyciągać swój palec, aby przesunąć nim po liniach jego dłoni. Zastanawiała się, jaka będzie w dotyku jego skóra, skąd wzięła się ta blizna przy podstawie kciuka. Ich oczy spotkały się.

— Bzdury — powiedziała, cofając rękę i kierując ją ku twarzy, aby odsunąć kosmyk włosów z oczu. — Musisz je po prostu dobrze wyszorować, to wszystko. Zdradź mi więc sekrety ziemi. I tak nie mogę malować, kiedy ktoś patrzy.

— Naprawdę? Dlaczego?

— Jesteś bardzo ciekawski, prawda?

— Tak. Dlaczego nie możesz?

Zrobiła przerwę. Tak naprawdę nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiała.

— Myślę, że to tak, jakbyś był z kimś w tym samym pomieszczeniu, kiedy jesteś w wannie albo ubikacji. Trochę...

— Intymne?

— Mmm — potaknęła. — Czy to nie brzmi głupio? Will parsknął śmiechem.

— Strasznie, ty stara pozerko. Wcale nie. Ma sens. Ale co będzie, kiedy już skończysz obraz? Przecież wtedy ludzie będą patrzeć na niego, prawda? To nadal obnaża ciebie.

— Taaak. Ale wtedy jest z dala ode mnie. Jak były mąż albo coś w tym rodzaju. Byliście kiedyś razem, ale on już stracił swoją moc zawstydzania cię w towarzystwie.

Pokazywał jej, jak sadzić, delikatnie ugniatał ziemię wokół lipii cytrynowej, poświęcając jej całą swoją uwagę. Podał Belli następną doniczkę.

— Proszę. Teraz twoja kolej. Gdzieś tam, żeby miało miejsce, aby rosnąć.

— Ty to naprawdę uwielbiasz, prawda? — zapytała i popatrzyła na niego. Koniuszki jego uszu lekko się zaróżowiły, przytaknął.

— Zawsze tak było. Od dziecka. Dawniej siałem nasiona słonecznika, rzodkiewki, wszystko, co wpadło mi w ręce. Kiedy miałem osiem lat, mama wydzieliła mi mój własny mały kawałek ogrodu. A Hugh, mój ojczym, o którym ci opowiadałem — teraz chyba były ojczym... nieważne, pomógł mi ustawić naokoło rządki z cegieł, aby utworzyć moje małe królestwo.

— Wydają się mili. Musisz za nimi tęsknić. Mój tato to zapalony ogrodnik. — Bella wstała z miejsca, w którym klęczała na ziemi i przeciągnęła się. — Polubiłbyś go. — Powiedziała to bez zastanowienia; w myślach widziała Willa i tatę razem, jak pochylają się nad roślinami, pokazują je palcami, rozmawiają swobodnie. Machnęła rękami, aby odepchnąć tę myśl.

— Zdrętwiałaś? Przepraszam, jeśli zachowuję się jak poganiacz niewolników. A twoja mama? Czy ona też pracuje w ogrodzie?

— Ha! — Sama myśl o tym była zabawna, absurdalna. Spojrzała w dół na niego. — Mogłaby przyciąć kilka kwiatków, ale cała reszta — za dużo brudu. Może zaszkodzić jej dłoniom. — Bella

podniosła swoje ręce i delikatnie potarła jedną o drugą, jakby podziwiała w słońcu ich urok. — O nie! Ogólnokrajowy kryzys! Dzwoncie po pomoc! Bella, kochanie, złamałam sobie paznokieć!

Will zaśmiał się.

— Jestem pewien, że nie jest aż tak zła, skoro urodziła ciebie.

— Zostałam podmieniona. Nie opowiadałam ci?

Przez następny miesiąc popadli w rutynę; pracowali w każdy weekend, robili zbyt częste przerwy, aby porozmawiać lub ocenić swoje postępy, nieznacznie poprawiali plan tu i tam, w czasie pracy. Kiedy wbijała rydel w ziemię, słyszała pewny szczęk jego sekatora, metodyczny i podnoszący na duchu, jego ciche nucenie, gdy podwiązywał pnącza albo przycinał niesforną łądygę.

Malowidło było skończone. Trójwymiarowe przejście zapraszało do drugiego ogrodu. Na pierwszym planie znajdowało się poszycie leśne wyściełane mchem, które prowadziło na skąpaną w słońcu polanę; jednocześnie nęcącą i nieosiągalną.

— Ta część ogrodu będzie najbardziej pachnąca — powiedział Will, zasadzając lawendę obok omżynu, wawrzynka, lauru — w pobliżu twojej kryjówki pod wierzbą. — Bella wciągnęła powietrze, jakby już mogła poczuć woń roślin, jakby powietrze przesączone było zapachem. Poczowała niedawno wypraną bawełnę, odrobinę mydła, ale niezbyt mydlanego, lekką woń świeżego potu, ciepło skóry, delikatny zapach czegoś cytrusowego. Ładne. Nie za dużo wody po goleniu.



W milczeniu nachylił się nad nią i sięgnął do szafki po dwa kubki. W wąskiej kuchni poruszali się wokół siebie jak w cichym tańcu, schodząc sobie z drogi, uprzedzając swoje ruchy, nie dotykając się. Iskrzyło między nimi; czuła jak naładowane i drżące jest powietrze, przyprawiało ją ono o mrowienie na skórze, sprawiało, że jej ciało stawało się lekkie i pełne życia. Zastanawiała się, co by zrobił, gdyby dotknęła jego pleców, kiedy stał przy zlewie i mył ręce, wyobrażała sobie jego ciepło pod dłonią, pod palcami. Przełknęła ślinę. Unikała patrzenia na jego twarz. Zaczęła hałasować w szufladzie ze sztućcami w poszukiwaniu konkretnej łyżeczki. Poczowała ból głęboko w trzewiach. Lekkie nudności. Niski poziom cukru we krwi, powiedziała do siebie, to wszystko. Chciała, żeby sobie poszedł, wyszedł i nie wrócił — nigdy. Pragnęła, aby został — na zawsze. Marzyła, aby ją objął, pogłaskał po włosach, sprawił, że poczułaby się bezpiecznie. Zamknęła z hukiem szufladę ze sztućcami.

— Dobrze się bawisz? — zapytał.

— Cholera, nigdy nie mogę niczego znaleźć w tym cholernym domu!

Will odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się.

— Cieszę się, że cię to bawi. Dziwię się, że dostajesz jakieś zlecenia, jeśli tak traktujesz swoich klientów.

Zachichotał do swojego kubka, jego oczy błyszczały nad brzegiem naczynia.

Jak było do przewidzenia, praca zajęła więcej czasu, niż początkowo zakładał — „Oczywiście to twoja wina” — powiedział. „Za dobrze się z tobą rozmawia” — ale w końcu została skończona.

— No więc. — Will ociągał się na progu. — Lepiej sobie już pójdę.

Jeszcze raz podziękowała mu za jego ciężką pracę. Ogród wyglądał olśniewająco, pochwaliła, postara się odpowiednio o niego zadbać.

— No, mam nadzieję, bo inaczej przyjdę i zamażę twoje malowidło. Aha, jeszcze jedno — prawie bym zapomniał. — Odwrócił się do niej.

Jej serce zaczęło bić szybciej.

— Czy mógłbym wkrótce przyjść i zrobić kilka zdjęć? Do mojego katalogu?

Pomachał jej raz, na końcu ulicy, po czym zniknął.

15

Przez chwilę Bella stała przy drzwiach, po czym poszła do kuchni, aby napełnić czajnik. Wytarła blat, otworzyła najpierw jedną szafkę, potem następną, jakby czegoś szukała. Poszła do salonu, żeby poprawić poduszki. To dobrze, że nie pocałował jej na pożegnanie ani nie zrobił nic podobnie głupiego, powiedziała do siebie, kiedy trzepała poduszki i ciągnęła je za rogi, aby były szpiczaste, ponieważ i tak by odszedł, a ona czułaby się znacznie gorzej. Tak, w sumie miała szczęście, że jej nie pocałował. Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Viv, żeby zapytać, czy chce przyjść i zobaczyć ogród, zanim Bella będzie miała okazję go popsuć.

— Wow. Po skończeniu wygląda olśniewająco. Wpuść mnie tam. — Viv szarpnęła za drzwi do ogrodu. — To wszystko robota cudownego dziecka, Willa?

Bella otworzyła drzwi.

— Tak. I moja. Na dowód tego mam blizny. — Podciągnęła rękawy, aby pokazać zadrapania po jeżynach, które dawno już zniknęły. — Cóż, były tutaj.

— No, powiedz mi coś więcej.

— Więcej czego?

— Od momentu, gdy dowiedziałas się, że jest wolny — czy on...

— Wyznał swoje zamiary? Nie. Myślę, że wyszłam z wprawy, Viv. W każdym razie jest już za późno, aby wyrzucić na nim wrażenie.

— Ale? — Viv uniosła swoje brwi w przesadnym łuku.

— Ale co?

— Och, no przestań. Ale przecież myślisz o nim jak o potencjalnym kandydacie do bzykania, prawda? Wiem, że tak.

— Dobry Boże. Już ci mówiłam. On nie jest olśniewająco przystojny ani nic w tym rodzaju...

— Pomarańczowy tupecik? Papierosowy oddech?

— Przyznaję, uważam, że ma miłą twarz — gdy na niego patrzysz, wydaje ci się, że znasz go od zawsze. Przy nim czujesz się odprężona jak na starej kanapie. No i ma taką małą bliznę, tutaj...

— Wiem, wiem, mówiłaś mi, sprawia, że wydaje się bezbronny. Zostawmy już to.

— Cały czas miałam ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć jej.

— Kobieto, jesteś cholernie zadurzona. Przyznaj się.

— Bzdury.

— Ależ tak. Cała jesteś rozpromieniona i roześmiana. Kochasz go.

— Wcale nie. Wiesz, że jestem odporna na tego typu rzeczy. I proszę, nie używaj słowa na „K” przed godziną dwudziestą pierwszą, bo będę musiała to zgłosić.

— Cześć. — To był Will. — To ja.

— Masz rację — powiedziała. — Skąd wiedziałeś?

— Nie bądź denerwująca. Pewnie się zastanawiasz, dlaczego do ciebie dzwonię, skoro dopiero kilka godzin temu wyszedłem od ciebie, a ogród jest już gotowy?

— Dzwonisz, żeby mi przypomnieć, abym doglądała piwonii co pół godziny i podwiązywała każdy zbłąkany kawałek powojnika. Już mi to mówiłeś.

— Tak? Dobrze. I nie zapomnij o tych nowo zasadzonych krzewach. Nie pozwól im wyschnąć.

Przerwa.

— No i mam potencjalne zamówienie na malowidło Kreuzer. — Powiedział jej o swoim pilnym zleceniu dla miasta, dwa alternatywne projekty obejmujące część terenu, który znajduje się za urzędem miejskim. To była świetna robota, na wysokim szczeblu, może przynieść wielu klientów. Zapytał, czy byłaby zainteresowana przygotowaniem kilku projektów malowidła na tylnym murze? Na razie w ciemno, ale może się opłacić.

— Chodzi o to, że musimy się spotkać, aby omówić całą sprawę. Mogę wpaść do ciebie albo możemy gdzieś wyjść, zaoszczędzi mi to ciągłego wyjadania twoich zapasów. Co powiesz na jutrzejszy dzień? Wieczór?

To była pierwszorzędna okazja, więc dlaczego czuła się zawiedziona? Zlecenia na dużą skalę — czy może być coś lepszego? „Po prostu się boisz”, powiedziała do siebie, „boisz się spróbować czegoś nowego”.

Czy to się dzieje naprawdę? Kolejny pryszcz? Na samym środku brody. Nie mógłby być lepiej wyśrodkowany, gdyby użyła taśmy mierniczej i sama go tam namalowała. Udało jej się przebrnąć przez całe usiane pryszczami pole minowe okresu dojrzewania i następnych kilka lat z prawie nieskazitelnym rejestrem. Ośmieliła się uwierzyć — naiwnie i nieco błędnie, jak się teraz okazało — że po prostu „nie była typem osoby, która ma pryszcze”. Oczywiście okazywała stosowne współczucie swoim czyrakowatym znajomym, ofiarując im drobne pocieszenie typu: „To tylko dlatego, że mam bardzo

suchą cerę. Brzydko się zestarzeję"; podczas gdy sobie powtarzała, że jeśli będzie trzeba, to — w tym jakże wówczas odległym — okresie starzenia się, będzie mogła kąpać się w mleczku nawilżającym rano, w południe i w nocy.

Bóg najwidoczniej nie uważał, że „Błogosławieni zadowoleni z siebie”, ponieważ teraz za owo zadowolenie płaciła. Może On znajdował jakąś tanią rozrywkę w patrzeniu, jak ona rozluźnia się w swojej „bezpryszczatej” tożsamości tylko po to, aby obsypać ją nimi, kiedy jej czujność zostanie uśpiona — w wieku, w którym każda rozsądna osoba martwiłaby się zmarszczkami, a nie pryszczami. Naśmiewała się ze swojego odbicia w lustrze — dlaczego jesteś taka zdenerwowana, idiotko? To nie jest randka ani nic w tym rodzaju. To tylko Will. Widział już twoje zarośnięte nogi, poplątane włosy i oczy rozmazane jak u pandy, ponieważ jesteś zbyt leniwa, aby zmyć makijaż.

Pryszcz błyszczał przed nią w lustrze. Will nie będzie mógł oderwać od niego oczu; krosta wyglądała jak latarnia morska. Statki na morzu prawdopodobnie byłyby w stanie odnaleźć drogę do domu, kierując się na nią. Nie będzie mógł myśleć o niczym innym, tylko „Nie wspominaj o pryszczu, nie wspominaj o pryszczu” będzie się mu kołatać po głowie; będzie się bał mówić, aby mu się nie wymknęło: „Czy mogę podać ci następnego pryszczu?”. Może powinna próbować go zakryć? Ale to zawsze rzuca się w oczy — pryszcz, a na szczycie kropka korektora, który nigdy nie ma tego samego odcienia ani konsystencji co skóra wokół. A poza tym jej radośnie nazwany korektor „Zakryj krostę” musi znajdować się gdzieś w zapchanej szafce w łazience, w Miejscu Zapomnianym Przez Czas, pełnym relikwów, które ułożone warstwami, ukazują jej osobistą historię; jak przekrój poprzeczny znaleziska archeologicznego: fioletowy cień do powiek, zbyt różowy róż do policzków, przeróżne beznadziejne produkty do ujarzmania włosów, nić dentystyczna, nadal hermetycznie zapakowana, kupiona po podjęciu postanowienia, że będzie grzeczna i każdego dnia wyczyści nią zęby, żel brązujący — odstawiony po pierwszym użyciu, ponieważ wyglądała, jakby wykapała się w soku pomarańczowym.

Jeśli ubierze czarną, mocno wydekoltowaną bluzkę, może nie zauważy pryszczu. To coś w rodzaju odwrócenia uwagi. „Dobry Boże, to ma być spotkanie, a nie próba uwiedzenia; bądź rozsądna”, powiedziała do siebie. Jej palce powędrowały po eleganckim czarnym kostiumie — zbyt oficjalny. Z powrotem do czarnej bluzki, w zestawieniu ze spokojną spódnicą, aby pokazać, że potrafi być poważną, profesjonalną osobą. Spojrzała na siebie w swoim starym obrotowym lustrze — najpierw góra — czarny top przywarł blisko jak pijany przyjaciel. Lepiej będzie, jeśli włoży żakiet. Przechyliła lustro, aby skontrolować dół. Może któregoś dnia zaszaleje i kupi duże lustro. A może nie; uważała, że najlepiej prezentuje się, jeśli patrzy się na nią po kawałku.

Dzwonek do drzwi.

— Wow! Wystroiłaś się tak tylko dla mnie? — Uśmiechnął się.

— To mój oficjalny strój, który ma zrobić wrażenie na potencjalnym kliencie. Nie żebyś ty zawracał sobie tym głowę, kiedy było odwrotnie. No i ma odwrócić uwagę od odrażającego pryszcza na mojej brodzie. Nie martw się, nie jest zaraźliwy.

„Zamknij się, zamknij się”, powiedziała do siebie. „To brzmi, jakbyś planowała przyłgnąć do niego na cały wieczór. Zmień temat i postaraj zachowywać się normalnie”.

Po drinkach nastąpiła kolacja. Po kolacji podano kawę. Więcej kawy. Robiło się późno.

Powiedział, że ją odprowadzi. Włączyli się po ulicach, rozmawiali, idąc powoli. Szli zygzakiem po głównej ulicy, przechodząc od sklepu do sklepu, wskazując swoje ulubione ohydztwa na wystawach sklepowych; szukali Prezentu, który Najmniej Chcieliby Mieć w Swoim Domu.

— No więc... — Zatrzymała się przy drzwiach. — Dasz radę wypić następną kawę czy nie będziesz mógł później zasnąć? — Co to, do diabła, miało znaczyć? Teraz będzie myślał, że próbuje go uwieść, podczas gdy po prostu starała się być miła.

— Jest już późno. — Uśmiechnął się. — Lepiej już pójść. Odwróciła się, żeby włożyć klucz w zamek.

— Ale jeśli nalegasz. Tylko na minutkę.

Kiedy Bella wróciła z toalety na górze, Will patrzył na tablicę w kuchni i pił kawę.

— Słodki dzieciak. — Skinął na zdjęcie siostrzeńca Patricka, które przetrwało przeprowadzkę z Londynu i nadal przypięte było do tablicy. — Zawsze chciałem zapytać, kto to jest.

— Prawda? To Lawrence podczas jasełek w szkole. Siostrzeniec Patricka — kontynuowała. — Mojego byłego chłopaka. — Skinęła na zdjęcie przemoczonego Patricka, stojącego na brzegu szkockiego jeziora; jego proste włosy przyklejone były do głowy przez deszcz. — O, to jest Patrick. Nie wygląda tu jednak najlepiej. To jedne z tych wakacji w Szkocji, podczas których padało bez przerwy, w dzień i w nocy, no wiesz, cały czas. Byliśmy przemoczeni. Padało i padało. Bez końca. — Musi przestać mówić o Patricku. Zaczynała paplać. Kobieto, zamkniesz się czy nie?

— A? No tak.

Zobaczyła, że jego wzrok zjechał w stronę zdjęcia na dole tablicy, które przedstawiało ją i Patricka na łóżku w czerwonych bożonarodzeniowych rogach.

— To wygląda strasznie. Coś w stylu „czyż nie jesteśmy stuknięci?”. — Zrobiła minę. — Muszę je kiedyś zdjąć. — Odwróciła się i zaczęła szukać w szafce czekolady.

— Muszę ci coś wyznać — powiedział Will.

— Wiedziałam. Kiedyś byłeś kobietą. Jesteś międzynarodowym przemytnikiem narkotyków. Na zwolnieniu warunkowym. Gorzej — naprawdę jesteś dziennikarzem?

— Te szkice do projektu. Mogłem troszeczkę przesadzić z pilnością ich terminu.

— Na kiedy są potrzebne?

— Za sześć tygodni. Przyszedłem do domu i zdałem sobie sprawę, że nie mam pretekstu, żeby znowu się z tobą spotkać. I poczułem się podle.

Ścisnęło ją w żołądku. Nie może tego zrobić — nie może prowadzić tego typu rozmowy — musi go powstrzymać — myślała, że jest na to gotowa, ale nie jest. Odwróciła się do zlewu, naląła sobie wody, złapała się zimnego metalowego kurka.

— Czy mogłabyś się odwrócić, Bella? Próbuję z tobą rozmawiać.

— Dobrze, dobrze. Chciało mi się po prostu pić. Powinno się pić osiem szklanek wody dziennie. Przeczytałam to gdzieś. Dobre dla skóry.

— Dziękuję za informację. Niezłe wyczucie czasu. Zacząłem i teraz nie wiem, jak... Nigdy wcześniej, no wiesz, tak naprawdę nie lubiłem klienta. To pewnie naruszenie etyki zawodowej albo coś w tym rodzaju, może zostanę pozbawiony prawa wykonywania zawodu i będę musiał trzymać się na odległość stu metrów od przetacznika*, ale zawsze było... coś... między nami, prawda? Nie jestem w tym dobry, prawda?

* Przetacznik — roślina zielna, czasem krzew lub drzewo.

Bella wzruszyła ramionami i skrzyżowała ręce.

— Dobry w czym? — Nad lewym ramieniem Willa widziała część zdjęcia Patricka. Połowa Patricka — jeden brązowy but, jedna sztruksowa nogawka, jeden rękaw wodoodpornej kurtki, kącik zamkniętych ust, jedno ciemne oko.

— O, cholera. Dobry początek, Will. — Postawił swój kubek na blacie kuchennym. — Czuję się jak kompletny idiota. Więc myślisz, że nic nie ma?

— Dlaczego miałoby być?

— W takim razie te wszystkie godziny, jakie spędziliśmy na rozmowach, zupełnie nic dla ciebie nie znaczyły?

— Oczywiście, lubiłam nasze rozmowy.

— Zabrzmiało to tak, jakbyśmy należeli do klubu dyskusyjnego.

Wzruszyła ramionami.

— A sposób, w jaki patrzyliśmy na siebie, też nic nie znaczy? Podszedł do niej.

Nie popatrzy na niego. Nie może. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć.

Stał blisko, tak blisko. Czowała jego ciepło, zapach skóry, zapach Willa, który wdychała setki razy w ogrodzie, kiedy pochylał się blisko niej, pokazując, jak prawidłowo przycinać, kiedy przeciskał się obok niej w kuchni, aby dojść do zlewu. Oparła się o ociekacz, ścisnęła zaokrąglony kant blatu kuchennego. Zauważyła, że jej kolana drżą. Zaraz pewnie zemdleje. Gdyby tylko on nie stał tak blisko.

— Och, Bella... — Jego głos był cichy. Nagle złapał ją za ramiona, ale ona odwróciła głowę, jakby została spoliczkowana. W swojej bluzce z krótkim rękawem poczuła się nagle naga, świadoma swojej gołej skóry pod jego palcami.

— Popatrz na mnie!

Jego ręce były silne, trzymały ją, zakotwiczały w ziemi. Jego skóra dotykała jej.

— Popatrz mi w oczy i powiedz: „Will, wymyśliłeś sobie to wszystko. Nie jestem zainteresowana. Nigdy nie byłam”. No dalej. Powiedz to. Uwierzę.

W końcu podniosła głowę, aby spojrzeć w jego oczy. Nie mogła mówić. Jej usta rozchyliły się, ale nie słychać było żadnych słów. Gardło ściśnięte i pełne, jakby miała się zaraz rozplakać. Jeszcze raz otworzyła usta, a one w milczeniu ułożyły się w kształt jednego słowa:

„Will”.

A potem była już w jego ramionach. Obejmował ją, przyciągał mocno do siebie, jego twarz ukryta w jej włosach, szyi, powtarzał jej imię, które wychodziło na jaw, jakby to był wielki ukryty w nim sekret. Podniosła głowę, jego twarz była tak blisko, jego usta odnalazły jej usta, ale dostał się między nie kosmyk włosów. Bella odsunęła go z drogi i oboje roześmiali się z ulgą. Całował ją, jego wargi ciepłe i prawdziwe; upajała się nimi; dyszeli, śmiali się i całowali. Zanurzył usta w jej szyi, całował słodko, kosztował jej skóry, pragnąc jej każdego centymetra. Przyłgnęła do niego, poczuła, że rzeczywiście jest jak duże drzewo, stojące twardo, bezpieczne, mocne i prawdziwe.

16

Nie było mowy, żeby zadzwonił następnego dnia. Przynajmniej byli wystarczająco dorośli, aby zostawić daleko za sobą te nużące bzdury „oschłe traktowanie — większe zainteresowanie”, nie będzie więc musiała czekać cały tydzień na telefon ani nic w tym rodzaju; ale z pewnością nie zadzwoni już następnego dnia. „Sama do niego zadzwoń, jeśli chcesz. Na miłość boską, masz trzydzieści trzy lata”. Cóż, mogła tak zrobić. Ale jeszcze nie teraz. Jeśli nie zadzwoni do pracy, to da mu czas, powiedzmy, do dziewiątej wieczorem, no dobra, ósmej trzydzieści. Potem będzie miała prawo do niego zadzwonić, aby zadać ważne pytania dotyczące malowidła dla burmistrza, ponieważ nie omówili jeszcze należycie szczegółów, no i nie była pewna, czy dobrze zanotowała wymiary, a powinna już zaczynać nad nim pracę. Tak, zdecydowała, prawdopodobnie powinna i tak zadzwonić do Willa w związku z malowidłem bez względu na to, czy chciała z nim porozmawiać, czy nie.

Przyznała sobie dodatkowe punkty za to, że nie poszła z nim od razu do łóżka, ale wypchnęła go przez drzwi wejściowe. Tłumaczyła się przy tym, że woli się nie śpieszyć, pokazując w ten sposób, że jest dojrzałą i rozsądną osobą, a nie kimś, kto jak na złość miał pierwszy dzień okresu. Jej matka by

to pochwaliła, pomyślała sobie. „Mów, co chcesz, Bella, kochanie, ale mężczyźni nie szanują kobiety, która wskakuje do łóżka na pierwszej randce. Nie odkrywaj od razu wszystkich kart”.



Nawet z drugiego końca biura dostrzegła, że ma wiadomość, zasygnalizowaną semaforową cho-
ragiewką w postaci żółtej karteczki — „ktoś cię pragnie”. Starła się nie biec do biurka. To pewnie klient. Klienci uwielbiają dzwonić z samego rana, aby przyłapać ludzi na spóźnieniu, podczas gdy ko-
lega z pracy kryje cię — „Teraz nie ma jej przy biurku. Chyba jest na spotkaniu...”. Albo Viv chce
wiedzieć, czy Bella w końcu przerwała najdłuższy w historii okres bez pieśczoć. Bella dała radę po-
wstrzymać się od opisanie pełnej okropieństwa historii o Julianie, ale Viv zacisnęła usta i spojrzała na
nią wzrokiem, który mówił „coś się dzieje, a ty mi nic nie mówisz”.

„Dzwonił Will. Oddzwoń jak najszybciej”.

— Cześć — przywitała się; zadzwoniła, zanim jeszcze usiadła, torba zawieszona na ramieniu.
— To ja. Coś się stało?

— Cześć. Nie. Jestem po prostu smutnym facetem, który nie może się tobą nacieszyć. Kiedy cię
znowu zobaczę? Może teraz? Muszę cię znowu pocałować. Przecież mogą przeżyć tam jeden dzień
bez ciebie, prawda?

— Chwileczkę, panie Henderson. Musi pan poczekać, a ja sprawdzę terminarz pani Kreuzer...
— Cmoknęła oficjalnie. — Wygląda na bardzo zapracowaną, panie H., szczególnie jeśli chodzi o nud-
nych klientów, którzy właśnie rozpoczęli okres godowy. O, ale może znajdzie się małe okienko dziś
wieczorem.

— Nie jestem pewien, czy zmieszczę się w małe okienko. Wiesz, już nie wyglądam jak mały
smukły chłopczek. Teraz jestem dużym byczkiem ze stuprocentowego, czystego, sterczącego tłuszczu.

Po południu pracował poza miastem, nadzorował realizację projektu na terenie wokół basenu w
snobistycznym klubie fitness, ale powinien wrócić po siódmej. Umówili się w małym ogródku za kate-
drą.

Kiedy Bella wyszła z pracy, miała jeszcze wolną godzinę przed spotkaniem. Weszła więc do ka-
tedry i oparła się o jedną z masywnych kolumn, aby rysować turystów. Zastanawiała się, czy można to
uznać za coś bluźnierczego. Nigdy nie widziała, żeby ktoś tutaj rysował; ale z pewnością było to mniej
natarczywe niż robienie zdjęć, co nikomu zdawało się nie przeszkadzać. To musi być dziwne, próbo-
wać się modlić, kiedy pełen powagi mrok wokół ciebie usiany jest białymi rozbłyskami, podniosłość
miejsca zakłócana przez fałszywie brzmiące głosy — „Ale ta katedra duża, prawda? A jaka stara”.
Może rysowanie było jej osobistą formą modlitwy; to całkowite zaabsorbowanie, ten szacunek dla
formy i linii, światła i cienia, dobrowolne podporządkowanie się — to z pewnością był rodzaj oddawa-

nia czci. A jeśli tak, to czy nie mogliby lekko podkreścić światła? — nie mogła się modlić w tych ciemnościach.

Na zewnątrz, koło krążganków, naszkicowała szybko parę, która wskazywała w górę na rzeźbione konstrukcje z kamienia, oraz dziecko, które przemierzało znajdujący się na środku trawnik. Kiedy spojrzała znad swojego szkicownika, kobieta oparła się o jedną z kamiennych półek, ręce skrzyżowane na piersi, jak u egipskiej mumii, obejmowały ramiona. Stała tak przez chwilę i obserwowała dziecko. „Proszę, nie ruszaj się”, w myślach prosiła Bella, „proszę nie ruszaj się”. Szybkość nadała jej kresce większej śmiałości i pewności przy odwzorowywaniu kąta zgięcia rąk kobiety, kształtu jaki tworzyły przy jej szyi, uchwyceniu odchylenia podbródka, który wyglądał prawie wyzywająco. Jej ołówek przeniósł symetrię sklepionego przejścia, które otaczało kobietę, odzwierciedlając linię jej ramion.

Gdyby tylko miała ze sobą swoje farby; wieczorne słońce padające pod kątem wydawało się uwydatniać każdy szczegół: pojedynczy kosmyk włosów przed oczami kobiety, cień rzucany przez jej ramię, marszczenie materiału wokół ramienia, kształt łokcia opartego na płaskim kamieniu. Jak na życzenie Belli, nagle kobieta spojrzała w górę, prosto w jej kierunku, bez poruszenia głową. Trudno było odczytać wyraz jej oczu, ponieważ zostały zasłonięte przez kosmyk luźno spiętych włosów. Było coś tęsknego w sposobie, w jaki trzymała głowę, jakby próbowała usłyszeć niewyraźne dźwięki muzyki w oddali. Ołówek Belli jeszcze raz przesunął się po papierze; musi to później namalować, musi, musi, musi. Zamknęła oczy, chłonęła scenę, światło, cienie, czuła, jak obraz wsiąka w jej skórę tysiącem kolorowych punktów jak tatuaż.

— Tu kawałek opuściłaś. — Broda Willa pojawiła się nad jej ramieniem. — Mogę być kompletnym prymitywem, jeśli chodzi o sztukę, ale to jest cholernie dobre. Dlaczego nie jesteś w małym ogródku, tam gdzie powinnaś być?

Spojrzała na zegarek.

— Jestem spóźniona tylko pięć minut. Przepraszam. Zapomniałam się.

— Dobrze, że zauważyłem cię po drodze do ogródka. Potrafię rozpoznać twoje wijące się włosy z odległości kilometra.

— Co robią ludzie na randkach? Powinniśmy chyba pójść do kina i obejrzeć film albo coś. — Will potarł podbródek.

— Żaden z ciebie podrywacz. Co zwykle robisz na randkach? Nawet ty musiałeś od czasu do czasu znaleźć jakąś kobietę, która by się nad tobą zlitowała. — Poczowała, jak delikatnie objął ją w pasie.

— Więc robisz to tylko z litości? Cudownie. Czy jeśli będę naprawdę żaloszny, uwiedziesz mnie?

— Nie. To tylko część lokalnego przedsięwzięcia, aby oczyścić miasto z grasujących zgrai projektantów ogrodów, którzy szaleją po ulicach, obrywając zwiędnięte kwiaty petunii. — Bella skrzyła do kiosku. — Kupimy gazetę? Zobaczymy, co grają?

— Ale wtedy nie będziemy mogli rozmawiać. — Will podążył za nią. — Chciałbym, żebyśmy mogli robić wszystko naraz.

— Możemy szeptać przez cały film; czyżbyś nie lubił, gdy ludzie tak robią? Zdają relację na żywo, mimo że druga osoba siedzi obok i też to ogląda: „To jest najlepszy kawałek. On wyskakuje, a ty w ogóle się tego nie spodziewasz”.

Poszli do parku zaraz za murami miejskimi, rozłożyli gazetę na trawie. Will przejechał palcem po kolumnach w gazecie.

— Głupi thriller? Głupi dramat z sali sądowej? Czy głupi film dla dzieci z gadającymi zwierzętami? Niezbyt duży wybór. Czego nie widziałaś?

Bella pochyliła się bliżej, żeby spojrzeć.

— Ładnie pachniesz — powiedział.

— Dziękuję. — Skupiła się na gazecie. — Coś w teatrze Marlowe'a? „Leo Sayer* — tylko dzisiaj”. To on jeszcze żyje? Jak na teatr, nie wystawiają chyba zbyt często nowych sztuk. — Odwróciła się i zobaczyła, że patrzy prosto na nią.

Wróciła wzrokiem do przeglądania gazety.

— Will, co robisz?

— Co? To?

— Peszysz mnie.

— Myślisz, że jesteśmy zbyt starzy, aby całować się w parku? — Przysunął się bliżej.

— My? Ja nie, ale pozwolę ci się przyłączyć, jeśli chcesz.

* Leo Sayer — angielski piosenkarz, pisarz, autor piosenek, artysta.

Ich usta przywarły do siebie, jego język odnalazł jej. Bella miała wrażenie, jakby jej wnętrzności rozwiązywały się. Will przytrzymał ją ręką i przyciągnął bliżej. Przerwali na chwilę tylko po to, aby napawać się przyjemnością patrzenia na siebie i zbliżania się do siebie ponownie, aby rozkoszować się pierwszym dotykiem, drażnić siebie nawzajem oczekiwaniem.

„Ile pocałunków?”, zastanawiała się. „Ile ich jeszcze będzie od teraz do — potem?”. „Pogarszasz jedynie swoją sytuację. Nie mów tylko, że cię nie ostrzegłam”. Zamknęła oczy, aby odrzucić tę myśl.

— Tak naprawdę, to nie chcemy iść do kina, prawda? — Will lekko trącił nosem jej policzek. — Pewnie rozpaczliwie pragniesz zaprosić mnie do siebie, ale boisz się, że stracę do ciebie szacunek, więc chcę cię zapewnić... że i tak nigdy cię nie szanowałem.

— Dziękuję, że uspokoiłeś mnie w tej kwestii. — Wstała i wyciągnęła do niego rękę. — No chodź. Idziemy do ciebie. Chcę zobaczyć twój ogród.

Stała w jego przedpokoju, ponieważ nalegał, aby poczekała tam, dopóki on nie zrobi błyskawicznych porządków.

— Dwie minuty! Daj mi dwie minuty! — Brzęk, jakby sztucce wrzucane były do zlewu. Dźwięk płynącej wody.

— Wchodzę, gotowy czy nie. Nie będę tu czekać, podczas gdy ty będziesz zmywał naczynia z całego roku.

— Tylko te ze śniadania. To, że jestem facetem, nie oznacza, że jestem kompletnym flejtuchem.

— Oczywiście, że nie. — Pochyliła się, aby podnieść coś z podłogi. — Och, cóż za niezwykle miniaturowy dywanik!

Zabrał skarpetkę z jej ręki i wsunął do kieszeni spodni.

— Och, Will... — Bella zaśmiała się radośnie.

— Tak myślałem, że ci się spodoba.

Miała wrażenie, że jeszcze nigdy nie widziała go tak zadowolonego.

Ogród był duży jak na miejskie standardy. Will powiedział, że nie powinien go jej pokazywać, ponieważ jest sprzeczny z powszechnie przyjętym wyobrażeniem o ogrodach w mieście, według którego powinny być bardzo oficjalne, aby współgrały z otoczeniem architektonicznym. Chyba że podpisze umowę o dotrzymaniu tajemnicy. Poza tym nie poleciłby go żadnemu ze swoich klientów, ponieważ bez starannej pielęgnacji można łatwo zamienić go w wielki bałagan.

To było jak wkroczenie w najpiękniejszy krajobraz wiejski. W ogrodzie znajdowała się sadzawka, otoczona sitowiem, irysami oraz kępą ogromnej gunnery, wyglądającej jak las nie z tej planety, każdy liść przypominał odwrócony parasol; sceneria ta gładko przechodziła w małe trzęsawisko, wypełnione bujnym listowiem i kandelabrem, tak smukłym i wyprostowanym jak dziewczęta ze szkoły prowadzonej przez zakonnice.

Mały stolik z dwoma prostymi ławkami znajdował się pod pergolą, pokrytą niebieskim i białym powojnikiem oraz wściekle zielonymi liśćmi wijącego się złotego chmielu.

— Jest ciepło, więc wyniosę lampiony, abyśmy mogli posiedzieć tutaj po zmroku.

Podbiegała od jednego miejsca do drugiego, przystając przy każdym zachwycającym kawałku ogrodu, jak motyl siadający na kwiatku po łyk nektaru — wiśnia o korze lśniącej jak polerowany mahoń, donice pełne białych dzwoneczków i srebrzystych filigranowych liści, małe paprocie, które rosły w pęknięciach muru, takie jak posadził u niej w ogrodzie.

— Mogę? — Jej oczy rozszerzyły się ze zniecierpliwienia.

— Pewnie. Przyglądasz się mu, odkąd tu weszłaś. Bella pobiegła na sam koniec ogrodu.

Całe swoje życie chciała taki mieć. Marzyła o nim. Kiedy była dzieckiem, żaden z jej przyjaciół nigdy takiego nie miał. Teraz, kiedy stała pod nim, zdała sobie sprawę, jaki jest duży — prawdziwa, powiększona wersja dla dorosłych. Wspięła się szybko po drabinie.

Domek na drzewie wbudowany został w gałęzie ogromnego dębu. Miał spadzisty dach oraz prawdziwe okno; w środku znajdowało się krzesło, mały stolik oraz niewielka drewniana komoda. Jak cudownie byłoby tu zamieszkać, pomyślała, z dala od utrapień i absurdu, z dala od wszystkich; tutaj człowiek czułby się bezpiecznie, mógłby marzyć całymi dniami w samotności, w towarzystwie jedynie ptaków i wiatru.

Wychyliła się przez okno i pomachała do Willa, który stał na dole.

— Roszpunko, Roszpunko, spuść swoje włosy!

— Za krótkie. — Wystawiła kosmyk.

— Więc lepiej wracaj na ziemię, dobrze?

— Żaden z ciebie dziarski książę, co?

— Nie. Złaż. Musisz mnie pocałować.

— Często z niego korzystasz? — zapytała.

— Nie. Myślałem, że będę mógł tam pracować, ale jest zbyt ciemno i cicho. Posiedzisz tam przez godzinę i czujesz się, jakbyś był w nierealnym świecie. Wolę bałagan w mojej pracowni.

Po kolacji Will posadził ją na kolanach.

— Czy jest jeszcze za wcześnie, aby zaciągnąć cię do łóżka? — zapytał, całując ją.

— Will, przestań owijać w bawełnę. Mam nikłe przecucie, że przystawiasz się do mnie.

— Więc jest czy nie? Nie, żebym myślał o tym cały czas przez ostatnie dwa miesiące.

— Dlaczego? Nie śpieszy nam się, prawda? Musisz złapać jakiś samolot?

— Nie wiem, dlaczego w twoim towarzystwie czuję się jak jakiś nastolatek. W szkole chłopcy-cwaniacy mówili: „Zaliczyłeś panienkę, co?”, popychając, szturchając się i mrugając przy tym znacząco do siebie, ale większość z nas nie miała pojęcia, o co chodziło.

— My miałyśmy etapy zwane, jak można się było wtedy spodziewać, Bliskimi Spotkaniami. Może to zjawisko bardziej typowe dla dziewczyn.

— A my na którym jesteśmy?

— Na razie tylko na Bliskim Spotkaniu Drugiego Stopnia: pocałunki z języczkiem.

— Mmm, jak apetycznie. Jakie są następne? Proszę wyłożyć mi całą listę.

— Dobra:

Pierwszy Stopień — to taka dziecinada: angielski pocałunek (usta, bez języków).

Drugi Stopień: francuski pocałunek (z języczkiem).

Trzeci Stopień: dotykanie górnej połowy ciała (przez bluzkę).

Czwarty Stopień: dotykanie dolnej połowy (przez ubranie) albo górnej (pod ubranie).

Piąty Stopień: niewiarygodnie dorosłe pieszczoty intymnych części (wewnątrz majtek).

Szósty Stopień: wtedy odbywa się bzykanie.

— Powinniśmy być teraz przynajmniej na Czwartym Stopniu.

— Nie, wcale nie. I jeszcze nie skończyłam — Bliskie Spotkanie Siódmego Stopnia...

— Czy to jakaś dziwaczna fantazja uczennicy — zrobienie tego na biurku nauczyciela czy coś w tym rodzaju?

— Nie. To seks oralny. Wtedy wydawał się czymś śmiałym i szokującym. Tak czy inaczej, jesteś dopiero na drugiej randce, więc...

— Ale ja mam trzydzieści siedem lat. Czy to nie pozwala mi przeskoczyć kolejnych stopni trochę szybciej? To powinno się liczyć. Poza tym zrobiłem ci ogród i prowadziliśmy prawdziwe, dojrzałe rozmowy, więc prawdopodobnie powinniśmy być już przy Stopniu Piątym. Jesteśmy poważnie w tyle. — Jego ręce objęły ją w pasie.

— Trzeci Stopień. To moja ostateczna oferta. Nie próbuj wślizgnąć się pod moją koszulkę.

Całowali się, a Bella głaskała go po plecach, jakby mogła wchłonąć go przez palce. Przez chwilę jego dłonie spoczęły po bokach jej klatki piersiowej, w pobliżu łagodnego wzniesienia, w którym jej piersi odchodziły od ciała. Ślina napłynęła jej do ust. Złapała jego dolną wargę delikatnie między zęby, przez chwilę ssła jej pełny kształt, otworzyła swoje usta na jego. Kciuk Willa dotknął jej lewej piersi, sunął wokół sutka. Błądzili dłońmi po swoich ciałach, odkrywali, głaskali się, przekornie unikając stref erogennych, tworząc nowe. „Ładny mi brak pośpiechu”, pomyślała.

— I tak będziesz musiał poczekać.

— Dlaczego? Obiecałaś swojej matce, że nie będziesz figlować z pracownikami fizycznymi?

— Tak, a do tego właśnie mi się przypomniało, że nie mam na sobie moich najlepszych majtek.

— Nie ma sprawy. Możesz je zdjąć. Odkryłem, że to znacznie ułatwia uprawianie seksu. — Przyciągnął ją do siebie w mocnym uścisku, po czym odsunął się. — Lepiej idź, póki cię jeszcze puszczam. Jestem już bardzo podniecony. — Poprawił swoje spodnie.

— Przypuszczam, że poradzisz sobie z tym problemem. Zaśmiał się i przyciągnął ją blisko, aby jeszcze raz pocałować.

— Nie rozbudzaj mnie ponownie. — Oderwał usta z głośnym cmoknięciem, jakby były przyklejone. — I mów do mnie „Przystojniaczku”.

— Jesteś przystojny.

— Teraz przecinek, „przystojny, Przystojniaczku”.

— Wiem, Przystojniaczku.

— Dziękuję i dobranoc.

Stała na progu.

— Poczekaj — powiedział. — Pójdę tylko po kurtkę. Odprowadzę cię do domu. W ten sposób możemy przedłużyć ten pocałunek na dobranoc przynajmniej o następną godzinę.

— Pośpiesz się i idź już, żebym mogła zadzwonić do Viv i pozanudzać ją wiadomościami o tobie.

— Boże, jesteś jak jeden z tych turystów, którzy nie mogą doczekać się końca wakacji, aby mogli wrócić do domu i wywołać zdjęcia.

Bella pocałowała go w nos. — Spadaj.

— Śpij dobrze, kotku.

— Ty też.

— Ostatnia szansa. Jesteś pewna, że nie chcesz pokazać mi swoich paskudnych majtek?

— One nie są paskudne, dziękuję. Tylko trochę...

— Wiem. Workowate, szare reformy bez gumki? To moje ulubione.

— Dobrze — powiedziała, wypychając go przez drzwi. — Następnym razem je założę.

— Ale czarne koronki też mogą być — zawołał przez otwór na listy. — Albo jedwabne.

Pochyliła się, aby posłać mu całusa.

— Idź sobie. Nie można rozmawiać o damskiej bieliźnie przez otwór na listy. Straż Sąsiedzka zaraz cię wytropi.

17

— Mógłbym tak leżeć i głaskać cię godzinami. Całymi dniami. — Palec Willa zatrzymał się w zagłębieniu ponad jej mostkiem. — Z drugiej strony...

— Mmm? — Mówiła jak we śnie.

— ...pragnę bzykać się z tobą do nieprzytomności, więc ściągaj majtki.

— Wiedziałam, że jesteś niepoprawnym romantykiem.

Bella sięgnęła do pierwszego z góry guzika jego koszuli. Ich ręce objęły się o siebie, kiedy oboje w pośpiechu rozpinali swoje ubrania; przerywali, aby się pocałować, aby poszeptać.

— Przestań mnie całować. Nie mogę się skoncentrować — zamruczała. — Za dużo guzików.

— To wszystko ma związek z moim przebiegłym planem, aby rozebrać cię pierwszą.

— Ha! Wygrywam, wygrywam!

Ściągnęła jego koszulę. Rozpiął jej bluzkę, zdjął ją, odnalazł krągły kształt jej piersi przez jedwabną haleczkę i koronkowy stanik. Zsunął ramiączka halki, podniósł ręce Belli nad głowę, tak aby spłynęła po niej gładko.

— Zwolnij trochę, dobrze?

— Przepraszam. Za szybko?

— Nie, ale... nowa bielizna... docień ją, do cholery.

— Kupić nową bieliznę? Specjalnie dla mnie?

Próbowała się wycofać — nie do końca, i tak potrzebowała nowej, ponieważ nie zrobiła prania.

— Aha. Wierzę ci, naprawdę. Więc, tak naprawdę od samego początku planowałaś mnie zaciągnąć do łóżka? Sędziowie przysięgli, proszę zanotować.

Schylił się, aby pocałować jej piersi ponad brzegiem stanika; sięgnął w kierunku jej pleców, żeby go rozpiąć. Jego głos był cichy, z głębi gardła; mruczał. Przytulili się mocno do siebie. Jego klatka piersiowa ciepła i twarda, w porównaniu z jej miękkimi piersiami.

— Boże, przy tobie jestem taki zdenerwowany — powiedział. — Popatrz na moje ręce.

— Ja też.

— Ja bardziej.

Jego palce przesuwaly się po jej nodze, głaskały ją wyżej, odkrywały, droczyły się z nią przez materiał biustonosza. Odnalazł szczyt jej uda. Odsunął materiał w poszukiwaniu jej. Gwałtownie wciągnęła powietrze i przylgnęła do niego. Musiała uchylić się od jego pocałunku, żeby znaleźć klamrę paska, popatrzeć, skoncentrować się; jej palce nie nadażały za jej myślami.

— Poczekaj, poczekaj. Ja to zrobię. — Cofnął się, podskakując na podłodze, aby ściągnąć skarpetki, zrzucić spodnie.

— A co to jest? — zapytała Bella, wskazując palcem. Will spojrzał na swoje bokserki w białoczarne pasy.

— To moje najlepsze majtki. Myślałem, że są całkiem szykowne.

— Wyglądasz jak cukierek everton mint. Chodź tutaj. Podszedł do niej, znacząco unosząc brwi. Pokręciła głową.

— Taki przewidywalny. To nie miało podsunąć ci żadnych skojarzeń. — Pociągnęła jego szorty w dół. — Po prostu chcę je zdjąć. O, proszę, proszę, masz już odwagę.

— Zauważyłaś, że w filmach nigdy nie używają prezerwatyw?

— Albo w książkach. Nie mam pojęcia dlaczego. — Bella zerknęła przez ramię Willa, kiedy siedział na brzegu łóżka. — Może uważają, że to za bardzo przerywa akcję. Nie można przejść bezpośrednio od dyszenia, ślinienia się i zbliżeń kropelek potu do „Eee, poczekaj chwileczkę”. Nie ma tego samego dramatycznego... efektu. — Musnęła nosem jego policzek. — Dobrze się bawisz?

— O, cholera. Włożyłem na lewą stronę. Widzę, że mój wizerunek łagodnego Casanovy szybko wylatuje przez okno.

Bella próbowała rozerwać następne foliowe opakowanie.

— Jak to dobrze, że zrobione są z super trwałego aluminium. Więc to mają na myśli, mówiąc o bezpiecznym seksie. Proszę, ty spróbuj.

Will miotał się po pokoju, siłując się z opakowaniem jak z dziką bestią.

— Udało się! Te rzeczy musiały zostać zaprojektowane przez ludzi walczących z seksem. Teraz jestem już zbyt wykończony.

— Bzdury. Obiecano mi seks. Tak jest napisane w ulotce. Znam swoje prawa.

Dowlókł się z powrotem do łóżka.

— W takim razie ty będziesz musiała wykonać całą robotę. Bierz mnie, bierz mnie.

— Przepraszam — powiedział. — To było straszne. Cholerna katastrofa.

— Nie. — Bella przytuliła się do jego piersi. — Katastrofą byłoby, gdyby tornado wyrwało dom i przestawiło nas na szybki pas autostrady M25. Nic się nie stało.

— Dla mnie tak. Coś takiego nie zdarzyło mi się od lat.

— Więc to moja wina? Dzięki.

— Nie, głuptasie. Myślę, że to z powodu mojego zdenerwowania. Pragnąłem — pragnę cię tak mocno. Nie chcę, abyś ode mnie odeszła tylko dlatego, że jestem do dupy w łóżku.

— Dobry Boże! Z jakimi kobietami ty się spotykałeś? Naprawdę myślisz, że odeszłabym z takiego powodu? — Zobaczyła jego wyraz twarzy. — Poza tym nie jesteś do dupy w łóżku. Uwielbiam sposób, w jaki mnie dotykasz. To po prostu posłuży nam jako dodatkowa wymówka, aby dużo ćwiczyć.

— Tak naprawdę jesteś miła, prawda?

— Ciii, to dobrze skrywana tajemnica.

— Nie, poważnie. — Przyciągnął ją bliżej i delikatnie pogłaskał ją po nosie. — Wiesz, co pomyślałem, kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem?

— Jaka ona śliczna — westchnęła, podczas gdy on głaskał ją rytmicznie. — Nie, co?

— Pomyślałem, że jesteś cudowna...

— Aha, nie wierzę. — Popchnęła go.

— Naprawdę. I że wyglądasz na troszeczkę przerażoną, a nawet onieśmiałoną.

— Ja? Ale teraz, kiedy mnie poznałeś, to już tak nie myślisz, co?

— Teraz ja jestem bardziej przestraszony. Myślę, że ktoś mógłby znać cię przez długi, długi czas, a tak naprawdę nie znać cię w ogóle. Czasami mam wrażenie, jakbym patrzył przez matowe szkło — widzę twój zarys, ale jest bardzo niewyraźny i nieuchwytny; myślę sobie wtedy, że gdybym miał wyciągnąć do ciebie rękę, rozpuściłabyś się w moich dłoniach jak, jak tabletka musująca albo coś takiego; chcę poznać cię naprawdę, wnikać w twój umysł.

— Oj, nie chciałbyś tam grzebać. Straszny bałagan. Pełno starych przepisów, banalnych obsesji i lekko zużytych dowcipów.

Leżeli przykryci tylko prześcieradłem, dmuchając na siebie chłodnym powietrzem.

— Chodź no tutaj — powiedział Will.

— Jesteś pewny? Jestem taka lepka. — Powachlowała prześcieradłem w dół i w górę, aby wpuścić więcej powietrza.

— To dobrze. Chodź i przyklej się do mnie. — Przyciągnął ją bliżej. — Proszę, proszę powiedz, że to było lepsze od poprzedniego razu.

Wciągnęła powietrze i pokręciła głową jak przedsiębiorca budowlany oceniający kiepsko wykonaną robotę.

— Nie jestem pewna. Chyba powinniśmy... no wiesz, tylko po to, żeby sprawdzić, że jesteśmy na właściwym torze.

Zaczął gryźć delikatnie jej ramię. Szeptał, jak bardzo uwielbia jej zapach, smak. Chciał się nią zaciągnąć, wchłonąć. Jego pocałunki schodziły okrężną drogą w dół jej ciała. Muskał nosem jej brzuch, delikatnie szczypał ustami skórę, przesuwając językiem po jej krągłościach.

— Wiesz, że muszę jeszcze raz doprowadzić cię do orgazmu? Wyglądasz tak cudownie.

— Niemożliwe. Nie mam już siły. — Podniosła głowę znad poduszki. — Ale możesz spróbować, jeśli nalegasz.

— Nalegam.

Jego usta odnalazły ją, jej oddech przyśpieszył i stał się głęboki.

Smuga światła wślizgnęła się przez szparę między zasłonami, padając ukośnie na łóżko. Bella leżała w półśnie na brzuchu. Will pochylił się w jej stronę i dmuchnął na jej rzęsy. Brwi Belli opadły i zmarszczyły się nad nosem, była zdziwiona. Spojrzała na niego spod półprzymkniętych powiek i uśmiechnęła się jak kot, który nazał się śmietanki.

— Cześć. — Jej głos był delikatny od seksu i snu.

— Witaj. — Will musnął jej usta w porannym pocałunku. — Czy masz pozwolenie na to, aby rano wyglądać tak seksownie? Mam zrobić kawę czy chcesz mnie najpierw ponownie wykorzystać? — Opadł z powrotem na poduszkę. — Jestem całkowicie bezbronny.

Uśmiechnęła się ponownie.

— Mmm. Kawa.

— Widzę, że o tej godzinie nie wyciągnę z ciebie intelektualnej rozmowy. Ani niepoohamowanej żądzy. W takim razie kawa.

Wstał i dokładnie owinał kołdrą jej ramiona.

Wymknęła się do toalety i umyła zęby. Spojrzała w lustro. Och, cudownie: rozmazany tusz pod oczami. Skoczyła z powrotem do łóżka, kiedy Will wrócił z tacą: kawa, tosty, dżem morelowy. Miał na sobie jej szkarłatne kimono, które sięgało mu zaledwie do łydek. Miękki materiał wyglądał dziwnie na jego ciele, jedwabny dekolt w kształcie litery V otaczał ciemne, kręcone włosy na jego klatce piersiowej.

— Czuj się jak u siebie w domu, dlaczego nie? — Bella skinęła na kimono.

— Te rękawy są niemożliwe. Obawiam się, że mogłem zamoczyć je w kawie. Jak, do licha, sobie z nimi radzisz?

— Mam niewolników, którzy przychodzą, aby wykonywać każde moje polecenie.

— Aha. Więc to jest ta tajemnica. Potrzebujesz jeszcze jednego?

— Tak, ale oczekuję, że będziesz spełniać pewne indywidualne życzenia.

— Cóż, jak mus, to mus — powiedział, wyciągając do niej rękę.

— Takie jak nalanie mi herbaty. Dziękuję.

Will poszedł do łazienki, aby się ogolić i wziąć prysznic — „W każdej chwili możesz śmiało wejść i namydlić mi moje intymne części ciała”. Bella położyła się na poduszce i zamknęła oczy. Pozwoliła sobie przeżyć ponownie ostatnią noc, jeszcze raz rozkoszując się najlepszymi chwilami — Will zbliżający się do niej, dotyk jego dłoni, zaskakująco delikatny; jego oczy błyszczą niewypowiedzianymi słowami; mała blizna na jego brwi, ta drobna różnica powierzchni pod jej palcami. Zupełne przeciwieństwo tej porażki z Julianem. „Po co, do cholery, jej to było?”, zastanawiała się. Dlaczego nie była bardziej cierpliwa? Nie poczekała na... na. Dawno wygnane wyrażenie — „Ten Jedyńy” — opierało się eksmisji z jej głowy. „Nie bądź głupia”, powiedziała do siebie. „Nie bądź taką żalostną, fantazującą o księciu z bajki dziewczynką. Nie ma czegoś takiego”. Ale przynajmniej tym razem nie było grupowej orgii z Patrickiem, wciągniętym w przebieg wydarzeń.

Pożałowała tej myśli, gdy tylko pojawiła się w jej głowie. Wiedziała od razu, że teraz, gdy już tam była, nie będzie mogła jej odpędzić. Pojawił się, przywołany jak dżin z lampy, który na nią czekał.

W swoich myślach wołała go, ale jej głos odbijał się echem po ciemnych zakamarkach.

— Patrick! — zawołała cicho, potem głośniejszym głosem. — Patrick?

Kiedy wchodzi, widzi go, jak czyta z nogami opartymi na boku fotela. Nie podnosi wzroku, kiedy ona otwiera drzwi, ale wie, że musiał ją usłyszeć.

Ogień pali się w kominku, lecz płomienie nie dają poprawiającego nastroju ciepła.

— Zajęta? — pyta on.

— Mmm. — Stoi twarzą do ognia a plecami do niego. — Ale myślę o tobie. Często.

— Tak. — Czuje, że podniósł wzrok. — Pewnie.

— Przepraszam. — Odwraca się do niego. Wzrusza ramionami i wraca do książki.

— To nie ma znaczenia. Nie możesz cały czas zawracać sobie mną głowy.

— Nie mów tak. Jestem teraz z tobą. Zostanę na chwilę.

— Jeśli chcesz — mówi, nie patrząc znad książki. — Twój wybór.

— Więc co się stało z zaskoczeniem mnie pod prysznicem? — Will wszedł do sypialni z ręcznikiem na głowie, wycierając włosy.

— Nie przyszłam. To była ta niespodzianka.

— Hej! Wszystko w porządku? Wyglądasz trochę blado.

— Dobrze. Nie przejmuj się.

Will zrobił minę i zapytał, jakie ma plany na resztę weekendu. Malowanie, powiedziała, dopracowanie jednego z rysunków na zajęcia albo tego, który wykonała na krążgankach katedry.

— Dobrze. Może więc spotkamy się później? Dziś wieczorem? — Zapiął koszulę.

— Mmm. Mam sporo roboty. Może innego dnia.

Poczuła, jak jego oczy skanowały jej twarz, starając się coś wyczytać z jej wyrazu.

— Mam zadzwonić do twojej sekretarki? Przepraszam. Czy jestem zbyt natarczywy? Założyłem, że...

Bella zaśmiała się i poklepała go lekko po głowie.

— Spokojnie, dobrze? Po co ten pośpiech? W takim tempie będziemy małżeństwem do następnego tygodnia, a rozwiedziemy się tydzień później. I nie obchodzi mnie, co twój prawnik powiedział — nie dostaniesz połowy niebieskich talerzy obiadowych.

Zadzwonił telefon. To była Viv.

— I tak miałam do ciebie zadzwonić — powiedziała Bella. — To oficjalne. W końcu straciłam dziewictwo. Ponownie. — Nie chciała liczyć Juliana; w myślach zmiatała ten incydent pod wycieraczkę, najlepiej zapomnieć. Dyrekcja nie może być obciążona odpowiedzialnością za wystąpienie żenujących jednonocnych szaleństw.

— Hej Nick! — Viv krzyknęła znad telefonu. — Zgadnij, co się stało! Bella w końcu się bzyknęła!

— Och, nie krępuj się. Powiedz wszystkim. Nadaj to semaforem statkom na morzu, dlaczego nie?

— Nick, to nie są „wszyscy”. Tak naprawdę to członek honorowy klubu dziewczynek. Ogrodnik, prawda? Czy miałas jeszcze kogoś w rękawie?

— Z całą pewnością nie — to spowodowałoby okropny bałagan. Ogrrodnik.

— Naprawdę go lubisz. Poznają to.

— Wcale nie. No cóż. Troszeczkę. Ale nikomu nie mów.

— Dobra, dobra. Ale Bel?

— Co? Tak, byłam grzeczna. Nie, nie zamierzam opowiadać minuta po minucie — innymi słowy — zdawać szczegółowej relacji, żebyś mogła powtórzyć ją Nickowi.

— Bel, nie zapomnij dać jemu do zrozumienia, że go lubisz, dobrze?

— Jestem pewna, że wie.

— Nie, naprawdę. Mężczyźni mogą być niesłychanie głupi, jeśli chodzi o te sprawy. Musisz to przeliterować.

— Może mogłabyś mi podpowiadać przez słuchawkę w uchu?

— Chyba będę musiała. Zabierasz go na spotkanie z twoimi rodzicami?

— Pewnie. Oczywiście. Słucham? Myślisz, że kompletnie zgłupiałam? Pozna ich przy okazji naszej złotej rocznicy ślubu, nie wcześniej.

— Och, przestań. Tak naprawdę są cudowni. Will pewnie zupełnie oczaruje twoją mamę.

— Nigdy się nie dowiemy. Już widzę, jak ona uśmiecha się z wyższością na widok jego kręconych włosów — „Och, Williamie, w łazience jest czysty grzebień, jeśli masz w ogóle ochotę na uporządkowanie swoich włosów. Przypuszczam, że ta cała fizyczna praca odciska swoje piętno na wyglądzie”.

— Ona nie jest aż tak zła. Dla mnie była zawsze bardzo miła.

— Pupilek nauczyciela. To tylko dlatego, że miałaś to szczęście i nie urodziłaś się jej córką.

— Daj tej kobiecie spokój. Jest tylko człowiekiem.

— Wcale nie. Została tu przywieziona przez kosmitów, aby ludzie poczuli się gorsi, pełni wad i ostatecznie ze sobą.

— Tak czy inaczej, dlaczego jesteś taka przygnębiona? Powinnaś być pełna „pomiłosnej poświaty”.

— Jestem, jestem. Czuję się tylko trochę, no wiesz...

— Jak?

— Dziwnie. Jakbym była nie... Nie umiem tego wytłumaczyć. Muszę lecieć. Słyszę, że Will schodzi na dół.

18

Trzecia nad ranem. Żółte światło z nocnej lampki oświetlało płataninę kończyn, ciężkich od snu. Bella przewróciła się i spojrzała spod przymkniętych powiek — światło, poduszka przy jej podbródku, twarz Willa widziana z dołu. Zarost na jego brodzie, ciemne punkciki. Jego włosy, spłaszczone na poduszce. „Nawet jego nozdrza były rozkoszne”, pomyślała. Poruszyła się lekko, aby musnąć nosem jego szyję.

— Cześć — powiedział, otwierając oczy tylko troszeczkę, aby dopasować się do niej.

— Cześć.

— Wiesz... — Ziewnął jak kot. — Wiesz, kiedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że się w tobie zakochałem? Miałaś na sobie tę niesamowicie seksowną sukienkę i zbiegłaś po schodach i... wyglądałaś... tak... pięknie, że odebrało mi mowę.

— A, to coś nowego.

— Bądź cicho. Potem zaczęłaś głądzić o swoim brzuchu — nagle wydałaś się taka młoda i bezbronna, jakbyś wychodziła po raz pierwszy z dorosłymi. — Ponownie zamknął oczy, a jego usta, zanim ułożył się do snu, złożyły pocałunek na jej lewej brwi.

Przytuliła się mocniej do jego piersi, jakby mogła wchłonąć go każdym porem swojego ciała. Jej powieki zacisnęły się mocno, chwytając tę chwilę; czuła, jak łzy napływają jej do oczu. „Pozwól mi go zatrzymać”, modliła się cicho jak dziecko, które nie odważy się zapeszyć swojego życzenia przez wypowiedzenie go na głos. „Czy — jeśli będę grzeczna do końca życia — to mogę? Proszę, pozwól mi go mieć. Proszę”.

*

Bella obudziła się pierwsza i wysunęła z łóżka, delikatnie podnosząc kołdrę, aby go nie obudzić. Zrobiła herbatę w czajniczku i zaniósła go na górę do sypialni. Will leżał na plecach, w prostej linii, a nie jak zwykle rozłożony na ukos, zajmując większą część łóżka. Jego ciało było w zupełnym bezruchu, twarz bez wyrazu. Postawiła tacę i przysunęła się bliżej, pochylając się nad nim.

— Will?

Żadnej odpowiedzi. Zmarszczyła brwi. Suchość w ustach. Jej dłonie spocone i zimne, słyszy w uszach głośnie bicie serca.

◆◆◆

Ojciec Patricka podnosi się powoli, kiedy Bella zostaje wprowadzona do sali. Obejmuje ją za ramiona.

— Spóźniłam się, prawda? Joseph przytaknął.

— Nie obudził się. Powiedzieli, że nie cierpiał.

Słyszy te słowa, myśląc „Tak mówi się w dramatach szpitalnych”. „Nie cierpiał”. Czy to oznacza, że masz się z tym czuć dobrze? Joseph miażdży ją w mocnym uścisku, tak że ledwo może oddychać. Rose, matka Patricka, wygląda, jakby była obojętna i otepiała. Bella pochyla się, aby ją objąć i przez chwilę trwają tak przytulone, jak rozbitkowie ze statku. Joe mówi, że Sophie jest w drodze z Newcastle. Nadal nie udało im się skontaktować z Alanem. Bella widzi, że jego rodzice potrzebują jej obecności, potrzebują młodości wokół siebie, czegoś, co będzie im przypominać o życiu.

— Chcesz go zobaczyć?

Niewypowiedziane krzyżące „nie” rozbrzmiewa echem w jej głowie, odbija się rykoszetem od jej umysłu. Czuje strach, a potem wstyd. „Czego chciałby Patrick?”, pyta siebie. „Co zrobiłby Patrick, gdybym to była ja?”.

Kiwa raz głową i pielęgniarka prowadzi ją po prostu na zewnątrz sali. Mówi, że nie musi się śpieszyć, że może zostać tak długo, jak chce.

*

Zagłada przez małą szybkę w jednym skrzydle podwójnych drzwi. Patrick leży w małym pokoju na wąskim, przypominającym wózek łóżku. Bella pomału wciąga powietrze, tłumiąc przyływ nudności i wyraźnego lęku, otwiera drzwi. Na stoliku obok łóżka, przykrytym wyprasowanym białym ob-

rusem, stoi wazon z rżniętego szkła ze świeżymi kwiatami — blade cytrynowożółte goździki, pierzaste liście paproci, pomarańczowe kielichy astremerii, upstrzone brązowymi plamkami.

Spogląda na Patricka. Jego usta są otwarte; Bella może zobaczyć blady blask srebra jego starej plombi i lekko ułamanego przedniego zęba, do którego zrobienia nie mógł się zabrać. Powinien był zrobić to wieki temu. To było typowe dla Patricka. Zaczyna płakać na samą myśl o czymś tak absurdalnym; lekki, stłamszony szloch. Ze zniecierpliwieniem wyciera ręką łzy. Teraz już nie ma sensu, aby naprawić jego ząb.

Chciałaby, żeby zamknęły mu usta. Czy nie mieli obowiązku tego zrobić? Jego oczy były zamknięte. Po części chciała sama to zrobić, ale... ale nie mogła. A co, jeśli znowu otworzą się gwałtownie?

Jest troszkę bledszy niż zazwyczaj, czego można się było spodziewać w tych okolicznościach. Połowa głowy okryta jest bandażem, ale Bella podejrzewa, wnioskując z jego nieskazitelnego stanu, że ma to raczej chronić pogrążonych w smutku najbliższych przed widokiem roztrzaskanej czaszki osoby, którą kochają. Pogrążeni w smutku najbliżsi. Zdaje sobie sprawę, że właśnie nią jest — osobą pogrążoną w smutku. Ludzie będą patrzeć na nią z litością w oczach, mówić do niej przyciszonym głosem. Z zażenowania nie będą wiedzieli, co powiedzieć. Oprócz bandaża i dwóch zadrapań na czole Patrick wygląda zaskakująco zwyczajnie, jakby zrobił sobie krótką drzemkę, jak to ma w zwyczaju. Może jeśli go szturchnie, on usiądzie nagle zaskoczony i powie, tak jak to zwykle robi, „Nie chrapałem. Po prostu głęboko oddychałem”. „Robił”, poprawia się.

Spogląda ponownie na kwiaty, przesuwając palcem po pomarszczonym brzegu goździka. Ktoś zadał sobie trud, aby ułożyć te kwiaty, podciąć końce, oderwać dolne liście; położył ten obrus na stole, wygładzając chłodną ręką zagięcia po prasowaniu. Musieli wiedzieć, że pogrążeni w smutku najbliżsi widzą wszystko, że nawet najdrobniejszy szczegół jest istotny.

Jedna ręka leży na świeżo wyprasowanym, podwiniętym szpitalnym prześcieradle. Chce dotknąć jego ręki, sięgnąć i uścisnąć ją, aby dodać otuchy; nie jest tylko pewna, czy jemu, czy sobie. Tak bardzo pragnie poczuć jego ciepło, poczuć, jak odwzajemnia uścisk jej dłoni. Może powinna jej dotknąć? Zaszokować siebie jej zimnem, woskową miękkością, tak aby zrozumieć, że to prawda, pojąć, że on naprawdę nie żyje.

Ale nie może. Zamiast tego poklepuje drugą rękę, bezpiecznie schowaną pod prześcieradłem.

Kiedy w końcu się odzywa, jej głos staje się zachrypniętym szeptem, brzmi w jej uszach, jak gdyby pochodził od kogoś innego.

— Przepraszam — mówi.

Wtedy wchodzi Joseph i staje za nią, solidny i dodający otuchy. Obejmuje jej ramiona.

— Chcesz zostać dłużej?

— Nie wiem. — Delikatnie kręci głową.

— Chodź. — Obejmuje ją swoim ramieniem, podtrzymując ją i siebie. — Chodź, napijemy się herbaty. Pielęgniarka nam przygotowała. Dobrze ci zrobi.

— Ale nie mogę zostawić go tu zupełnie samego.

— Już dobrze. — Joseph odgarnia jej włosy z oczu i wyciera czule, niezdarnie jej policzki swoją bawełnianą chusteczką. — On już odszedł. To już nie jest Patrick.

Wyprowadza ją z sali, ale ona odwraca się w drzwiach, aby spojrzeć po raz ostatni.

— Żegnaj — szepcze.

— Will? Cisza.

Złapała go za nos.

— Will.

Otwiera jedno oko.

— Buu! — krzyknął.

— Ty świni! — Uszczypnęła go. — Cholernie mnie wystraszyłeś!

— Hej, przepraszam. Auu. To bolało.

— Bardzo dobrze. Nie rób tego więcej. Konfiskuję twoją herbatę.

— Herbata w łóżku? — Podniósł głowę znad poduszki i zaczął skamleć. — Och, herbatka, herbatka, och proszę.

Rozlała ją do filiżanek, po czym wzięła swoją i poszła przygotować sobie kąpiel.

Will podniósł pocztę z wycieraczki. Kiedy podawał ją Belli, spojrzał na pocztówkę znajdującą się na górze. Jego wzrok spotkał się z jej, jeszcze raz popatrzył w dół. Spojrzała na kartkę: „Cześć Ślicznotko!” napisane było dużymi drukowanymi literami. Bella poczuła, jak lekko się rumieni, Will szybko się odwrócił. Pocztówka wysłana została z Waszyngtonu. Podpisana Julian. „Przepraszam, że nie udało nam się ponownie spotkać przed moim wyjazdem — oto cena bycia podróżnikiem! Wspaniale było spędzić z tobą czas. Spotkamy się podczas mojej następnej wizyty!?! Pozdrów Nicka i Viv. Całusy, J.”.

Postawiła kartkę na kominku, obok tej, którą niedawno otrzymała od rodziców Patricka — „Cieszymy się, że uciekłaś z Londynu. Martwiliśmy się, jak sobie poradzisz tam sama... Daj znać... odwiedź nas, kiedy chcesz...”. Oprócz sporadycznych pocztówek i listów były również okresowe telefony. Rose dzwoniła i pytała z matczyną troską, jak sobie radzi, jakby była dzieckiem borykającym się ze zbyt trudnym obliczeniem. Bella dzwoniła, aby porozmawiać z Josephem. Jakoś sobie radzą, mówił. Jest, no wiesz... przerwy zakończone cichym kasznięciem, zupełnie jak Patrick. Sophie radziła sobie dobrze, opowiadał. Alanowi i jego żonie urodziło się kolejne dziecko. Rose zbierała pieniądze na wioskę w Bangladeszu, a on zaczął grać w kręgle dla wypełnienia czasu. Życie toczyło się dalej.

Czuła, że powinna spytać ich o pozwolenie, aby być szczęśliwą. Wiedziała, oczywiście, co by powiedzieli: „Bella, teraz masz własne życie. Nie marnuj go. Nie chciałby tego, nie Patrick”. Nie, zda-

ła sobie sprawę, nie chciałby, nie do końca. Jak ona czułaby się, gdyby było odwrotnie? „Nic byś nie czuła, głupia, byłabyś martwa”, powiedziała do siebie. Ale mimo wszystko — co by było, gdyby umarła, a Patrick zostałby sam? Albo — po skórze głowy przeszły jej ciarki — co by było, gdyby to był Will? Czy chciałaby, żeby rozpaczał do końca życia? W jakiś okropny sposób, tak — przynajmniej gdzieś w małym zakątku siebie. Jakim nikczemnym i podłym była człowiekiem. Jak może pragnąć, aby Will był nieszczęśliwy? Nie. To nie to. Chciałaby, żeby pamiętał, to wszystko, tylko na tyle, aby nie zniknęła bez śladu. Nie chciałaby, żeby zamknął się w swoim cierpieniu, przechowując je i gromadząc jak skąpiec, który nie dopuszcza nikogo do siebie — to byłby inny rodzaj śmierci.

— Czy mogę cię o coś zapytać? — powiedział Will po śniadaniu, po czym bez wahania spytał: — Czy spotykasz się z kimś innym?

— Nie. Co ci przyszło do głowy? Ledwo daję sobie radę z tobą.

— Nic. Tak tylko pytam.

Pocztówka od Juliana, pomyślała. *Cześć ślicznotko!* Musiał to przeczytać.

— Eem..., czy w ogóle spotykasz się ze swoim byłym? Patrickiem. Wyglądasz na jedną z tych kulturalnych osób, które potrafią pozostać w dobrych stosunkach ze swoimi byłymi.

Bella zaczęła szperać w lodówce w poszukiwaniu wody mineralnej.

— Hmm? — Jej głos wypłynął z wnętrza. — Nie, nie spotykam się. Chcesz trochę wody?

— Nie, dzięki. Przepraszam. Nie chciałem być wścibski.

Bella wzruszyła ramionami. — To nie ma znaczenia. W każdym razie... — Otworzyła gazetę i przekartkowała, szukając programu kin. — Nadal chcesz oglądnąć dziś film? Mogę zadzwonić do Viv i zapytać, czy ona i Nick też chcą pójść. Nie musimy być cały czas skazani tylko na naszą nudną dwójkę.

— Tak nas postrzegasz?

— Hmm?

— „Nasza nudna dwójka”?

— Nie, oczywiście, że nie. — Z hukiem zamknęła drzwi lodówki. — Ale chyba nie chcemy stać się jak papużki nierozłączki, prawda?

— Dlaczego nie? Lubię być jak papużki nierozłączki.

— Och, Will. Tylko się z tobą drocę. Gdzie twoje poczucie humoru?

— Musiałem oddać. Tylko je wypożyczyłem.

Zgodnie z przewidywaniami Belli Viv zadzwoniła następnego dnia, aby zrekapitulować ich wyjście do kina.

— Kiepski film — powiedziała Viv. — Dlaczego wszyscy mówią o tym, jaka ona jest seksowna?

— Ponieważ jest blondynką i nie umie grać.

- Ale Will — on jest taki cudowny! I przejrzał cię na wylot, prawda?
- To znaczy?
- To znaczy, że wie, jak sobie z tobą radzić.
- To zabrzmiało, jakbym była niepoczytalnym lampartem.
- Cóż, nie jesteś chichoczącą naiwniaczką, prawda? Potrzebujesz kogoś takiego, aby stawiał tobie czoło. Ale sposób, w jaki na ciebie patrzy... Kiedy ślub?
- Och, zachowuj się. Nie myślę o przyszłości, ani o całej reszcie podobnych pierdoł.
- Dlaczego to robisz?
- Co robię?
- Udajesz, że go nie lubisz. Trzyletnie dziecko widziałyby, że szalejecie za sobą.
- Znajdź mi więc trzyletnie dziecko. Ze wszystkiego wyciągasz zbyt daleko idące wnioski.
- Kochanie? Lepiej trzymaj się go cholernie mocno pazurami.
- Taa, taa. Po prostu czekasz na okazję, aby włożyć morelową sukienkę z satyny z bufiastymi rękawami.
- Z falbankami?
- Możesz mieć falbanki, dekolt w kształcie serduszka, koszyczek z płatkami róż i wszystkie bajery podczas tego mało prawdopodobnego wydarzenia, jakim miałby być mój ślub. Bukmacherzy obstawiają cztery tysiące do jednego, że do tego nie dojdzie. Powinnaś wiedzieć, zanim ochoczo ruszysz do sklepu.
- Bel? Wiesz, co to znaczy być szczęśliwą, prawda?
- Czy to podchwytliwe pytanie?
- Nie. Po prostu — cóż, to jest dozwolone, wiesz?

19

- Który profil mam lepszy? — Will przekreślił głowę najpierw w jedną, a potem w drugą stronę.
- Jak widać, to pilnie strzeżona tajemnica. — Bella trzymała swój szkicownik na kolanie.
- Oj, ha, ha.
- Przekreśl się w twoje lewo. Jeszcze. Jeszcze troszeczkę. Teraz jest ślicznie. — Patrzyła na tył jego głowy.
- Przeszabawne. Nie spoczywaj na laurach, Oskarze Wilde.
- Wstał i podszedł do okna, spoglądając w dół na swój ogród.
- To kapryfolium trzeba porządnie przyciąć. — Zaczął się odwracać, aby spojrzeć z powrotem na nią.

— Stop! O, właśnie tak. Nie, nie, nie ruszaj się.

Stał przy oknie, połowa jego twarzy w świetle, połowa w cieniu, ciało odwrócone w jej kierunku, czujny, pełen wyczekiwania wyraz twarzy, jakby usłyszał nieznamy dźwięk albo nagle zauważył coś nadzwyczajnego w jakiejś zupełnie zwykłej rzeczy.

— Czy mogę zobaczyć już jakieś twoje obrazy? Wiem, że potajemnie pracowałaś jak mrówka.

— Nie potajemnie. I nie, nie możesz.

— Tak, potajemnie. I dlaczego nie? Musisz już mieć wystarczającą liczbę na wystawę.

— Nie mów głupstw. W każdym razie, bądź cicho! Koncentruję się. — Patrząc na dół na rysunek, wyczuła, że Will robi do niej głupie miny. Patrick też tak robił, kiedy go rysowała. Może ta nieumiejętność trwania w bezruchu ma jakiś związek z testosteronem. Jej wzrok padł na linie włosów Willa, wyraźny kształt jego czoła w miejscu, gdzie włosy wyskakiwały ze skóry głowy; wyglądały, jakby chciały rosnąć, dłuższe i dłuższe. Uśmiechnęła się do siebie, starała się, aby ten entuzjazm przeniósł się na kreskę ołówka. W skupieniu dotknęła językiem wargi, jak dziecko. Włosy Patricka były miękkie i cienkie, opadały po lewej stronie czoła. Pamiętała uczucie, jakie towarzyszyło rysowaniu ich, ruch ręki do przodu i do tyłu, jakby tkala. Sposób, w jaki podnosił rękę, aby odgarnąć je z twarzy, to, jak wiercił się irytująco, podczas gdy ona rysowała; nawet we śnie; nigdy nie był zupełnie spokojny, nigdy, dopóki... Przełknęła ślinę.

— Ciii! — powiedziała ponownie.

— Co? — Will zmarszczył brwi. — Nawet nie pisnałem.

Kiedy zrobili przerwę, Will powiedział, że dziwnie jest patrzeć na nią, kiedy mu się przygląda i rysuje.

— Wydajesz się patrzeć na mnie tak intensywnie, ale jednocześnie jakby przeze mnie. Widzę twoje oczy skaczące po mnie, przyglądające mi się, ale mam wrażenie, że nie zauważasz mnie jako mnie.

— Nie bierz tego do siebie. Rysowanie takie jest. Stajesz się po prostu ciałem, twarzą, nie Willem, mężczyzną, którego znam i... tak dalej.

— Słucham? „Mężczyzną, którego znam i tak dalej”? A co to miało oznaczać?

— Czy jesteś gotowy na drugą sesję?

— Co zamierzałaś powiedzieć? Nie możesz tego wymówić, prawda? Nawet od niechcienia.

— Czego? Słowa na „K”? Oczywiście, że mogę. Nie bądź niemądry.

— Słowo na „K”. O to mi właśnie chodzi. „Kocham” to dla ciebie przeklęte słowo.

— Ja tu będę żartować, dziękuję.

— Ten żart nie jest śmieszny. No dalej, spróbuj. Może to polubisz. Ja K-K-K — kurczę, masz rację, to trudne. — Skrzyżował ręce.

— Czasem potrafisz być cholernie denerwujący. Jesteś jak duży dzieciak. Niewiarygodne. — Zaczęła gorączkowo szukać w piórniku gumki z kitu. — Mężczyznę, którego znam i Kocham. Wiesz? W porządku? Zatoczył się do tyłu.

— Jestem do głębi poruszony twoją namiętnością. Słuchaj, odpuść sobie te wszystkie czułości-kowe gadki, dobrze? Nie wiem, czy dam radę to wytrzymać.

Bella temperowała ołówek nad śmietnikiem.

— Tak, Kochanie. Proszę, przybierz pozę. Lewe ramię troszeczkę do przodu. Tak. I czy możesz przekręcić się bardziej w tę stronę? Hola, nie za bardzo. Tak. To jest to.

Jej wzrok skakał tam i z powrotem, z Willa na papier, z papieru na Willa, kiedy rysowała kości, ciało, jego kształt. Nie widziała jednak wyrazu jego oczu.

Will zapytał, czy będzie wolna na weekend.

— Nie cierpię, kiedy ludzie to robią.

— Nie cierpisz, kiedy ludzie cię zapraszają? Wybacz mi. Przepraszam. To niewybaczalne. Nigdy więcej tego nie zrobię.

— Och, zamknij się. Odpowiadasz, że jesteś wolny, a oni mówią: „Ach, cudownie, mam bilety na Bernarda Manninga*. Powinni najpierw powiedzieć, o co chodzi, abyś miał szansę zgrabnie odmówić.

* Bernard Manning — angielski komik znany z niepoprawnych politycznie żartów.

— Więc jesteś wolna czy nie?

— Tak. Nie. Tak. Powinnam trochę porysować — chcę popracować nad twoim rysunkiem. A o co chodzi?

— Pomyślałem, że mogłabyś poznać moją matkę.

— Czy mam wybór?

— Oj, jakie urocze. Jest cudowna. Jest taka jak ja.

— Zadowolona z siebie i z głupimi włosami?

— Nie. Niefrasobliwa. Uwielbia rośliny.

— W ten weekend to może być trochę trudne. Mam mnóstwo roboty.

— Na przykład?

— Will. Nie jestem na przesłuchaniu w sądzie. Nie muszę tłumaczyć się z każdej sekundy. No wiesz — takie tam. Pranie i tym podobne.

— A, pranie. Cóż, to oczywiście jest na pierwszym miejscu. Boże broń, żebyś miała zadać sobie trud, aby poznać moją rodzinę.

— Oddychaj głęboko. Jestem pewna, że nie siedzi w swoim bujanym fotelu, szydełkując i zastanawiając się, jak długo jeszcze wytrzyma, jeśli mnie nie pozna. W jakiś inny dzień byłoby wspaniale. Oczywiście, że chciałabym ją poznać. Nie mogę wyobrazić sobie tego wcielenia cierpliwości i hartu ducha, które wytrzymało z tobą tak długo. Czy teraz zechciałbyś wrócić do pozowania?

Will podszedł do okna.

— Mogę tylko zapytać — czy istnieje jakiś szczególny powód, dla którego nie chcesz poznać mojej mamy?

— Oczywiście, że nie. Jestem zajęta. Proszę, czy możesz to na razie zostawić? Naprawdę chcę to skończyć.

Tego wieczoru przy kolacji Will wyciągnął swój kalendarz i ponownie podjął temat.

— Jeśli naprawdę chodzi tylko o to, że jesteś zajęta w ten weekend, umówmy się na jakiś inny dzień.

— Nie musimy chyba robić tych wszystkich rzeczy typu poznawanie rodziców, prawda? Mi się nie śpieszy, żebyś poznał moich.

— Czy ja kiedykolwiek o to prosiłem? Wrócimy do tego, kiedy będziesz gotowa, ale mama nie może się doczekać, żeby cię zobaczyć.

— Dlaczego? — Bella trzymała w powietrzu widelec wycelowany w jego szyję jak członek zgrai dokonujący samosądu uzbrojony w widły. — Co jej o mnie powiedziałaś, chłopcze?

— Nic. Nic. Cofnij się, ty wielki łobuzie. Mogłem opowiedzieć co nieco o tobie, no, może trochę więcej. Nie umiałem się powstrzymać. To będzie bezbolesne, obiecuję.

— Dobrze, dobrze. Przestań już o tym gadać. Następny weekend, pasuje? Miejmy to już za sobą, żebyś przestał mi suszyć głowę.

Nie widziała już rodziców Patricka od jakiegoś czasu; zmartwiła się, gdy zdała sobie sprawę, że nie pamięta, kiedy ostatni raz ich odwiedziła. Na początku jeździła tam prawie co weekend.



Wyczuwa, że potrzebują jej obecności, jakby z jej skóry emanowała jakaś esencja Patricka, jakby pamiętali go wyraźniej, kiedy ona jest w pokoju. Dla niej to też stanowi pocieszenie. Bez niego mieszkanie jest zimne i rozbrzmiewa echem jak scena, kiedy wszyscy pójdą już do domów; boi się sama zasnąć. Światło w przedpokoju jest zapalone całą noc, a mimo to nadal przeżywa męki, kiedy ma się położyć spać. Gdy budzi się nad ranem, na jedną, dwie sekundy zapomina. W mgłę półsnu on nadal żyje. Po chwili jednak świadomość zadaje cios jak prawdziwy. Oddech wydaje się uciekać z jej ciała, pozostawiając puste płuca i ból w żołądku. Zamyka oczy, aby zatrzymać napływające łzy. W swoich myślach znajduje schronienie i pociechę. W nich jego głos jest wyraźny i mocny, jego twarz jasna i żywa; Bella znowu może oddychać.

W domu jego rodziców album ze zdjęciami zajął na stałe miejsce na stoliku, wyparł egzemplarze „Domu i ogrodów”, zepchnął porządnie złożone, nadal nieprzeczytane „Daily Telegraph” i „Daily Mirror” na wieszak w przedpokoju, gdzie ich bezduszna normalność może zostać pominięta.

— Spójrz — mówią. — Tutaj idzie po raz pierwszy do szkoły. Ten szary kapelusz cały czas spadał mu na oczy. Pamiętam, jak poszedł do college'u; był wysoki i chudy, ale nagle wyglądał znowu jak mały chłopiec. „Pamiętasz?”, pytali. „Pamiętasz?”.

Szukając schronienia w kuchni, Bella gotuje i sprząta, wdzięczna za to, że może pograżyć się w rytmie obierania fasoli, w dającym się przewidzieć przygotowywaniu potraw — wkładasz potrawkę do piekarnika, wyciągasz brązową; mieszasz sos, robi się gładki.

Rose cały czas jej towarzyszy.

— Znowu zajmujesz się wszystkim, Bella. Jesteś skarbem. — Rose bierze durszlak, który Bella właśnie miała użyć i wsadza go na suszarkę. — Nie mogę się dziś odnaleźć. Czy widziałaś moje okulary do czytania? Wczoraj znalazłam moje wieczne pióro w lodówce. Ciekawe gdzie...

Rose snuje się z pokoju do pokoju, zostawia za sobą filiżanki z nietkniętą kawą, rozmaite robótki najeżone zbłąkanymi szpilkami, swoje okulary, zegarek na rękę, niedokończone zdania.

Joseph, ojciec Patricka, przechodząc, poklepuje Bellę po ramieniu; jego uczucie, wdzięczność są wzmocnione milczeniem.

— Mieliśmy zawsze nadzieję... — zaczyna pewnego wieczoru, ale przerywa, bo wie, że lepiej to przemilczeć, że nie ma nic do powiedzenia.

Sophie tak planuje swoje wizyty, aby zbiegły się z odwiedzinami Belli, przy każdej nadarzającej się okazji zaciąga ją do pubu.

— Doprowadzają mnie do szaleństwa, Bel. Mama nie może zapamiętać niczego na dłużej niż dziesięć sekund, a tato dzwoni do mnie dwa razy dziennie, aby sprawdzić, czy jeszcze oddycham.

— Wiem — mówi Bella. — Bądź cierpliwa. Jest im ciężko. To zbyt trudne.

Tłumacząc się zmęczeniem po długim i wyczerpującym tygodniu pracy, Bella dała radę wyperswadować Willowi wyjazd do jego matki w piątek wieczorem. Wstanie o świcie w sobotę, obiecała. Przyniesie herbatę do łóżka. Pakowanie zajmie jej tylko minutkę.

Kiedy wyjeżdżali, było po jedenastej. Kilka kaset wypadło na podłogę z wypchanego schowka, gdy Bella zaczęła w nim szperać.

— Co jest, koteczku?

— Nic. Próbuję tylko znaleźć Raya Charlesa.

— Szukałaś w bocznej kieszeni?

— Tak. Było tylko puste pudełko. Dlaczego nie trzymasz kaset w opakowaniach? Wtedy nie miałbyś tego problemu.

„Gadam jak moja matka”.

— Ale ja nie mam „tego problemu”, ponieważ się tym nie przejmuję. Po prostu sięgam i włączam, co wpadnie do ręki. Na oślep.

— Mężczyźni są tacy irytujący.

— To zawsze jest dobra replika — odrzucić połowę populacji za jednym zamachem. Trzymanie kaset w pudełkach nie spowoduje odkrycia leku na raka ani nie będzie zapowiedzią początku pokoju na świecie, prawda?

— Jak to mówią, co ma piernik do wiatraka?

— Przejmujesz się pyłkiem kurzu w procesie Wielkiego Stworzenia. Ale tu nie chodzi o pudełko od kaset, prawda? O, o, wyczuwam zbliżający się atak samozadowolenia. Dlaczego tak się denerwujesz? — zapytał, patrząc na nią ukradkiem. — Ona nie jest żadnym ogrem ani niczym takim.

— Nie jestem zdenerwowana. Nie powinieneś powiedzieć „ogryzłą”?

— Bzzz. Alarm pedanterii. Przestań zmieniać temat. Jest świetna i pokocha cię.

Bella sięgnęła w otchłań swojej torebki w poszukiwaniu lusterka.

Will parsknął ze śmiechu.

— Nie jesteś zdenerwowana? Nie, oczywiście, że nie. Will poszperał pod siedzeniem, wyciągnął kasetę koniuszkami palców i włączył.

— ...da-da dii, da dii dii — dii... — nucił razem z kasetą Raya Charlesa.

Ukradkiem wystawiła do niego język.

— Widziałem to. — Ścisnął jej nogę i położył dłoń na udzie.

— Więc mam do niej mówić pani Henderson czy Frances, a może Fran? — Polizała palec i wygładziła swoją brew, zmarszczyła się do swojego odbicia w lustrze.

— Wyglądasz dobrze. Rozluźnij się. Nie pani Henderson; przede wszystkim dlatego, że i tak już nią nie jest. Minus pięć punktów za nieuważanie, kiedy wykladałem ci fascynujące szczegóły mojego drzewa genealogicznego. Jest panią Bradley z powodu Hugh, mojego ojczyma, byłego ojczyma, nieważne. Woli, jak mówi się do niej Fran, ale szczerze powiedziawszy, nie sądzę aby się przejęła, gdybyś nazwała ją Chatanooga Choo-Choo*. Jest odrobinę ekscentryczna.

* Tytuł popularnej piosenki angielskiej.

— Jak bardzo ekscentryczna?

— Prawie w ogóle. Ledwo zauważalnie. Nie wiem, dlaczego o tym wspomniałem. Ale dzięki Bogu mieszka w Anglii, gdzie zachowywanie się w osobliwy sposób uchodzi za narodową rozrywkę.

Domek Fran oddalony był nieco od wąskiej drogi, przy której stały trzy inne domy. Belli wydawało się, że jest stary, prawdopodobnie z siedemnastego wieku; miał nisko osadzone drzwi i stromy spadzisty dach, który schodził w dół na wysokości jej wzroku. Rojnik murowy przywarł do dachówek

w zbitych kępach. Nierówna ścieżka z cegieł prowadziła do drzwi wejściowych, po obu stronach otoczona rabatami pełnymi wonnych goździków, wyrosniętych orientalnych maków z płatkami różowymi jak mięso łososia, oparów bladoniebieskich czarnuszek. Will przechodząc, pochylił się, aby poczuć zapach goździków.

— Chodź, powąchaj — powiedział do niej przez ramię.

Kilka wici źle namalowanego bluszczu ciągnęło się przez niebieskie drzwi, stanowiąc przedłużenie swojego żywego odpowiednika, który rósł naokoło. Nikt nie otworzył, kiedy zapukali, więc poszli na tyły domu.

— Czeeeeeeść! — zawołał Will przez cały ogród.

Jakaś postać wyskoczyła z gąszczu kopru włoskiego w połowie drogi przed nimi.

— Witam was.

Will prowadził po wąskiej ścieżce, która wiła się między krzewami lawendy, bylicami oraz fałującymi niebieskimi ostróżkami.

— Cześć mammo. — Uścisnął mocno Fran.

— Willum — powiedziała czule, odwzajemniając uścisk. Miała na sobie luźny niebieski kombinezon, którego kieszenie wypchane były dużymi przedmiotami, oraz coś, co wyglądało na męskie skórzane kapcie. Jej siwe włosy zebrane były na czubku głowy w bezładną kupkę. Wyglądało na to, że wsunięty był w nie długopis, choć Bella nie miała pojęcia, czy znajdował się tam, aby je z lekka przy-mocować, czy może było to jedynie jego tymczasowe miejsce spoczynku. Will wyciągnął rękę i wyjął kawałek gałązki z jej włosów.

— Więc to ty jesteś światłem miłości Willa? Will wywrócił oczami.

— Mammo, postaraj się nie wprawić mnie w kompletne zażenowanie.

Fran wzięła w swoje ręce obie dłonie Belli i popatrzyła na nią.

— Och, brzoskwiniowe policzki! Will powiedział mi, że jesteś piękna, ale sądziłam, że jest nie-obiektywny. Jakie cudowne oczy. Powiedz, lubisz rozmaryn? — Wymachiwała niepokojąco swoim sekatorem.

Bella była wdzięczna za nagłą zmianę tematu.

— Proszę, weź kilka sadzonek. Ten ma najbardziej niebieskie kwiaty, jakie widziałam. Willum, wiesz, który to gatunek? Nigdy nie pamiętam nazw. — Pochyliła się w kierunku Belli. — Jestem pewna, że rozpacza nade mną.

— Nonsens. Wcale nie. Rośliny też przecież nie znają swoich nazw. Muszę je znać tylko po to, aby zaimponować klientom. To może być *Rosmarinus officinalis*, rozmaryn lekarski — jest bardzo niebieski.

— W każdym razie na mnie to podziałało — przyznała Bella. — Oczarował mnie swoim gadaniem o *Meconopsis*, *Salix* i *Lavanduai*, czymkolwiek są.

— Głównie *Angustifolia*. — Nagle wyglądał bardzo poważnie i bardzo młodo. — Ten — poklepał stojący w pobliżu krzak z fioletowymi kwiatkami w kształcie końcówek skrzydeł, jakby był małym dzieckiem — to francuska lawenda, *Lavandula stoechas*. Taka, jaką posadziliśmy w twoim ogrodzie. A myślałem, że zakochałaś się w mojej inteligencji, poczuciu humoru, charyzmie i zabójczej urodzie.

— I w zwykłej pokorze, oczywiście.

— Oczywiście.

Fran zaśmiała się i wzięła Bellę pod rękę.

— Jak dobrze widzieć, że znalazł godnego siebie przeciwnika. Obiad jeszcze nie jest gotowy, ale wejdźcie i napijcie się herbaty. Pewnie marzycie o tym. — Wsadziła sekator do kieszeni. Kawałek zielonego sznurka ogrodowego zwisał za nią z drugiej kieszeni, ciągnąc się po ziemi jak ogon. Will podniósł koniec i niósł go za nią, jak tren sukni ślubnej.

— Zapiekania się właśnie piecze, ale mięso jest trochę twarde, więc myślę, że powinniśmy potrzymać ją tak długo, jak tylko damy radę wytrzymać. — Fran włączyła gaz pod ogromnym emaliowanym czajnikiem. — Gdzieś są babeczki, jeśli macie ochotę coś przegryźć. Poszukajcie w pojemniku na ciastka — dzisiaj pieczone. Albo wczoraj. Tak czy inaczej, są zupełnie w porządku.

Bella sięgnęła głęboko do kamionkowego garnuszka.

— Czuję się, jakbym losowała z koszyczka szczęścia.

— W tej kuchni to raczej jest koszyczek nieszczęścia. — Will przeniósł stertę rozrzuconych papierów ze stołu na kredens i rozłożył mieszankę filiżanek i spodków nie do kompletu. — To nie jest ręczna robota, prawda mamo?

— Nie, nie musisz się martwić, ty nieuprzejmy chłopcze. Wiedziałam, że powinnam zwracać więcej uwagi na twoje maniery, kiedy dorastałeś. — Głos Fran rozbrzmiewał echem z głębi spiżarni. — Moje babeczki są legendarne, Bella — płaskie jak kamienie ułatwiające przejście przez rzekę i dwa razy od nich twardsze. Hughie ułamał ząb na jednej z nich, ale psy je uwielbiały. Te jednak są kupione w sklepie, ponieważ jesteś prawdziwym gościem.

— Czuj się zaszczycona — powiedział Will. — Dżem, kochana mamo?

— Truskawkowy i z dzikiego bzu. Ten ostatni jest własnej roboty. — Fran zauważyła spojrzenie Willa. — Ostatni zbiór, więc nie patrz tak na mnie. Może być odrobinę wodnisty; nie chciał się ścierać. Po prostu jedzcie go łyżeczką i zagryzajcie babeczkami.

Tej nocy Bella leżała przytulona mocno do Willa na wąskim podwójnym łóżku w „rózowym pokoju”. Fran powiedziała, że mogą wziąć prawdziwy pokój gościnny, ale będą musieli połączyć łóżka albo mogą wcisnąć się tutaj.

— Jest bardzo przytulny, ale — ostrzegam — ściany są trochę cienkie, a ja jestem pokój obok.

— Boże, mamo, jak ty potrafisz wprawić w zakłopotanie.

Fran kontynuowała, niespieszona.

— Robię to tylko po to, aby cię zdenerwować.

Wiem, jakie to obrzydliwe — rodzic robiący aluzje do seksu. Blee. Dzieci zawsze myślą o swoich rodzicach jak o wiecznych dziewicach albo istotach aseksualnych jak ameby. A może to były pantofelki?

Will wzdrygnął się. Zaciągnął Bellę za łokieć do pokoju.

— Dobrze, dobrze. Weźmiemy ten. Dziękuję. Chodź, bo w przeciwnym wypadku zaraz rozpocznę swoje przemówienie pod tytułem: „W swoim czasie miałam kilka ciekawych wyskoków”, i będziemy musieli wysłuchać, jak to kierownik banku zakochał się w niej do szaleństwa i cały czas dzwonił z rzekomymi ankietami dotyczącymi jej finansów, a potem starał się ją zauroczyć nad stertą wyciągów z konta.

— Nie zwracam na to uwagi. — Fran w podskokach zeszła po schodach. — Wstawiłam czajnik. Bella powiedziała mu, że był niegrzeczny.

— Wcale nie. Kochamy się na zabój i oboje o tym wiemy. Dlatego możemy być tak nieuprzejmi, jak nam się podoba. Przecież twoja rodzina też nie jest uprzejma dla siebie cały czas?

— Tato i ja droczymy się ze sobą. Zawsze tak było. Zapytał o jej matkę.

— Wiesz, nigdy o niej nie mówisz.

— Nigdy nie rozmawiam z nią w sposób, w jaki ty właśnie to zrobiłeś. Nie można się z nią droczyć, bo to pewnie zakłóciłoby orbitę planety albo coś w tym rodzaju. Przez większość czasu staramy się zachowywać całkiem uprzejmie. Jak przy zawieszeniu broni.

Uniósł brwi.

— Yhmm. Tak musi być. Jeśli przestałybyśmy mieć się na bacności, o, rany, poszłoby na noże.

— A, jak słodko. Przyjemności więzi między matką a córką. Już teraz rozumiem — Madonna z dzieciątkiem, oboje z błogimi uśmiechami, a pod opadającymi szatami dyskretny błysk małego sztyletu.

— Przeszabawne. — Bella wyszła z pokoju. — Schodzę po herbatę.

— Naprawdę to zrobisz? Będę twoim najlepszym przyjacielem. — Bella musnęła nosem policzek Willa i dała mu soczystego całusa.

— Już nim jesteś.

Dopiero gdy wywarła na niego lekki nacisk i obiecała wiele seksualnych przysług, Will zaproponował, że porozmawia ze swoim prawie szwagrem w sprawie wilgoci. Telefon został wykonany, wpływy uruchomione. Pan Bowman przeniósł ją ze swojej czarnej księgi do czerwonej, tej właściwej, gdzie wpisywane były prawdziwe prace z datami i całą resztą. Zajmie to od czterech do pięciu dni; po usunięciu wilgoci, jeszcze przed pomalowaniem ścian, będzie trzeba je ponownie otynkować i pozostawić do wyschnięcia.

Życie stało się jeszcze bardziej beznadziejne. Pudła zostały upchnięte w sypialni, obrazy ustawione jak domino na podeście schodów, a rośliny doniczkowe zebrały się na liściastym kongresie w łazience.

— Naprawdę nie powinnaś zostawać w domu w czasie tego wszystkiego; kurz może ci zaszkodzić — powiedział Will.

— Wiem. Viv obiecała, że mnie przenocują.

— Dobra. Albo — możesz, eem, zostać u mnie.

Choć zwykle lądowali w domu Belli, wcześniej kilka razy została u Willa na noc. Kupił jej dodatkową szczoteczkę do zębów, którą trzymała u niego, ponieważ uważał, że przynoszenie i zabieranie z powrotem jej własnej było idiotyczne. Opróżnił dla niej szufladę, w której trzymała jedną dużą koszulkę i parę majtek. Ale zostawanie na noc, od czasu do czasu było czymś innym.

Kolacja, po niej seks, a potem zasypianie. To było zaplanowane, oficjalne. Mieszkanie przez bitych pięć dni razem — cóż, to już jest... życie rodzinne, prawda? Będzie się wiązało z rozmowami charakterystycznymi dla par, rytuałami typowymi dla wolnego związku — kto kupi coś na kolację; codziennym „ja gotuję — ty zmywasz”. Pozna szczegóły jego domu — gdzie trzyma papier toaletowy, jak opanować ściśle określony sposób otwierania tylnych drzwi, w które dni należy wystawić śmieci.

— To bardzo miłe z twojej strony, ale nie musisz tego robić. Zdobyłeś swoją sprawność harcerską, rozmawiając z panem B.

— Nie jestem miły. To zabrzmiało, jakbyś była grzecznym dzieckiem, któremu kazano podziękować. Wiem, że „nie muszę tego robić” — ale chcę to. Tego. Nieważne. Chciałem powiedzieć, że ucieszyłbym się, gdybyś zatrzymała się u mnie.

Dzwonek alarmowy. A co, jeśli jej się spodoba? Przyzwyczai się do widoku jego twarzy i cudownych, śmiesznych brwi na poduszce obok niej, kiedy będzie zamykać oczy każdej nocy? Codziennie rano jego twarz tam będzie; pierwsza rzecz na świecie jaką zobaczy, już znajoma. Będzie po-

znawać, czy jest w domu po atmosferze w nim panującej, kiedy wejdzie do środka, po jego zapachu w powietrzu. Jak szybko przywyknie do jego kroków na schodach, głosu witającego się z nią, zmiany w jego oczach, gdy spotykają się z jej? A potem? Potem wilgoć zostanie usunięta, ściany pomalowane i nie będzie powodu, dla którego nie miałyby wrócić do domu. Pierwszy wieczór po powrocie. Zimny, ostry zapach świeżej farby, brzęk jej kluczy na stole, w lodówce jedynie karton zepsutego mleka. Będzie tak jak wtedy, gdy wróciła po raz pierwszy do mieszkania po Patricku. Po Patricku. Tak właśnie widziała czasem swoje życie — przed Patrickiem, z Patrickiem, po Patricku, podzielone na równe części jak na diagramie kołowym, bez wolnego miejsca na nic innego.



Przekręca klucz w zamku, poniekąd oczekuje, że on krzyknie „Cześć. Miałaś dobry dzień?”. Cisza jest jak woda wypełniająca pokoje aż po same kąty. Porusza się w niej w zwolnionym tempie, czuje, jak rozstępuje się i ponownie zlewa za nią. W kuchni panuje nieznamy spokój, zimny porządek; nic się nie poruszyło. Słoik marmolady z otwartym wieczkiem nie stoi na blacie kuchennym. Na wprost przeczytana książka nie leży rozłożona na stole. Odruchowo patrzy w dół. Patrick ma doprowadzający ją do szału zwyczaj pozostawiania swoich ciężkich, brązowych sznurowanych butów na środku podłogi, gdzie ona często się o nie potyka. Miał doprowadzający do szału zwyczaj, poprawia się. Czuje nagłe ukłucie spowodowane oczekiwaną stratą, przedsmak przyszłego bólu. Ma ochotę przynieść jego buty i położyć je na podłodze, po czym odrzuca tę myśl jako śmieszna, szaloną nawet.

W łazience jest jeszcze gorzej. Cztery jednorazowe maszynki do golenia, jak widać wszystkie używane jednocześnie. Ten idiotyczny dezodorant w czarnym fallicznym pojemniku, mówiącym „to, że ładnie pachnę, nie znaczy, że nie jestem macho”. Wodzi palcami po główce zielonej szczoteczki do zębów Patricka, przesuując włosie w tę i z powrotem. Ta szczoteczka miała coś, co jak Patrick twierdził, było „przyśpieszającymi paskami” — „Widzisz, mogę nią umyć zęby w trzydzieści sekund”. Podnosi swoją fioletową szczotczkę z kubka i trzyma po jednej w dłoni, przodem do siebie. Podskakuje nimi w dół i w górę, tak jak to robił Patrick, podkłada głosy. „Odzywasz się już do mnie?”, powiedziałby jako zielona szczoteczka, przybierając super niski ton głosu i tańcząc nią pogo wzdłuż brzegu umywalki. Przekręciłby fioletową z boku na bok, potrząsał jej główką, aż Bella by się roześmiała.

Obją szczoteczki główkami.

— Dlaczego musiałeś umrzeć? To było bardzo głupie.

— Tak. — Przechodzi na durny głos zielonej szczoteczki. — Chyba po prostu nie widziałem, jak spada ehem, hem. — Trzyma je przyciśnięte do siebie. — Całus na zgodę? — Patrick zwykł tak mówić, przykładając ich główki do siebie. Wyciera swoje głupie łyżę ręką. Jej płuca wydają się ściśnięte i pełne, jakby wypełnione materiałem wybuchowym. — Oddychaj głęboko — mówi na głos. Czuje, jak potworny szloch porusza się gdzieś tam w dole, kłębi się w niej, grożąc, że wyskoczy w postaci

spazmów, rozdzierając tę kruchą ciszę. Masuje swoją klatkę piersiową; jest taka ściśnięta, taka bolesna, pragnie wytchnienia. Jej zęby zacisnęły się, zagryza mocno wargę, ponieważ rozpaczliwie potrzebuje jakiegoś namacalnego mniejszego bólu, którego mogłaby się uchwycić.

Zasłony w sypialni są do połowy zasunięte, ponieważ pragnie przyćmionego światła. Powoli się rozbiera, bez namysłu. Kiedy odsuwa kołdrę, aby wejść do łóżka, zatrzymuje się, po czym idzie do komody. Grzebie w szufladzie, cicho cmoka do siebie z niezadowoleniem. Sięga do kosza na brudną bieliznę i przeszukuje go, upuszczając skarpetki i ręczniki na podłogę. Niebieska koszula Patricka — pognieciona, miękka od noszenia. Zanurza w niej twarz i wciąga powietrze.

Wsuwa się pod kołdrę i składa koszulę w kłębek przy twarzy. Dotyka jednego z perłowych guzików, wodząc wzdłuż jego krawędzi, dopóki nie zaśnie. Budzi się po dwunastu godzinach.



Will wziął ją w ramiona i przyciągnął blisko.

— Co jest, kotku? Znowu zniknąłeś w marzeniach? Zebrała się na uśmiech i pocałowała go. Potrząsnęła głową.

„Muszę spróbować. Muszę”.

— Nie chcę sprawiać ci kłopotu.

— Masz rację. Zapomnijmy o tym. To będzie wielka niedogodność, będę musiał leżeć każdej nocy obok cudownej nagiej kobiety, budzić się każdego ranka i widzieć na poduszce obok twarzy osoby, którą kocham. Cóż za mordęga.

— O, ktoś jeszcze przyjdzie?

— Bądź cicho. Zatrzymasz się u mnie. Nie kłóć się. Obiecuję, że nie będę cię zmuszał, abyś się dobrze bawiła. Jeśli chcesz, możesz nienawidzić każdej minuty; wtedy będziesz mogła powiedzieć „a nie mówiłam?”. Wiem, jak bardzo lubisz mieć rację.

— Wcale nie. Jesteś pewien, że zniesiesz moje odrażające nawyki?

— Mogę się założyć, że jesteś zaledwie amatorką, jeśli chodzi o pulę ohydnych przyzwyczajęń. Ja brałem kiedyś udział w zawodach południowo-wschodniego regionu. Jakie marne propozycje masz do zaoferowania — dłubanie w nosie na poduszce? Kawalki obciętych paznokci w czajniczku do herbaty? Osobliwe praktyki seksualne z użyciem cukini? Co?

— Blee. Jesteś odrażający.

— Wyznaj swoje mroczne sekrety.

— Odkładam na wóół zużyte waciki przy zlewie...

— Odpychające! Obrzydliwe!

— Zostawiam niepozmywane naczynia do następnego dnia...

— Zaraz zwymiotuję!

— Rozjaśniam wąsy podczas słuchania programu radiowego *Woman's Hour*.

— *Woman's Hour!* Groteska! — Jego głos się zmienił. — Jakie wąsy?

— Mężczyźni zawsze tak robią. Jak w tej reklamie szamponu z nadąsaną kobietą — „Ale przecież ty nie masz łupieżu!”. Widzisz. Tutaj. — Wskazała palcem górną wargę.

Pogłaskał małym palcem dołek pod jej nosem. — Kilka puszystych włosków. Miłe.

— Nie kilka. Dużo. I to ciemnych. Nie słyszałeś tego powiedzenia: „Jolen to najlepszy przyjaciel dziewczyny”?

— Co?

— Krem rozjaśniający. Nie martw się, nie będę wędrowała po domu z tym na twarzy. Tak czy inaczej, muszę... — Naciągnęła swoją górną wargę. — 'ak t'mać, al'o 'systko 's'adnie.

— Muszę to zobaczyć.

— Nie. Absolutnie nie. Moja matka zawsze mówiła „Nigdy nie pozwól, aby mężczyzna zobaczył cię, jak golisz nogi albo rozjaśniasz wąsy, dopóki nie podpisze się na wykropkowanej linii”.

— Naprawdę myślisz, że zrazi mnie coś takiego? Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.

Wzruszyła ramionami.

— Jeśli nie to, to znajdzie się coś innego.

— Mówisz poważnie, prawda? — Przytrzymał ją za ramiona, tak aby patrzyła na niego. — Ty tego nie pojmujesz? Nigdzie się nie wybieram. Obawiam się, że jesteś na mnie skazana.

— Dlaczego, panie Henderson, to takie nagłe. — Powachlowała twarz dłońmi.

Puścił jej ramiona i złapał za ręce.

— Nie, właściwie to nie jest nagłe. Pomyślałem o tym, zanim cię jeszcze pocałowałem.

Zauważył jej wyraz twarzy.

— Wyglądasz, jakbyś miała pójść do dentysty. Nie panikuj. Nigdzie cię nie popędzam, tylko mówię. Chcę spędzić z tobą resztę życia.

„Resztę życia”. Ale ile to będzie trwało? Może być czterdzieści, pięćdziesiąt lat, pewnie. Albo dziesięć, pięć. Albo jeden rok. Trzy tygodnie. Gdyby tylko istniała jakaś gwarancja.

— Kiedy już będziesz miał mnie w domu przez pięć dni, to się wyleczysz.



— Jakieś wolne pokoje w zajeździe? — Bella stała na progu domu Willa ze swoją torbą podręczną.

— Stajnia cała zajęta, młoda panienko. Będziesz musiała położyć się z gospodarzem.

— Jak to dobrze, że udoskonaliłeś swoje pożądliwe spojrzenie. To ważne, aby mieć jakieś umiejętności.

— Och, możesz wejść jeszcze raz. — Will wyswobodził ją z butelki wina, którą ze sobą przyniosła, oraz z przewiązanego wstążką pudełka trufli. Duży kuchenny stół był świeżo nakryty jasnym madrasowym obrusem w kratkę. Na nim stał kamionkowy dzban z białymi różami i liśćmi z ogrodu

Willa. Bella pochyliła się, aby powąchać jeden z kwiatów i westchnęła z uznaniem. Will otworzył szafkę i wskazał ręką. Herbata z czarnej porzeczki, jej ulubiona.

— I, i — ciągnął ją po całym domu, pokazując skrzynki na odpady do przetworzenia w końcu wyniesione z przedpokoju, gdzie zawsze zaciągały jej pończochy, do niebywale wysprzątanego schowka pod schodami; więcej kwiatów przy łóżku w niebieskiej szklaneczce; wolne wieszaki; przygotowane ręczniki poskładane w kostkę, na wierzchu mydło hotelowe w opakowaniu; zapakowana w folię czekolada na poduszce.

— Nie rozpieszczaj mnie za bardzo. Mogę się do tego przyzwyczaić.

— Takie było ogólne założenie.

Przyglądał się, jak rozpakowywała torbę, podawał wieszaki; opróżnił kolejną szufladę dla niej, ścieśnił swoje ubrania, żeby zrobić miejsce dla jej rzeczy.

— Ja się nie wprowadzam, wiesz? To tylko pięć dni, nie szalej.

— Tak, kochanie. Czy masz swoją małą koszulkę nocną, żeby włożyć ją pod poduszkę?

— Nie mam takiej. Miałam wziąć workowatą koszulę, której nie można się oprzeć, z napisem „Myślę, więc piję” i obrazkiem przedstawiającym dużą butelkę piwa.

— Wiedziałem, że jesteś dla mnie zbyt wyrafinowana.

— Tak, niech nikt nie mówi, że po prostu brałam udział w Wyścigu w Szykownych Piżamach. To był darmowy upominek z czasów, gdy pracowałam w agencji reklamowej — wygląda wyjątkowo elegancko z moimi fioletowymi peruwiańskimi skarpetami.

— I je też zostawiłaś? Nie wiesz, że szaleję na widok peruwiańskich skarpetek? Pończochy to dla mnie nic szczególnego.

— O, to szkoda — powiedziała Bella, chowając przeźroczystą parę „niczego szczególnego” z powrotem do swojej torby.

Will zerwał się na równe nogi i zanurkował głową w torbie jak pies gończy w lisiej norze.

— To jest dziwne — Bella stwierdziła, kiedy leżeli rozłożeni na kanapie po kolacji.

— Co?

— To. Przebywanie z tobą i wrażenie, że to takie normalne. Prawie jakbyśmy byli prawdziwą parą. Czy możemy się pokłócić?

— Ale po co?

— Żebym mogła się odprężyć. Czuję się tak dobrze, kiedy jestem z tobą, jakbym była normalnym człowiekiem. Naprawdę całkiem rozkosznie. To jest bardzo niepokojące.

— Ty jesteś rozkoszna, mój głuptasku. — Dmuchnął w jej szyję. — Poza tym jesteśmy prawdziwą parą.

— Tak, kochanie.

— I znowu to samo. Byłaś wcześniej w związku. Pamiętasz, jak to wygląda, prawda?

Kiwnęła głową. „Ale”, pomyślała, „ale teraz jest inaczej”.

— Więc dlaczego nie jesteś żonaty, Panie Doskonały?

— Już prawie byłem. Masz szczęście, że mnie złapałaś.

— Tak? Pewnie zostałeś odstawiony z powrotem na półkę jako towar uszkodzony: — Bella pogłaskała bliznę na jego brwi. — Co to znaczy „prawie”? Zostałeś porzucony przy ołtarzu?

— Nie. To była Carolyn. Pamiętasz, kiedyś trochę ci o niej opowiadałem?

— Hmm, tak. Ta szczupła blondynka.

— Uwielbiam twoje krągłości. Nie bądź głupia. — Położył rękę na jej brzuchu. — W każdym razie byliśmy razem dobrych parę lat — Will i Carolyn, Carolyn i Will, jak Bolek i Lolek albo...

— Burke i Hare*.

* Seryjni mordercy.

— Bądź cicho. Ale wiesz, jeśli wszystko wygląda tak samo rok w rok, nigdy się tego nie kwestionuje. Jak dżem mojej mamy, który dobrze się nie ścina. Nie chodzi o to, że jest dobry, ale po prostu przyzwyczaiałem się do niego — to jest Dżem Mamy. Więc Caro i ja...

— Caro. Blee.

— Ciii, chcesz tego słuchać czy nie? — Will opowiedział, że układało im się dobrze, nie kłócili się ani nic takiego, ale też nie rozmawiali naprawdę; ich konwersacje polegały tylko na wymianie informacji na temat pracy albo plotek dotyczących kręgu ich znajomych. Często wychodzili, razem lub osobno; pozornie prowadzili bujne życie towarzyskie; rzadko zostawali w domu sami. Otaczali się ludźmi, wydarzeniami, zajęciami. Mimo wszystko zmierzali do małżeństwa, jakby poruszali się na szynach, i tylko coś dramatycznego i gwałtownego mogło zepchnąć ich z toru. Rozmawiali już o przygotowaniach. I wtedy zaproponowano Carolyn trzymiesięczny kontrakt w Nowym Jorku.

— Przyjęła go?

— Tak. A ja ją do tego namawiałem. Byłem najlepszym, pozbawionym egoizmu narzeczonym — „Musisz go przyjąć, Caro. Co za okazja. To tylko trzy miesiące”. Przez te lata nie zdawałem sobie sprawy, że sam siebie oszukiwałem. Myślę, że ulżyło mi, kiedy zdecydowała się wyjechać.

— No, dalej. — Bella szturchnęła go, żeby się posunął, tak aby mogła oprzeć się o niego. — Moja kolej. Więc co stało się później?

— Pojechała do Nowego Jorku i w ciągu miesiąca poznała kogoś innego.

— Żartujesz? Jakie to okropne.

— Nie, nie bardzo. Myślę, że żadne z nas nie widziało sensownej drogi wyjścia. Potrzebowaliśmy — zaśmiał się — pomocy z zewnątrz.

Przyciągnął bliżej głowę Belli i pogłaskał ją po włosach.

— Po dwóch tygodniach od jej wyjazdu, w któryś weekend łąziłem po domu jak w letargu. Poruszałem się w ten powolny, marzycielski sposób, typowy dla niedzielnego poranka, jakbym nie miał siły. Pamiętam, że myślałem — nadal to dobrze pamiętam — myślałem: „Czuję się niemrawo pewnie dlatego, że tęsknię za Caro”. I wtedy do mnie dotarło. Czułem się, jakby ktoś zrobił brzdęk — brzdęk i zdjął łuski z moich oczu; świat nagle nabrał ostrości. Pomyślałem „Nie. Ty tylko grasz rolę mężczyzny, który tęskni za swoją dziewczyną, ponieważ nie chcesz stanąć twarzą w twarz z prawdą”.

Bella pomasowała ramiona, na których nagle poczuła chłód.

— Mianowicie?

— Mianowicie, że nie tęskniłem za nią. A z tym było dużo, dużo trudniej sobie poradzić. Ponieważ wtedy — wtedy zacząłem patrzeć wstecz na nasz związek i nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz któreś z nas okazało prawdziwe zainteresowanie tej drugiej stronie. Albo kiedy przestałem ją kochać. — Jego palce spoczywały nieruchomo na jej włosach. — Czułem się strasznie. Byłem przerażony. Zawstydzony. A kiedy przyszedł list, w którym pisała, że poznała tego faceta, Boże, jaka ulga! Wybawiono mnie z opresji i nawet nie musiałem nic robić. Później poczułem się źle, jakbym oszukiwał, ponieważ nie rozwiązałem tego we właściwy, dorosły sposób — coś w rodzaju „powinniśmy o czymś porozmawiać”. Czułem się jak oszust.

Bella powoli pokiwała głową. Poczula suchość w ustach, jakby wyłożone były materiałem, jej język nagle obcy ślizgał się po zębach, dotykał każdego po kolei, jakby sprawdzała, czy jest prawdziwa. Rozmasowała swój sztywny kark, po czym spojrzała na niego.

— Ale to nie była twoja wina. — Bella odchrząknęła. — Takie jest życie.

— Konfucjusz powiedział „Takie jest życie”. Dziękuję za tych kilka mądrych słów. — Lekko go uderzyła. — Auu. — Złapał ją za rękę. — A teraz nie mogę uwierzyć, że kiedyś mogłem choć przez chwilę myśleć o poślubieniu jej. Nie umiem tego wyjaśnić — to, co jest między nami, jest zupełnie inne. To tak, jakby całe życie dawano ci coś o smaku truskawkowym, nie wiem, gumę albo coś innego i mówiono „To jest truskawka, to jest truskawka”. A potem, pewnego dnia, kiedy się tego nie spodziewasz, piękny, olśniewający czerwony owoc wpada ci prosto do ust i nie przypomina niczego, co kiedykolwiek widziałeś, wąchałeś czy próbowałeś. Lub — lub znałeś. I wtedy nagle dociera do ciebie: „O mój Boże, to jest truskawka”.

Dotyk jego ust na jej skroni, jego dłonie na jej włosach. Objęła głowę Willa i przyciągnęła bliżej. Jego palce na jej szyi. Jego usta silnie na jej. Wieczorna szorstkość jego policzków, brody, prawdziwa i żywa na jej skórze.

— Auu, klujesz. — Potarła palcami o jego policzek, udając, że piłuje na nim paznokcie.

— Mam iść się ogolić? — Zaczynał wstawać.

— Nie. — Pocałowała go, zasłaniając brodę dłonią. — Dlaczego nie robią ochraniaczy na brodę?

Odbiła lekko otwartą dłoń od włosów Willa.

— Uwielbiam to. To pierwsza rzecz, jaką u ciebie zauważyłam. Po wieczorze poezji myślałam nawet o tobie jako o Sprężynku.

Przekręcił głowę, aby na nią spojrzeć.

— Nigdy mi nie mówiłaś, że myślałaś o mnie po tamym pierwszym spotkaniu.

— Co ma oznaczać ta śmieszna mina?

— Jestem tylko zadowolony, że mnie zauważyłaś. — Zsunął się, aby położyć głowę na jej piersiach, zamknął oczy. — Jesteś doskonałą poduszką. Powiedz mi coś miłego. Co jeszcze myślałaś?

— Myślałam, że jesteś zabawny i masz bardzo błyszczące oczy. Co jeszcze? Twoje brwi. Zdecydowanie twoje brwi. Bardzo seksowne. No i masz taki rozbawiony wyraz twarzy.

— Ktoś kiedyś powiedział, że wyglądam na zadowolonego z siebie.

— Nie. — Wróciła myślami. — Niezadowolony z siebie. Śmieszny półśmiech, oceniający, jakbyś uważał, że świat jest zabawnym i fascynującym miejscem.

— Tak jest.

— Wiem. To właśnie w tobie kocham.

— Właśnie użyłaś słowa na „K”.

— Wymknęło mi się. Nie ponoszę za to odpowiedzialności.

Kiedy się całowali, położyła rękę na jego piersi, poczuła bicie jego serca.

— Bum-bum. — Wystukała rytm na jego ciele. — Bum-bum.

Położył swoją dłoń pod jej lewą piersią. Nadal czuła jego rytm serca jak uderzenia bębna.

— Bum-bum — powiedzieli razem, ich serca bijące jak jedno. — Bum-bum.

— Jak długo byłeś z Patrickiem? — Will zapytał następnego wieczoru, kiedy kończyli kolację w jego domu. Spojrzał w dół na swój talerz, goniąc widelcem wkoło ostatni kawałek tertellini.

— Pięć lat, trzy miesiące i jedenaście dni, skoro już pytasz. — Bella zaczęła sprzątać ze stołu.

— Nie żebyś liczyła albo coś w tym rodzaju. Mogę zapytać, dlaczego się rozstaliście? Masz coś przeciwko? Po prostu się nim znudziłaś czy co?

— Dlaczego tak zakładasz? Mogło być odwrotnie. Will odciągnął ją od zlewu i posadził przy stole.

— Aha. Niemożliwe. — Podniósł jej dłoń i zaczął delikatnie ją skubać. — Doprowadzająca do szału, tak. Zdumiewająca, z pewnością. Nudna, nigdy.

— Dziękuję. Chyba.

— Nigdy o nim nie mówisz.

— Myślałam, że rozmawianie o swoich byłych uważa się za nieuprzejme. — Cofnęła swoją dłoń i zaczęła uderzać podkładkami pod nakrycia jak muzyk w talerze. Wytrzepane okruchy spadały ze swoich spiralnych rowków. — Gdzie je trzymasz?

— Obojętnie. A odpowiedź na moje pytanie brzmi...? Muszę cię popędzić. — Will podniósł zwykłą zakorkowaną butelkę oliwy z oliwek. — Możesz wygrać tę luksusową kryształową karafkę.

— Myliłeś się. Miał mnie dosyć. — Bella włożyła nakrycia do szuflady, stanęła przy zlewie i popatrzyła przez okno na ogród. — Wybrał ostateczną ucieczkę. Umarł. Mężczyźni, co? Tacy nieprzewidywalni. Kiedy już myślisz, że wiesz, na czym stoisz, to on daje się zabić. Przynajmniej ograniczyłam prasowanie. —

Will podszedł i stanął za nią. Jego ręce oplótły ją, trzymały mocno. Nadal stała sztywno.

— Boże, przepraszam. Przepraszam. Nie drażniłbym się z tobą. Jestem idiotą. — Szepnął jej we włosy. — Dlaczego, do licha, wcześniej mi nie powiedziałaś? Możesz o tym mówić? Oczywiście, że nie. Co za głupie pytanie.

— Nie. W porządku.

Opowiedziała mu suche fakty. Jeden akapit. Wiadomości w skrócie. W swojej głowie widziała ten tekst rozmieszczony na stronie gazety:

„Śmierć nasila obawy dotyczące bezpieczeństwa na placu budowy”.

Śmierć rzeczoznawcy budowlanego wzbudziła na nowo obawy co do norm bezpieczeństwa w przemyśle budowlanym. Patrick Hughes, lat trzydzieści cztery, zmarł w czwartek późnym wieczorem na skutek odniesionych poważnych obrażeń głowy i wewnętrznego krwotoku po tym, jak spadła na niego część ceglanego komina na placu budowy w Vauxhall, na południu Londynu. Przewieziono go niezwłocznie do szpitala Św. Tomasza, jednak lekarzom nie udało się przywrócić go do życia. Zmarł bez odzyskania przytomności. W chwili wypadku pan Hughes dokonywał oceny stabilności przylegającej ściany. Inspektorat Zdrowia i Bezpieczeństwa Pracy rozpoczął dochodzenie.

Czy to był Patrick, te zgrabne, płaskie małe czarne słówka na cienkim papierze gazetowym? Kiedy ten tekst pojawił się w gazetach, chciała wykupić wszystkie egzemplarze. Jutro ludzie będą jej używać do przykrywania podłóg, wpychać ją do mokrych butów, wykładać kuwety dla kotów; jutro zostanie wyrzucona, stare wiadomości, zapomniane.

— Bella? — Will zaczął obracać ją do siebie.

— W porządku. Słowo. — Automatyczny uśmiech.

— Na pewno? — Jego głos był niski i łagodny.

Poczuła jego ciepło, pewne i solidne przy jej boku, kiedy odwrócił się, aby zobaczyć jej twarz. Pragnęła oprzeć się o niego. Jak dobrze byłoby po prostu zapomnieć, poddać się jemu, pozwolić, aby ją objął i pocieszył.

Jej głowa lekko się poruszyła, prawie niezauważalnie, a Will przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej. Przez chwilę, przez jedną jedyną chwilę, czuł, że ona ustępuje, obejmował ją tak czule, jakby była przerażonym dzieckiem; głaskał jej włosy. Nagle zeszywniała, wyprostowała się i lekko potrząsnęła głową. Poklepała jego ramię z chłodnym uczuciem.

— Przestań, Will. Nie jesteś moim terapeutą ani pracownikiem opieki społecznej. Nie musisz przybierać swojego specjalnego, pełnego troski tonu dla mojego dobra. — Odwróciła się od jego twarzy, która wyrażała ból, jakby wymierzyła mu policzek. Wyswobodziła się z jego uścisku, wzięła szmatkę i zaczęła wycierać stół, zmiatając okruszki do swojej zgiętej dłoni.

— Przepraszam. To nie jest — to nie jest tak, jak się wydaje — powiedziała do okruszków. — Nie mogę. Ale dobrze się czuję. Naprawdę.

Poczuła krótki uścisk jego dłoni na swoim ramieniu, po czym Will odwrócił się do zlewu i wypełnił ciszę dodającym otuchy brzękiem zmywanych naczyń.

Czy może skorzystać z telefonu, zapytała Willa, aby odebrać wiadomości z automatycznej sekretarki.

— Oczywiście. Nie musisz pytać.

Telefon od Viv — „Przepraszam, właśnie sobie przypomniałam, że jesteś u Pana Cudownego na pięciodniowym święcie bzykania. Cierpimy z powodu braku plotek i twojego kurczaka w sosie cytrynowym. Nie zapominaj o mnie tylko dlatego, że znalazłaś swoją bratnią duszę” — i kolejny telefon od taty; nadal nie odpowiedziała na poprzedni. Przepraszam, powiedziała do Willa, czy mogłabym też zadzwonić do swojego ojca.

— Jesteś taka grzeczna. — Pokiwał głową rozbawiony. — Cały czas powtarzam, czuj się jak u siebie w domu.

— Cześć tato. To ja. — Przykryła słuchawkę dłonią i wyszeptła do Willa — To nie potrwa długo.

Will zrobił znak w kształcie litery „H”.

— Rozmawiaj, ile chcesz. Nie ma pośpiechu. Pokiwała i posłała mu całusa.

— Nie, tylko dzwonię z telefonu kogoś innego.

Słyszała głos Willa, który celowo był tak głośny, aby słyszała go z kuchni: — Tak, moi drodzy, to ja. Ktoś inny. Nie „mój chłopak”, nie „mój partner”, nawet nie „Will”, po prostu „ktoś inny”. Ona mnie kocha, na, na, na...

W porządku, powiedziała, wszystko w porządku — dom w porządku — wilgoć jest teraz usuwana — dobrze, niedokładnie w tym momencie, ale dzisiaj i jutro, a niedługo wszystko będzie skończone i będzie mogła się rozpakować i zamieszkać jak prawdziwy dorosły człowiek — tak, w pracy w porządku, trochę nudno, ale dzięki niej spłaca hipotekę i zaopatruje się w croissanty — malowanie, zaskakująco dobrze, jest mniej zardzewiała, niż myślała — nie, głuptasku, nie aż tak dobra — tak, oczywiście, któregoś dnia będzie mógł je obejrzeć.

— Więc dlaczego ja nie mogę ich zobaczyć? — zawołał Will.

— Nie bądź wścibski — odkrzyknęła. — Zajmij się herbatą, chłopcze.

— Och. To Will — powiedziała do słuchawki. — Cóż, on jest... no wiesz... hmm... tak, myślę, że tak. — Byłoby lepiej, gdyby się przyznała. Nie mogła do końca życia unikać tej kwestii.

— Od jakiegoś czasu. Z początku przyszedł urządzić mi ogród, który, nawiasem mówiąc — powiedziała, kiedy wrócił do pokoju z dwoma kubkami herbaty — pilnie potrzebuje uwagi. Narobił sobie dużo zaległości w pracy.

Will podszedł do niej od tyłu, objął ją i szepnął do ucha. — To dlatego, że cały czas ktoś mnie rozprasza.

Odepchnęła go i pomachała palcami w jego kierunku, aby odszedł.

— Tak, tak, jest. Will stał bardzo blisko.

— Jaki jest, jaki jest? — zapytał. — Cudowny? Sympatyczny? Najwspanialszym mężczyzną na całej ziemi?

— Jest tuż obok — syknęła na niego. Will zmarszczył nos.

— Nie, nie, nie wyskakuj zanadto w przyszłość, tato. Tego nie ma w planie.

— Czego nie ma? Czego nie ma? — zapytał Will, skubiąc jej szyję. Bella zasłoniła słuchawkę.

— Odejdź, Denerwująca Istoto. Próbuję tutaj prowadzić sensowną rozmowę z moim poważnym ojcem.

Will wsadził język do jej ucha i poruszał nim. Złapała za rękaw Willa i podniosła go, aby wytrzeć nim swoje ucho

— Jesteś obrzydliwy — bezgłośnie poruszyła ustami.

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

— Wiem.

Ściszyła głos i odwróciła się do niego plecami.

— Zabawny, wesoły — tak, hmm, bardzo bystry, troskliwy, bezpośredni. Wrażliwy, też. Chyba w porządku, jeśli lubi się takie rzeczy.

Will wyciągnął szyję tak, aby jego twarz znalazła się w jej polu widzenia i uśmiechnął się promiennie. Odepchnęła go. Zaśmiała się.

— Nie, nie, nie jest mięczakiem.

Przerwa. Długa przerwa. Bella zmarszczyła brwi.

— To może być trochę trudne. Jest bardzo zajęty.

— Nie, nie jestem — powiedział Will.

Znowu ściszyła głos. Will starał się podejść bliżej, żeby coś usłyszeć. Bella trzymała go na odległość łokcia.

— Właśnie, że tak. Wiesz, jaka ona jest.

— To go zniechęci, a ona będzie mogła grać swoją rolę współczującej, ale w ogóle nie zaskoczonej matki.

— Mmm. Zawsze tak mówisz. Możliwe. Pomyślę nad tym. Nic nie obiecuję. Tak. Pa, tato, pa.

Will stał z założonymi rękami.

— Chcą mnie poznać, prawda? Nie możesz wiecznie ukrywać mnie przed nimi.

— Głuptasie, jest odwrotnie. Ja chronię cię przed nimi. Przed nią. Możemy pojechać, jeśli nalegasz, ale później nie miej do mnie pretensji, jeśli wszystko pójdzie strasznie źle. — Wbiegła na schody. — Mogę zrobić sobie kąpiel? — krzyknęła przez ramię.

— Nie musisz pytać po raz czterdziesty piąty. Ale tylko pod warunkiem, że będę mógł przyjść i pomolestować cię moją gumową kaczką.

— Hmm? Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak to nazywał.

— Nawet nie masz pojęcia, jakie nieprzyzwoite myśli miałem o tobie ostatniej nocy. Will położył na chwilę szklankę schłodzonego różanego wina na brzuchu Belli, kiedy leżała w wannie. Krąg zimna rozszedł się po jej skórze.

— Opowiedz mi — poprosiła.

— Opowiedzieć moją fantazję? Jesteś pewna? Była dość nieprzyzwoita.

Skinęła głową.

— Jest bardzo gorący dzień, a ja godzinami wędrowałem po wzgórzach. W końcu dochodzę do łąki, na której rośnie długa trawa, falująca jak woda na wietrze. W oddali, po drugiej stronie widzę kolorową plamkę — rozłożony pomarańczowy koc i leżącą na nim postać w białej sukience. Idę ostrożnie ścieżką w trawie, zatrzymuję się w odległości kilku metrów. Bardzo chce mi się pić, ale teraz nie widzę niczego poza tobą. Twoje włosy pozwalają zobaczyć jedynie kuszący fragment twojej twarzy, twoje powieki drgają we śnie. Powiew ciepłego wiatru unosi ci sukienkę, podsuwając ją wyżej po nogach. Przez jedną krótką chwilę widzę mignięcie białej bawełny na szczycie twoich ud, potem sukienka z powrotem opada.

Nie chcę cię niepokoić, ale jest mi tak gorąco i jestem taki zaczerwieniony, a widzę, że masz ze sobą torbę izolacyjną. Może masz wodę. Zaczynam cichutko śpiewać, aby cię delikatnie obudzić: „...and when she passes, each one she passes goes «Aaah...»...*”. Otwierasz oczy, uspokajam cię, a ty dajesz mi schłodzonej wody do picia i pokazujesz, abym usiadł obok ciebie. Senni od słońca kładziemy się na kocu. Twoja ręka powoli sunie po moim boku w kierunku klatki piersiowej. Zaczynasz odpinać moją koszulę, mówiąc, że pewnie jest mi gorąco. Wlewasz trochę wody do zgiętej dłoni i wcierasz ją w mój tors, jest zimna w porównaniu z moją skórą.

* „...gdy przechodzi, każdy koło którego przechodzi wzdycha «Ach»...”.

— Mi też jest gorąco — mówisz. — Musisz mnie ostudzić. — Klękam przy tobie i rozpryskuję wodę z butelki na twoją sukienkę. Mokry materiał przykleja się do ciebie, podkreśla ponętne krągłości, dopasowuje się do twoich kształtów. — Podmuchaj na mnie — mówisz, patrząc w dół. Zaczynam od twoich stóp, dmucham chłodnym powietrzem między palce, nad podbiciem, wokół kostek. Twoje mruczenie miesza się z wiatrem, szeptem traw. Kiedy dmucham powyżej kolana, zaczynasz drżeć i twoje nogi lekko się rozchylają. — Bardziej — mówię, dmuchając po twoim udzie — rozchyl się dla mnie. Twoje nogi rozsuwają się, zapraszając mnie. Dmucha lekko, a kiedy wciągam powietrze, wdycham twój zapach. Odurzający. Nie mogę się oprzeć. Mój język pieści wewnętrzną stronę twojego uda, sunie coraz wyżej. Moje usta przywierają do ciebie. Twoja skóra jest miękka jak jedwab na moim policzku, brodzie.

Podsuwam do przodu głowę pod białą markizą twojej sukienki. Jestem teraz tak blisko ciebie. Widzę, jak twoja wilgotna bielizna przylega do ciebie. Chcę ją zdjąć, ściągnąć zębami... ale najpierw muszę się jeszcze trochę z tobą podroczyć. Mój oddech ponownie cię odnajduje; twoje mruczenie jest głębokie, prawie jak jęk. W końcu, wyginając się w łuk, przybliżasz się do mnie, przyciskasz siebie do moich ust, a ja...

— Bella?

Wygramoliła się z wanny, rozlewając wodę poza jej krawędź, i usiadła na nim okrakiem. Zaczęła go całować, jej usta przyciśnięte mocno do jego. Objął ją i przyciągnął bliżej.

— Przepraszam, pomoczę cię. — Bella szarpnęła za jego pasek.

Wślizgnął dłoń między jej uda.

— O tak, z pewnością. — I położył ją przed sobą na podłodze w łazience.

Rozmawiali, szepcząc do samego rana. Will zapytał, czy nie będzie jej przeszkadzało, jeśli jeszcze na chwilę zostawi włączoną lampkę przy łóżku.

— Chcę widzieć twoją twarz. Jego palce głaskały ją po ramieniu.

— To zabawne — powiedział Will. — Czasem mam wrażenie, że tak naprawdę jesteś nieobecna. Chciałbym powiedzieć, że tęsknię za tobą, ale to wydaje się głupie, kiedy widzę, że jesteś w pokoju razem ze mną. Eem..., przepraszam, że wcześniej cię zdenerwowałem pytaniem o Patricka. Żałuję, że prędeż mi nie powiedziałaś.

— Z pewnością nie masz ochoty wysłuchiwać głędzenia o moich byłych.

— To nie jest głędzenie. Wszyscy mamy przeszłość.

— No przestań, Will. Nie byłoby ci miło, gdybym zaczęła porównywać — „Och, Patrick też tak robił — ta woda po goleniu pachniała zupełnie inaczej na Patricku — Patrick uwielbiał, gdy tak go dotykałam...

— Dzięki, Bella. Dlaczego to robisz? Wiesz, że nie o to mi chodziło. Jesteś po prostu — nie wiem — taka.

— Jestem po prostu „taka”? Cóż, teraz już jest wszystko jasne. Tak się cieszę, że wszystko sobie wyjaśniliśmy.

— Teraz przybrałaś ten swój ton głosu Królowej Śniegu. Zawsze kiedy odważę się zapytać ciebie o coś, czuję się tak, jakbym cię przesłuchiwał, jakbyś złożyła jakąś przysięgę przypieczętowaną własną krwią, że nigdy nie ujawnisz tego, co czujesz. Chciałbym mieć świadomość, że możesz mówić mi różne rzeczy.

— Nie ma o czym mówić. Westchnął.

— Czy mogę tylko zapytać — to znaczy, pewnie za nim tęsknisz, prawda?

W jej myślach Patrick obserwuje ją, jego twarz w półcieniu, jej wyraz ukryty.

— To nie jest... ty nie... nie możesz tego zrozumieć. Przykro mi.

— Może mógłbym. Pamiętasz? Straciłem swojego ojczyrna. Nie jestem żalobnym prawiczkim. Nawet nie dasz mi spróbować? Skąd wiesz, skoro nie chcesz mi powiedzieć?

— Will. Proszę, przestań. — Zamknęła oczy, mówiąc w myślach do Patricka: „Patrick. Proszę przestań”.

— Przepraszam, Bella. Przepraszam. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest zranić ciebie. Jestem egoistą, wiem — ale ja tylko chcę, żebyś mnie kochała — tak jak, najwyraźniej, kochałaś jego.

Potrząsnęła głową prawie niedostrzegalnie, jej powieki zadrgały, a ona milczała. Poczwała delikatny pocałunek na brwi, podmuch cichego westchnienia Willa.

Wyciągnęła rękę, aby zgasić światło. Usłyszała jego szept w ciemności.

— Chciałbym cię poznać naprawdę.

22

Po zaledwie ośmiu dniach, zamiast obiecanych pięciu, wilgoć została usunięta, a ściany ponownie otynkowane i pomalowane; nie było więc żadnej wymówki, z powodu której Bella nie mogłaby wrócić do domu. Spakowała ubrania do torby, ściągnęła swoje sukienki i bluzki z wieszaków w szafie Willa, wyjęła bieliznę z szuflady. Teraz wiedziała, że nie powinna była u niego zostawać, że to sprawi, iż poczuje się gorzej.

Will patrzył na nią, jak wyciągała swoje rzeczy z łazienki, jak zapinała kosmetyczkę teatralnym finałowym gestem.

— No przestań, misiu. Czuję się, jakbyśmy się rozwodzili albo coś w tym rodzaju. Nie musisz zabierać ze sobą wszystkiego. Zostaw część rzeczy. Poczekaj. — Zaczął przesuwac swój dezodorant i piankę do golenia. — Zrobię ci trochę więcej miejsca.

Położyła rękę na jego ramieniu.

— Dzięki, Will. Naprawdę. Ale to niepotrzebne. Muszę mieć swoje rzeczy u siebie w domu.

— Ja... cóż... ja pomyślałem, że może... Wyciągnęła do niego rękę, uciszając go pocałunkiem.

— Przyjdź do mnie na weekend. Dla odmiany ja cię porozpieszczam. I tak chciałam, żebyś mi pozował. No i możesz pomóc mi rozpakować budzące postrach pudła.

Przytulił ją.

— Jeśli naprawdę chcesz mnie porozpieszczać, to zrób jeszcze raz tę potrawę z kaczki. Z sosem.

— Zgniatasz mnie. Tak, zrobię dla ciebie potrawę z kaczki, ale będziesz musiał rozpakować dodatkowe pudła.

— Umowa stoi. I nie zapomnij o swojej obietnicy.

— Nie zapomnę. Jakiej obietnicy?

— Wiedziałem, że to zrobisz. Dotyczącej galerii. Powiedziałaś, że zaniesiesz tam swoje obrazy.

— Zrobię to. Kiedyś. Nigdzie mi się nie śpieszy. Już przestań o tym mówić.

— Właśnie, że się śpieszy. Życie jest krótkie, wiesz. — Zobaczył, że zamruwała. — Przepraszam. Ale musisz... w przeciwnym wypadku będę zmuszony do ssania twoich palców u nóg, aż nie zaczniesz błagać o litość.

— Więc? — zapytał Will, maniakalnie unosząc i opuszczając swoje brwi, kiedy odebrał ją z pracy w piątkowy wieczór.

— Co?

— Byłaś w jakiś galeriach?

Streściła szybko. Tak, była, więc czy mógłby przestać suszyć jej o to głowę. Chciała się umówić, ale w dwóch miejscach powiedziano jej, żeby po prostu przyszła od razu z obrazami; w trzecim oznajmiono, że w chwili obecnej nie szukają nowych artystów. W tej pierwszej pani dyrektor stwierdziła, że obrazy są z pewnością „dobrze namalowane, bardzo dobrze wykonane, ale lekko niepokojące”; woleli martwą naturę, krajobrazy, bardziej konwencjonalne sceny wnętrz. W drugiej okazało się, że osoba podejmująca decyzję wyjechała na tydzień; Bella nie mogła zrozumieć, dlaczego po prostu nie uprzedzili jej przez telefon, ponieważ ta galeria była jej nie po drodze; powiedzieli, że może zostawić kilka obrazów dla tej osoby, jak wróci, ale ona odmówiła i obiecała, że zadzwoni później.

— A byłaś w tej Mackie-coś tam, jak ona się nazywa? Ta najlepsza?

— MacIntyre Arts. Nie, nie byłam. Po co? Will wzruszył ramionami.

— Nie rozumiem, co masz do stracenia. Nie bądź taką pesymistką. Muszą wieszać czyjeś obrazy na ścianach — dlaczego nie twoje? Możemy teraz tam pójść, tylko rzucić okiem. — Zatrzymał się na ulicy, blokując wąski chodnik.

— Nie, nie możemy. Dlaczego się zatrzymałeś? Nie umiesz jednocześnie iść i mówić? Czy to rozładowuje twoje baterie?

— Tak. Zatrzymałem się, ponieważ lubię widzieć twoją twarz, kiedy mówisz. A tak à propos, czy już mogę zobaczyć jakies twoje obrazy?

— Nie.

— Tylko jeden.

— Nie.

— Jeden malutki, maluteńki.

— Dobry Boże! Co z tobą? Dobrze, ale żadnych przemądrzałych komentarzy.

— Ależ one są olśniewające! — Podniósł mały obraz do światła, aby móc go lepiej widzieć.

— Po co to „ależ”? Nie ma potrzeby być aż tak zaskoczonym.

— Nie bądź nieznośna. Nie jestem zaskoczony tym, że są takie dobre, ty paranoiczko. Ale nie mogę uwierzyć, że ktoś mógł wykonać coś tak pięknego i... i przejmującego i chce trzymać to w sekrecie. Bardzo podobają mi się kolory. Teraz się cieszę, że suszyłem ci głowę o te galerie. Jesteś szalona.

— Dziękuję za wsparcie.

— Musisz spróbować w tej najlepszej galerii. Wiesz o tym, prawda? Jeśli tego nie zrobisz i wystawisz je w jakimś zwykłym, przeciętnym miejscu, zawsze będziesz wiedziała, że poszłaś na łatwiznę, że nie spróbowałaś zdobyć tego, czego naprawdę pragnęłaś, że nigdy nawet nie sprawdziłaś, czy możesz to mieć.

— Aż tak bardzo mi nie zależy. Wszędzie byłoby cudownie.

Wydał ordynarny dźwięk, wysuwając język między wargi i dmuchając.

— Tak, kochanie. Wierzę ci. A teraz popatrz na ten ...

— Tak, widziałam go. Namalowałam go. Zignorował ją.

— Przyprawia niemal o gęsią skórkę — w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Wydaje się przyciszony przez światło i ten cień tutaj. Mam wrażenie, że powinienem szeptać; ta kobieta wygląda na bardzo smutną. Nie, nie do końca smutną... Osamotnioną. Will zwrócił uwagę na szczegóły.

— ...i te kamienne płyty, obniżenie terenu w miejscu, w którym zostały wytarte przez kroki. Czy to katedra? Dziwne. Niektóre elementy wyglądają jak katedra, ale ma się wrażenie, że to jakieś inne miejsce jak we śnie.

— Maksymalne noty, chłopcze. To jest połączenie. Synteza rzeczywistości i wyobraźni. Właściwie do pewnego stopnia wszystkie obrazy są nią — ponieważ sposób, w jaki postrzegasz świat, nigdy nie odzwierciedla rzeczywistości takiej, jaką jest naprawdę.

— To znaczy, że potrafisz malować to, co widzisz w swoich myślach?

Kiwnęła głową.

Poniedziałek, pora lunchu. Stała, patrząc na wystawę przez długi czas. Dobre obrazy, bardzo dobre — pierwszorzędny portret lekko zagniewanej kobiety namalowany olejami, wykonany trochę dziwacznie; dwa akty w pastelach; zestaw czterech krajobrazów wykonanych techniką drzeworytu — pięknie stylizowane, znakomite. Próbowała zajrzeć do środka przez okno.

— Wchodzi pani? — Ubrany w tweed mężczyzna w średnim wieku, który miał właśnie wejść do galerii, trzymał dla niej drzwi.

— Nie. Ja tylko...

Dlaczego nie? Skoro już tu jest. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby wejść i się rozejrzeć.

Przechodziła od obrazu do obrazu, jej nastrój wahał się między euforią — „to jest wspaniałe” — a przygnębieniem — „nie mam żadnych szans”. Musi przyprowadzić tu Willa. „Och, popatrz na to, i na to, i na to” chciała mu powiedzieć. Małe emaliowane dzieło przykuło jej uwagę, błyszczało jak klejnot. Nawet obrazy, które nie przypadły jej do gustu, były przynajmniej dobrze wykonane. Nigdy

nie przyjęliby tutaj jej prac. Nawet nie miała co pytać. Pewnie roześmialiby się i wyglądaliby na zakłopotanych; powiedzieliby: „Ale ty jesteś tylko Bellą. Może nie rozumiałaś — wystawiamy tutaj tylko prawdziwych artystów”.

Mężczyzna ubrany w tweed stał przy biurku i rozmawiał z asystentką.

— Więc... — Odwrócił się do Belli, kiedy przeglądał swoją pocztę. — Przyszłaś do mnie? — Skinął na jej teczkę, paczkę w brązowym papierze. Rzućmy więc okiem. — Wyciągnął rękę.

Pan MacIntyre kiwał głową, kiedy przeglądał jej prace bez słowa. „O Boże”, pomyślała, „nie może nawet nic wymyślić, aby powiedzieć jej coś uprzejmego”. To było okropne, gorsze niż stanie przy nauczycielu w szkole, kiedy ten czytał jej wypracowanie. Dostanie czerwonego plusa? Znaczek oznaczający „postaraj się mocniej”! Skupiła całą uwagę na palcach u stóp, ścisnęła i rozkurczała je w butach. Wahał się przez długi czas, patrząc na pięć rysunków z katedry, które przyniosła. Czy były jeszcze inne? — chciał wiedzieć. Tak, kilka, chyba ponad tuzin, i jeszcze kilka akwareli. Czy planowała namalować jeszcze jakieś? Na chwilę obecną nie może się powstrzymać, powiedziała.

Przekartkował swój kalendarz.

— W zasadzie mamy zajęte terminy na ponad dziesięć miesięcy.

Uprzejmie jej odmawiał. Dobrze. Teraz będzie mogła zapiąć już swoją teczkę i wyjść.

— Ale, ale, ale — powiedział, kiedy ona ponownie zaklejała brązowy papier wokół obrazów. Wodził palcem po datach. — Terminarz jest zdecydowanie napięty, ale za trzy tygodnie mamy łączoną wystawę. Trzech artystów. Miało być czterech, ale jeden wycofał się z powodu załamania nerwowego. Wejdiesz na jego miejsce. — Zaśmiał się. — Wystawa zatytułowana jest „Wizje”, co obejmuje tak naprawdę wszystko, co nam się podoba. Ale te... — poklepał pakunek. — To z pewnością są wizje. Zastanów się. Zrozumiem, jeśli będziesz domagać się solowej wystawy — w takim wypadku będziemy myśleć o następnym roku, powiedzmy wczesna jesień i, oczywiście, będziemy potrzebować dużo więcej obrazów. Chciałbym przyjść, żeby zobaczyć resztę. Gdzie znajduje się twoja pracownia? Zadzwoń do nas jutro, jeśli możesz, najpóźniej w czwartek. Wtedy porozmawiamy o oprawie i całej reszcie.

Czy to znaczy, że mu się spodobały? Czy on to powiedział? Czy właśnie zaproponował jej łączoną wystawę, czy to sobie wymyśliła? Może mogłaby zapytać? Pomyśli, że jest stuknięta.

Uśmiechnął się, jego poważna twarz stała się nagle promienna i młodzieńcza.

— A tak poza tym, są znakomite. Naprawdę. — Pokiwał głową do siebie. — Porozmawiamy jutro.

Bella w końcu „odbywała naradę” z Seline, to jest ucięły sobie pogawędkę, ale przy zamkniętych drzwiach. Odkładała podjęcie decyzji tak długo, jak tylko mogła, ale w końcu Seline ją przycisnęła — była zainteresowana możliwością założenia spółki czy nie?

— Naprawdę doceniam to, że proponujesz mi...

— Ale zdecydowałaś się odmówić? Przepraszam, ale to chyba nie jest duża niespodzianka. Mogę tylko zapytać, dlaczego?

Bella opowiedziała o wystawie i chęci spędzenia większej ilości czasu na malowaniu. Może Seline zechciałaby przyjść? Z przyjemnością, odpowiedziała.

— Naprawdę nie sędzę, żebym była w stanie poświęcić więcej czasu na pracę. Właściwie — usłyszała siebie, jak mówi — zastanawiałam się, czy pozwoliłabyś mi pracować w niepełnym wymiarze godzin. Powiedzmy, trzy dni w tygodniu? Tak, żebym miała czas malować. Anthony mógłby objąć kierownictwo, kiedy mnie nie będzie. Jest doświadczony. Mogę też odejść z pracy, jeśli myślisz, że tak będzie lepiej?

— Ani mi się waź! — Seline stuknęła długopisem o zęby. — Skorzystamy z każdej ilości czasu, jaką możesz nam zaoferować. Chyba uda nam się to jakoś urządzić, dopóki nie stracimy cię zupełnie.

Kiedy słowa zostały już wymówione na głos, Bella zdała sobie sprawę, że ten pomysł tkwił w jej głowie od miesięcy. Teraz został wypowiedziany, był tam, już nie skrywał się bezpiecznie w milczeniu. Zgodziła się kontynuować pracę na pełny etat przez następne kilka miesięcy, podczas których miała przeszkolić Anthony'ego w zakresie drobnych, ale ważnych kwestii dyplomacji związanych z radzeniem sobie z trudnymi klientami.

Bella zamknęła za sobą drzwi. „Czy ja naprawdę to powiedziałam?”. Jej kolana lekko drżały, ale ciało było lżejsze, ożywione i musujące, jakby w jej żyłach płynęła oranżada — czy to było zderzenie typu „o, cholera, co ja zrobiłam?”, czy też może podekscytowanie? Wpadła do biurowej kuchni, biegła tam i z powrotem, wycierając blat kuchenny, napełniając ekspres do kawy, szukała gruntu pod nogami. Kiedy stała i słuchała rytmicznego kap, kap kawy, spostrzegła swoje zniekształcone odbicie w lśniących krągłościach czajnika — nowa, nieznana Bella.

23

Siostra Willa, Helen, miała przyjechać z dwojgiem dzieci w następną sobotę. Czy Bella spotka się z nimi? Czy pozna dalszą część rodu Hendersonów?

— To może być trochę trudne. Mam mnóstwo do zrobienia.

— Coś, w czym mogę pomóc?

— Nie, to tylko, wiesz, takie tam.

— A, „takie tam”. Dobra. Brzmi jak coś ważnego. — Will nadał policzki. — Czy musimy przechodzić przez to za każdym razem, kiedy chcę, żebyś poznała moją rodzinę?

— Pracuję nad obrazem, Will. To twoja wina. Po pierwsze, to był twój pomysł, żeby wysłać mnie do galerii.

— Wysłać cię do galerii? Więc to moja wina, że grozi ci spełnienie się i odnoszenie sukcesów? Ale ze mnie łajdak. Nie wiem, jak ty ze mną wytrzymujesz. — Wyciągnął do niej rękę. — Oczywiście, musisz stawiać malowanie na pierwszym miejscu, kochanie. Myślałem tylko, że gdybyś nie robiła nic szczególnego...

— Może będę mogła wpaść na chwilę, żeby się przywitać w porze podwieczorku?

— Mmm. Zrób tak. Ofiaruj mi okruszki — stary, pocziwy Will je wyliże.

— Nie muszę wcale przychodzić. — Zaczynała się odwracać.

— Ależ tak, musisz przyjść. Nie czytałaś zakresu obowiązków? Partner Willa — Obowiązki Oficjalne. Numer 1 : Kochać mnie ogromnie. Numer 2: Uprawiać ze mną mnóstwo seksu. Numer 3: Poznać moją rodzinę. Przecież nie chodzi mi o Numer 54: Poznać mojego nudnego kuzyna z Uxbridge, prawda? Jest dla mnie naprawdę bardzo ważne, aby dwie osoby, które kocham najbardziej na świecie, poznały się. Nie możesz tego zrozumieć?

— Dobrze, dobrze. Zachowaj spokój. Powiedziałam, że przyjdę.

— I tłum oszalał! — Will zaczął biegać po pokoju.

— Dorośniesz w końcu?

— Już na mnie za późno.

Helen przesunęła dziecko i oparła je na swoim biodrze, aby móc ucisnąć rękę Belli.

— Wybacz bachorka. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz miałam obie ręce wolne. Zawsze albo je trzymam, albo powstrzymuję od czegoś, albo ratuję od niechybnej śmierci.

Bella spojrzała na dziecko, które odwzajemniło spojrzenie.

— Leo, prawda? — zapytała.

— Tak jest. Ten karzełek, który próbuje wspiąć się na Górę William, to Abigail. Chodź, przywitaj się Abby!

Abigail rozejrzała się, zobaczyła nową osobę i schowała twarz w nodze Willa.

— Nie bierz tego do siebie. Przechodzi przez fazę nieśmiałości.

— W porządku. Ja nadal czekam, aż wyrosnę ze swojej.

Abigail wyciągnęła się na podłodze, otoczona papierem i kredkami. Bella wzięła stopkę Leo w swoją dłoń i lekko ją ścisnęła.

— Cześć Leo. — Nadeła policzki i wystawiła język.

Jego małe policzki zaokrągliły się w uśmiechu.

— Proszę, potrzymaj go przez chwilę, dobrze? Boże, jest już taki ciężki. Przyniosę tylko filiżanki.

Był cięższy, niż można się było spodziewać po tak niewielkim człowieczku. Jak dłonie mogą być tak maleńkie i nadal być dłońmi? Z paznokciami w miniaturze — doskonałymi replikami praw-

dziwych, jakby zostały wykonane przez praktykanta u rzemieślnika, który ćwiczył przed wykonaniem ich naturalnej wielkości odpowiedników. Leo złapał jej wyciągnięty palec z zaskakującą siłą.

— Ma niezły chwyt — powiedział Will. Wyciągnął swoją dłoń z jednym palcem zgiętym. — Widzisz, straciłem jednego w zeszłym tygodniu.

Twarz chłopca zmarszczyła się z powodu nieznannej rozpacz. Bella zaczęła go lekko huścić, kołysząc w ramionach. Pochyliła głowę i zaśpiewała cichutko do niego; jej głos był delikatny i cichy.

— Cii, dzieciątko, la-la-la-la. Nie pamiętam słów, la-la-la, la-la-la... — Twarz Leo złagodniała w spokojnym uśmiechu, w półśnie. Bella spojrzała w górę i napotkała wzrok Willa. Żadne z nich się nie odezwało.

Helen weszła do pokoju z filiżankami.

— Po prostu rzuć go do mnie, jeśli zrobi się za ciężki. O, lubi cię. Zazwyczaj wydziera się w niebogłose, prawda dziubasku? — Delikatnie dotknęła noska dziecka.

Helen zaczęła nalewać herbatę.

— A więc, planujesz przechodzić przez ten cały nonsens? Z niecierpliwością czekasz na rozkosze macierzyństwa czy rozsądnie delektujesz się swoją spokojną egzystencją, póki jeszcze trwa? Macierzyństwo jest wspaniałe, jeśli nie przeszkadza ci bycie obsikiwaną i tak wykończoną, że nie pamiętasz własnego imienia.

— Myślę, że byłabym kiepską matką.

— Nieprawda! — powiedział Will.

Helen zachichotała głośno i uniosła brwi w kierunku Belli.

— Ktoś tu marzy o dziecku.

Ściszył głos.

— No cóż, to brednie. Byłabyś cudowna. Dlaczego to powiedziałaś?

— Na pewno zmarnowałabym im życie i wyrosłyby, żywiąc do mnie urazę. Potrzebowałyby dziesiątków lat terapii, a później przysłałyby mi rachunek. Albo byłabym zbyt zatroskana i nadopiekuńcza. Wyglądają tak krucho. Nie mogłabym tego znieść. Nie spałabym całą noc, sprawdzając, czy nadal oddychają.

— Uwierz mi, po kilku bezsennych nocach łapałabyś się na zasypianiu na środku supermarketu. Poza tym dzieci są mocniejsze, niż się wydają, ale, tak, to jest kłopot. Mama mówi, że nadal się o nas martwi, a popatrz, jaki on jest stary. — Helen skinęła na Willa. — A jak jest u ciebie — węższą cały czas w twoim życiu czy może jesteście bardziej typową angielską rodziną, która spotyka się dwa razy do roku?

— Tato potrafi być wścibski. Moja matka lubi się wtrącać, ale nie do tego stopnia, żebym mogła pomyśleć, że coś ją obchodzi; stąpa więc po cienkiej linii — potrzeba lat ćwiczeń, aby dojść do

takiej perfekcji. Chciałaby, żebym się ustatkowała tylko dlatego, aby pozbyć się zakłopotania spowodowanego posiadaniem córki-starej panny.

Leo zaczął płakać; Helen wzięła go i mocno przytuliła do siebie.

— Oj, przestań — powiedział Will.

— To prawda. Jeśli chodzi o martwienie się o mnie, jedynym powodem, dla którego miałaby coś przeciwko, gdybym została jutro przejechana przez ciężarówkę, było to, że musiałaby znosić pełne litości spojrzenia sąsiadów.

— To, co mówisz jest okropne. — Głos Willa był cichy. Helen milczała.

— Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałaś. — Will popatrzył szklistymi oczami.

Bella wzruszyła ramionami. To miało być zabawną hiperbolą, ale nagle, po wypowiedzeniu tego na głos, nie było już takie zabawne, w ogóle.

— Zabrzmiało, jakbyś była bardzo rozgniewana — powiedział Will.

— Nie przyszedłam tutaj, żeby poddawano mnie psychoanalizie. Nie traktuj mnie protekcyjnie, Will.

Hellen dołała im herbaty.

— Cóż, to nie moja sprawa — przyznała — ale ja też byłabym zła, gdybym myślała, że nie obchodzę moją mamę. Ty też byś był, Will. Oczywiście, że tak. W każdym razie podzielimy się z tobą naszą mamą, Bella. Ona najwidoczniej myśli, że jesteś najlepsza od czasów pojawienia się krojonego chleba. Po tym, jak Will zabrał cię do niej, rozprawiała o tobie godzinami. Muszę ci powiedzieć, że jestem trochę zazdrosna.

Bella zastanawiała się, jak zabrzmiało to, co powiedziała. Czy naprawdę była tak rozgniewana? Już nie wiedziała. Jej matka — mama; to brzmiało dziwnie, zbyt „fartuszkowato” i przytulnie jak na Alessandrę — zawsze taka była, więc chyba po prostu do tego przywykła. To, z czym dorastasz, jest dla ciebie normalne. Zaczynasz to kwestionować dopiero wtedy, kiedy napotykasz coś innego.



Jest w domu Sary na herbacie. Zjadły już kanapki z białego chleba z jajkami, miękkie i piankowe, z odciętymi skórkami. Teraz każda z nich ma ciasto z posypką oraz pomarańczowy napój z gotowanego ziarna jęczmienia w szklankach z czerwonymi i żółtymi paskami. Kiedy jedzą swoje ciasto, posypka cały czas spada na talerze z cichym stukaniem; wielobarwny deszcz. Sara sięga przez stół, aby poślinionym palcem ukraść Belli trochę posypki, śmieje się. Bella pochyla się, aby sięgnąć do talerza Sary. Kiedy wyciąga rękę, przewraca swoją szklankę z napojem. Sara piszczy, gdy napój rozlewa się po stole i kapie na podłogę.

Bella wstrzymuje oddech. Mama Sary nazwie ją niezdarą, będzie na nią krzyczeć. Zrzuci ją z krzesła i wypchnie z kuchni. Będzie musiała pójść do ogrodu i schować się za krzakiem z fioletowymi kwiatkami tam, gdzie bawią się motyle.

Mama Sary wyciera stół pasiastą szmatką.

— O, kurczaki pieczone! — mówi. — Już po kłopocie. — Nalewa następną szklanę napoju i daje ją Belli.

Bella patrzy na nią, czeka, prawie nie oddycha. Już niedługo.

— Dobre ciasto, prawda? — pyta mama Sary.

Bella kiwa powoli głową. Zaczyna zbierać posypkę i zjadać ją kawałeczek po kawałeczku.



— Kiedyś pojechałam odwiedzić naszego tatę. Naszego prawdziwego tatę. Pamiętasz, Will? — powiedziała Helen.

Kiwnął głową.

— Przez lata byłam na niego wkurzona. Naprawdę lata — po tym, jak odszedł od mamy, nie zadał sobie praktycznie żadnego trudu, aby odwiedzać nas, kiedy dorastaliśmy. Mieliśmy Hugh, był świetny i w ogóle, ale chciałam, aby prawdziwy tato też mnie chciał. Pojechałam do Yorkshire, żeby go odwiedzić, kiedy miałam około osiemnastu lat. Mama dała mi na bilet. Myślę, że nie była zachwycona tym pomysłem, ale nie starała się mnie od tego odwieść. Musiałam go zobaczyć, wiedziała to.

— Więc, jaki on był? — zapytała Bella.

— Tak naprawdę trochę żałosny. Nieudolny, nie jak prawdziwy dorosły człowiek. To było takie rozczarowanie. Uściskał mnie w ten niezręczny sposób i zrobiło mi się go, cóż, żal. Nie wydawał się wart całej tej złości i zmarnowanej energii. Nagle zrozumiałam, że to jego coś ominęło, nie poznał nas. I nigdy nie odzyska tych lat. Nie chciało mi się już żywić do niego urazy. Od czasu do czasu wysyłam mu kartkę, ale tak naprawdę jest dla mnie jak daleki wujek. Dużo bardziej brakuje mi Hugh.

Leo zasnął. Jego mała twarzyczka była zupełnie spokojna, w bezruchu. Helen delikatnie położyła go między dwoma poduszkami na kanapie i siadła obok.

— Czy próbowałaś rozmawiać z mamą o tym, jaka jest? — zapytała.

— Ale jaki to ma sens? Ona się nie zmieni w magiczny sposób tylko dlatego, że ja ją o to poproszę.

— Nie, pewnie nie. Nie to miałam na myśli. Ale ty możesz. Jeśli z nią porozmawiasz, może zaczniesz rozumieć, dlaczego taka jest. Co masz do stracenia?

Abigail podeszła i szepnęła coś Helen na ucho.

— Kochanie, nie musisz szeptać. O co chodzi?

Jeszcze raz powiedziała na ucho.

— Po prostu ją zapytaj. Jestem pewna, że się zgodzi.

Abigail milcząc, ciągnęła Helen za rękaw.

— Bella, czy zechciałabyś spojrzeć na rysunki Abigail? Chyba potrzebuje nowego wielbiciela.

Bella i Abby leżały na podłodze, rysowały kredkami, podczas gdy Helen karmiła Leo, a Will zmywał.

— Co teraz narysujemy? — zapytała Bella.

— Mnie. Mnie. Narysuj mnie.

Postać Abby gładko nabierała kształtów na kartce — poskręcane jak u Willa, brązowe włosy, jasnoczerwone ogrodniczki, niebieska koszulka.

— Namalujemy tu też twojego małego braciszka? Abby zaczęła ssać wargę, zastanawiała się.

— Nie — powiedziała. Bella zaśmiała się.

— W porządku.

Kiedy wyjeżdżali, Abby dała Belli rysunek — ten, na którym narysowała Bellę z ogromnymi oczami i czerwonym uśmiechem.

— Dziękuję bardzo. Powieszę go u siebie w pracowni. Musisz wkrótce przyjść do mnie na herbatę; wtedy będziemy mogli narysować kilka innych.

— Widzisz, bezbłędnie uchwyciła twoje włosy — powiedział Will, wskazując na rysunek, na którym głowa Belli pokryta była płataniną linii jak spruta robótka na drutach.

— Zamknij się. — Ścisnęła go za rękę. — Cieszę się, że przyszłam. Dziękuję.

— Wiedziałem, że tak będzie. Musisz pędzić do zrobienia „takich tam” czy mogę się jeszcze przez chwilę tobą nacieszyć?

Spojrzała na zegarek.

— Hmm. Powinnam już wracać.

— Czy to nie może poczekać? — Pociągnął ją w kierunku schodów. — Muszę ci coś pokazać... na piętterku.

— Mogę to sobie wyobrazić. Dobrze. Pod warunkiem, że będę mogła obejrzeć u ciebie *Dziwne losy Jane Eyre* — zaczyna się za czterdzieści minut.

— Och, ty. — Pociągnął ją na górę. — Cztery minuty powinny wystarczyć. Nie musimy zawracać sobie głowy tą całą grą wstępną, skoro już tak długo się znamy, prawda? — Zaczął rozpinać jej sukienkę.

— Dobrze, kochanie. Ja się tylko położę, a ty rób swoje. Jej sukienka opadła na podłogę.

— Czterdzieści minut, tak? Słuchaj, na końcu ona go zdobywa — no i już teraz nie musisz tego oglądać. — Skierował ją do łazienki. — Chodź ze mną pod prysznic.

Kiedy stała razem z Willem pod prysznicem, obserwowała strumienie wody spływające po jego klatce piersiowej, mydliła dłońmi jego nogi, plecy, krągłość pośladków. Obejmował ją jedną ręką, przyciskał chłodną kostkę mydła do jej piersi, przesuwał dłońmi po jej skórze, pieszcząc jej brzuch, zanurzając palec w pępku. Odwrócił ją, aby przytulić się do niej od tyłu, objął ją, jego palce wędrowały, sunęły, odnajdowały ścieżki, po których czuła dreszcze na swoim ciele. Kiedy przywarła do niego,

oparła głowę na jego klatce piersiowej, jej mokre włosy przykleiły się do jego skóry. Wygięła rękę do tyłu, aby go dotknąć. Czuła jego szybki oddech gorący na swojej szyi. Jego dłoń sięgała niżej. Skierował jej drugą rękę między jej uda.

— Przez chwilę kontynuuj beze mnie. Zaraz wracam. — Will wyskoczył spod prysznic. Usłyszała, jak woła z sypialni. Huk zamykanych szuflad.

— Gdzie te cholerne gumki?!

— Pod poduszką!

Przybiegł z powrotem do łazienki.

— Dobrze się bawisz? Mogę się w ogóle przyłączyć?

— Właż, głupku. — Kiedy ponownie wszedł, mocno do niego przywarła.

— No — powiedział. — Na czym skończyliśmy?

Leżeli w jego łóżku w płataninie ręczników, poduszek i kołdry.

— Grubasku? — Will odwrócił się do niej.

— Hmm? — posunęła się, aby spojrzeć mu w oczy. Podniosła rękę do jego policzka.

— Ja... — pocałował jej nos — kocham... — kolejny pocałunek — ciebie... — całus — dużuchno. — Pocałunek.

— Dużuchno? — Przytuliła się mocniej do niego, pocierając twarzą o jego klatkę piersiową.

— Tak. Bardzo dużuchno. Wiem, że to wszystko było — cóż — było, prawda? — dość szybkie i intensywne, nie chodzi tylko o seks — który z pewnością jest intensywny, ale mam nadzieję, że nie za szybki — w każdym razie chodzi o to...

— Płaczesz się, Will.

— To prawda. Płaczę się. Chciałbym coś powiedzieć, ale nie chcę, żebyś spanikowała.

— „Nie panikuj, panie Mainwaring, nie panikuj!” — Bella zacytowała powiedzonko z serialu *Dad's Army*.

— Nie — powiedział, delikatnie potrząsając ją za ramię. — Nie rób tego.

— Oj, mam być teraz poważna? — Zagryzła policzki. — Widzisz? Jestem rozsądna.

Will skinął głową.

— Nie chcę cię sponżyć. Wiesz, co do ciebie czuję.

Wziął jej rękę, spojrzał na palce, kiedy ścisnął je w swoich dłoniach; przesunął kciukiem po kostkach, paznokciach, jak gdyby nigdy wcześniej ich nie widział, potem podniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

— Chcę, żebyś za mnie wyszła.

*

Przez ułamek sekundy poczuła, że zalewa ją fala ciepła. Jej twarz musiała jaśnieć. Przez chwilę z jej oczu biło światło. Powoli łzy napłynęły pod powieki.

„Tak, tak. Kochaj mnie, ożeń się ze mną. Tak”.

Nagle poczuła podmuch zimna na szyi. Zadrżała. Jej skóra była lepka, blada, w ustach czuła suchość. Na chwilę jej oczy zamknęły się. Zobaczyła Patricka, stał odwrócony do niej plecami. Ale nie odważyła się wyciągnąć do niego ręki. Co zobaczyłaby w jego oczach? Ścisnęła i rozluźniała pięści, wbijając paznokcie w dłonie.

— Eem, czy twoje milczenie oznacza, że potrzebujesz trochę czasu, aby to przemyśleć? Czy może cię po prostu zatkało? A może to oznacza „tak”, ale zgrywasz trudną do zdobycia?

— Nie zrobiłabym tego.

— Jakoś tak pomyślałem, że możesz czuć to samo. Cholera, wiedziałem, że nie powinienem był się śpieszyć. Jestem takim kretykiem. Zapomnij, że to powiedziałem.

— Jakbym mogła? W porządku. Naprawdę. Pochlebia mi to. Po prostu nie jestem jeszcze pewna. Przepraszam.

Dlaczego nie mogła powiedzieć tego, czego chciała? „Tak, tak. Kochaj mnie, ożeń się ze mną. Tak”. Zdobył się na uśmiech.

— Czy przynajmniej rozważysz to? Kiedyś w przyszłości, jak ty byś to powiedziała.

— Kiedyś w przyszłości. — Uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek. — Dziękuję.

— Przestań być taka uprzejma! Chodź i przytul mnie. Nagroda pocieszenia.



W poniedziałek w czasie lunchu spotkała się z Viv. Siedziały na ławce w parku, jedząc kanapki.

— Oho, masz ten dziwny wyraz twarzy jak maska. — Viv zmrużyła oczy. — Co się dzieje? Chyba nie pokłóciłaś się z Willem?

— Ee-e. — Bella pokręciła głową. — Wręcz przeciwnie. Oświadczył się.

— Oświadczył się? To znaczy, że chodzi o małżeństwo?!

— Nie. Oświadczył, że zaczniemy wiercić w moim ogrodzie w poszukiwaniu ropy. Tak, oczywiście, że o małżeństwo. Czy to takie absurdalne?

— Oczywiście, że nie. Ależ to znakomicie! — Viv mocno uściskała Bellę. — Tak się cieszę, wiesz o tym. Och, ślub! Pewnie będę musiała się rozplakać. — Ugryzła kanapkę i żuła ją powoli. — Chwileczkę — czy ty nie powinnaś wyglądać na bardziej zachwyconą? Powiedziałaś „tak”, prawda, kochanie?

— Niezupełnie.

Viv przestała przeżuwać.

— Nie chcę tego słyszeć.

— No cóż, to dzieje się zbyt szybko. Myślałam, że będziesz miała rozsądne nastawienie — z niczym się nie śpiesz — zastanów się — to poważna decyzja. I tym podobne. Na miłość boską, popa-

trzcie na was dwoje, jesteście razem przez — ile? Cztery? Pięć lat? I nadal nic nie wskazuje na to, że pojawią się serwetki z imionami „Viv i Nick” i małymi srebrnymi dzwoneczkami.

Viv zarumieniła się.

— Przepraszam — powiedziała Bella. — To było nie na miejscu. — Viv nie poślubiła Nicka tylko dlatego, że ich ślub zostałby z pewnością zbojkotowany przez jedno z jej rodziców, ponieważ jakieś osiemnaście lat po ich zajądłym rozwodzie nadal odmawiali przebywania razem w tym samym pokoju, nawet przez pięć minut.

Viv wzruszyła ramionami.

— To już nieważne. W każdym razie, dlaczego odrzuciłaś jego oświadczyń?

— Nie wiem, proszę pani. — Bella pociągnęła za kawałek sałaty ze swojej kanapki i kopnęła jednego buta drugim.

— Bel? Czy to...? Czy to, no, z powodu Patricka? O, kochanie. Przepraszam.

Bella kiwała głową, jej oczy były mocno zaciśnięte.

— Nie wiem, nie wiem. Po prostu nie mogę. Nie mogę...

— Bella, czy mogę poprosić cię o przysługę? — Will zawołał z jej kuchni.

— Pewnie. Dlaczego jesteś taki poważny? — Zbiegła po schodach. — Nie chcesz chyba pożyczyć moich oszczędności, które gromadziłam przez całe życie?

— Nie. Tylko nie wściekaj się na mnie, ale czy jest szansa... czy mogłabyś przenieść te zdjęcia Patricka z tablicy, powiedzmy, do twojej pracowni?

— Naprawdę, Will. Nie musisz być zazdrosny o zmarłą osobę. Nie wiedziałam, że tak bardzo brakuje ci pewności siebie.

— Dzięki. Nie. Nie jestem zazdrosny. Niezupełnie. Ale za każdym razem, gdy wchodzę do kuchni, widzę zdjęcie przedstawiające ciebie i kogoś innego w łóżku.

— Will, mamy na sobie zabawkowe poroże. To nie jest przecież ujęcie wijących się ciał, prawda?

— Celowo nie dostrzegasz istoty sprawy. Mówiąc szczerze, myślałem, że będziesz wystarczająco taktowna i sama je przeniesiesz bez mojego proszenia.

— Myślę, że to ty jesteś tutaj nietaktowny.

— Przykro mi, jeśli tak jest, ale uważam, że to jest uzasadnione. Przecież nie proszę cię, abyś je wyrzuciła — czy nie możesz trzymać ich po prostu tak, abym ich nie widział?

— Mogę je spalić na rytualnym ognisku, jeśli chcesz.

— Dlaczego reagujesz przesadnie? Myślę, że nie proszę o wiele. Ale, jako że praktycznie mieszkamy razem, pomyślałem...

— Nie mieszkamy razem.

— Nie? Wybacz. Musiała zająć jakaś pomyłka. A jak nazwałabyś spędzanie każdej nocy razem, każdego weekendu, moje koszule w twojej szafie? Czy to nie moja kurtka jest w twoim przedpokoju? Moja poszatkowana pszenica w spiżarni? Moja maszynka do golenia w łazience? A może to Patricka?

— Nie ma potrzeby krzyczeć. Jesteś po prostu agresywny.

— Przepraszam. Nie chciałem.

Wzruszyła ramionami. — Nie ma sprawy. I tak miałam je ściągnąć.

— Nie, zostaw je. W porządku.

Pokręciła głową. Ostrożnie wyciągnęła pinezki i zaniósła zdjęcia na górę. Stojąc w pracowni, wahała się między szufladą swojego biurka a gzymsem nad kominkiem. Spojrzała na zdjęcia, na to, na którym są razem i na drugie, zrobione podczas wakacji w Szkocji, gdzie Patrick stoi przemoczony do suchej nitki. Jakie to dziwne, mieć zdjęcie kogoś, kto już nie istniał. W pewnym sensie to było kłamstwo, fikcja, jakby on był aktorem grającym w filmie, który już się skończył i światła w kinie zostały zapalone. Może powinna wrócić, pomyślała, pożegnać się z nim odpowiednio przy jego grobie, ale zaraz odrzuciła ten pomysł jako zbyt dramatyczny, żenująco świadomy. To i tak nie było w jego stylu; czuła, że jest bliżej niego, gdy zamawiała chińszczyznę na wynos. Mimo to nagle pojawiło się poczucie winy, kiedy uświadomiła sobie, jak dużo czasu minęło od dnia, w którym po raz ostatni odwiedziła jego grób. Zaraz po tym, jak wzniesiono nagrobek.



Kiedy już tu jest, czuje się trochę jak głupek. Widziała tę scenę w filmach i serialach, więc wie, jak to powinno przebiegać. Bella stoi, patrząc na grób; stara się oczyścić umysł z mnóstwa bezładnych, nieistotnych myśli, które cały czas wpadają jej do głowy, jak pływające na wodzie szczątki statku.

Grób otoczony jest betonowym krawężnikiem, środek został wypełniony małymi kamykami. Takimi, jakich używa się na podjazdach, myśli. Patrick zwykł mówić, że czyjś stan majątkowy można poznać po chrzeście pod kołami samochodu. Teraz jest ten moment, kiedy powinna powiedzieć coś poważnego i istotnego, przypomina sobie. Chciałaby wyznać, że życie nie będzie już takie jak dawniej, ale będzie trwać dalej mimo trudności, prowadzona pamięcią o nim jak światłem przewodnim. Nie umie powiedzieć tego wszystkiego do głupiego podjazdu. No i jaki byłby sens mówienia tego na głos? On jej nie usłyszy, prawda? Kiedy żył, przez większość czasu jej nie słuchał.

A poza tym to nie to, zupełnie nie to. Nie jest nawet pewna, czy istnieją słowa na opisanie tego, co czuje.

Nagrobek jest łukowaty jak okno w kościele, z płaskorzeźbą anioła; na szczęście niezbyt tandetny. Patrick określiłby go jako „zadowolający”, jedno z jego ulubionych słów jak w zdaniu „To wino jest z pewnością bardzo zadowolające” albo, aby się z nią podrażnić, „Wyglądasz bardzo zadowolająco”.

Koncentruje się na napisie:

Tu spoczywa PATRICK DERMOT HUGHES

Psiakrew. Zapomniała o tym Dermocie. Nienawidził tego imienia; wkurzyłby się, gdyby to zobaczył. „Nie uwierzysz”, powiedziałaby, „oni naprawdę zapłacili dodatkowo za te cholerne sześć liter!”.

Pod jego imieniem wyryte są daty urodzenia i śmierci. Zbyt krótka przerwa między latami jest bardziej wymowna niż napisy „Zmarł nagłą śmiercią” czy „Zabrany w kwiecie wieku”. Poniżej:

UKOCHANY, BĘDZIE GO NAM BRAKOWAĆ NA ZAWSZE W NASZYCH MYŚLACH
SPOCZYWAJ W POKOJU R.I.P.

Spoczywaj w pokoju. R.I.P. RIP*. Kiedy tak na nie spojrzeć, to słowo to wydaje się dziwnie gwałtowne, dalekie od spokoju. Ale tak właśnie było, czyż nie? Tak właśnie postępowała śmierć z tymi, których dotykała. Rozrywała twoje życie, pozostawiając je w strzępach. Rozrywała również ciebie tak, abys miał wrażenie, że zostałeś obdarty ze skóry; twoje mięśnie i tkanki poszarpane, twoje delikatne wnętrzości odsłonięte. Obdzierała cię do naga, byłeś rozłożony jak przyszpilony motyl na wystawie, a twoją kruchość wystawiono na uderzenia najbliższego nawet podmuchu powietrza. R.I.P. Co to może jeszcze oznaczać? Rozpaczamy I Pamiętamy? Raczej Irytujący Patrick? Ryzykant, Idiota, Pacan? Zmarła osoba ma spokojny koniec w tym układzie, wszystko za darmo. Jedyne, co musiała robić, to leżeć. To ci, co pozostali, zostają z rachunkiem.

* R.I.P. (łac.) — *requiescat in pacem* — spoczywaj w pokoju; gra słów polegająca na podobieństwie łacińskiego skrótu do angielskiego słowa rip — rozrywać, rozdzierać, wrywać.

Z zakłopotaniem pochyla się, aby położyć mały bukietik zwiniętych różowych pączków róży, który kupiła. Czuje się jak aktorka, jakby za jej ramieniem znajdowała się kamera, robiąca zbliżenie kwiatów. Ostrość na pojedynczym pączku, myśli, jedna idealna łza zatrzymana na krawędzi płatka. Następne ujęcie — zbliżenie jej smutnej twarzy. Patrick uważałby, że to jest zbyt głupie, aby wyrazić to słowami. „Nie marnuj pieniędzy na kwiaty, Bel. Idź i wypij jednego za mnie w pubie”.



Jeszcze raz spojrzała na zdjęcia w swojej dłoni, po czym oparła je na gzymsie nad komikiem.

— Już wiem, że będę tego żałować. — Bella odłożyła słuchawkę i zmarszczyła przesadnie czoło. Will pocałował je i objął dłonią jej kark.

— Przestań się tak bardzo martwić. Wszyscy rodzice wprawiają w zażenowanie swoje dzieci. Po to są. Muszą mieć jakiś cel w życiu, prawda? Ty poznałaś moją mamę i przeżyłaś — a ona jest dość dziwna.

— Na twoją odpowiedzialność. Pamiętaj tylko, że to był twój pomysł.

— Ty chyba chcesz, żeby było okropnie — wtedy udowodnisz, że miałaś rację. No przestań. Nie może być aż tak źle.

„Nie może być aż tak źle. Nie może być aż tak źle”. Czy on żartował? Bella przypomniała sobie, jak po raz pierwszy zabrała Patricka na weekend do rodziców.



— Bardzo elegancko. Miałaś dzisiaj zebranie? — mówi Bella, patrząc na Patricka w kraciatym, godnym księcia Walii garniturze, świeżo wyprasowanej koszuli i jedwabnym krawacie. — Mammy jeszcze czas przed wyjazdem, jeśli chcesz się przebrać.

— Właśnie to zrobiłem. — Patrick strzepuje niewidzialny kawałek kłaczka ze swojego rękawa.

— Ale po co? Nie prosisz o moją rękę ani nic takiego. Nie musisz im zaimponować.

Wysunął szczękę na znak zdecydowania.

— Szczerze mówiąc, byłaś tak zdenerwowana moim spotkaniem z nimi, że pomyślałem, iż trochę się postaram. Nie chciałem cię zawieść.

To było miłe z jego strony, przypomniała sobie. Ale jak zdoła wykorzystać garnitur jej matka? „Mam nadzieję, że Bella nie kazała ci się tak ubrać z naszego powodu”. Albo „Patricku, spodziewałam się, że będziesz miał na sobie kombinezon. Bella mówiła, że masz coś do czynienia z budynkami”. Może postanowi ubrać się mniej starannie, nawet kilka rzeczy wyciągnie na wierzch? Ma na sobie eleganckie popielate spodnium, czarne zamszowe buty. Włosy spięte są z tyłu głowy ciężką poskręcaną, srebrną spinką, dopasowaną do spiralnych kolczyków, które błyszczą, kiedy się porusza. Zdejmuje kolczyki, żakiet zastępuje tym grubym wełnianym, a zamszowe buty zamienia na parę starych burgundzkich mokasynów.

Alessandra przygląda się garniturovi Patricka.

— Wydaje mi się, że powinniśmy się wszyscy przebrać do kolacji. Patricku, zawstydziłeś nas swoim eleganckim garniturem. — Bierze jego klapę między palec i kciuk, jakby była profesjonalnym projektantem, uśmiecha się. — Nie włożysz spódnicy, Bella? Chyba nie chcesz przynieść wstydu swojej osobie do towarzystwa.

— Osobie do towarzystwa! — Bella mówi pod nosem. — Jakbym go wynajęła!

— Na co dzień jestem kompletnym niechlujem — protestuje Patrick. — Miałem dzisiaj zebranie...

— Cóż, wy mężczyźni musicie myśleć o perspektywach na awans, prawda? To wszystko ma związek ze światem biznesu.

— On nie obraca się w świecie biznesu. Jest rzeczoznawcą budowlanym. I nie czeka na awans, ponieważ już jest współnikiem w firmie.

Patrick patrzy na nią gniewnie i odwraca się, aby podziwiać oprawiony grawerunek na ścianie.

Podróż pełna była wyjaśnień Belli dotyczących różnych osobliwości domu i jej rodziców.

— A w toalecie na dole ludzie mogą cię usłyszeć, jeśli stoją blisko tylnych drzwi, więc możesz sobie podśpiewywać albo nucić coś głośno, ale beztrosko, jakbyś zawsze tak robił.

— Dobra. Notatka 312b — toaleta publiczna na dole — NUCIĆ. Zapisałem. Czy może być *Fascinating Rhythm**, czy na ścianie wisi lista zalecanych melodii?

— A, a, zapomniałam — najważniejsze, nie zapomnij pochwalić potraw mojej mamy. To powinno być łatwe, bo jest znakomitą kucharką...

— Wiesz, chyba po raz pierwszy usłyszałem, jak wyrażasz się o niej pochlebnie.

* Melodia skomponowana przez George'a Gershwina.

Bella wzruszyła ramionami.

— Robiłeś notatki? Nie masz poważniejszych zmartwień?

— O dziwo, spędzam dość dużo czasu, myśląc o tobie.

— Dobra. Ale musisz być konkretny. Jeśli chodzi o potrawy. Nie mów po prostu „To było cudowne”, bo pomyśli, że zostałeś pouczony. I zadawaj jej pytania — pozwól się jej popisać.

— Powinienem był przyjść w czarnym krawacie i koszuli. Wtedy mógłbym zapisywać notatki na sztywnych mankietach.

— A tak w ogóle, jak mam się zwracać do twojej mamy? — Will rozwinął tubkę owocowych cukierków, aby znaleźć tego, którego szukał.

— Nie wybieraj wszystkich czerwonych, świni! Możesz mówić na nią „O, Doskonała”, jako że to jest dość nieoficjalna okazja.

— Dobra. Czy wspominałem już, że wolę być nazywany „Pięknym Bogiem Seksu”? To jest, oczywiście, zarezerwowane tylko dla moich bliskich przyjaciół, ale skoro są dla mnie prawie rodziną...

Bella przyjrzała się wyrazowi jego twarzy. „Pracnie rodziną”. Dotknął jej policzka wierzchem dłoni.

— Więc mam mówić do nich po imieniu czy jak?

— Tato to Gerald. „Pan Kreuzer” wyda mu się niezrozumiałe, a zobaczysz, że nie wygląda na Gerry'ego — nosi takie okulary do rozwiązywania krzyżówek, ze szklami w kształcie półksiężyców i wygląda na trochę roztargnionego, jakby dopiero co wylądował na tej planecie, ale nie był do końca pewien, co tutaj robi. Gerry to raczej imię dla dynamicznego, noszącego koszulę w paski, pociągającego espresso mężczyzny z działu marketingu.

Will spojrzął na nią.

— Nigdy nie spotkałem nikogo, kto przywiązywałby wagę do tak drobnych szczegółów. Zupełnie nadzwyczajne. A Will? Co możesz wywnioskować z tego — powiedzmy, w porównaniu z Williamem?

— Cóż, William to imię bardziej dla twojego doradcy finansowego albo chłopca ze szkoły podstawowej, który chodzi w ręcznie robionych, za dużych sweterkach. Godny zaufania, zrównoważony. Może odrobinę mięczak. To ten typ chłopca, który ma zawsze mały ślad śluzu wystający z jednej dziurki nosa. Nie jest seksowny. „Bill” brzmi za krótko, aby być prawdziwym imieniem — i jest trochę podejrzanie sympatyczne jak wujek, który dużo się uśmiecha, ale nie chciałbyś usiąść mu na kolanach.

— Ale Will ma taką samą długość co Bill. Bądź dla mnie delikatna...

Bella przekrzywiła głowę na jedną stronę, oceniając.

— Tak, ale nie wydaje się tak okrojone. Wyraża większą pewność siebie i swobodę. Z Willem czujesz się bezpiecznie. Jest niezawodny, ale nie nudny. W miarę seksowny.

— Seksowny, tak. To ja. Tak czy inaczej, wracając do staruszków. Nie Gerry. Więc może Stary albo Tatku?

Klepnęła go w udo.

— To może być myśl — zwracaj się do mamy „pani Kreuzer”. Wiem, że to wydaje się absurdalne, ale przez chwilę będzie mogła zgrywać Panią Szczodrobliwą, kiedy łaskawie zacznie nalegać, abyś mówił do niej: Alessandra. W żadnym wypadku nie skracaj jej imienia do „Sandra”, ponieważ skrót ten uważa za tak wstrętny jak tapeta z wypukłym wzorem i zanim zdążysz zdjąć płaszcz, nakarmi Hunda twoimi wnętrznościami.

— Co to jest Hund? Smok ziejący ogniem? Szalona ciotka trzymana na strychu?

— Golden retriever taty, ale myślę, że niczego nie aportował* równie energicznie jak czekoladowych herbatników. „Hund” to po niemiecku „pies”, co z pewnością wiesz. Oto poczucie humoru mojego taty.

* Retrieve (ang.) — aportować.

Wjechali na podjazd przez białą furtkę o pięciu sztachetach; żwir zachrząścił pod oponami, sygnalizując ich przyjazd. Hund wybiegł zza rogu domu, aby ich przywitać. Bella pochyliła się, żeby go przytulić.

— Cześć Hund! — Poglaskała go po uszach. — Ty uroczy staruszk.

Will spojrzął na nią i zaskomlał jak pies, pragnąc zwrócić na siebie jej uwagę.

— Och, ty — westchnęła.

Przygarbił się, żeby sprawdzić stan włosów w bocznym lusterku; przycisnął je otwartą dłonią, aby je przyklepać. Odskoczyły z powrotem.

— No chodź, Sprężynku. Do jaskini lwa.

Alessandra uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

— Ty musisz być William. Proszę wejdz. Tak niewiele o tobie słyszeliśmy.

Will przyłączył się do niej, gdy śmiała się ze swojego żartu. Bella pochyliła się, aby wymienić z Alessandrą podwójne całusy w policzki.

— To Will — powiedziała Bella. — Nie William.

— Nieważne. — Will machnął ręką.

— Może napijesz się sherry? — Alessandra poprowadziła go za łokieć w kierunku salonu. — Poprzedni chłopak Belli bardzo lubił fino, prawda?

„Z pewnością mieszkanie z Bellą zmusiłoby do picia każdego mężczyznę”. W jej ustach zabrzmiało to, jakby był alkoholikiem. Kto nie miałby ochoty na kieliszeczek fino? Albo na butelkę, jeśli już o to chodzi? Nawet kwakier dolewałby denaturatu do swojego kakao, aby przetrwać weekend z jej matką.

— Cóż, odrobinę... — zaczął Will.

— Oczywiście, my sami rzadko pijemy tak wcześnie rano, ale jesteśmy niedoświadczeni, jeśli chodzi o wyszukane zwyczaje miastowe. A może wolisz kawę?

— Tak, cokolwiek Pani poda. Kawa, oczywiście.

Gerald przyszedł z ogrodu, uściśnął rękę Willa i poklepał go po ramieniu.

— Więc jesteś Will. Dobrze, dobrze. Bardzo nam miło, że nas odwiedziłeś.

Usłyszeli obiecujące pobrzękiwanie, kiedy Gerald sięgnął do barku.

— Powiedz, przyłączysz się do mnie przy szkockiej? Czy wolisz dżin z tonikiem? Burbon?

— Małą szkocką, w takim razie. Dziękuję.

— To piękny pokój, Pani Kreuzer. — Will podszedł do narożnej szafki. — Czy to z osiemnastego wieku?

— Tak. Mam nadzieję, że Bella nie nauczyła cię, żebyś był taki oficjalny, Williamie ...

— Will — przerwała Bella.

— ...Gerald i ja jesteśmy bardzo wyluzowani, prawda kochanie?

— Hmm? — zapytał Gerald.

— Proszę mów do mnie... — wzięła oddech, jakby miała rozpocząć arię — ...Alessandra.

Ku zaskoczeniu Belli nie rozdzielono ich, ale zaprowadzono do sypialni dla gości.

— Przypuszczam, że chcecie być razem, prawda? — powiedziała Alessandra, śmiejąc się przy tym cicho i pobłaźliwie, tak że zabrzmiało to, jakby mówiła o jakiejś perwersji.

— To zupełnie normalne dla ludzi po trzydziestce.

— Przypuszczam, że tak, Bella, kochanie. — Alessandra zasunęła zasłony i lekko przesunęła wazon z mikołajkiem nadmorskim. — Zapewne jestem kompletnie niezorientowana. — Poprawiła ręczniki dla gości znajdujące się przy umywalce. — Ręczniki. Mydło. Tak. Poczekaj, aż ty będziesz miała własne dzieci i będą cię upominać za każdym razem, gdy otworzysz usta.

Bella zaczęła rozpakowywać swoją torbę podręczną.

— Ja cię nie upominam — powiedziała do swojej kosmetyczki. — Stwierdzam tylko, że w naszym wieku byłoby nienormalne, gdybyśmy spali w osobnych pokojach.

— W takim razie nie ma problemu, tak? — Alessandra zatrzymała się przy drzwiach. — Nie jesteście w osobnych pokojach. — Uśmiechnęła się do Willa. — Powiedźcie, jeśli będziecie potrzebować więcej ręczników. — Drzwi zamknęły się za nią.

— Na miłość boską! „Przypuszczam, że tak, Bella, kochanie”. I „więcej ręczników”! — Bella uderzyła w ich miękką stertę leżącą na krześle. — Po co? Co według niej będziemy tutaj robić? Rodzić dzieci? Polewać się syropem klonowym? Co?

— Och, uspokój się. — Will objął ją ramieniem. — A co do tego syropu klonowego...

— Już wiem, po kim Bella odziedziczyła kulinarną finezję — powiedział Will podczas kolacji, szczerząc zęby w uśmiechu, jakby miał całą miskę manny. — To jest znakomite!

Bella bezgłośnie poruszyła ustami „Lizus”.

Kiedy wrócili do pokoju, Will zapytał Bellę, co się stało.

— „Już wiem, po kim Bella odziedziczyła kulinarną finezję” — powtórzyła jak papuga. — Kulinarna finezja? A co się stało ze starymi, poczciwymi „umiejętnościami kulinarnymi”, Panie Miłośniku Prostego Języka?

— Dlaczego się mnie czepiasz? Nie jestem twoją matką.

— Bardzo śmieszne. A tak poza tym, nie czepiam się.

— Właśnie, że tak. Myślałem, że chcesz, żebym pochwalił jej potrawy. Tak napisane jest w podręczniku: *Rodzice Belli — Poradnik dla Gości*.

Widziała, jak kąciki jego ust wykrzywiają się, oczekując, że zaśmieje się razem z nim.

— Nie powiedziałam, że masz być oślizgłym, świętoszkowatym, podlizującym się pochlebcą!

— Och, urocze. Też cię kocham.

— Myślę tylko, że dobrze by było, gdybyś okazał mi trochę wsparcia podczas swojego pobytu.

— Dobrze? Co? Nie okazuję ci wsparcia, będąc miłym dla twojej mamy? To powszechny zwyczaj, kiedy jest się gościem. To się nazywa Utrzymywanie z Ludźmi Dobrych Stosunków. Powinnaś czasem tego spróbować.

— Ciii! Mów ciszej! Więc, jak przypuszczam, ja nie jestem z Ludźmi w Dobrych Stosunkach?

— Cóż, powinnaś wypróbować rewolucyjną, nową taktykę

— bycie miłą dla swojej matki. To cię chyba nie zabije?

Bella poruszała zacinającą się zasuwkę i otworzyła okno.

— Wiedziałam, że nie dostrzeżesz, jaka jest naprawdę.

Podszedł do niej i położył rękę na jej ramieniu, ale ona ją strąciła.

— Widzę, że jest przy tobie skrępowana. Nie jest swobodna. Nie mam pojęcia dlaczego. A ty jeszcze pogarszasz sytuację, nie widząc tego? Przy tobie wygląda na zdenerwowaną, jakby myślała, że możesz ją uderzyć.

— Ona jest zdenerwowana przy mnie? Ha!

Will pokiwał głową, miał poważną minę.

— Tak, tak to wygląda. Jakbyście obie utknęły w jakimś głupim... martwym punkcie. Dlaczego nie zrobisz pierwszego kroku, jak radziła Helen?

— A dlaczego ja mam to robić? To ona jest matką, to jej obowiązek.

— Słucham? Halo? „Proszę pana, proszę pana, ona popchnęła mnie pierwsza” — z takim podejściem z pewnością osiągniesz dobre wyniki.

— Ależ ja się naprawdę staram. — Bella założyła ręce, zamykając się na niego. — Nie masz pojęcia. Nic o tym nie wiesz.

— Tak, cóż, a skąd mam wiedzieć? — Jego głos stał się energiczny. — Skoro mi nie powiedziałaś. Jeśli coś jest trudne, bolesne, ty o tym nie mówisz. Po prostu odwracasz się, zmieniasz temat albo zaczynasz żartować — oto twój sposób na wszystko. Tylko że to niczego nie rozwiązuje, prawda?

Bella chciała się odezwać, zrewanżować, zaprotestować, ale nie mogła przełknąć. Próbowwała skoncentrować się na poruszeniu mięśniami tchawicy, aby nabrać powietrza.

— Nie — kontynuował Will. — Ale wtedy co ja mogę wiedzieć? Jestem kimś z zewnątrz. To chyba nie mój cholerny interes. — Gdyby odwróciła się od okna, zobaczyłaby, że Will zrobił się nagle mniejszy, jakby został pokonany.

— Chyba nie — przyznała, patrząc prosto przed siebie. — Więc nie zaprzataj sobie tym głowy.

Usłyszała, jak Will wypuszcza powietrze, jakby jego całe ciało westchnęło, a potem ciche trzasknięcie drzwi, kiedy zamknął je za sobą. Stała zupełnie nieruchomo, widziała siebie, jak gdyby znajdowała się na jednym ze swoich obrazów; oparta na parapecie w zamyśleniu wyglądała przez okno na ogród.

Przez szczeble oparcia ławki obserwuje ich, jak siedzą pod migdałowcem. Z miejsca, w którym leży, w wysokiej trawie, przyciśnięta mocno do ziemi, widzi przez ławkę tylko prężki ludzi — równe części jednocześnie nieznanome, a jednak rozpoznawalne — odświętna marynarka taty, zielona i szorstka jak wyschnięty mech; „truskawkowy blond” włosów pani Mellors, zupełnie niepodobny do truskawek („Nie są zafarbowane — to tylko płukanka, aby podkreślić moje naturalne pasemka”). Dochodzi do niej układ dźwięków, zmiany barwy i tonu głosu każdego z dorosłych wznoszą się i opadają jak na wykresie temperatury, który robiła w szkole.

Nagle, z tego wzoru, słowa przybierają kształt, ostry i wyraźny w słońcu.

— ...trudno nawiązuje znajomości... — mówi jej matka — ...naprawdę bardzo ...

— ...bardziej się starać? — proponuje pani Mellors.

Potem głos taty, niski i łagodny, kusząco poza zasięgiem. Nagle głośnie „Cii!” i nastaje cisza. Przykłada twarz do zapachu zieleni, ale jest już za późno.

— Bella! — Głos jej matki, ostrożny i wyraźny. — Nie zauważyliśmy ciebie tam, kochanie. Nie skradaj się w tej wilgotnej trawie. Chodź i przywitaj się z panią Mellors. — Bella wstaje i wyciera mocno ręką swoje kolana poplamione trawą, zakłada włosy za uszy.

— Jest *penettone* — dodaje jej matka, szybko strzepując z Belli kawałki trawy — dla małych grzecznych dziewczynek, które przyjdą i będą spokojnie siedzieć.

25

Przy niedzielnym obiedzie Alessandra poklepywała ramię Willa i śmiała się z wszystkiego, co powiedział. Gerald wziął go na wycieczkę po ogrodzie i ogłosił „powiem świeżego powietrza oraz człowiekiem, który jest wystarczająco silny, aby stawić czoło Belli”. Śmiał się przy tym, więc Bella była przekonana, że żartuje. Po lunchu Will znalazł Bellę w salonie, jak zwinięta w fotelu czytała książkę. Zapytał, czy chce do nich dołączyć; zaparzone świeżą kawę.

— Nie, dziękuję.

— Czy Pani chciałaby, aby przyniesiono kawę, zanim służba uda się na spoczynek? — Uśmiechnął się i pochylił, aby spojrzeć na jej twarz.

— Nie, dzięki.

— Co jest?

— Nic, czytam.

— Racja. Czytasz. Oczywiście. Przejechaliśmy tyle kilometrów, żebyś mogła przedstawić mnie swoim rodzicom, a ty spędzasz cały czas przyczajona w kątach jak jakaś zasmarkana nastolatka. Czy ty zawsze odwiedzasz ludzi, a kiedy już jesteś na miejscu, to ich ignorujesz?

Bella nadal patrzyła w książkę.

— Myślę, że to jest bardzo nieuprzejme. Wobec mnie i twoich rodziców. Jestem tu tylko dla ciebie, ale ty właściwie mnie opuściłaś.

— Wydajesz się radzić sobie całkiem nieźle beze mnie.

— Staram się być towarzyski za nas dwoje, aby nadrobić za ciebie.

— Proszę, nie kłopotz się za mnie. Są do tego przyzwyczajeni. Jestem najwidoczniej „trudna” — z pewnością moja matka o tym wspomniała?

— Przestań. Możesz przynajmniej na mnie spojrzeć?

Bella podniosła wzrok znad książki. Jej oczy były jak ze szkła.

— Nie znoszę, kiedy to robisz.

Uniosła brwi, nadal milcząc.

— Nie zamierzasz spytać mnie „co”?

— Przypuszczam, że i tak mi powiesz.

— Boże, potrafisz doprowadzić do szału. — Wcisnął ręce głęboko do kieszeni. — Nie znoszę, kiedy mnie odrzucasz w ten sposób. Stajesz się taka lodowata. Nie wiem, jak to pokonać.

— Więc lepiej nie marnuj swoich sił.

— Co to ma być? Co się dzieje? — Will podszedł do niej i położył rękę na jej włosach.

— Nie rób tak. Sprawiasz, że są przyklapnięte. — Potrząsnęła głową.

Jego ręka opadła do boku.

— Daj znać, kiedy będziesz chciała dołączyć do rasy ludzkiej, dobrze?

Bella złożyła pojedynczy pocałunek na prawym policzku Alessandry i szybko cofnęła się, pozostawiając ten półrytuał własnemu losowi. Alessandra zawahała się, po czym pociągnęła za jedwabny sweter przewieszony przez ramię i skrzyżowała ręce. Uścisk i pocałunek od Geralda. Bella przykucnęła, aby objąć czule Hunda. Usłyszała, jak Will całuje Alessandrę, a ona się śmieje, jak Gerald poklepuje go z uczuciem po plecach. Jeszcze raz pocałowała czubek głowy Hunda i pogłaskała go kilka razy.

— Musisz nas jeszcze kiedyś odwiedzić, drogi Willu. Nie czekaj, aż Bella cię przywiezie — do tej pory będziemy już starzy i siwi! — zaśmiała się Alessandra.

Will usiadł z przodu na miejscu pasażera, na kolanach trzymał puszkę herbatników domowej roboty. Słoik wiśni zmacerowanych w brandy wciśnięty był między jego stopy.

— Wystarczy już prezentów na pożegnanie, drogi Willu? —

Bella odpaliła samochód, szybko machnęła przez okno i dała zdawkowy sygnał klaksonem na pożegnanie.

— Uważam, że to bardzo miło z jej strony. Starła się tylko, abym czuł się jak w domu.

— Jak w domu? Ona prawie zaoferowała, że cię adoptuje. Jestem zaskoczona, że po prostu nie zamieniła mnie na ciebie, stare na nowe: „Nie wyrzucaj tego starego, antypatycznego dziecka. Wymienimy je na łatwiejsze, bardziej cudowne”.

— Mówiłem ci już milion razy, nie przesadzaj.

— Tylko na tyle cię stać? Myślę, że czas zaszaleć i zainwestować w nowe dowcipy.

— Ależ ty jesteś zdenerwowana.

— Jak zapewne wiesz, nic bardziej nie zdenerwuje zupełnie spokojnej osoby niż wmawianie jej, że jest zdenerwowana. Jesteś czasem taki... taki cholernie, zadowolony z siebie.

— Obawiam się, że się zgubiłem. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego jesteś na mnie taka zła.

— Nie rozumiesz? Naprawdę nie rozumiesz? Właśnie spędziłeś weekend na tworzeniu małego, przytulnego kółka wzajemnej adoracji z moimi rodzicami, a w szczególności z moją matką, i ty nie masz pojęcia, dlaczego mogłam się zezłościć?

— Nie za bardzo. Cóż, mógłbym próbować zgadnąć.

— Więc strzelaj, Panie Zadowolony z Siebie.

— Przestań. Nie przeginaj Bella.

— Bella. Och, więc znasz moje imię? Ale tylko wtedy, kiedy mnie upominasz? Kiedy indziej jestem „myszką” albo „koteczkiem”, albo jeszcze innym zwierzątkiem.

Will zamilkł na chwilę.

— Jestem po prostu czuły, wiesz, że tak jest. Dlaczego nie powiedziałaś, jeśli cię to denerwowało? Myślałem, że to lubisz.

„Bo lubię”. Poczula, jakby znalazła się na dnie dołu i nie wiedziała, jak wspiąć się na jego ściany; jedyne, co mogła zrobić, to kopać głębiej.

Wypuściła krótko powietrze przez nos. Will zignorował to.

— Myślę, że jesteś wkurzona, ponieważ polubiliśmy się z twoją mamą, a to obaliło twoją główną życiową teorię — że ona jest Złą Czarownicą z Zachodu, a ty słodką małą Dorotką. Bella uniosła jedną brew.

— O, sławne spojrzenie Kreuzerów. Ale się boję. Myślę, że ty chyba wolisz mieć rację, niż być szczęśliwą.

— To dopiero jest prawdopodobne, prawda?

— Dobra. Dlaczego więc jesteś taka zła?

— Nie jestem „zła” — mogę być słusznie wkurzona dlatego, że podlizywałeś się do Alessandry — jej głos zadrzał teatralnie. — A ja wyszłam na tę złą, niesforną, nieprzystosowaną uczennicę.

— Zachowywałaś się jak jakiś zrzędlawy smarkacz, więc czego się spodziewasz?

— Naprawdę nie widzę celu tej rozmowy. Will położył dłoń na jej udzie.

— No już. — Poruszał żartobliwie jej nogą w tą i z powrotem. — Nie kłóćmy się, co?

Bella sięgnęła ręką, aby zmienić bieg. Trąciła jego dłoń.

— Przepraszam. Czy możesz...? Dzięki.

Cofnął ją i zaczął nucić do siebie cichą melodię, potem odwrócił się, aby popatrzeć przez okno.

Pozostała część podróży minęła niemalże w ciszy.

Will wyciągnął kasetę.

— Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli włączę muzykę?

— Mmmm.

— Biorę to za „tak”, jak ty to byś powiedziała. Nucił bez entuzjazmu.

— Jutro mam pracowity dzień — powiedział.

— Hmm?

— Tak, w rzeczy samej. Pracowity dzień. Bardzo pracowity dzień.

— Aha, dobrze.

Will odwrócił się do okna po raz kolejny.

Bella zatrzymała samochód przed domem Willa i nie zgasiła silnika, podczas gdy on wypakowywał swoją torbę z bagażnika.

— No to... — powiedziała.

— Bella? Czy możesz zaparkować samochód i wejść na chwilę?

— Jestem naprawdę zmęczona.

— Wszyscy jesteśmy. Tylko na chwilę. Chcę z tobą porozmawiać.

— Dlaczego? Chyba nie chcesz znowu mnie upominać. Przybrałaś swój ton dyrektora szkoły.

— Daj spokój — Will westchnął. — Dobra. — Wsiadł z powrotem do samochodu i zatrzasnął drzwi.

Bella siedziała wpatrzona przed siebie jak pasażer w autobusie; czuła jego wzrok na sobie.

— Halo? — Will przechylił głowę w jedną i w drugą stronę, próbując złapać kontakt wzrokowy. — Halo? Otrzymam jakąś odpowiedź? Mam wrażenie, jakby ciebie tu nawet nie było. Znowu odeszłaś do Świata Marzeń Kreuzerów, prawda?

Wzrastała w niej złość, kipiała jak gotujące się mleko, grożąc, że przeleje się z sykiem gorącej pary i gryzącym zapachem. Jak on mógł? Jak śmiał? Chciała to z siebie wyrzucić, nakrzyczeć na niego, wściec się na niego, uderzyć go najmocniej, jak umiała. Wbiła paznokcie w dłonie, poczuła, jak wściekłość oplata ją ciasno jak sprężyna, owijając wokół niej swoje szorstkie obręcze. Bella złapała się jej kurczowo, spinając ją wokół siebie, aby ta utrzymała ją w całości.

— Przestań. — Podniosła dłoń przed swoją twarzą, jakby miał ją zaraz uderzyć.

— Czy masz pojęcie, jaka chłodna się wydajesz, kiedy tak robisz? Jak, do licha, ktoś ma się do ciebie zbliżyć, jeśli cały czas go odpychasz?

— Nie przypuszczam, żeby ktoś miał się zbliżyć do kogoś innego. Albo jesteś blisko, albo nie.

— Dobrze. Więc ja nigdy nie byłem?

Bella wzruszyła ramionami i skrzyżowała ręce.

— Dobrze. Nie ma potrzeby wystawiania transparentu. Myślę, że nawet tępy Will zrozumiał w końcu wiadomość. — Szukał klamki. — Kocham cię nad życie. Wiesz o tym. Ale nie umiem...

Widziała, że próbuje przełknąć ślinę.

— Nieważne. — Ścisnął i rozluźnił pięści. — Dlaczego po prostu nie powiedziałaś mi, że mnie nie kochasz? Czy to takie trudne? Will, nie kocham cię, proszę odejść. I już. Czuję się jak... nie wiem. Jezu. Ja... — Przeczesał palcami włosy i na chwilę zamilkł. — To z powodu Patricka, prawda? Nadal go kochasz? No jak, do cholery, ktoś może rywalizować ze zmarłym facetem, który stoi na cholernym wielkim piedestale?

Bella nadal trwała w bezruchu, kiedy Will otworzył drzwi samochodu. Uderzył ją podmuch zimnego powietrza, otoczył. Miała poczucie, że ją oplata, przelewa się ponad nią jak schłodzony płynny gaz, zamyka w sobie.

— Ależ ja ciebie kocham — mówiła cicho.

— No cóż, szkoda, że nie powiedziałaś tego wcześniej. A może podpisałaś ustawę o tajemnicy państwowej?

Dotyk jego ust lekko muskający jej włosy.

— Trzymaj się — powiedział, nie odwracając się.

Drzwi zamknęły się za nim stanowczo. A potem była pustka, tylko ten cichy odgłos powietrza drżącego w jej uszach i jego oddalające się kroki.

26

Bella wyjęła z kredensu filiżankę i spodek z delikatnej porcelany, ozdobiony listkami koniczyny i złotą obwódką. Przeleła trochę mleka do małego porcelanowego dzbanka z kompletu. Potrzebowała prawdziwej herbaty, bardziej z powodu dającej się przewidzieć złożoności tego rytuału niż dla samego smaku. Prawdziwa herbata, english breakfast. Podgrzała ręcznie malowany dzbanek, zatracając się w jego wirujących kolorach — owocu cytrusowego, nieba i wodorostów morskich. Wsypała półtorej łyżeczki herbaty, używając tej gładkiej, wykonanej z drzewa wiśniowego, którą Patrick włożył jej do skarpety kiedyś w Boże Narodzenie; jeszcze troszeczkę, jeszcze odrobinę i będzie w sam raz.

Gdyby tylko herbatę było trudniej przygotować, wtedy mogłaby poświęcić temu sto procent swojej uwagi, wesprzeć się na tym, pozwolić, aby to ją spajało; może na tym właśnie polegała japońska ceremonia parzenia herbaty — poszukiwanie ładu, wzoru w bałaganie życia. Wtedy mogłaby całkowicie zatopić się w perfekcyjnym wykonaniu tej złożonej procedury, zatrzymać pozostałe myśli — myśli, które teraz umościły się w puszcze na herbatę, czekając, aż ona ostrożnie zdejmie szczelnie zamknięte wieczko; które wylały się kremową bielą z dzbanka na mleko, macąc klarowną herbatę w jej

filizance; które dmuchały gorącym powietrzem na jej górną wargę, kiedy pochylała głowę, aby się napić.

Otuliła filiżankę dłońmi, koncentrując się na lekkim uczuciu parzenia w swoich palcach, które docierało przez cienką porcelanę, i spojrzała na podłogę. Ten dywanik naprawdę ładnie tu wyglądał, pomyślała, wspaniałe kolory, ale jest troszeczkę śliski na deskach podłogowych; może kupi sobie taką matę do podłożenia pod spód. Albo, nagle wpadł jej pomysł do głowy, może się go pozbyć i namalować dywanik na podłodze. Wyobraziła sobie cały dom pozbawiony przedmiotów, z wykonanymi techniką *trompe-l'oeil* meblami na ścianach, lampami na sufitach jak dekoracja teatralna w zniekształconej perspektywie; poduszki nigdy nie byłyby pogniecione ani dywanik pomarszczony; nic by się nie niszczyło, nie tłukło, nic by się nie zmieniło.

Oczywiście nie można przestać myśleć o kimś lub o czymś tylko dlatego, że tak się zadecydowało. Samo niemyślenie sprawiało, że widziała przed sobą jego promienną i żywą twarz. Nie wymieniała jego imienia do siebie, jak gdyby nawet litery, ich dźwięk w jej głowie, posiadał moc zaklęcia. Jego zapach zdawał się unosić w powietrzu, zaskakując ją, kiedy wchodziła do sypialni. Miała wrażenie, że widzi ślady jego stóp na podłodze, wirowy wzór odcisków palców na meblach, przedmiotach, jakby widziała w podczerwieni. Musi zająć myśli czymś innym, czymkolwiek, byle go z nich wyrzucić. Wypłukać wszystkie myśli o nim, jakby były jedynie uporczywymi ziarenkami piasku, które uparcie wchodzi w przerwy między palcami nóg. Niedługo zostanie wyrwany z korzeniami z jej umysłu, a jego twarz stanie się jedynie kruchym, zwiewnym wyobrażeniem jak krótki fragment dawnego snu.

Dzięki Bogu, ma swoje malowanie, na którym może się skoncentrować. Data wernisażu błyszczała na czerwono w jej kalendarzu; zmusiła się, aby skupić na niej wzrok, jasna boja na ciemnym oceanie. Kiedy wracała do domu z pracy, rzucała torbę na podłogę, kładła klucze na stole, ściągała marynarkę jak wąż chętny do zrzucenia swojej starej skóry. Po zepchnięciu na bok kubków po kawie i starych gazet jadła, stojąc przy zaśmieconym blacie kuchennym, pochylona nad talerzem makaronu. Wkładała go rytmicznie do ust, jakby napełniała kocioł, bez szatkowania cebuli, miażdżenia czosnku na sos; znudzona gotowaniem, znudzona jedzeniem, znudzona samą sobą. Potem wchodziła po schodach na górę do swojej pracowni i zatapiała się w malowaniu, zatracając się w kolorze i cieniu, pozwalając, aby zapach farby i terpentyny wypełniał jej głowę; pędzel zanurzał się w farbie, wirował po płótnie, wymazywał go z pamięci.

Wchodziła pod prysznic i myła się automatycznie, bez uwagi. Czowała się jak chomik w karuzeli, który biegnie donikąd, bez końca ogląda ten sam krajobraz. Mycie, ubieranie się, zęby, praca. Jedzenie, rozbieranie się, mycie, zęby. I tak w kółko. Rok w rok. Ale w związku nie było inaczej. Spotkanie, randka, rozmowa, pocałunek, bzykanie, kłótnia. W kółko to samo. Jaka strata czasu. Przynajmniej w malowaniu, kiedy już pędzel dotknął płótna, deski, papieru, pozostawał po nim znak. Trwał tam bez

potrzeby jego ciągłego poprawiania. Nawet jeśli miała namalować na nim, wiedziała, że początkowe pociągnięcie pędzlem pozostało pod spodem, ukryte, ale prawdziwe.

Bella zaczęła przychodzić do pracy punkt dziewiąta, zamiast wpadać koło dziesiątej razem z całą resztą; skracała w ten sposób liczbę godzin spędzanych samotnie w domu. Praca była nudna, ale bezpieczna, a ona była wdzięczna za rutynę oraz żarciki biurowe. Unikała spotkań towarzyskich, tłumacząc się koniecznością przygotowania się do wystawy, podczas gdy inni zmywali się do pubu. Unikała nawet Viv. Jednego piątkowego wieczoru została, aby przekopać się przez biurową lodówkę — zadanie, które odkładano tak długo, że Anthony poradził jej, aby ubrała odzież ochronną i ewakuowała budynek. Seline przyznała, że przydałoby się, aby Bella spróbowała przeszkolić Anthony'ego na swojego zastępcę, o ile uda jej się sprawić, by zachowywał się bardziej odpowiedzialnie i nie wspominał o swoim przebitym sutku przy klientach. Bella skoncentrowała się na „przygotowaniu go do gwiazdorstwa”, jak on to określał.

— Inni chłopcy chcieli być astronautami, piłkarzami — powiedział — ale ja marzyłem o zostaniu megalomanem.

— Wszystko w swoim czasie — stwierdziła. — Nie pozwól, aby dostrzegli żądzę władzy w twoim oku, nim będzie za późno.

Bella zamknęła drzwi od biura Seline, ze zbyt głośnym trzaśnięciem, po kolejnym zebraniu, podczas którego znowu zбочyli z nieistotnego tematu — jakim były przyszłe projekty, a wśród nich te, w które Bella będzie mogła zaangażować się jako wolny strzelec — na rzecz dużo ważniejszej sprawy związanej z remontem domu Seline. Kwestia ta pociągała za sobą poważne rozważanie dwóch tysięcy kart z odcieniami, na których znajdowały się małe kwadraciki z minimalnie różniącymi się tonami czegoś, co kiedyś zwane było beżem, a teraz zdawało się „Cappuccino”, „Saharą” i „Antycznym Złotem”.

Dwie karteczki na jej telefonie — „Dzwonił twój tato. Czy pamiętasz o urodzinach swojej mamy? Proszę, oddzwoń”. Następna obowiązkowa wizyta, ale będzie zabawa; przekartkowała swój kalendarz na biurku — to wypadło w piątek, będzie musiała wziąć dzień wolnego. I wiadomość od Viv — chciała się przywitać i pożegnać, zanim wyruszy na trzy tygodnie do głównej siedziby w Birmingham, gdzie miała pracować. Już było za późno, aby do niej oddzwonić; do tej pory już wyjechała. Viv była dziwnie nieczuła, kiedy Bella opowiedziała jej o Willu — „Jesteś cholerną idiotką, skoro go odepchnęłaś, Bel. Ten facet to skarb”.

Seria szkiców rozłożona była na podłodze w jej pracowni; miała właśnie zacząć malować, kiedy zadzwonił telefon. Na automatycznej sekretarce słychać było głos Fran; Bella stała na szczycie schodów, chciała pobiec i podnieść słuchawkę. Fran zaczęła swój monolog — dzwoniła, żeby dowiedzieć się, co u Belli, aby powiedzieć, że nadal jest mile widziana i że nie musi przyjeżdżać z Willem. Bella zeszła po cichu po schodach, jakby Fran mogła wyczuć jej obecność, i położyła dłoń na telefonie.

— Wiem, że potrafię być wścibskim babsztylem, ale obiecuję się nie wtrącać. Po prostu bardzo chciałabym cię zobaczyć. Tak cię lubię, a nie cierpię, kiedy ludzie tracą ze sobą kontakt — życie jest zbyt krótkie. Poza tym mam w tym interes...

Właśnie powiedziała, że nie będzie się wtrącać; chyba Fran nie zamierza robić jej wymówek z powodu Willa?

— ...chciałabym dostać więcej tej tarty, którą robiłaś. Tej odwróconej...

Tarta Tatin?

— Nawet śniła mi się którejs nocy. Tak właśnie wygląda życie po menopauzie. Już nie fantazjujesz o muskularnych chłopcach, którzy zabierają cię na zachód słońca.

Bella przypomniała sobie, jak stała w kuchni Fran i rozwałkowywała ciasto, a Will obierał jabłko, zanurzał kawałek w torebce cukru i wsuwał go do jej ust; jego wzrok pełen dzieciennego zdumienia, kiedy odwróciła foremkę do góry nogami i pojawiła się tarta, ciepła i brązowa, pachnąca karmelem; jego twarz, kiedy uśmiechnął się do niej z drugiego końca kuchennego stołu.

— Przypuszczam, że musisz tkwić po uszy w robocie, przygotowując się do wystawy. Will mi powiedział — był z ciebie taki dumny...

Czy powinna podnieść słuchawkę?

— W każdym razie, przepraszam, że gadam od rzeczy, mam nadzieję, że nie wykorzystałam całej kasety. Zadzwoń do mnie, kiedy tylko będziesz miała ochotę przyjechać. Nie czekaj na zaproszenie. Dla ciebie dom zawsze stoi otworem.

I już jej nie było.

Donald MacIntyre zadzwonił z galerii. Chciał wiedzieć, jak postępowaly prace i czy mogłaby dostarczyć swoją krótką biografię. Siedziała oparta na schodach, kołysana przez głęboki męski ton jego głosu.

— ...najpóźniej do tego czasu musisz dostarczyć je tutaj, tak aby mogły pójść do oprawy... czy wolisz, żebyśmy my je odebrali? Możemy to zrobić.

— Myślę... że... może... myślę, że może być mały problem.

— Tak? — Ton jego głosu był chłodny.

— Umm, tak. Nie jestem pewna, czy one są... cóż, mogę nie zdążyć na wystawę. Myślę, że nie powinieneś brać mnie pod uwagę.

— Nie — powiedział autorytatywnie. — Brzmi jak klasyczna przedwernisażowa trema. Pozwól, że przyjdę i obejrzę to, co namalowałaś.

— Wolałabym nie.

— Obawiam się, że muszę. Powiedzmy dziś wieczorem? Około ósmej?

Donald MacIntyre był wyższy, niż go zapamiętała, wypełniał salon swoją osobą. Jego elegancki garnitur nagle zawstydził ją, kiedy uświadomiła sobie swój wygląd — włosy niedbale zebrane spinką,

wyblakłe legginsy i opuszczone skarpetki. Zobaczyła, jak omiata wzrokiem pokój, zauważając kubki z na wpół wypitą kawą, które stały na każdej płaskiej powierzchni, od dawna już suche pranie powieszzone na grzejnikach.

— Są na górze. — Bella wskazała drogę.

Była przekonana, że mu się nie spodobają, z niepokojem wyczekiwała jego zakłopotanego spojrzenia wyrażającego rozczarowanie, wzruszenia ramion, kiedy będzie szukał najbardziej taktownego zwrotu. Najlepiej mieć już to za sobą.

— Jest tylko kilka akwareli. — Wskazała je dłonią. — Parę rysunków szrafowanych. Reszta to oleje, jak poprzednio.

Kucnął, osobliwy w swoim pięknie skrojonym garniturze wśród ścierek brudnych od olejnej farby i na wpół wyciśniętych tubek farb.

— Ostrożnie! Te jeszcze nie do końca wyschły.

Zatrzymał się przy dużym obrazie, tym wzorowanym na pierwszym szkicu Willa.

— Ten. — Skinął. — Na okno wystawowe.

— Nie! — Zakasłała przeprasząco. — On nie jest na sprzedaż.

Zaśmiał się szyderczo do siebie i pokręcił głową.

— Możemy powalczyć o niego później. W każdym razie, co to były za bzdury, że nie jesteś gotowa?

Bella wzruszyła ramionami.

— Razem z tymi, które przyniosłaś, jest więcej obrazów, niż mamy miejsca. Jednak...

Oto nadchodzi, pomyślała, nie podobają mu się.

— Te są lepsze niż kilka poprzednich, więc możemy zrobić małą podmianę, zanim pójdą do oprawy, dobrze? — Wyprostował się ze strzyknięciem. — Starzeję się. — Cmoknął z niezadowolaniem do siebie, po czym spojrzał na nią. — Coś nie tak?

— Nie. Tak. Czy one są... w porządku?

I wtedy się roześmiał. Głośny, serdeczny, tubalny śmiech. Bella zachichotała nerwowo, nie wiedziała, dlaczego on się śmieje, była zaskoczona, że taki dźwięk wydobył się z tak cichego i eleganckiego mężczyzny.

— Bardzo przepraszam — powiedział. — Wybacz mi. Czy choć przez chwilę pomyślałaś, że mógłbym wystawić je, gdybym nie uważał, że są „w porządku”? Dlaczego miałbym to robić? Nie prowadzę instytucji charytatywnej dla bezrobotnych artystów. Dobrze? Nie, one nie są w porządku. Są cholernie dobre. Naprawdę. Uznajmy to za załatwione. — Pokręcił głową i znowu się zaśmiał. — Uwielbiam ten interes — powiedział. — Gdybym tylko nie musiał zajmować się artystami.

— Przyjedziesz oczywiście z Willem? — Gerald zapytał przez telefon, kiedy Bella w końcu oddzwoniła w sprawie urodzin Alessandry.

— Hmm. Chyba nie.

— O? A jak ci z nim idzie?

— Szło, szło i poszło, skoro już pytasz.

Nie, nie chciała o tym rozmawiać. Czy mógł nie mówić nic Alessandrze, ponieważ nie miała ochoty na to jej stoickie spojrzenie mówiące „moja córka to krzyż, który muszę nosić”.

Kupiła już prezent dla Alessandry — antyczny pólmisek, którego brzeg ozdobiony był pączkami róż w kolorze głębokiego różu oraz odrobiną złota, ale znalezienie odpowiedniego papieru do jego zapakowania zajęło jej prawie tyle samo czasu. Chociaż przyjaciółom zwykle dawała własnoręcznie zrobione kartki, dla matki już dawno przerzuciła się na kupowane. Tak było łatwiej, żadnych nieszczerych bzdur typu Jakie to urocze, jak miło dostać kartkę własnej roboty”, a poza tym była bardzo zajęta, ponieważ przez większość wieczorów starała się znaleźć czas na malowanie oraz przygotowanie listy klientów do wykorzystania w pracy jako wolny strzelec.

W piątek, w dzień urodzin, wzięła wolne, więc zapakowała samochód w czwartek późnym wieczorem — jej ubrania, prezent plus pełny wdzięku fikus benjamina jako dodatek, nowy thriller („nieurodzinowy” prezent dla taty), butelka porządnego bordo — i w drogę.



Spała znowu w swoim starym pokoju, ale po cichu wymknęła się do tego dla gości, w którym nocowała z Willem podczas poprzedniej wizyty. To tutaj mieli tę głupią kłótnię, kiedy Will starał się udzielić jej lekcji z dziedziny Szczęśliwej Rodziny; jakim on potrafił być pewnym siebie dupkiem. Wyduła wargi, zdecydowana, że będzie na niego zła. Tamtej nocy odwróciła się od niego, udawała, że śpi, kiedy dotknął jej ramienia, objął ją w pasie, wyszeptał jej imię. Gdyby tylko przez większość czasu tak za nim nie tęskniła, nie czuła tego straszego bólu w dołku. Podniosła jeszcze raz torbę, poszła do swojego pokoju i dokładnie zamknęła za sobą drzwi. Tak było lepiej.

Mając nadal na sobie wyciągniętą koszulkę, którą ubierała do snu, Bella szybko naciągnęła dzinsy i grube skarpety, aby zejść na dół. Wypuściła Hunda z jego ulubionego miejsca do spania w pomieszczeniu gospodarczym, kucnęła, aby objąć go za szyję i przypomniała sobie żartobliwe skamlenie Willa, kiedy patrzył na nią, gdy ona hojnie obdarzała psa czułością. Oprócz dźwięku łap Hunda uderzających o podłogę, dom był milczący i spokojny, z tą ciszą charakterystyczną dla godziny poprzedzającej wstanie pozostałych domowników. Zdawał się wstrzymywać oddech, czekał na szuranie kapci na schodach, stuk filiżanek, stłumione bulgotanie bojlera, brzęk butelek mleka podczas otwierania drzwi lodówki.

Kuchnia, jak zwykle, była nieskazitelna, z tym lekkim chłodem typowym dla bardzo czystego pokoju. Cieszyła się, że ma na sobie skarpetki — nawet przez nie czuła zimną twardość podłogi wyłożonej kafelkami. Wyjęła najładniejsze filiżanki i spodki z szafki ze szklanymi drzwiczkami, napełniła dzbanek mlekiem, znalazła w szufladzie ze sztuccami najlepsze sitko do herbaty. Hmm, taca? I obrusik. Znalazła świeżą lnianą serwetkę, położyła ją na tacy i ułożyła na niej filiżanki. Podkraśla jeden kwiatek i pierzasty liść paproci z bukietu w przedpokoju, aby włożyć je do malutkiego wazonika.

Usłyszała ciche kroki na schodach, potem wszedł Gerald.

— Dzień dobry, tato. Wracaj do łóżka. No już. Właśnie niosę wam obojgu herbatę.

Zauważył tacę.

— Jak miło, gdy ktoś o ciebie zadba. Znalazłaś wszystko, czego potrzebowałam? — Zatrzymał się w drzwiach. — Och, wiesz, że mama pije teraz rano tylko earl grey? Ja wolę zwykłą, ale nie przejmuj się.

— Nie, nie. W porządku. Znajdę tylko drugi dzbanek.

Trzymając tacę na podniesionym kolanie i przytrzymując ją drugą ręką, zapukała do drzwi sypialni.

— Urodzinowa herbata w łóżku, proszę pani? — Bella pochyliła się, aby ucałować policzek matki. — Wszystkiego najlepszego. Prezent dla ciebie jest w samochodzie; zaraz po niego pójde. Włosy ładnie wyglądają. — Nawet z samego rana były starannie upięte.

— Dziękuję, Bella, kochanie. Jak cudownie! Ładny zawilec. Mam taki sam w przedpokoju. Czy to earl grey? — Alessandra popatrzyła na tacę.

— Tak, tato mnie uprzedził. Nalać?

— Lepiej zostaw ją na chwilę. Oj, nie mogłaś znaleźć obrusów na tacę? Są w szufladzie.

— Nie. — Bella odwróciła się plecami, aby zająć się nalewaniem herbaty; nałożyła sitko na każdą filiżankę z ogromną uwagą, pamiętała, żeby mleko wlać na końcu, tak jak należy. Zniosła filiżanki do łóżka, marszcząc brwi jak u dziecka, które pragnie kogoś zadowolić.

— Wspaniale — powiedziała Alessandra. — Może tylko poproszę jeszcze kropelkę mleka. — Bella postąpiła zgodnie z instrukcją, po czym odwróciła się, żeby wyjść.

— Tym razem nie ma Willa?

— Nie.

— Oj, wszystko w porządku?

— Dobrze, dziękuję. Dlaczego miałoby być inaczej?

— Przepraszam. Nie chciałam... Pozdrów go od nas, dobrze?

— Yhmm.

Ranek spędziły w mieście, gdzie Alessandra chciała znaleźć szalik, aby zrewanżować się Geraldowi za piękną bursztynową broszkę, którą jej podarował.

— Mówi, że ona przypomina mu moje plamki na oczach. Naprawdę, twój ojciec jest starym, niepoprawnym romantykiem. — Uśmiechnęła się z pobyżaniem.

Spotkały się z Geraldem na lunchu; zgodnie z planem podziwiał nowy szalik.

— Bella, kochanie, pozwól mi zafundować ci coś ładnego do ubrania — powiedziała Alessandra. — Te spodnie masz już chyba całe wieki.

— Są wygodne. Mam eleganckie rzeczy do pracy, wiesz? Jej matka kiwnęła głową.

— Cóż, oczywiście, nie mogę nadażyć teraz za modą. — Pociągnęła za brzeg szerokiego mankietu swojej srebrnoszarej krepdeszynowej bluzki. — Po prostu trzymam się klasyki.

Bella nalegała, że przygotuje urodzinowy bankiet. Zaczęli od ugotowanych na twardo przepiórczych jaj podanych na liściach sałaty mieszanej, świeżej rukoli, kawałkach fioletowoczerwonej rzodkiewki, obgotowanym groszku cukrowym, kawałkami czerwonej i żółtej papryki z grilla, z ciepłym sezamowym sosem.

Alessandra „wpadła tylko po coś”, gdy Bella gotowała.

— Mmm. Wspaniałe kolory. Twój tato nie będzie jadł papryki, wiesz o tym?



— Czy to z tej książki kucharskiej, którą dałam ci na gwiazdkę? — zapytała Alessandra przy kolacji, przekręcając głowę na jedną stronę, oceniając.

— Nie, tak naprawdę, to właśnie to wymyśliłam. Jak ci smakuje?

— Przepyszne! — pochwalił ojciec Belli. — Papryka przyrządzona w taki sposób jest cudowna.

— Jest bardzo dobra. Ale rukola musiała być droga — powiedziała Alessandra.

Główne danie składało się z ugotowanego łososia podanego na ciepło z sosem z rzeżuchy, smażonych plasterków ziemniaków nasączonych w mleku i przełożonych cienkimi pierścieniami cebuli, do tego fasola z marchewką w polewie. Nic nowatorskiego, nic ryzykownego, nic, co mogłoby wywołać uwagi typu „Jakie interesujące, nigdy nie przyrządzałam tego w ten sposób”.

— Powinno zostać trochę na jutro. Możemy podać to na zimno — powiedziała Bella.

— Och, ale ja już mam mnóstwo jedzenia na jutro.

— Nadal nie otworzyłaś prezentu ode mnie. Jest w przedpokoju. Pójdę i go przyniosę. — Bella podniosła się z krzesła.

— Proszę, nie kłopotz się, Bella, kochanie. Otworzę go później.

— Proszę, otwórz go teraz.

Bella posprzątała ze stołu i postawiła prezent przed Alessandrą.

— Och, czyż nie jest wspaniale opakowany? Jaki ładny papier.

— Miałam nadzieję, że ci się spodoba. — Bella poprawiła pojemniczki na sól i pieprz stojące przed nią, zgarnęła okruszki z obrusu do swojej dłoni. — Obawiam się, że nie mogę go oddać.

— Oczywiście, nie będzie takiej potrzeby. — Alessandra zerwała delikatnie taśmę klejącą. — No cóż. — Półmisek leżał odkryty w swoim gnieździe z blad różowej bibułki i papieru pakunkowego w róże. — Jest naprawdę bardzo uroczy, Bella. Dziękuję.

— Musimy położyć go na honorowym miejscu — powiedział Gerald. — Może przesuniemy ten nudny zielony i postawimy go na środku dużego kredensu?

— Ale Gerald, kochanie, ten półmisek należał do mamusi. Może położymy go na szafce w przedpokoju?

Bella poszła do kuchni po deser.

— Mam nadzieję, że czasami będziecie go używać — zawołała, kiedy szukała srebrnej łopatkę do ciasta.

— Cóż, już nie bawimy się tak, jak kiedyś, Bella, nie tak jak, wtedy gdy byłam w twoim wieku. Jest troszeczkę za duży dla nas dwojga.

Bella pojawiła się, niosąc schłodzone ciasto z musem cytrynowym, otoczone czerwoną fosą z malinowego sosu do przybrania. Doskonale gładka powierzchnia udekorowana została dużą literą „A” wykonaną finezyjnym czekoladowym pismem.

— Ta-da — powiedziała Bella beznamiętnie; symboliczne fanfary.

— To wygląda po prostu przepysznie, ale wiesz, myślę, że nic już nie wcisnę. Zjedzcie z tatą.

— Jest bardzo lekki — przekonywała Bella. — Prawie jak powietrze.

Alessandra uśmiechnęła się, odmówiła z gracją ruchem ręki i wytarła usta serwetką; wyraźnie dając do zrozumienia, że nie będzie więcej jadła.

— No to może teraz ja zaparzę kawy — powiedziała i wstała od stołu.

Bella spojrzała w dół na ciasto. Na jednym z zakrętasów litery „A” pojawiła się kropla wody. Kolejna. Jej łyży spadały, podczas gdy ona stała, trzymając w ręku łopatkę do ciasta.

— Och, Bella, skarbie, nie płacz — pocieszał ją ojciec. — Już dobrze. To silniejsze od niej.

Łykała gwałtownie powietrze, oddech napływał ogromnymi falami, rozpychając jej klatkę piersiową.

— Ona... nigdy... — Bella uderzyła łopatką w czubek ciasta, biorąc kolejny łyk powietrza. — ...nie... powiedziała... niczego... miłego.

— Już cicho. — Objął ręką jej sztywne ramiona. — Przygotowałam przepyszny posiłek. Oczywiście, że jej smakował.

— Ona... mnie... nienawidzi. Alessandra weszła z kawą na tacy.

— Och, czy w czymś przeszkodziłam? Co się stało z tym pięknie wyglądającym ciastem? Właśnie miałam wziąć kawałek.

Gerald uciszył ją spojrzeniem.

— Cóż, naprawdę nie wiem, dlaczego ona płacze. To ja powinnam. Jestem o rok starsza.

— Ali! Już dość.

Westchnęła i wzruszyła ramionami.

— Całe to zamieszanie...

Bella odwróciła się do niej, wykrzykując, dławiąc się słowami:

— Tak, to całe pieprzone zamieszanie! Nic nie jest wystarczająco dobre dla ciebie, prawda?! Cokolwiek bym zrobiła, to i tak jest źle, bo to ja!

Bella spojrzała w dół na łyżeczkę do ciasta, którą ścisnęła mocno w swojej ręce; była twarda, solidna — dodawała otuchy. Zimny błysk metalu. Nie mogła jej puścić.

— Czego ty ode mnie chcesz? Co mam zrobić, żeby było dobrze? Ty mnie nawet nie lubisz, a co dopiero mówić o miłości! Dlaczego w ogóle mnie urodziłaś? Dlaczego?! Nigdy mnie nie chciałaś, prawda? Prawda?! — Bella krzyczała swojej matce w twarz.

Oczy Alessandry były ogromne, upstrzone plamkami szoku i strachu. Kiedy uderzały w nią słowa, lekko się wzdrygała.

Bella uniosła wysoko łyżeczkę i wbiła ją mocno w środek ciasta, rozpryskując duże kawałki masy po stole. Malinowy sos wytrysnął jak krew na świeżo wyprasowany biały obrus.

Gerald objął jej dłonie swoją i stanowczo skierował je w stronę stołu, po czym puścił jej palce.

— Nie — powiedziała Bella, wycierając nos wierzchem dłoni. Zaśmiała się. To było takie oczywiste. — Nigdy mnie nie chciałaś. To takie proste. — Spojrzała w dół na rozgniecione ciasto, srebrną łyżeczkę, biały obrus z plamami jaskrawej czerwieni.

Była zbyt wyczerpana, aby teraz jechać do domu. Wyjedzie rano, jak tylko zrobi się jasno. W tej chwili pragnęła jedynie gorącej kąpieli i odrobiny snu. Żebra bolały ją od płaczu, ale nie miała już łez. Była spokojna. Powiedziała niewypowiedziane i to przyniosło ulgę.

Gerald przyszedł do jej pokoju, kiedy przygotowywała się do kąpieli.

— Twoja matka chce się z tobą zobaczyć. Chce wyjaśnić. Po prostu porozmawiaj z nią, proszę.

— Przykro mi, tatusiu. Mam już dosyć. Nie mam nastroju do wysłuchiwania, jak usprawiedliwia swoje zachowanie.

— Wiem, że to trudne. Ale ona się stara. To naprawdę silniejsze od niej.

— Tato. Zostawmy już to, dobrze?

— Dobrze. — Jego ramiona opadły, wyglądał na zmęczonego. — Ale może rano, co?

— Może. — Uśmiechnęła się i uściskała go. — Przepraszam za zamieszanie.

Uciszył jej przeprosiny machnięciem ręki.

— Nie ma o czym mówić. Ale — w rzeczy samej, prawie jak powietrze! — Poklepał jej policzek.



Siedzi na podłodze w dużej szafie pod schodami, przyciskając mocno kolana do piersi. Jeśli stanie na palcach, może sięgnąć do włącznika światła, więc czasem przychodzi tutaj z Fernando, jej pluszową zabką, papierem i najlepszymi flamastrami. Rysuje księżniczki; oczywiście siebie jako tę Główną Księżniczkę otoczoną przyjaciółkami — mniejszymi, mniej znaczącymi księżniczkami. Wszystkie ubrane są w długie suknie i mają żółte korony nabijane precyzyjnie narysowanymi klejnotami.

Do tej pory nikt nie odkrył jej w kryjówce; po części dlatego, że jest ostrożna i uważa, aby nie zostawać tam zbyt długo, a mama pogodziła się z jej zwyczajem rozplywania się w powietrzu; po części też dlatego, że wśród deski do prasowania opartej o ścianę, dużej kurtki zimowej taty i rzeczy na ryby wiszących na wieszakach, na pierwszy rzut oka nie da się jej zobaczyć. Ale dzisiaj nie ma papieru i flamastrów. Nie było czasu, żeby je zabrać.

Tego ranka była w ogrodzie, wrywała małe chwasty wskazane jej przez tatę i zrywała maliny spod ogromnej stojącej siatki na owoce. Mamusia potrzebuje ich, aby przyrządzić specjalny deser. Podczas zbierania podjada, odliczając jak w wyliczance: jeden, dwa, trzy do miski, a jedną wkłada do ust. Kiedy miska jest pełna, niesie ją do domu, sunąc dłonią po ścianie jak we śnie. Mamusia dziękuje jej za to, że była taką grzeczną dziewczynką i ma nadzieję, że nie zjadła zbyt dużo podczas zrywania, bo to odbierze jej apetyt na lunch. Mamusia przechodzi do jadalni.

— Bella!

Zastyga w bezruchu w kuchni, jej ręka uniesiona w powietrzu, aby wziąć kolejną malinę; zaczyna skradać się do drugich drzwi; przedpokój, drzwi wejściowe i będzie bezpieczna. Alessandra woła Geralda, aby przyszedł i zobaczył, co to niemożliwe dziecko zrobiło.

— Ślady po palcach z malin na całej tapecie! Bella! Chodź tutaj! — Jest prawie przy drzwiach wejściowych, kiedy czuje, jak ktoś łapie ją za ramię i odwraca.

— Zrobiłaś to na złość mnie, prawda? Prawda?! — Twarz matki znajduje się tylko kilka centymetrów przed nią; czuje słodki mydlany zapach pudru i jaśminowego olejku do kąpieli. Oczy jej matki wydają się ogromne, jasne, upstrzone plamkami ognia jak oczy tygrysa.

— Wcale nie — szepce. — Nie.

— A właśnie, że tak. Nie kłam. — Nagła seria klapsów parzy tył jej nóg. — Idź teraz do swojego pokoju i nie pokazuj mi się na oczy do końca dnia.

Zagryza wargę, skupiając się na tym, żeby się nie rozplakać. Nie pozwoli, aby widziała, jak płacze, nie pozwoli.

Zaczyna wchodzić na schody, idzie do swojego pokoju, ale słyszy głosy w kuchni, więc skrada się na dół i bezszelestnie wślizguje się do szafy. Z samego końca, zza miękkiej, ogromnej kurtki tatuś, z całej siły stara się usłyszeć, o czym mówią, ale nie jest pewna, co to oznacza.

— ...wystarczy — uspokaja jej ojciec — ...nie chciała.

- ...bierzesz jej stronę.
- ...żadnych stron ...po tej samej stronie.
- ...tak się staram.
- ...aby ci pomóc ...odpychanie jej nie przywróci...
- Nie, Geraldzie, proszę.

Odgłos lekkich kroków biegnących po schodach. Zgrzyt zamka w łazience.

Lekko uchyla drzwi od szafy. Widzi wąską część przedpokoju, kawałek drzwi kuchennych — otwarte. Skrada się ostrożnie przez przedpokój, aby zaglądnąć. Jej ojciec stoi przy zlewie tyłem do niej, wyglądając przez okno. Zmywa naczynia. W jego rękach zielono-biała porcelanowa filiżanka wygląda na taką małą jak część z serwisu do herbaty dla jej lalek. Musi być bardzo brudna, bo cały czas ją obraca, szorując od wewnątrz. Chyba przypomniał sobie jakiś dobry dowcip, ponieważ jego ramiona trzęsą się tak jak czasem, gdy się śmieje. Też chciałaby poznać ten dowcip, ale czuje się dziwnie, jest jej niedobrze i boi się. Skrada się więc z powrotem obok pomazanych malinami ścian do ogrodu, aby tam przejść przez dziurę w płocie i wyjść na pole w wysoką, wysoką trawę.



Rankiem, kiedy tato zapukał do jej drzwi z filiżanką herbaty, Belli już nie było.

28

Światelko na jej automatycznej sekretarce migało szaleńczo; kasetka była pełna telefonów, na które nie odpowiedziała. Dzwonił przede wszystkim jej ojciec, zostawiając męczące wiadomości. Nie chciała oddzwaniać, w razie gdyby odebrała jej matka, a poza tym nie widziała sensu w rozmowie z tatą. Pewnie próbowałby grać dyplomatę na miarę Narodów Zjednoczonych, namawiałby ją, aby przyjechała z wizytą, zapewniając, że tym razem będzie inaczej, przepraszałby za Alessandrę, ale jednocześnie usprawiedliwiałby ją, broniłby jej.

Anthony rzucił w jej głowę gąbkową piłką do koszykówki, którą grają w biurze, kiedy zadzwonił telefon. Odrzuciła ją, trafiając w jego kubek z kawą.

— Ant, nie mam nastroju. — Ignorowała robione przez niego miny.

Dzwonił Gerald.

— Cześć tato — powiedziała bez entuzjazmu. — Co tam u ciebie? — Super, zastaw na mnie si-
dła w pracy, dlaczego nie?

Piłka odbiła się na środku biurka; rzuciła ją w kierunku fotokopiarki i wymówiła bezgłośnie —
spieprzaj!

— Proszę powiedz, że nie dzwonisz z powodu, z którego myślę, że dzwonisz.

Wydobyła z siebie serię „hmm” i „aha”.

— Mogę zapytać, dlaczego sama nie może podnieść słuchawki, skoro tak jej przykro i chce się wytłumaczyć?

Wyczuła, że Anthony próbuje podsłuchiwać, więc posłała mu Uniesioną Brew Kreuzerów, która gwarantowała przemienienie większości mężczyzn w kamień z odległości pięćdziesięciu kroków. Włączyła radio dla dyskretnej, kamuflującej muzyki.

— Cholera, oczywiście, że słuchałam — ściszyła głos. — Potępiła mnie, bez dania mi szansy. Jak zwykle, mogłabym dodać. Czego miałyby się bać? To jest absurdalne.

— Nie mam bladego pojęcia. Dlaczego miałabym wiedzieć? Nie widziałam go. Skoro tak bardzo go lubicie, to, do cholery, sami do niego zadzwońcie. Wtedy będziecie mogli udawać razem Szczęśliwą Rodzinkę. Czyż to nie będzie słodkie? A może zrobię wam wszystkim zdjęcie koło kominika na kartkę świąteczną na następne Boże Narodzenie?

— Jaka jestem? Tato, ja naprawdę nie widzę w tym sensu. Chętnie zobaczę się z tobą, tylko z tobą, jeśli będziesz chciał kiedyś wpaść, ale nie po to, aby rozmawiać o bajkowych bzdurach typu „Tak naprawdę ona cię kocha, ale nie umie tego okazać”. W każdym razie muszę iść. Mam zebranie. Tak, właśnie teraz. Do widzenia. Tak, do widzenia.

Na jej biurku pojawiły się kubek świeżej kawy i dwa batony Kit-Kat.

— Dzięki, Ant.

— Nie ma sprawy. Przepraszam za piłkę, proszę pani.

— Zostaniesz dzisiaj po lekcjach.

Teraz, kiedy wracała z pracy do domu, rozsiadała się przed telewizorem i pozwalała, aby potok przelotnych obrazów spływał po niej, bez potrzeby ich rejestrowania — teleturnieje z publicznością, która z pewnością wzięła ecstazy, opery mydlane, w których nie znała fabuły ani bohaterów, nawet programy sportowe, w których nie obchodziło jej, kto wygra albo nie rozumiała zasad. Czasami zmuszała się, żeby pójść do pracowni; otwierała drzwi, spychając stertę obrazów, przygotowane czyste płótna, stare szkicowniki. Pędzel w jej dłoni wydawał się niewygodny, nieporęczny jak kielnia. Obrazy wtaczały się do jej głowy, jakby brnęły przez roztopiony ołów, a potem, gdy tylko próbowała je uchwycić, łączyły się w kałuże błota. Schodziła znowu po schodach, przyglądała się pędzlowi, który nadal znajdował się w jej ręce, jakby to był jakiś obcy przedmiot, a jego zastosowanie było tajemnicą.

Poczta wpadła na wycieraczkę. Pewnie same rachunki i druki reklamowe, pomyślała, ale kartka pocztowa znajdująca się na wierzchu zwróciła jej uwagę. Podniosła ją razem z kilkoma kopertami pod spodem.

Pocztówka była od Viv, nadal będącej w Birmingham, gdzie spędzała trochę czasu w centrali — „Cześć, smarkulo. Mam nadzieję, że wszystko w porządku i nie rozmyślasz zbyt dużo o Willu. Przepraszam, jeśli byłam trochę niewrażliwa i tak dalej — to dlatego, że uważałam, iż tak bardzo pasujecie do siebie. Teraz sędzę, że tylko pogorszyłam sprawę. Przepraszam i jeszcze raz przepraszam. Jeśli potrze-

bujesz pocieszenia, idź do Nicka (jeśli ty nie potrzebujesz, to on tak, no i uwielbia tę twoją pikantną potrawę z krewetek). Wracam w przyszłym tygodniu". Kosztorys naprawy trzech okien. Rachunek karty kredytowej — otworzyć później. Ulotki reklamujące nową restaurację i salon kosmetyczny ze „Specjalną Ofertą — Farbowanie Rzęs I Brwi Za Pół Ceny!". Czy to oznaczało dwoje oczu w cenie jednego? No i dlaczego napisali każdy wyraz dużą literą? Czy to miało dać ci do zrozumienia, że Przekazują Ci Coś Ważnego? Oto jedyna rzecz, jakiej nie potrzebowała, pomyślała, marszcząc do siebie swoje proste, ciemne brwi przed lustrem w przedpokoju.

O, proszę, nie widziała tego eleganckiego pisma już od jakiegoś czasu — List od Jej Matki (to zasługiwało na duże litery). Miała taki ładny charakter pisma, z wydłużonymi wznoszącymi i opadającymi liniami jak misterne litery z lukru na torcie ślubnym; bez wątpienia list w środku był pełen trucizny niczym ostry jak brzytwa sztylet w wysadzonej kamieniami pochwie.

Tylko nie mówcie, że Alessandra napisała, aby przeprosić. Lepiej zadzwonić do Watykanu i zgłosić Współczesny Cud. Nie, bardziej prawdopodobne było to, że list zawierał usprawiedliwienie siebie, ukryte obwinianie Belli. Powinno być zabawnie.

Dolała z czajnika gorącej wody do kawy i otworzyła list.

Droga Bello!

„Jestem zaskoczona, że «Droga» nie wzięła w cudzysłów".

Nie jestem przyzwyczajona do pisania albo mówienia o swoich uczuciach, więc proszę, weź pod uwagę, jakie to musi być dla mnie trudne.

„Naprawdę? Jakie to wszystko jest trudne — biedna Alessandra, zastraszona przez okropną Bellę".

Myślę, że pod wieloma względami jesteście do siebie podobne.

„Podobne! Ha! Jak cholera! Jesteśmy zupełnie inne".

Wiem, że obie zamykamy się na tych, których kochamy najbardziej, kiedy czujemy się zranione lub bezbronne.

„Wcale nie. Ja jestem bardzo otwarta.

Twarz Willa pojawiła się w jej myślach, jego głos: «Chciałbym cię poznać naprawdę». Zobaczyła nagle siebie — jej odwrócona twarz, zaciśnięte usta, szybkie wyjścia przez drzwi, za którymi pozostawia niezręczne rozmowy".

Jest mi niezmiernie przykro...

„Czy ona nie może powiedzieć po prostu «Przepraszam»? Czy zawsze musi być taka oficjalna?"
...jeśli czujesz, że zawiodłam cię albo nie okazałam ci tyle miłości i ciepła, ile byś sobie życzyła.

„To mogło zostać sformułowane przez prawnika. Dlaczego ona nie weźmie odpowiedzialności za to, że jest taka zimna? Dlaczego nie poczuje się — winna? (Głos Willa rozbrzmiewał w jej głowie: «... ona jest Złą Czarownicą z Zachodu, a ty słodką małą Dorotka»)".

Nie mogę uwierzyć, że byłam tak złą matką.

„Ha! Nie możesz, co?”

Żałuję, że nie byłam lepszą. Chyba wszystkie matki tego chcą. Oboje zrobiliśmy co w naszej mocy, aby cię nakarmić i ubrać, zapewnić ci bezpieczny i spokojny dom. Zawsze mile przyjmowaliśmy twoich przyjaciół, zachęcaliśmy cię, abys rozwijała swoje talenty, dawaliśmy ci dużo wolności.

„Yhmm. Tylko dlatego, że guzik cię obchodziłam”.

Mogę tylko powiedzieć, że zrobiłam, co tylko mogłam — będąc taką, jaką jestem. Nigdy nie zderwowałam cię celowo. Przypuszczam, że mogłam być „lepszą” matką.

„Aha. Ciekawe, że napisałaś to w cudzym słowie — to z pewnością dla ciebie obce pojęcie”.

...i będę się starała z całych sił. Nie chcę się usprawiedliwiać ani nie uważam, że powinnam to robić.

„Ale i tak to zrobisz”.

Ja wychowywałam się w zupełnie innych warunkach. Mieliśmy bardzo mało pieniędzy, jak to często bywa w przypadku imigrantów, więc może przywiązywałam zbyt dużo wagi do zapewnienia ci wszystkiego, zamiast poświęcić ci uwagę, której tak potrzebowałaś. Później pojawiły się inne problemy, które bardzo mnie dotknęły. Może któregoś dnia opowiem ci o nich.

„Och, element trzymający w napięciu? Bardzo udany. Problemy takie jak...? Zgubiłaś szminkę w wieku dwudziestu lat? Kiedyś, piętnaście lat temu, zważył ci się sos? Nie chcesz powiedzieć, bo wiesz, że to zabrzmi nieprzekonująco?”.

Mylisz się, jeśli myślisz, że cię nie kocham. Bardzo się mylisz. Przykro mi, że nie okazywałam tego tak, jak byś chciała — albo tak, jak ja bym chciała.

„Dlaczego nie napisałaś, że mnie kochasz? Kocham cię. Czy to aż tak trudno powiedzieć, napisać? (Pomyślała o Willu: «Nie możesz tego wymówić, prawda?» i jej odpowiedź, «Czego? Słowa na K?»). Ale z pewnością tylko jej matka mogła wyrazić to tak, że na papierze zwrot ten przybrał formę przeczącą.

Cichy głos w jej głowie zapytał: «A czy ty kiedykolwiek powiedziałaś jej, że ją kochasz?»”.

Mam nadzieję, że obie możemy postarać się być lepszymi przyjaciółkami. Całusy, mama.

Bella spojrzała na podpis. Widziała miejsce, w którym jej matka zaczęła pisać „Alessandra”. Dolne ramię litery „A” zostało zamienione w zbyt głęboką dolinę litery „M”.

„Na litość boską. Mama. Bardzo przekonujące. Dlaczego nie przysłałaś razem z listem ciasta kokosowego? To by dowiodło, że jesteś dobrą «mamą»”.

Poskładała list, aby włożyć go z powrotem do koperty. Było w niej coś jeszcze; potrząsnęła nią. Dwa zdjęcia spadły na stół. Nigdy wcześniej ich nie widziała, ani żadnych tego rodzaju. Większość zdjęć rodzinnych była nieco oficjalna; część w niewygodnych pozach, inne przedstawiały Alessandrę wyglądającą efektownie, a kilka Belle — samą lub bawiącą się z przyjacielem. Przeważnie robione

były przez jej ojca, dlatego na prawie żadnym go nie widać. Ale te były inne. Jedno z nich lekko nieostre. Przedstawiało Alessandrę; stała, wyglądała ładnie i spokojnie w letniej sukience, miała rozpuszczone włosy; trzymała Bellę na jednym biodrze; widocznie łaskotała ją pod brodą, gdyż mała Bella śmiała się. Kiedy zostało zrobione? Bella odwróciła zdjęcie. Żadnej daty. Wyglądała na dwa, może trzy latka.

Drugie zdjęcie było ostrzejsze, wyraźniejsze. Widać było na nim plażę. Alessandra klęczała na piasku, trzymając włosy z dala od twarzy i obserwując Bellę, gdy ta właśnie wtykała flagę na szczycie dużego zamku z piasku, sięgającego jej do ramion. Miał wysadzone muszelkami wieżyczki i fosę. Tak jak poprzednio nie było żadnej daty, ale Belli wydawało się, że nie mogła mieć więcej niż trzy latka. Kiedy przyjrzała się bliżej, rozpoznała mały strój kąpielowy, który miała na zdjęciu. Teraz sobie przypominała, że był granatowy, z krótką białą spódniczką i pasiastym topem w kształcie litery "V". Do tej pory w ogóle o nim nie pamiętała, choć wówczas była absolutnie zachwycona, kiedy matka jej go kupiła. Był taki dorosły, jej pierwszy prawdziwy strój kąpielowy, noszony zamiast samych majtek, bez góry, jakby była dzieckiem.

Może zadzwoni do taty i zapyta go, czy wie, gdzie i kiedy zostały zrobione te zdjęcia. Bella przyjrzała się pierwszej fotografii. Było w niej coś osobliwego. Wyglądała jak tysiące innych zdjęć rodzinnych. Wspaniała, ale zwyczajna. Przypatrzyła się twarzy swojej matki. Tak, to o to chodziło. Choć zdjęcie było lekko rozmazane, zdołała dostrzec, jak Alessandra patrzy na Bellę w skupieniu. Fotografia była małym światem, a w nim tylko Alessandra i Bella, matka i dziecko całkowicie pochłonięte sobą nawzajem. Zamknęła oczy, jakby mogła odtworzyć tę scenę.

Ciepłe ramiona wokół niej. Zapach jaśminu, pudru i morza. Pocieranie noskami.

Spojrzała w dół na zdjęcia w swojej dłoni, po czym postawiła je nad kominkiem.

Bella w otępieniu obeszła supermarket, sunęła tam i z powrotem między regałami, jakby była zdalnie sterowana. W transie podnosiła paczki i puszki, mechanicznie przekładała warzywa z ekspozycji do siatek, wrzucała do koszyka. Czego potrzebowała? Dlaczego tu przyszła? Wzięła opakowanie jogurtu; stanęła, wpatrując się w etykietkę. Zagryzała wargę, jakby rozważała swój wybór; kolejny ostrożny klient, który fachowo ocenia listę składników, cenę, wagę, wartość odżywczą. Zmodyfikowana skrobia, przeczytała, kwasek cytrynowy; 104 kcal na 100g, 208 kcal na opakowanie. Czy to dobrze? Czy oznaczało, że może to kupić, czy nie?

Cały czas Will wypełniał jej myśli, jej wyobraźnię. Widziała go, jak spał, jego nieokiełznane włosy kręciły się na poduszce; jak szli razem — często zatrzymywał się, kiedy zaczynał emocjonować się ich rozmową. „Nie możesz iść i rozmawiać jednocześnie?” pytała. „Nie”, łapał ją za ramię i trzymał, aby móc rozmawiać z nią twarzą w twarz, widzieć jej reakcję; pod prysznicem, kiedy woda spływała mu po twarzy, ściekała po klatce piersiowej, zmywając pianę na nogach; nawet tutaj w supermarkecie, jak pędził wózkiem z zawrotną prędkością między regałami, wydawał piszczące dźwięki, biorąc

ostro zakręć niczym podczas wyścigu samochodowego; w łóżku, jego twarz spokojna, oczy błyszczące, kiedy patrzył na nią, zawijał palec w kosmyk jej włosów — „Widzisz? Jesteśmy zaplątani. Już nigdy się mnie nie pozbędziesz”.

Starła się odeprzeć te myśli tak ciężkie, jakby były głazami. Wtedy w jej głowie pojawiły się migawki zdjęć tych, które przedstawiały jej matkę i ją. Zniecierpliwiona sobą, skoncentrowała się na szafie chłodniczej, stojącej przed nią. Czego jeszcze potrzebowała? Wpatrywała się w karton soku pomarańczowego, jakby odpowiedź mogła być napisana na jego boku.

Przy kasie wyciągnęła kartę, aby zapłacić.

— Chc-pni-dkona-wypaty?

Poczuła się jak cudzoziemiec, obcy we własnym kraju.

— Czy chce pani dokonać wypłaty? — powtórzył kasjer. Automatycznie kiwnęła głową.

— Ile? — Teraz już dobitnie, ze zniecierpliwieniem.

* Usługa świadczona przez sklepy detaliczne, polegająca na tym, że klient płacący kartą kredytową może podjąć z konta pewną sumę.

Jej wzrok padł na kartkę przy kasie: „Możesz wypłacić 50 funtów, gdy płacisz którąś z kart debetowych wymienionych poniżej”.

— Pięćdziesiąt — powtórzyła jak papuga.

Mechanicznie rozpakowała wózek, wkładając wszystko do bagażnika samochodu, wciskając jajka gdzie popadnie, jakby nie obchodziło jej to, czy dojadą do domu w całości.

Manewrowała po jednokierunkowych uliczkach parkingu; jechała w żółtym tempie, zmuszając się do zauważania ludzi, którzy wycofują, kupujących z nieposłusznymi wózkami, dzieci poniżej wysokości wzroku. Widziała wyraźnie jego twarz w swojej głowie, jego półuśmiech, kiedy słuchał, jego prostujące się brwi, kiedy myślał. Mocno zamrugała oczami i przełknęła ślinę. Nie musi o nim myśleć. Nie będzie. Coś innego. Cokolwiek.

Nagle, jak przez mgłę, wydawało jej się, że zobaczyła przed sobą Patricka; oddala się. W pewnej chwili mężczyzna obraca się i staje bokiem, jakby wyczuł ją za sobą, ale Bella nadal nie może zobaczyć, czy to on. Kiedy wciąga powietrze, jej nozdrza wzdrygają się na zapach wilgoci, chytra woń pleśni. Włosy jeżą się jej na karku, gęsia skórka pokrywa ręce. Może się odwróci, skinie na nią, a ona będzie mogła wtedy pójść za nim. Na pewno ją zawoła. Zimny i wilgotny strach pełźnie po niej, skrada się na jej ramionach, przebiega w dół kręgosłupa, ześlizguje się w kierunku kolan. „Patrick!” chce krzyknąć za nim. „Patrick!”.

Nagle uderzenie. Chrzęst metalu. Okropny pisk gumy po asfalcie. Szarpnęło ją w przód i w lewo, a potem odrzuciło do tyłu, ponieważ pas bezpieczeństwa mocno ją przytrzymał.

— Ty głupia, pieprzona krowo! Co ty, do cholery, wyprawiasz? Musiałaś mnie widzieć!

Jakiś mężczyzna wrzeszczał na nią przez jej okno. Stał tak blisko, że widziała wewnątrz jego ust. „Czy to tak dentysta postrzega świat”, zastanawiała się. Złota koronka zabłyszczała z przodu zębów, dziwna na tle gniewnej i ciemnej jamy ust.

Widziała, że nadal krzyczał. Jego usta poruszały się szybko, przybierały różne kształty; pokazywał palcem. Usłyszała huk, kiedy uderzył ręką w bok maski samochodu. Jeśli złapie się kierownicy, wszystko będzie w porządku. Jej ręce zdrętwiały. Spojrzała na kierownicę, aby sprawdzić, czy nadal tam jest, przekonać się, że jej dłonie zaciskały się mocno na niej; pod kierownicą — jej nogi — nie mogła opanować ich drżenia.

Policjant rozmawiał z wrzeszczącym mężczyzną, położył dłoń na jego ramieniu, odciągnął go stanowczo na stronę. Stukanie w okno. Drugi policjant robił okrężne ruchy palcem i wskazywał na nią. Jakie to słodkie. Czy to jakaś gra?

— Proszę otworzyć okno — mówił przez szybę.

„Proszę otworzyć okno”. Prawie słyszała, jak kółka zębate obracają się w jej głowie, a potem zazębiają się na miejscu. Widziała swoją rękę poruszającą się w powietrzu, jakby brnęła przez wodę — sięgnęła po rączkę i chwyciła za gałkę.

— Proszę wyłączyć silnik i wysiąść z wozu.

Bella spojrzała na niego. Wyraz jego twarzy zmienił się; wyciągnął rękę przez nią i przekręcił kluczyk. Drzwi otworzyły się.

— Czy pani jest ranna? Proszę poczekać. Nie ruszać się. Proszę tam pozostać.

Ktoś inny kucał przy niej, zadawał pytania. Czy coś ją bolało? Czy bolała ją szyja? Czy mogła poruszać nogami? Stopami? Jak się nazywa? Czy wie, jaki dzień dzisiaj mamy?

— No dobra. Zabieramy panią stąd. Nic pani nie będzie. Miękki kołnierz z gąbki założono jej ostrożnie na szyję. Usłyszała szcęk, kiedy odpięto jej pas bezpieczeństwa.

Zrobiła kilka niepewnych kroków jak nowo narodzone dziecko testujące swoje nogi. Podłoże wydawało się nieznanne; jej stopy były obciążone, zbyt ciężkie, żeby je podnieść. Nie mogła przestać się trząść. Było bardzo zimno. Coś ciepłego i ciężkiego położono na jej ramionach, czyjąś wywatowaną marynarkę. Trzymała ją jakaś ręka. Nie była sama.

— ...w ciężkim szoku — powiedział głos. Policjant mówił do niej wolno.

— Czy jest ktoś, do kogo chciałaby pani, żebyśmy zadzwonili?

„Will. Chcę Willa”. Ktoś wepchnął jej paczkę chusteczek do ręki.

Nie mogła zadzwonić do Willa. Mamusia i tatuś powinni przyjechać i ją odebrać. Sprawią, że wszystko będzie z powrotem w porządku. Nie. Nie sprawią. Nie chcieliby jej teraz widzieć. Pokręciła głową. Policjant podał jej małą rurkę i kazał dmuchnąć; zapaliła się mała zielona lampka, a on powiedział: „W porządku”.

— Będziemy musieli zadać pani kilka pytań — powiedział policjant. — Ale przedtem panią zbadamy. Dobrze?

Tak, kiwnęła głową. Zrozumiała. Miała odpowiedzieć na pytania. Musi zostać zbadana.

Najpierw miała wdrapać się po schodach do karetki. Czy są jacyś ranni? Kiedy ktoś pomagał jej wejść po schodach, spojrzała do tyłu na swój samochód i zobaczyła, że mała biała furgonetka wbita była w przedni lewy błotnik jej samochodu — „Kwiaciarnia Fiony. Coś Na Każdą Okazję”. „To jest jej samochód. Była w tym samochodzie”. Jej całe ciało zaczęło drżeć, jakby pod stopami trzęsła się ziemia.

W szpitalu stwierdzono, że nic jej nie jest.

— Naprawdę, ktoś powinien po ciebie przyjechać — radziła siostra przełożona. — Czy jest ktoś, do kogo możesz zadzwonić?

— Czuję się dobrze. Naprawdę. Dziękuję. Zadzwonię po taksówkę.

Siostra wskazała na automat telefoniczny.

— Numer jest tam, na ścianie. Czy ktoś będzie w domu, kiedy przyjedziesz? Nie powinnaś być sama, kiedy jesteś w szoku.

— Nie. Tak. Mój... ktoś będzie, kiedy przyjadę. — Pokiwała głową, cofając się. — Czuję się dobrze. Naprawdę. W porządku.

29

Zlekceważona sterta listów przy drzwiach wejściowych rozrzucona była po przedpokoju jak nieprzyklejone kafelki; niezauważone lepiące się szklanki i zaschnięte naczynia tłoczyły się na kuchennym blacie; niedogłądany ogród rósł dalej, jego świetność schowana była za zasłonami.

Usłyszała dziwny dzwoniący dźwięk. Bella klepnęła się lekko w bok głowy, aby go uciszyć. Nie. Znowu go usłyszała. Dzwonienie. Zdecydowanie to było dzwonienie. A teraz walenie. Cholerni sąsiedzi. Hałaśliwi ludzie. Ta okolica była bardzo hałaśliwa. Jaki był sens przeprowadzania się z Londynu i rezygnowania z porządnych oliwek, skoro nadal było tyle hałasu? Powinni się uciszyć. Ktoś powinien złożyć skargę. Tak. Napisze do nich. Do ludzi. Do tych, do których składa się skargi. Oto co powinna zrobić. Dalej coś dzwoni. Sięgnęła do swojego budzika i uderzyła w niego. Przycisk był już wciśnięty. Nadal coś dzwoniło.

Bella odwróciła się i powoli położyła nogi na podłogę. Buty. Powinna znaleźć jakieś buty. Popatrzyła na dół na swoje stopy. W butach. A to wygodne. Znowu walenie. Dobra. Pójdzie i zrobi z nimi porządek. Wstała z wysiłkiem. Zeszła na podest schodów. Hałaśliwi ludzie.

— Ciii!

Stała na szczycie schodów, które rozciągały się i wydłużały przed nią tak, że wyglądały na równie głębokie jak Wielki Kanion. Zastanawiała się, czy będzie echo.

— Czeeeeeeść! — zawołała.

— Cześć? — odpowiedziało z dołu. Cudownie. Było echo.

— Czeeeeeeeeeeeeeeeeeeść! — zawołała ponownie.

— Bella? Cześć! To ja!

To już nie było dobre echo. Czy nie powinno powiedzieć tego samego? Droga w dół wydawała się strasznie długa. Nagle usiadła na najwyższym stopniu i zaczęła schodzić na pupie, schodek po schodku.

Kiedy już była prawie na dole, napotkała parę oczu, patrzących na nią przez otwór na listy. Bella pomachała.

— Bella! Dzięki Bogu. — Oczy Viv powiększyły się. — Co ty wyprawiasz?

— Dlaczego jesteś w mojej skrzynce na listy?

— Nie jestem w twojej skrzynce na listy, ty idiotko. Próbuję przez nią popatrzeć, żeby zobaczyć, czy jesteś w domu.

Bella rozglądnęła się.

— Ale ja jestem w domu.

— Tak, teraz też to widzę. Bella zamyśliła się.

— Słyszałam dzwonenie.

— Tak. To byłam ja. Naciskam na twój dzwonek już od dziesięciu minut. Kochanie — tu jest cholernie zimno.

— Mogę ci podać małego drinka na rozgrzewkę. — Bella podciągnęła się na poręczy. — Mam lejek.

— Nie. Nie o to mi chodziło. Czy mogłabyś mnie wpuścić? Łapie mnie skurcz.

— Powinnaś jeść więcej soli. No i nie wchodzić ludziom do skrzynek na listy. Czy przestaniesz dzwonić, jeśli cię wpuszczę?

— Ja przecież nie dzwonię.

— O, właśnie przestało.

Kiedy Bella otworzyła drzwi, Viv prawie wpadła do środka na wycieraczkę.

— Zdrętwiałam — powiedziała. — Klęczę i klęczę na twoim progu. Co, do cholery, się z tobą dzieje? Dlaczego nie odbierałaś telefonu? Kasetka na automatycznej sekretarce jest pełna.

— Czy nadal potrzebujesz lejek?

— Nie, nie chcę cholernego lejka. Bel? Ty chyba — Viv nagle złapała ją za ramiona — nic nie brałaś, prawda?

— Tak, dziękuję. Chcesz trochę?

— Co? Co?

— Co?

— Tak, co, ty idiotko! Co brałaś?

— Nie dziękuję. Już mam dosyć. Viv pokręciła głową.

— Bella. Mówię poważnie. Powiedz mi — dokładnie — co jadłaś i piłaś.

Bella myślała przez chwilę.

— Herbatniki. Jaffa cakes. — Wyciągnęła trzy palce.

— Trzy jaffa cakes? Bella pokręciła głową.

— Trzy opakowania.

— Nigdy tak na mnie nie podziały. Co jeszcze?

— Więcej...

— Więcej czego? No dalej.

— Maltesers. — Zachichotała. — Opakowanie dla całej rodziny. Opakowanie dla Belli.

— I? Co jeszcze? Tabletki?

— Nie, nie. Nie jestem chora. Żadnych tabletek. Maltesers.

— Tak, już to wymieniłaś.

— Mmm. — Pokiwała głową. — Wino... i trochę Bailey's... i od cholery wódki.

Bella siedziała na schodach, patrzyła, jak Viv biegała od pokoju do pokoju i słuchała jej paplania. — Dlaczego Bella do nikogo nie zadzwoniła? Nick przyjechałby — dałby jej numer do Birmingham — czy to z powodu Willa — co się działo, do cholery — nie do wiary — taki bałagan — sterta poczty — w biurze powiedzieli, że jest chora — odchodziła od zmysłów — nie miała pojęcia — jak długo Bella była — woda — pić dużo wody — jak Bella mogła być tak głupia?

Niedobrze jest żyć cały czas w pośpiechu tak jak Viv. To powoduje niestrawność. I tę drugą rzecz, która nie powinna mieć miejsca. Stres.

Viv precyzyjnie się obok niej, aby wbiec na górę; otwierała szuflady i szafki. Ponownie pokazała się, wpychając ubrania do torby.

— Pomieszkaś kilka dni z nami. Żadnego sprzeciwu. — Poszła do łazienki, zabrała szczoteczkę do zębów i piżamę Belli.

— Wystraszyłaś mnie jak diabli, wiesz? Właśnie wróciłam i odkryłam, że zniknęłaś z powierzchni ziemi. — Viv przytuliła ją.

— Nie wiesz, o co chodzi, prawda?

— Co? — zapytała Bella.

Leżała w wolnym pokoju Viv i Nicka, opatulona w puchaty szlafrok Viv. Przy łóżku stała szklanka wody. I wiaderko. Słyszała ich przytłumione głosy za drzwiami sypialni. Uspokajający szept dorosłych. Drzwi uchyliły się.

— Bel? Śpisz już?

— Mmmm. Viv?

Viv weszła i usiadła na brzegu łóżka.

— O co chodzi, kochanie?

— Przepraszam.

— Za co? Nie musisz przeproszać.

— Za to, że byłam głupią kretynką. Dziękuję, że byłaś taka dobra.

— Dobranoc, ty stary głuptasie. Śpij dobrze.

Policjanci byli bardzo uprzejmi. Ona była na drodze głównej, a ten drugi kierowca skręcał z bocznej uliczki. Powiedział, że myślał, iż ona się zatrzymała, najwidoczniej ustępowała mu pierwszeństwa, idiota by to zobaczył; potem nagle ruszyła do przodu, więc on wjechał prosto w nią. Każdy by tak zrobił, powiedział, ona musi być wariatką. Zeznania naocznych świadków są sprzeczne. Jedni myśleli, że prawie się zatrzymała. Inni mówili, że furgonetka wyjechała zbyt szybko i Bella nie mogła jej ominąć. No i nie ulega dyskusji, iż to ona miała pierwszeństwo.

Viv zawiozła ją na parking, dokąd zabrano jej samochód po wypadku. Firma ubezpieczeniowa tego drugiego kierowcy przysłała kogoś, aby dokonał oględzin; uznano go za pojazd spisany na straty. Mogła zabrać rzeczy należące do niej, zanim zaprowadzą go na złomowisko.

— Jasna cholera, Bel. — Viv spojrzała na samochód i położyła rękę na ramieniu Belli. — Chryste, miałeś szczęście.

Viv zaczęła opróżniać schowek, podczas gdy Bella poszła do tyłu, aby otworzyć bagażnik. Starła się nie patrzeć na przód i bok samochodu.

Smród był potworny. Zapach śmierci, ciała, rozkładu i gnicia. Zebrało jej się na wymioty, więc cofnęła się. Co to, do cholery, było? Nagle ją olśniło. Zakupy. Viv zaczęła się zbliżać, ale nagle odór uderzył i w nią. Zakryła twarz dłońmi.

— Co to jest?

— Nie wiem — kurczak, krewetki — wszystko. Niedobrze mi.

— Dobra. Wchodzę. — Viv złapała się za nos i dała nura do bagażnika. Wzięła dwie rozmiękłe torby, wepchnęła je do innej reklamówki; zawiązała mocno końce, aby ją szczelnie zamknąć. Pobiegła szukać odpowiedniego kubła, trzymając torby na odległość ręki.

Jej oddech był urywany i płytki. Było jej niedobrze, słabo. Ten odór. I samochód. Ona siedziała w tym samochodzie. „Muszę się jakoś trzymać. Muszę”.

Przód i część lewego błotnika zostały zgniecione, tak zwyczajnie pomięte jak kawałek papieru. Jej palce przejechały po metalu, wyczuwając fałdy, wgniecenia. Oba reflektory były zbite, odłamki szkła nadal tkwiły w metalowych obręczach, wstrząsające jak podeptane okulary. Błotnik, po stronie kierowcy — wgnieciony niczym nierówna dolina, jakby został uderzony przez szaleńca.

Skurcz ściska jej żołądek, a nudności chwytają za gardło. Macha rękami w powietrzu, aby złapać się dla oparcia zgniecionej metalu; podchodzi chwiejnym krokiem do przodu, zgina się wóół, wymiociny rozlewają się na asfalcie. Suchy wdech powietrza. Ponownie wymiotuje, jej całe ciało szarpane jest przez spazmy. I znowu.

Jakaś dłoń przytrzymuje jej włosy z tyłu, chłodna na jej czole. Cichy głos, kojący. Ręka wokół jej ramienia, uspokajająca, trzymająca ją. Viv.

W domu Viv i Nicka. Obejmują dłońmi kubki z herbatą jak rozbitkowie ocaleni z katastrofy statku.

— Widok twojego samochodu przestraszył mnie jak cholera. Nagle zdałam sobie sprawę — co by było, gdyby...? — Viv wpatruje się w swoją herbatę. — Musisz na siebie uważać. Kto będzie mnie rozśmieszał i przygotowywał mi kurczaka z cytrynami?

Viv pyta, czy Bella powiedziała Willowi.

— Dlaczego miałabym to robić? Dlaczego jego miałoby to obchodzić?

— Boże, potrafisz być denerwująca. Ponieważ prawdopodobnie nadal za tobą szaleje, dlatego. Nigdy nie widziałam nikogo tak zakochanego.

— Och, naprawdę tak myślisz? — Głos Belli jest beznamiętny, pozbawiony wyrazu jak przy grzecznej prośbie.

— Wiesz, że cię kochał. Ty jego też. Niedobrze się robiło, kiedy się patrzyło na was dwoje jak słodkie szczeniaki, które czują do siebie sympatię. Blee.

Bella otwiera usta, żeby coś powiedzieć.

— I nawet nie próbuj zaprzeczać. — Przerwała jej Viv. — Nigdy nie widziałam, abyś była tak szczęśliwa. Przepraszam, że to mówię, ale nawet z Patrickiem — nic w tym stylu. Miałaś w sobie taki niewiarygodny... blask. Twoja skóra promieniała.

— Za dużo różu.

— Zamknij się. Zawsze to robisz. Żartujesz z rzeczy, na których ci naprawdę zależy. Przynajmniej raz przestań. — Viv dopija herbatę. — Nie pamiętasz, jak Nick drażnił się z tobą, ponieważ nie mogłaś przestać mówić o Willu? Nie pamiętasz, jak mówił: „Więc co by powiedział na to Will? Powiedz, Bella, jaki jest ulubiony kolor Willa. Jest dopiero północ. Mamy całą noc. Powiedz nam więcej,

jak bardzo cię rozśmiesza i jak potrafi być poważny. Opowiedz nam po raz kolejny, dlaczego jego brwi są takie zachwycające". Jak mogłaś zapomnieć?

— Wiem. Nie zapomniałam.

— Nie możesz, no, zadzwonić do niego albo coś? Bella kręci głową.

— Jest już za późno.

„Już teraz nie będzie mnie chciał. No i nie wiem, jak to powiedzieć. Brak mi słów”.

— Jak się czujesz, kochanie?

— Cudownie. Rozkoszuję się każdą sekundą. — Bella zamyka oczy i zaczyna płakać. — Dziwnie. Do dupy. Jestem roztrzęsiona, ale cieszę się, że jestem w jednym kawałku. Możesz mnie przytulić? — prosi.

Viv mocno ją obejmuje.

— I nie wąż się straszyć mnie tak jeszcze raz, bo będę musiała cię zastrzelić.

Śmieją się razem, łzy płyną im po policzkach.

30

— Oczywiście, że możesz. Mówiłam ci — kiedy zechcesz. — Fran wydaje się szczerze zadowolona.

Bella opowiada o swoim wypadku.

— Nadal czuję się lekko roztrzęsiona, ale wiem, że muszę niedługo zacząć prowadzić, bo w przeciwnym razie później nie będę już w stanie.

Firma ubezpieczeniowa rozpatruje jej podanie o odszkodowanie; oszacują wartość samochodu, po czym przyślą czek. Za tydzień, kiedy poczuje się trochę bardziej na siłach, ma zamiar zacząć rozglądać się za używanym samochodem. W międzyczasie planuje wypożyczyć jakiś na weekend.

— Dziękuję, że nie postawiłaś na mnie krzyżyka. Fran śmieje się.

— Ty głuptasie. Wiesz, że bardzo cię lubię. Cokolwiek się zdarzy — mogło się zdarzyć — między tobą a Willem.

Sobotni poranek jest szary i ponury, z kroplami mało entuzjastycznego deszczu. Domowej roboty tarta Tatin leży zawinięta na siedzeniu dla pasażera. Przynajmniej będzie mało absorbującym towarzyszem. Żadnego bawienia się radiem. Żadnego „Właściwie myślę, że powinnaś była tam skrócić w lewo”. Żadnego rozśmieszania, kiedy próbowała się skoncentrować. Żadnego kładzenia ręki na jej nodze tak, aby była świadoma jego obecności obok niej, zawsze.

Fran jest w ogrodzie, najwyraźniej niezrażona wilgocią — „Idealna do sadzenia”.

Przytula Bellę.

— Musisz wziąć trochę czerwonych porzeczek, kiedy będziesz wyjeżdżać. Mam pełną zamrażarkę. Wiem, że zrobisz z nimi coś ciekawego. Nawet jeśli jadłabym jagnię każdego wieczoru, to i tak jedna osoba może zjeść tylko ograniczoną ilość dżemu z czerwonej porzeczki.

Bella pracuje razem z Fran w ogrodzie, teraz jest już mistrzynią w odróżnianiu chwastów od roślin, wie, co należy wyciąć, a co zostawić. Dźwięk sekatora przypomina jej o Willu, sposób, w jaki Fran schyla się do grządek i wstaje, jak od niechcenia wyrywa chwasty, kiedy przechodzi, odrywa uschniętego kwiatka. Fran unika mówienia o nim, zauważa Bella, i w zamian opowiada o swoim zmarłym mężu, Hugh.

— Nadal za nim tęsknię, wiesz? Minęło już pięć lat. Kiedyś zastanawiałam się, kiedy „sobie z tym poradzę” — jakby to był jakiś tor przeszkód. Pamiętam, że widziałam to w mojej głowie jako ogromną, stromą skałę, na którą muszę się wspiąć. Myślałam, że jeśli dostanę się na drugą stronę, to może życie wróci do normy. Nie miałam pojęcia. — Śmieje się z siebie. — Zabieramy się z tej mżawki i chodźmy zrobić sobie herbatę.

— Przeszłam przez różne rodzaje uczuć. Na początku nie mogłam w to uwierzyć. Hugh był taki żywy, wiesz? Cały czas wydawało mi się, że go widzę. Szłam za jakimś facetem przez pół sklepu Sainsbury, bo miał na sobie podobną do niego sztruksową marynarkę. Głupie, wiem.

Bella kręci głową.

— To nie jest głupie.

— I byłam na niego taka zła. Dlaczego nie dbał bardziej o swoje zdrowie? — Już wcześniej miał lekki zawał i jak śmiał zostawić mnie samą? Potem poczułam, że to wszystko moja wina. Powinam była coś zrobić, cokolwiek. Byłam złą osobą, bo pozwoliłam mu jeść masło. Powinam była zmusić go, aby zaczął grać w tenisa. Kiedy to naprawdę do mnie dotarło, cały czas płakałam, w najbardziej dziwnych miejscach. Raz musiałam wybiec z apteki, ponieważ — to takie głupie — zobaczyłam ten talk Mycil, którego używał na grzybicę stóp*. I pomyślałam sobie wtedy, jakie to zabawne, skoro nigdy nie miał wystarczająco dużo ruchu. Kiedy indziej w ogrodzie wykopywałam ziemniaki na kolację i gdy nagle spojrzałam w dół, zobaczyłam, że wykopałam dla dwóch osób. Znowu płakałam.

* Athlete's foot (ang.) — grzybica stóp; gra słów polegająca na podwójnym użyciu słowa *athlete*, które oznacza również „sportowiec”.

Bella napełnia ich kubki.

— Ale później było już lepiej — Fran macha ręką w kierunku Belli, która marszczy brew w wyrażającym wątpliwość łuku. — Nie. Wiem, co sobie myślisz. Kiedyś bardzo mnie złościło, gdy ludzie traktowali mnie protekcyjnie, mówiąc bzdury typu „czas najlepiej goi rany”. Ale moje uczucia naprawdę się zmieniły. Nie zapomniałam go, Bóg mi świadkiem. Rzeczy nigdy nie wrócą do poprzed-

niego stanu. Życie się zmieniło. Ja się zmieniłam. Ale ból nie jest już ostry. Mogę cieszyć się wspomnieniami o nim bez odczuwania nieszczęścia, żalości. I, w którymś momencie, odpuściłam sobie.

Cisza. Fran wstaje i ponownie napełnia czajnik, daje nura do pojemnika na ciastka po „coś do przegryzienia”.

— Ty też kogoś straciłaś, prawda?

Brzęk pokrywki od czajnika. Trzask zapalanej zapalki. Cichy syk gazu.

— Przepraszam. Może wolisz o tym nie mówić?

— Ja... to nie... ciężko mi się o tym rozmawia. Ja nie... To jest takie... — Zaciska mocno wargi, aby zatrzymać to wewnątrz siebie. Nagle jej usta zaczynają drżeć i otwierają się szeroko. Bella bełkocze. Tak bardzo się boi — nie mogła zapomnieć Patricka — nie odważyła się — to byłaby zdrada — potrzebował jej pamięci, ponieważ w przeciwnym wypadku naprawdę by zniknął.

Wokół niej kuchnia wiruje we mgle.

A potem spotkała Willa i czuła się źle, czuła się winna, że tak bardzo go kochała — potem była przerażona, że jego również straci. Nie zniosłaby tego — nie Will — nie mogłaby — pochłonąłby ją ból — przestałaby istnieć. No i popsuka wszystko, sprawiła, że odszedł i to było okropne. On nawet nie wiedział, że go kocha, ponieważ nie mogła tego wypowiedzieć, tak się bała. Po prostu wiedziała, że jeśli przyzna się do tego, wyzna to, Will zostanie zabrany — a ona ukarana — nie będzie mogła być taka szczęśliwa, nie na długo — tylko na tyle, aby uspić jej czujność. Przyzwyczaiłaby się do niego, życie stałoby się cudowne, a wtedy — bum — potraciłaby go ciężarówka, zachorowałby na raka albo uciekł do Auckland — a ona nie mogłaby tego znieść. Tylko że teraz też go straciła. To nie było jednak aż tak straszne, ponieważ spodziewała się tego, sama do tego doprowadziła — wiedziała, na czym stoi. Naprawdę, nie było aż tak strasznie. Nie tak strasznie.

Ramiona Fran obejmują ją: głaszcząc jej włosy i trzymają ją. Wydaje uspokajający, uciszający dźwięk w jej włosy.

— A teraz całą cię... osmaaarkałam — jęczy Bella.

— Ciii. I tak nigdy nie lubiłam tej koszuli.

Oddech Belli wyskakuje z płuc. Jej ramiona trzęsą się spazmatycznie. Uwolniony szloch szarpie klatką piersiową. Stara się szybko go opanować. Łzy gryzmołą tuszem do rzęs przypominającą pajęczynę kaligrafię na jej policzkach. Wyciera nos wierzchem dłoni.

— Ale jest dużo gorzej niż wtedy. D-dużo gorzej. Fran nadal ją trzyma, a Bella spogląda w górę na nią.

— Nigdy tego nikomu nie mówiłam. Kiedy się dowiesz, znenawidzisz mnie.

— Cii, ciii. Nie mogłabym cię nienawidzić.

Bella już ucichła, uspokoiła się. Wydmuchuje nos i głęboko wzdycha, kiedy sobie przypomina. W końcu nadszedł czas, aby to powiedzieć.



Ta świadomość kłębi się w niej już od tygodni, może nawet miesięcy, jeśli odważyłaby się do tego przyznać. Kiedy pojawiła się pierwsza myśl? Kiedy pozwoliła sobie pomyśleć o tym? Ma wrażenie, jakby to zaczęło się głęboko w jej kościach, a potem przesączyło się, uciekło do krwioobiegu, kierując się w stronę serca, głowy. Teraz to przybrało formę kłującego świądu pod skórą, którego nie może zignorować. Może jedynie stworzyć luksus zapomnienia, kiedy rzuca się w wir czegoś; dlatego spędza dużo czasu w pracy, wstaje wcześniej, aby popływać, choć raz ciesząc się z zapachu chloru wchodzącego do nosa, szczypiącego w oczy, wypłukującego jej karygodne, samolubne myśli. Zaczyna nawet pracować nad arrasem; przenosi na papier milimetrowy jako podkład stary obraz, na którym namalowała dom swoich rodziców; wieczorami ma przyzwolenie na koncentrowanie się jedynie na małych, zamalowanych kwadracikach, na zanurzaniu się w swoje drobne ściegi jak technik wiszący nad mikroskopem, bliski wielkiego odkrycia.

Patrick komentuje ze śmiechem.

— Ktoś mógłby pomyśleć, że masz kochanka, Bel. To całe zostawanie do późna w biurze.

— Eee... bzdury, kochanie. Ważny klient, to wszystko.

Udawała, że jest podenerwowana, aby się z nim podroczyć, jakby ją nakrył, wydobył na światło dzienne jej wielki sekret, a on się śmiał.

Ale nie odkrył go. Wydaje się nie mieć pojęcia. Bella prawie żałuje, że nie ma kochanka, prawdziwego powodu, czegoś konkretnego, kogoś innego, na kogo mogłaby wskazać i powiedzieć: „Widzisz? Oto dlaczego”. To byłoby takie proste.

Z każdym dniem czuje coraz większą przepaść między swoimi chęciami a czynami. Patrzy na siebie, jak porusza się po mieszkaniu, jeden krok za swoim fałszywym odbiciem, szydzi z jego dobrych manier, uśmiechów. Dlaczego Patrick nie może tego zobaczyć? Z pewnością zauważy ją nagle, drżącą za tą ohydną uśmiechniętą fasadą.

— W porządku? — Patrick klepie ją po kolanie, jednocześnie wpisując ołówkiem słowo do krzyżówki.

— Tak. Dobrze — odpowiada, czując się jak wytresowany spaniel.

Zaczyna planować „Rozmowę z Patrickiem” w swojej głowie, później w kalendarzu. Nie w ten weekend, ponieważ wyjeżdżamy do jego rodziców. Nie w czasie tygodnia, ponieważ będzie wracał późno z pracy w Walthamstow każdego wieczoru. Następny weekend? Może. Potem następuje kolejny weekend i mają przyjaciół na kolacji albo Patrick nie ma humoru, albo ona ma bóle menstruacyjne. Może powie we wtorek, szybko przed okresem poprzedzającym jego urodziny, albo, o mój Boże, później są święta Bożego Narodzenia. Może lepiej będzie poczekać, aż miną.

I tak, jest już osiemnasty styczeń, a ona stoi w małym białym pokoju, patrzy na ciało Patricka, leżące przed nią.

— Jestem oszustką — mówi do siebie — okropnym krętaczem, który na niego nie zasługiwał. — Ale nadal, będąc w szoku, wie, że cieszy się, iż mu nie powiedziała, nie popsowała mu jego ostatnich kilku miesięcy; cieszy się, że nigdy nie wypowiedziała słów: „Patrick. Już nie mogę być z tobą. Ja cię... ja cię nie Kocham”.



Fran przychodzi, aby życzyć jej dobrej nocy. Opatula ją mocno, jakby była dzieckiem. Bella wystawia swój podbródek ponad zawinięty brzeg pościeli, poprawiając nastrój; czuła się jak po składana kanapka i przygląda się tapecie z wzorem róż, z dziwnie pocieszającymi nierównymi połączeniami i nieregularnymi brzegami. Nocna lampka oświetla kilka jasnych jaskrów, ułożonych w małym niebieskim wazoniku z listkami pierzastego kopru włoskiego i podobnych do stokrotek złocieni maruna. Zabawne, myśli sobie, nigdy wcześniej nie zauważyłam jakie jaskry są ładne — jaki doskonały jest każdy płatek, jaki gładki. Odpływa we śnie, ich żółte główki są jak małe słoneczka ogrzewające ją, kiedy zamyka oczy.

Patrick idzie przed nią, ale jej ciężko jest za nim nadążyć, jego drugie nogi z każdym krokiem niosą go coraz dalej. Bez tchu dogania go w końcu i klepie z tyłu w ramię. On odwraca się i wygląda na zaskoczonego, że ją widzi, zdenerwowanego nawet. Potem kładzie się na ziemi, gestem dłoni zaprasza, aby się do niego przyłączyła.

Jest zimno, a powietrze wydaje się ciężkie i lepkie na jej skórze. Kładzie się na ziemi obok niego. W tym mlecznym świetle nawet jego twarz przed nią jest zamglona. Za sobą, na plecach czuje betonowy krawężnik; pod nią ostre kamienie jego grobu. Wzyna się w jej skórę, ciało, ale stara się nie krzywić, nie chce pozwolić, aby to zobaczył. On wydaje się ich w ogóle nie zauważać. Nagle uderza dłonią w nagrobek.

— Dobre, solidne wezłowie, co? — I śmieje się.

Bella zaczyna się uśmiechać, próbuje się dołączyć, śmiać się z żartu razem z nim, ale jego twarz jest znowu poważna. Kiedy chwyta ją za rękę, ona bierze gwałtowny wdech; jego skóra jest zimna jak kamień i luźna jak kozuch na roztopionym wosku. Patrzy, jak on podnosi jej dłoń, jakby to było coś nie należącego do niej, i kieruje ją w stronę nagrobka. Przesuwa jej palcem po napisie u dołu.

SPOCZYWAJ W SPOKOJU

Spogląda na nią, po czym zamyka oczy. Bella ponownie przesuwając palcem po napisie, wyczuwając pod opuszkami wyżłobienia w kamieniu, pozwalając, aby te litery wryły się głęboko w pamięć. Nagle staje się to dla niej jasne, oczywiste; nawet głupiec by to zrozumiał. Teraz już wie, co on miał na myśli; wie, co to oznacza. Spoczywaj w pokoju. To nie jest skierowane do zmarłych; zmarłych, którzy leżą spokojnie w popękanej ziemi; nie do zmarłych, którzy nie mają już żadnych myśli, żadnych lęków; ich radości, ich ból został zapomniany. To jest przesłanie dla żyjących.

Wczesny ranek. Cienki promyk słońca omiata pokój. Otwiera oczy i zaczyna cichutko płakać.

Przegląda swoje szkicowniki. Gdzieś tutaj, tak. Jest. Ma kilka szkiców — i swoją pamięć.

Zaczyna malować. Przedstawia go tak, jak najlepiej zapamiętała — jego długa postać niezgrabnie poskładana w fotelu, jedna noga zadarta na oparciu. Gdyby tylko umiała odzwierciedlić sposób, w jaki obracał stopę podczas czytania, najpierw w jedną stronę, później w drugą; może narysować ją pod kątem, aby to zasugerować. Wie, że musi namalować to za jednym razem, teraz, gdy widzi go tak wyraźnie w swojej głowie. Pozwala, aby jego głos jeszcze raz dotarł do jej uszu, przypomina sobie jego zwykły, czuły dotyk, pozwala, aby jego esencja przyspieszyła ściegna jej ręki, aby przelała się na papier.

Jest dobry, myśli sobie, lepszy niż przypuszczała. Czasami malowanie było pracą, pracą i jeszcze raz pracą, walką z ograniczeniami farby, papieru albo płótna, frustracją z powodu przepaści między jej wyobrażeniem w głowie, a jego pozbawionym wyrazu przekładem, który wykonała swoim pędzlem. Ale, czasami, w rzadkich, lecz cennych momentach, obraz przychodził jak dar, wypływając z jej oczu, jej umysłu, w dół do ręki, zachowując przed nią jej wizję jak motyla, który się zatrzymał.

Najpierw dzwoni, żeby upewnić się, czy może przyjechać. Mówi, że długo nie zostanie, nie chce się narzucać, bada grunt w czasie przerw w rozmowie, zastanawiając się, czy będzie miło widziana. Opakowuje ostrożnie obraz, kładzie go na tylnym siedzeniu samochodu.

Kiedy podnosi rękę do kołatki, drzwi się otwierają.

— Bella! — Joseph, ojciec Patricka, przyciąga ją do siebie.

— Czy to Bella już przyjechała? — woła Rose, biegnąc do niej i rozpinając fartuszek.

Ich radość ze spotkania z nią napęlnia ją wstydem. Nie słyszy żadnego słowa wyrzutu, żadnych zawołanych aluzji, że mogła odwiedzić ich wcześniej. Ich wyraźna wdzięczność za to, że zadała sobie tyle trudu, aby przejechać całą tę drogę, żeby ich zobaczyć, jest bardziej żenująca niż jakakolwiek krytyka. Jak mogła być tak samolubna?

— Wejdz, wejdz! Zobacz, kto przyszedł.

Sophie, młodsza siostra Patricka, podskakuje i zarzuca ręce na szyi Belli.

— Soph! Nie wiedziałam, że tu będziesz.

— Nie widzieliśmy się od miesiący. Już myślałam, że o nas zapomniałaś.

— Sophie! — Rose spogląda na nią, marszcząc brwi. — Nie bądź nieuprzejma.

— Och, mamó. Bel się nie gniewa.

Bella zauważa, jak Joseph i Rose wymieniają spojrzenia.

— Och, Bel! Nie płacz. Cholera. Co znowu powiedziałam?

— Uważaj, co mówisz! — mówi Rose. — Proszę, wybacz, jej Bella.

— Nie. To nie to. To nie ty. Soph, naprawdę. To przeze mnie. A wy jesteście tacy mili. — Bierze zaoferowaną przez Josepha chusteczkę.

— Mogę być okropna, jeśli chcesz — proponuje Sophie. — Mama mówi, że i tak przez większość czasu jestem okropna.

— Wcale nie. Potrafisz być całkiem miła, kiedy chcesz, Sophie. Ale to nie jest trendy albo czaderskie, albo jakkolwiek to się teraz nazywa, więc starasz się udawać, że jesteś znudzona wszystkimi i wszystkim. Lecz teraz, kiedy masz dwadzieścia lat, to jest po prostu żenujące. — Rose wychodzi do kuchni.

— Czaderskie? Mama jak zwykle toruje nowe drogi ulicznego slangu. — Sophie przybiera pozę niegrzecznej uczennicy i robi głupie miny do Belli. Bella odpowiada tym samym. — Dobry Boże — modli się Sophie — przyślij mi nową matkę.

— Nie mów tak — mówi Bella — bo dam ci moją. Zastanawiam się nad wypożyczeniem jej, aby poprawiać rodzinną harmonię — jeden tydzień z nią i docenisz, jaka Rose jest cudowna.

— Przywiozłam wam coś, ale nie wiem, czy dobrze zrobiłam.

— Nie ma potrzeby przywozić niczego — mówi Rose.

— Wystarczy, że przyjechałaś — dopowiada Joseph.

Bella wychodzi do samochodu, aby go przynieść. A co, jeśli im się nie spodoba? A co, jeśli wybuchną płaczem? To może być straszny błąd.

Trzyma go blisko ciała.

— Mam nadzieję, że to nie pogorszy sprawy. Ale zrobiłam to dla was i chcę, żebyście go mieli.

Bella podaje obraz Josephowi. Jego oczy zaczynają zachodzić łzami. Kiwa głową w milczeniu. Rose, siedząca obok niego na kanapie, ściska jego ramię. Łzy spływają po jej popudrowanych policzkach, biegną wzdłuż zmarszczek wokół oczu.

— Nie chciałam was zdenerwować. Przepraszam. Myślałam... nie wiem, co sobie myślałam.

Oboje, Rose i Joseph, kręcą głowami.

Nie — mówią — to nie to — bardzo im się podoba — nie spodziewali się tego — niczego bardziej by nie pragnęli — nic lepszego nie mogła im podarować — chodzi o to, że... — Joseph szuka swojej chusteczki — ...to cały Patrick.

Sophie zgadza się z nimi.

— To cały Patrick, patrzcie na jego stopę. Po prostu wiesz, że kręci nią w kółko, jakaś cholerna nakręcana mechaniczna zabawka, tak jak to miał w zwyczaju. Alan będzie zachwycony, prawda?

Alan przyjedzie dopiero na podwieczorek, więc Bella zostaje na herbatę. Kiedy przyjeżdża, całuje ją w policzek i niezręcznie łapie za ramiona na kilka chwil. Patrzy na nią jakby z ukosa, tak jak zwykł to robić Patrick.

— Rodzice za tobą tęsknili, wiesz?

Kiwa głową, zmieszana.

— Obraz. Widać, że są naprawdę uradowani. Dobrze zrobiłaś. Właściwie. Dziękuję.

Zapomniała już, jakie to uczucie, być częścią rodziny, choć na krótko. O ileż łatwiej było utrzymywać dobre stosunki z krewnymi innych ludzi. Rose zapomniała rozmrozić kotlety, które miały być na kolację, więc Bella upiera się, że sama przygotuje posiłek dla wszystkich; wyczarowuje cudowną *melagne* z eklektycznej kolekcji zapasów z lodówki. Później Sophie prosi o *zabaglione*, więc we dwie stoją przy kuchence, wymieniając się nieprzyzwoitymi dowcipami i na zmianę ubijając napój, aż nie zdrętwieją im ręce. Słodka złota piana zostaje rozlana do szklanek i wszyscy jedzą w nabożnym skupieniu, jakby honorując jakiś starożytny rytuał.

Rose nie chce nawet myśleć o tym, aby Bella wracała w nocy do domu. Musi być wyczerpana. I tak łóżko jest już pościelone. Nie mogą przecież pozwolić, aby wracała tak późno. Absolutnie nie.

— Ale ja nie mam swoich rzeczy...

Dostaje czystą koszulę nocną, znajduje się nowa szczoteczka do zębów. Raz jeden pozwala się rozpieszczać.

Po śniadaniu Joseph spaceruje razem z nią po ogrodzie. Jest pod wrażeniem jej nowo zdobytej wiedzy, kiedy podziwia jego rośliny, używając ich nazw. Bella łapie ich liście między palce, ich znany dotyk dodaje jej otuchy, pozwala, aby nazwy, zapachy przetaczały się w jej głowie: „tymianek”, myśli, „melisa, rozmaryn”. *Rosmarinus officinalis*. Ach, rozmaryn.

— Cieszę się, że przyjechałaś. Wiem, że dla ciebie to też nie było łatwe.

— Jest już znacznie lepiej niż wcześniej.

Joseph odchrząkuje i pochyla się nad rośliną, aby oberwać uschnięty liść.

— Nie wyszłabyś za niego, prawda?

Bella milczy, po czym podnosi wzrok, aby popatrzeć mu w oczy.

— W porządku. — Wkłada ręce głęboko do kieszeni. — Myślę, że wiedziałem już jakiś czasu temu. Rose nie wie. Ona myśli, że byliście po prostu młodymi ludźmi, którzy żyją nowocześnie.

— Tak mi przykro.

— Niepotrzebnie. Nie ma sensu oszukiwać w kwestii swoich uczuć, prawda?

— Chyba nie.

Trzyma ją w swoich ramionach, poklepując po plecach.

— To dlatego odsunęłaś się od nas? Kiwa głową w jego objęciach.

— Nie mogłam. Czułam się jak oszust. Myślałam, że mnie znienawidzicie.

Cmoka do siebie z niezadowoleniem, kręcąc głową.

Joseph odprowadza ją do samochodu i woła resztę rodziny, aby przyszli się z nią pożegnać.

— Mam nadzieję, że go znajdziesz — mówi do niej cicho. — Tego jedyne.

— To jest naprawdę olśniewające, o wiele ładne dla ciebie, ty stara zdziro. Ja go chcę. — Viv pozwala, aby rękaw wiśniowego kostiumu prześliznął się między jej palcami. Bella martwiła się, że będzie śmiesznie wystrojona na swój wernisaż, zwłaszcza po tym, jak przyjechała i zobaczyła jednego z artystów ubranego w zielone dżinsy i w coś, co skatalogowała w myślach jako kamizelkę wykonaną techniką mieszaną — ubranie, które mogłoby być interesujące, gdyby zostało opracowane, ale na żywej osobie wygląda po prostu absurdalnie. Na szczęście Donald MacIntyre ma na sobie nienaganie odprasowany garnitur oraz odlotowy czerwono-czarny jedwabny krawat, a Fiona, asystentka galerii, jest w eleganckiej małej czarnej. Oboje szczerze chwalą strój Belli; Fiona z ukosa rozszerza nozdrza na Pana Szurnięta Kamizelka.

— Wyglądasz oszałamiająco — komplementuje Viv. — Myślałam, że ubierzesz malarski fartuch. Ale i tak nie możesz rywalizować z tamtą kamizelką — co to za dziwnie wyglądające chrzęszczące kawałki? No obróć się.

Bella wykonuje polecenie i spódnica lekko wiruje wokół jej nóg.

— Musiałaś się szarpnąć. To na pewno nie pochodzi z Oxfam*.

— Należał do Alessandry. Mamy. Viv unosi brwi bez komentarza.

— Tak naprawdę jest dla mnie zbyt wytworny. — Bella spogląda na siebie w dół.

* Oxfam — instytucja charytatywna; w jej skład wchodzi między innymi sklepy z używaną odzieżą.

— Nonsens. Pasuje do ciebie.

Nick wydaje pełen zachwytu gwizd i całuje ją w policzek.

— A więc pokaż nam, prostym ludziom, tę twoją sztukę. — Udaje, że wyciera nos w rękaw.

Wskazuje swoje obrazy oraz te dwa, które stoją na oknie wystawowym.

— To wygląda jak Will — mówi Viv. — Nie całkiem jego twarz, ale coś w pozie, w sposobie, w jaki stoi. Kurde, dobra jesteś. Dlaczego przez te wszystkie lata obijałaś się, skoro jesteś cholernym geniuszem, kobieto? Cóż, przynajmniej kończysz ze Scrotum Design.

— Ciii. — Bella skinęła na Seline.

— A gdzie są dumni rodzice? — pyta Jane, koleżanka z Londynu.

— Nieobecni.

— Oj, przepraszam, czyżbym popełniła gafę?

— Ale zaprosiłaś ich, Bel, prawda? — Przyłącza się Viv, patrząc na Bellę przymrużonymi oczyma.

— Wysłałam im zaproszenie. — Bella sięga po kolejną kanapkę. — Ale dopiero dziś rano przypomniałam sobie, żeby wrzucić je do skrzynki.

— Zapomniałaś, taa. Złośliwiec. Bardzo chcieliby przyjść. Nie przyciskaj tak swojego nosa, bo wyglądasz jak świnia. Ale z ciebie frajerka — mogli jakiś kupić.

To powinien być jeden z najlepszych wieczorów w jej życiu. Prawie jest. Ma wokół siebie dobrych przyjaciół. Jej prace są wystawiane w najlepszej prywatnej galerii w mieście, a ludzie je chwala. Miłe, musujące uczucie unosi się zaraz pod jej skórą. Ludzie zasypują ją komplementami, ale te z trudem docierają do jej świadomości. Czuje, że nie bierze ich pod uwagę, nie wchłania jak woda odbijająca się od impregnowanego materiału.

„Są po prostu uprzejmi. Muszą powiedzieć coś miłego. Wypili zbyt dużo wina”. Uśmiecha się, kiwa głową i wyraża podziękowania, opowiada autoironiczne dowcipy, pilnuje się, aby nie poczuć się zbyt zadowoloną.

Ale myśli tylko o Willu. Cieszy się, że obraz przedstawiający jego jest w oknie wystawowym, zwrócony w kierunku ulicy; nie musi więc na niego patrzeć, kiedy rozgląda się po pokoju. Cały czas myśli, jak bardzo spodobałby mu się ten wieczór, co by powiedział — rozbawiłby go mężczyzna, który tam stoi, badając fakturę jej obrazów z takiej odległości, że prawie wyciera w nią nos. Myśli o tym, jak objąłby ją w pasie na chwilę, gdy przechodziłby obok niej, jak odgarniał by jej włosy z twarzy — od niechcienia, prawie niezauważalnie. Polubiłby Donalda MacIntyre'a z jego ironicznym poczuciem humoru i błyskotliwą inteligencją. I były nawet kanapki i koreczki. Will uwielbiał jedzenie na patyczkach. („Czyż słowo *goujons**!", pytał „brzmi tak pulchno, jak twoje ramię?" — pochylał się, żeby je schrupać. „One nie są pulchne, są delikatnie zaokrąglone". „Pulchne, pulchne" — upierał się, skubiąc dalej).

— Czy mogłabyś kiedyś złożyć na nim z tyłu swój autograf? — pyta Seline. — Na przedzie są tylko twoje inicjały.

* Goujons (fran.) — filety rybne pocięte na plasterki.

Seline kupiła obraz. Wydała pieniądze — całkiem dużo pieniędzy — na obraz wykonany przez Bellę, osobę, którą znała. Jak można brać czyjąś pracę poważnie, kiedy kłóciłyście się ze sobą, walczyłyście o czekoladowe ciastka albo pożyczalyście od siebie tampony?

— Ale one są takie drogie... nie wolno ci... galeria ustala ceny... mają wysokie... namaluję ci inny.

Seline każe jej się zamknąć i przestać paplać.

— Bardzo mi się podoba i mam dla niego idealne miejsce, więc proszę, daj mi się nim cieszyć. — Uśmiecha się. — No i podejrzewam, że zrobiłam całkiem niezłą inwestycję.

Zauważa Nicka wypisującego czek i biegnie go powstrzymać. Fiona grozi, że zamknie ją w kuchni — „Ludzie powinni je kupować. Taki jest cel wystawy”. — Bella przypiera Viv do muru.

— Robicie to tylko dlatego, że jest wam mnie żal, prawda? Przyznaj się.

— Masz rację. To jedyny powód. Mamy nawet zamiar powiesić go nad kominkiem — tak bardzo jest nam ciebie żal. Nie bądź głupia, kochanie. Nick nigdy nie jest uprzejmy, wiesz o tym.

— To prawda. — Nick przez chwilę płucze gardło winem. — Po prostu mi się nie chce. Jesteśmy tylko cynicznymi kolekcjonerami, którzy skwapliwie korzystają z okazji, póki jesteś jeszcze tania. No — nie taka tania...

— Zamknij się i poczęstuj się tym grzybowym „czymś”.

Następnego dnia praca mija szybko, choć jeden raz. Anthony wraca z lunchu z beretem, który nakłada jej na głowę — „Jesteś teraz oficjalnie prawdziwym *artiste* i musisz to nosić cały czas”. Kiedy Bella wraca do domu, rozkłada się na kanapie, aby ponownie przeżyć wczorajszy wieczór. Dzwonek do drzwi.

To pewnie Świadkowie Jehowy, mówi do siebie, przystaje przed lustrem, aby poprawić włosy, zagryza usta, aby zrobiły się bardziej różowe. Ktoś zbierający osierocone krasnale ogrodowe. Viv, która przysłała zapytać, jak przesiać mąkę.

Otwiera drzwi.

— A co to ma być, panno Kreuzer? — Gerald macha jej zaproszeniem przed nosem.

— O, cześć tato. To jest zaproszenie. — Jej ramiona opadają z rozczarowania. — To na wystawę. Przejeżdżałeś w pobliżu?

— Bardzo zabawne. Kiedy to miało miejsce? I czy wiesz, dlaczego nasze doszło tak późno?

— Nie mam pojęcia. Poczta, co? Okropne. — Cmoka z niezadowoleniem i kręci głową.

Ponad ramieniem ojca widzi swoją matkę. Alessandra kręci się po ulicy, zastanawiając się, czy bezpiecznie jest zaryzykować wejście do jaskini lwa.

— Cześć! — Głos Belli brzmi w jej uszach sztucznie wysoko i serdecznie. Odchrząkuje. — Eee, cześć. Witaj mamó. Wejdźcie, wejdźcie.

— Dziękuję, kochanie. — Alessandra wchodzi ostrożnie do przedpokoju. — Ale zaproszenie zostało wysłane wczoraj. Z pewnością galeria powinna wysłać je dużo wcześniej?

— Mmm. — Bella pomaga jej zdjąć płaszcz. — Podejrzewam, że to przeoczenie.

— Poszliśmy ją obejrzeć — mówi Alessandra. — Była wspaniała. Bardzo nam się spodobała.

Taa. Pewnie. Oczywiście, że tak.

Gerald rozpoczął:

— To jest fantastyczne — dlaczego im nie powiedziała? — Musi być w siódmym niebie — on jest — oboje powinni być na tym wernisażu — byłiby oczywiście — no i obrazy — były nad-

zwyczajne — niezapomniane — dlaczego w ogóle wystawiali obrazy innych osób, zajmowały tylko miejsce — przerwała mu Alessandra, mówiąc, że uważa, iż są piękne — kolory takie intensywne — faktura taka prawdziwa, że miała ochotę jej dotknąć — no i sprzeczali się, który kupić, ponieważ oczywiście muszą mieć przynajmniej jeden; kupiliby i tak, nawet jeśli nie byłaby ich córką — a ta młoda dziewczyna była taka uprzejma, podała im kawę, kiedy powiedzieli kim są i robiła wokół nich tyle zamieszania — Alessandra kupiła jeden z góry na urodziny Geralda, i czy Bella może przywieźć go następnym razem, gdy ich odwiedzi — jeśli ma zamiar ich odwiedzić — jeśli będzie miała kiedyś czas.

Potem zapada cisza. Gerald kaszle.

— Nie chcemy ci przeszkadzać, jeśli jesteś zajęta. — Rozgląda się po pokoju. — Ale chcieliśmy zobaczyć dom. Pomyśleliśmy, że nie będziemy czekać na oficjalne zaproszenie — ta cała poczta i w ogóle...

— Nie ma sprawy. — Speszona Bella krzyżuje ręce przed sobą, po czym opuszcza je po bokach. — Herbata czy kawa?

— Poproszę herbatę. — Mówi Gerald w tym samym momencie co Alessandra:

— Chętnie napiję się kawy.

Oczy Alessandry i Belli spotykają się.

— Może być herbata.

— Albo kawa — mówi Gerald.

Bella ściąga małą stertę gazet z krzesła i kładzie je obok kanapy.

— Gdybym wiedziała, że przyjedziecie, przeleciałabym dom ze ścierką do kurzu.

Alessandra otwiera szuflady i szafki w kuchni jak każdy zapalony kucharz. Jest mała, stwierdza, ale dobrze rozplanowana, łatwo się w niej pracuje; czy Bella dużo gotowała, czy była zbyt zajęta malowaniem? Patrząc przez oszklone drzwi, oboje zachwycają się ogrodem i architektonicznymi roślinami, które dramatycznie podświetlone rzucają cienie na mur. Następnie próbują w raczej oczywisty sposób umniejszyć znaczenie swoich pochwał; przekierowują uwagę na efekt, jaki tworzą zasłony, stanowiące oprawę dla widoku na zewnątrz; jaki dom jest jasny; jakie wspaniałe dodatki, kominek, gzymsy; dużo przestronniejsze, niż myśleli.

— Mogę pomyszkować w ogrodzie? — Jej ojciec stoi przy oszklonych drzwiach, nie mogąc się już dłużej pohamować. Bella otwiera drzwi, aby go wypuścić.

— Dasz sobie radę? Możesz śmiało powyrywać chwasty, skoro już tam jesteś.



Są same.

— Proszę, możesz też rzucić okiem, jeśli chcesz.

— Może za chwileczkę.

— Jeszcze kawy?

— Poproszę. — Alessandra podąża za nią do kuchni.

— Przepraszam za poprzedni raz. — Bella zmusza się, żeby podnieść wzrok znad swojego kubka. — Nie chciałam... trochę mnie poniosło. Byłam, cóż, sprawy z Willem... ale nie chcę się usprawiedliwiać.

— Wtedy nie wiedziałam. Przykro mi. Próbowałam być trochę bardziej... — Alessandra wzrusza ramionami, w włoskim stylu.

Bella kontroluje myśl — Bardziej... jak ktoś inny?

— W porządku — mówi.

Alessandra zdaje się wyjątkowo niespokojna. Ponownie spina kosmyki włosów, które już są idealnie na swoim miejscu.

— Twój tato przekonał mnie, że powinnam ci o czymś powiedzieć. Powinnam była zrobić to już dawno temu.

— Jestem adoptowana? Jestem ostatnią żyjącą prawniczką zaginionego cara? Urodziłam się jako chłopiec? Tato nie jest moim prawdziwym ojcem? To mleczarz, co wyjaśnia moje kręcone włosy i dobrze opanowaną umiejętność gwizdania.

Alessandra milczy, czeka, aż Bella skończy.

— Przepraszam — mówi Bella.

— Teraz to już nie jest taka ważna sprawa. Ukrywanie jej tak długo wydaje się głupie.

Alessandra pyta, czy Bella pamięta, jak będąc dzieckiem, cały czas pytała, dlaczego nie ma żadnego rodzeństwa.

— Tak naprawdę, cóż ja... ja ponownie zaszłam w ciążę. Kiedy miałaś prawie trzy latka. Ale miałam wrażenie, że to nie to samo. — Poprawia się na krześle. — To był szósty, prawie siódmy miesiąc, ale nie czułam ruchów dziecka. A z tobą — cóż, zawsze mnie kopałaś. — Jej oczy przeskoczyły na twarz Belli. — Byłaś bardzo ruchliwa. Zbadali ją ponownie.

— I miałam rację. Ona... dziecko... było martwe. Alessandra zaczyna grzebać w torebce.

— To głupie po tak długim czasie. — Alessandra kręci głową, zirytowana sobą. — I... cóż... jestem pewna, że teraz by tego nie zrobili. Nie mogliby. Mam nadzieję, że nie. Ale wtedy... wywołali poród. Musiałam... widzisz... przeżywać poród, wiedząc, że jest już martwa.

Wydaje się, że zapada się na swoim krześle, jakby ktoś spuścił z niej powietrze.

— To okropne. — Bella przetyka ślinę. — Nie powinnaś była przez to przechodzić.

Nazwali dziecko Susanna.

— Staraliście się mieć następne? Alessandra kręci powoli głową.

— Powiedzieli, że nie ma przeciwwskazań. Twój tato był taki chętny. Widziałam to na jego twarzy, nawet kiedy zmuszał się, aby nic nie mówić. — Zdziwiająco głośno wydmuchuje nos w ręcznik jednorazowy i śmieje się. — Niezbyt elegancko. Nie. Nie mogłam. Nie mogłam stawić temu czoło. W razie gdyby, wiesz... Nie znowu.

Otwiera swoją puderniczkę i przyprósza policzki.

— Więc gdzie ta kawa?

Bella rozlewa ją do filiżanek i sięga do szafki kuchennej po ukryty zapas herbatników. Wykłada maślane kruche ciastka na ładnym talerzu. Alessandra kiwa głową z zachwytem.

— A z tobą było wszystko w porządku? — pyta cicho Bella.

Alessandra zdaje się na chwilę zapaść w sen, patrzy w swoje kruche ciastko, jakby było czymś fascynującym, jakby nie była świadoma obecności Belli.

— Yhmm. Pod względem fizycznym. Myślę, że tak. Potem przyjechałam do domu. Ze szpitala. Poszliśmy odebrać cię od pani Mellors, która mieszka obok... i ty wyciągnęłaś swoje ręce do mnie. Byłaś taka cudowna, ale taka, taka... mała, wiesz? Byłaś taka mała, a ja... ja nie mogłam tego znieść. Gerald zawsze mówił mi, że... zmieniłam się po tym zdarzeniu. Względem ciebie.

Bella ma wrażenie, że jej herbatnik jest jak garść suchych okruchów, pył mąki zmieniający się w cement. Jej gardło zaciska się. Odwraca się i przyciska kawałek jednorazowego ręcznika do ust, dyskretnie wypluwając w niego przesłodzoną masę; poklepuje nim usta, zamykając je.

— Dołączymy do taty w ogrodzie? — Alessandra podnosi się. Zatrzymuje się przy oszklonych drzwiach i delikatnie kładzie rękę na ramieniu Belli.

— Cieszę się, że ci to powiedziałam.

— Ja również.

— Mimo wszystko wolałabym, żebyś nie poruszała tego tematu. Naprawdę nie mogę... no wiesz. — Jej głowa jest przechylona na jedną stronę, jej oczy szerokie jak u dziecka. — Rozumiesz?

— Oczywiście. — Bella kładzie rękę na dłoń Alessandry i uśmiecha się.

Alessandra wychodzi do ogrodu.

— No cóż, czyż to nie jest wspaniałe? To światło! *Magnifico!* Gerald, kochanie, musisz być zielony z zazdrości.

Bella zauważa, jak Alessandra rozgląda się po pokoju. Zdawało się, że czegoś szuka. Aha, lampa. Ich prezent do nowego domu. Jeszcze chwila i powie: „Czy coś stało się z lampą?“, rozejrzy się po pokoju w sposób już wyuczony, sugerując, że jest coś podejrzanego w Belli guście. Bella zaczyna się zastanawiać nad odpowiedzią. Ktoś zrzucił lampę ze stolika i rozbiła się. Przewody były trochę luźne, ale już jest w naprawie. Wkomponowała ją do martwej natury; została ustawiona w jej pracowni i nie

powinna być ruszana. Tak bardzo spodobała się Viv, że Bella pożyczyła ją jej na tydzień, tak aby mogła namówić Nicka do kupienia takiej samej.

— Są bardzo eleganckie, prawda? — Alessandra wskazuje na klosze na kinkietach.

— Jeśli zastanawiasz się, gdzie jest lampa od was, to po prostu zapytaj. Prawda jest taka, że wyglądała, jakby nadawała się do rezydencji. Nie pasowała tutaj, w porządku?

Przygląda się ich twarzom, oczekując oburzenia albo tego zranionego spojrzenia.

— W porządku. — Gerald uśmiecha się, mając brwi uniesione w rozbawieniu. — Dałem ci przecież paragon, w razie gdybyś chciała ją wymienić.

Rozplątuje ręce i pozwala, aby opadły jej po bokach.

— Po prostu nie była w moim stylu. Przykro mi.

— Więc co kupiłaś w zamian? — Alessandra rozgląda się wokoło, jakby mogła zgadnąć.

Twarz Belli rozjaśnia się.

— Chodźcie zobaczyć. — Prowadzi ich na górę.

Wszyscy troje stoją w półkołu w jej sypialni, jakby przyznawali nagrodę koniowi czystej krwi.

— Nigdy wcześniej takiego nie miałam. — Bella nagle czuje się zażenowana jak dziecko, które chwali się swoją ulubioną lalką, a jednocześnie zastanawia się, czy nie jest na to za duże.

— Powinna była o tym pomyśleć — powiedziała Alessandra. — Dlaczego nie wpadłam na to? Każdy powinien takie mieć.

Gerald cofa się i, trzymając klapy marynarki, robi różne pozy przed dużym lustrem.

— Wyglądam w nim jak dżentelmen.

Bella i Alessandra stoją za nim, po obu jego bokach. Ich wzrok spotyka się w lustrze. Ostrożny półuśmiech Alessandry jak u chłopaka zapraszającego po raz pierwszy dziewczynę na randkę; Bella odwzajemnia go, po czym obie zostają zasłonięte przez Geralda, który zaczyna paradować i puszyć się przed lustrem.



Kiedy są ponownie na dole, Alessandra zauważa nad kominkiem zdjęcie przedstawiające ją i Bellę.

— Och! Dobrze, że sobie przypomniałam. — Otwiera swoją torebkę i zaczyna szukać czegoś swoimi długimi, eleganckimi palcami. — Są urocze, prawda? Wyglądasz na nich tak słodko. Cieszę się, że je wystawiłaś. Gerald, kochanie, powinniśmy je oprawić. Nigdy nie zgadniesz, co znalazłam na tyłach szuflady w mojej toalecie. Robiłam porządki. Poczekaj chwileczkę. O... o proszę.

Podaje Belli małe pudełeczko na pierścionek pokryte miękkim niebieskim aksamitem. Alessandra kiwa głową w kierunku Belli, aby je otworzyła.

— Rodzinne klejnoty? — pyta Bella.

W środku, na bladuróżowej wacie, jakby to był drogocenny kamień albo kosztowny pierścionek, leży muszelka.

Wyjmuje ją i delikatnie bada jej wnętrze, w miejscu gdzie muszelka skręca się do środka; ma różowy odcień i jest bardzo gładka. Bella obraca kilkakrotnie muszelkę w palcach.

— Piękna — mówi. — Skąd ją masz?

— Nie pamiętasz? — Alessandra częściowo uśmiecha się, a częściowo marszczy brwi. — Myślałam, że będziesz. Ty mi ją dałaś, kiedy byłaś jeszcze mała. Na plaży. To było tego dnia. — Podnosi jeszcze raz zdjęcie. — Tak, jestem pewna, że to wtedy. Właśnie dowiedziałam się, że jestem w ciąży... zanim... tak. — Alessandra kiwa głową.

„I trzymałaś ją przez cały ten czas?”.

Jej sny z czasów dzieciństwa. Ciepłe ramiona wokół niej. Zapach jaśminu, pudru do twarzy i morza. Pocieranie nosków. To były wspomnienia.

Niebo jest czyste, jaskrawoniebieskie, jak podczas najlepszych wakacji dziecka. Jest tak niebieskie, że patrzenie na nie prawie boli. Mimo to odchyła głowę do tyłu, starając się połknąć całe niebo, tak aby ten kolor pozostał z nią na zawsze. Zamyka teraz mocno oczy, aby sprawdzić; jej nogi niosą ją wzdłuż plaży i idzie nierówno jak krab. Pod powiekami niebieski kolor pozostaje jasny i intensywny.

— Mam ci pokazać, jak się buduje zamek?

Mama klęka koło niej na twardym piasku. Zgarnia piasek do nowego żółtego wiaderka, aż jest już za dużo, po czym pokazuje Belli, jak go wyrównać czerwoną metalową łopatką.

— No. — Jednym zwinnym ruchem, niczym magik, mama odwraca wiaderko do góry nogami i wydaje dźwięki fanfar. — Ta-da!

Tatusz wraca, trzymając trzy lody tak ostrożnie, jakby to były najlepsze kryształowe kieliszki mamusi. Sos truskawkowy ścieka po jednej ręce, czekoladowy po drugiej. Podaje je Belli i mamusi i oblizuje palce. Mamusia odłamuje dół wafelka i pokazuje Belli, jak zrobić z niego minirozka, nabierając małą porcję lodów i odrobinę sosu. Potem ssie ułamany koniec wafelka. Bella obserwuje, zafascynowana, i naśladuje ją, lód ścieka jej po brodzie i rozmazuje się po całej buzi.

— Wyglądasz jak klaun. — Tatusz śmieje się, a mamusia ślini chusteczkę, którą wyciągnęła z torebki i wyciera buzię Belli.

Dodają kolejne trzy piaskowe wieże do pierwszej, tak aby stworzyć rogi kwadratu, po czym łączą je murami z piasku, uklepują, aby były gładkie i twarde. Naokoło zamku tatuś wykopuje rów. Mówi, że to będzie fosa i że można zrobić kanał łączący ją z morzem.

Są kilka metrów od brzegu, ale on kopie, robiąc wąski rów od strony morza. Kiedy dochodzi prawie do fosy, zatrzymuje się i wręcza łopatkę Belli. Bella usuwa ostatnią przeszkodę ze zbitego piasku, podnosi go i odrzuca, rozrzucając go na boki.

Morze wdziera się przez rów; w miejscu, w którym dopływa do fosy, rozdziela się na dwa, obiegając zamek naokoło, aby ponownie się spotkać.

— No proszę. Nikt się nie dostanie do środka. — Tatuś cofa się, aby ocenić ich pracę, głaszcząc swój podbródek. Bella poważnie kiwa głową i również gładzi się po brodzie. — No, chyba, że chcesz, aby weszli, oczywiście.

— Jest piękna, Bella. — Mamusia otacza dłońmi doskonałą muszelkę jak małą myszkę. Jest pozakręcana, nie większa niż kciuk mamusi. Prawie biała, podniszczona przez sól i słońce. Przy otworze, pod jej palcem jest gładka i lekko różowa, jakby odbijała jej brzozkwiniovą skórę.

— Może użyjesz jej do dekoracji zamku? — Mamusia chce ją zwrócić.

— Nie. — Bella kręci głową. Patrzy na mamusię, a nie na muszelkę, aby nie dać się skusić i nie zmienić zdania. Już podjęła decyzję. — Jest dla ciebie. — Ciepłe ramiona wokół niej. Zapach jaśminu, pudru do twarzy i morza. Jest ściskana, ściiskana. Pocierają się noskami. Cudowny odgłos chichotu.

Pstryknięcie aparatu.



33

Podczas wernisazu zostało sprzedanych pięć obrazów („Obiecujący początek" i dużo kiwania głową od Donalda MacIntyre'a); jej rodzice kupili jeden następnego dnia, ale nie istniał absolutnie żaden powód, dla którego miałyby sobie wyobrazić, że mogłyby sprzedać jeszcze więcej. Nie były zbyt tanie ani nie przedstawiały ślicznych wazoników z kwiatami („Twoje obrazy nie zeskoczą ze ścian, ale załazą za skórę. Kiedy ludzie je już zobaczą, wrócą, żeby je kupić", orzekł Donald). Galeria jest jej trochę po drodze. Poza tym znajduje się w pobliżu dobrego sklepu rybnego, więc to ma sens. Tłumaczy to sobie w myślach, aby zapobiec prawdopodobnemu rozczarowaniu — powinna kupić kilka ryb w dobrym sklepie, a gdy będzie przechodzić, może przy okazji zajrzeć do galerii.

Na wystawie znajdują się dwa obrazy — jeden mały, pierwszy, jaki namalowała, przedstawiający obejmującą się kobietę, i większy, wzorowany na pierwszym rysunku Willa, który w końcu przerobiła na obraz. Ich widok jeszcze raz ją zaskakuje, jej własne prace. To tak, jakby wejść do sklepu z ubraniami i nagle natknąć się na zawartość swojej szafy wywieszoną na wieszakach. W pewnym sensie jest to krępujące; ma wrażenie, że ludzie będą podchodzić do niej i mówić: „Teraz już cię poznaliśmy. Widzieliśmy twoje myśli. Już się nie ukryjesz". Patrzy na obraz przedstawiający Willa, jakby widziała go po raz pierwszy. Ułożenie jego głowy na ramionach, tak typowe dla niego, uchwycone lepiej, niż przypuszczała. Kamień muru za nim — może prawie sięgnąć i go pogłaskać; jego twarz, w półcieniu; światło padające z tyłu.

— No cześć — mówi Fiona — przyszłaś sprawdzić rejestr sprzedaży?

— Nie, nie. Tylko przechodziłam.

— Aha. Nie wstydź się. Gdyby to były moje obrazy, dzwoniłabym co pół godziny, aby zapytać, czy coś sprzedalam. Kawy?

Bella ogląda wystawę, sprawdzając czerwone znaczki. Na jej obrazach jest osiem. Nie wydaje się to dużo, ale ona wie, że jest dobrze, lepiej niż ma prawo oczekiwać na tak wczesnym etapie. Mimo to powtarza sobie, że nie może liczyć tych kupionych przez Viv, Seline i jej rodziców, więc tak naprawdę jest pięć. Ukradkowo liczy znaczki pozostałych trzech wystawców. To nie jest współzawodnictwo, mówi sobie, nie przestając liczyć. Jeden z artystów sprzedał sześć, drugi ma trzy czerwone insygnia honoru, a ostatni nie ma żadnego. Jakie to okropne, ale nie ma się czemu dziwić. Gdyby to przydarzyło się jej, dałaby pieniądze Viv, aby kupiła jeden.

Fiona przegląda książkę sprzedaży.

— Dziewięć. To całkiem dobrze. A raczej bardzo dobrze. Powinnaś sobie poradzić następnym razem, kiedy będziesz miała własną wystawę.

Następnym razem.

— Dziewięć? Naliczyłam tylko osiem.

— Liczyłaś ten w oknie?

Ten mały się sprzedał? Byłoby dobrze, to pierwszy, który namalowała.

— Nie, ten duży. Właściwie, to i tak miałam do ciebie zadzwonić. Nie mogłam znaleźć jego ceny, ale przypuszczam, że jest taka sama, jak innych obrazów tej samej wielkości. Facet wpłacił wczoraj rano zaliczkę. Myślę, że to mój ulubiony. Podoba mi się, że możesz niemal zobaczyć, o czym ten mężczyzna myśli, ale nie do końca. Przyprawia mnie o dreszcze.

Ten większy? Tylko nie ten z Willem?

— To musi być jakaś pomyłka. Ten obraz nie jest na sprzedaż. Powiedziałam to Donaldowi jeszcze przed wystawą, ale powiedział, że i tak chce go na okno wystawowe, ponieważ to przyciągnie ludzi.

— Och, nie powiedział mi.

Fiona sięga ręką na wystawę i podnosi obraz.

— Widzisz, nie ma nalepki. A niech to. — Podnosi coś z podłogi i wystawia palec z przyklejonym na nim białym znaczkiem — NIE NA SPRZ.

Nie wiedziała, jak ma przeproszać. Czy była jakaś szansa, że Bella zmieni zdanie?

To tylko obraz, powtarza sobie. „Po co trzymać się go tak kurczowo? Jeśli powieszę go w domu na ścianie, to tylko uczyni mnie nieszczęśliwą. Ale, ale...

Ale tylko to mi po nim pozostało”.

— Cóż, naprawdę... — zaczyna mówić.

Fiona przerywa jej. Spróbuje dodzwonić się do klienta, aby wyjaśnić całą sytuację. Może zgodzi się kupić w zamian inny i nie stracą przy tym w ogólnym rozrachunku liczby sprzedanych. Jeśli Bella mogłaby poczekać, ona zobaczy, czy mają do niego telefon.

— Halo? O, dzień dobry. Mówi Fiona z MacIntyre Arts. Czy rozmawiam z panem Henderso-
nem?

„Pan Henderson. O mój Boże! Will”.

— ...czy nadal pan go chce? „Will”.

— ...trochę zamieszania... „Will”.

— ...jakaś szansa, że zmieni pan zdanie...

Bella macha do Fiony i pokazuje ręką, że chce długopis, po czym bazgrze na górnej kartce notatnika: NIECH GO WEŹMIE.

— Eee, przepraszam panie Henderson. Najwyraźniej wszystko jest już w porządku. Tak. Całkowicie moja wina. Przepraszam, że zajęłam panu czas. — Śmieje się. Ile razy rozśmieszył Bellę przez telefon? — Tak. Jeszcze raz przepraszam. Tak. Kiedy pan sobie życzy, po osiemnastym. Dziękuję. Do widzenia.

— Uff — mówi Fiona, udając, że strzepuje pot z czoła. — Miły facet, ale wyglądało na to, że łatwo nie zrezygnuje z obrazu. Bardzo dziękuję za zmianę zdania. W przeciwnym razie Donald robiłby do mnie srogą minę Johna Knoxa* przez cały tydzień.

* John Knox — przywódca Reformacji w Szkocji w XVI w.

Kiedy Bella już wychodzi, Fiona pyta, czy rzuciła okiem również na swoje komentarze. Komentarze? Jakie komentarze? Fiona wręcza jej książkę gości. W miejscu, gdzie wpisali się goście, widnieje data wernisażu. Niektórzy dodali krótkie uwagi: Viv — „Olśniewające! Powinny wisieć w Galerii Narodowej”; Nick — „Kupcie teraz, póki was stać”; Jane — „Może nie znam się na sztuce, ale te obrazy są bajeczne”; Seline — „Zapadające w pamięć i nastrojowe”; Anthony — „Położyła Vermeer'a na łopatki”. Nawet jej rodzice, drobne pismo jej ojca, opisujące szczegółowo jego wspaniałe wrażenia; piękne pismo jej matki: „*Magnifico!* Nowa diwa świata sztuki”.

Jest kilka innych, napisanych przez ludzi, których nie zna; realnie istniejący ludzie poświęcili minutę lub dwie swojego życia, aby napisać coś o jej obrazach, dziełach, które stworzyła. To jest niezwykle uczucie, jakby przeszła przez całe swoje życie jak duch — jej obecność jest naznaczona jedynie powiewem wiatru. I nagle materializuje się, tutaj, jaśniejąca i żywa, a wszyscy odwracają się, aby ją zobaczyć. Przegląda komentarze, chce je zapisać, tak aby zapamiętać, ale jest zbyt skrepowana; po

każdym zamyka oczy, jak gdyby je fotografowała, chowając je w skarbcu: „Niezapomniane i ekscytujące”, „Złowieszcze, tajemnicze”, „Jak sen, fantazja”, jeszcze dwa „Nastrojowe”.

Przeskakuje do wczorajszej daty. Will Henderson. Dotyk kartki pod jej palcami, małe wcięcie w miejscu, gdzie przyłożył swoje długopis, żeby się wpisać. Nawet jego podpis sprawia, że ma ochotę płakać. Przesuwa palcem wzdłuż linijki, śledząc jego słowa: „Nadal cię kocham”.

34

Niedzielnny poranek. Normalnie byłby to dzień leniuchowania, ale dzisiaj, tego ranka, teraz, mam coś do zrobienia. Droga nie jest daleka; niebo jest bezchmurne i jasne. Im bliżej jestem celu, tym bardziej się denerwuję, jakbym miała zdawać egzamin albo wejść na scenę, na której pojawiłabym się nagle, mrugając od jaskrawych świateł i rozdziawiając usta jak złota rybka, bo nie znam swojej roli.

Nikt nie otwiera, kiedy naciskam dzwonek. W uszach słyszę tylko głuchy odgłos bicia mojego serca. Oczywiście powinnam była wcześniej zadzwonić, ale co miałam powiedzieć? Nie ma sensu targać paczki z powrotem do domu; może zostawię ją w ogrodzie pod pergolą i zadzwonię później. Wchodzę przez boczną bramkę, idę po ścieżce. Wdycham ciężki zapach różowej kaliny. Najpierw go nie widzę, ale słyszę szczęk sekatora i jego oddech, kiedy wyrzywa uparte chwasty. Stoi tam, za ogrodową ławką, na samym końcu ogrodu, w połowie ukryty przez rośliny, jakby tam rósł. Przez sztachety tyłu ławki widzę paski Willa, prostokąty czarnych dżinsów i tę bawełnianą koszulę, której nigdy nie lubiłam; teraz chcę, by zawsze ją nosił — tak będzie wyglądał, kiedy będę wyobrażać go sobie w myślach. Pracuje zwrócony do mnie plecami, a ja patrzę, jak pochyla się i sięga do roślin, przycinając je sekatorem; jego ruchy są płynne i precyzyjne.

Mam ochotę zakraść się do niego, wyciągnąć rękę i dotknąć go, wystraszyć z pewnością kochanki, ale nie wiem, jak zareaguje, więc wołam do niego.

— Tutaj ominałeś kawalek.

Rusza się lekko, prostuje się, potem powoli się odwraca w taki sam sposób jak kiedyś, gdy go malowałam; jak na obrazie, który trzymam w rękach.

Patrzy na mnie, oboje milczymy.

Podchodzę do niego i wyciągam przed siebie paczkę. Kiedy uświadamia sobie, co to jest, uśmiecha się, rozrywa papier i spogląda na obraz przedstawiający jego na tle ściennego malowidła w moim ogrodzie — kruszące się kamienne przejście, wewnątrz znajduje się obietnica słońca.

— Tyle razy chciałam do ciebie zadzwonić — mówię.

— Ja też.

— Ja bardziej.

Wyciąga dłoń, żeby odgarnąć kosmyk włosów z mojej twarzy.

— Więc przyszedłeś tu jako kurier czy masz czas na prawdziwą wizytę?

Patrzę na zegarek i wciągam powietrze.

— Hmm, zawsze mam czas na filiżankę herbaty... powiedzmy, jakieś pięćdziesiąt lat?

— W takim razie... Czy to znaczy „Tak”?

— Oczywiście, że to znaczy „Tak”. To jest „TAK” wielkości wieżowca. — Wyciągam dłoń i koniuszkiem palca dotykam jego brwi, zatrzymuję go na bliźnie. — Czy wspominałam już, że ja cię bardzo k..., no wiesz słowo na „K”? Czy to będzie problem?

— Myślę, że jakoś sobie poradzę. — Uśmiecha się i bierze mnie w ramiona.

Trzymam jego kochaną, najdroższą twarz w dłoniach i wyciągam się, aby go pocałować.

— Czy możemy zacząć od zaraz?

T L R